

ZESZYT DZIEWIĘCDZIESIĄTY DRUGI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1990

ZESZYT DZIEWIĘCDZIESIĄTY DRUGI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1990

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 461

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0129-0

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Polssy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Andrzej FRISZKE

Z DZIEJÓW STRONNICTWA NARODOWEGO NA EMIGRACJI W LATACH 1939 — 1942

Przed 1939 rokiem Stronnictwo Narodowe było najsilniejszym obok Stronnictwa Ludowego ugrupowaniem opozycji anty-sanacyjnej. Również w okresie wojny było jednym z głównych podmiotów polityki polskiej zarówno w kraju, jak na emigracji. Dzieje SN w latach 1939-44 badał Jerzy Janusz Terej, a opracowana przezeń monografia jest niezastąpionym studium dziejów SN w tym okresie¹. J.J. Terej skoncentrował uwagę przede wszystkim na polityce SN w okupowanym kraju. Nie mając dostępu do archiwów polskich w Londynie, znacznie pobieżniej potraktował działanie stronnictwa na emigracji. Temu wątkowi jest poświęcone niniejsze opracowanie, które można potraktować jako uzupełnienie monografii Tereja o pewne nowe, ale ważne szczegóły. Dodatkowe materiały źródłowe pozwalają również na weryfikację niektórych tez autora „Rzeczywistości i polityki”.

W latach trzydziestych Stronnictwo Narodowe reprezentowało tendencje antydemokratyczne, antyparlamentarne i antyżydowskie. Uważało się za wyraziciela jedynej zdrowej myśli politycznej, odmawiając racji, a często i patriotycznych pobudek zarówno obozowi rządzącemu, jak partnerom z opozycji — od katolickiego Stronnictwa Pracy, poprzez Stronnictwo Ludowe po socjalistyczną PPS. Głoszono, że okres demokracji i parla-

1. J.J. Terej: *Rzeczywistość i polityka*, wyd. I Warszawa 1971, wydanie II, poprawione, Warszawa 1979.

mentaryzmu w Europie kończy się, a zasadnicza walka polityczna rozegra się pomiędzy dwoma wielkimi obozami politycznymi: z jednej strony nacjonalistycznym, z drugiej komunistycznym. Że ugrupowania liberalne, centrowe, socjalistyczne, ludowe i demokratyczne były i są nadal instrumentami polityki masońskiej i żydowskiej, a zagrożeni przez ruchy nacjonalistyczne i faszystowskie liberałowie, socjaliści i demokraci są gotowi złączyć się z komunistami, czego dowodzą przykłady frontów ludowych we Francji i Hiszpanii. Wiceprezes SN Tadeusz Bielecki mówił w 1937 roku na zjeździe działaczy wiejskich Stronnictwa: „Toczy się dziś walka zażarta, często na śmierć i życie, między dwoma obozami, które stanowią dwa odrębne światy, dwie odrębne kultury, dwa odrębne systemy moralne i które się wzajem wyłączają. Walka ta nie ominęła i naszego kraju. Z jednej strony stoi obóz klasowy, komunistyczny, socjalistyczny i masoński, liberalny i żydowski, z drugiej obóz nowoczesnego nacjonalizmu².”

Stefan Sacha — członek ścisłego kierownictwa SN, jeden z najbliższych współpracowników T. Bieleckiego i redaktor naczelny *Warszawskiego Dziennika Narodowego*, pisał w prywatnych listach: „My, narodowcy, musimy całą siłą pary przygotowywać się do walki z tzw. 'frontem ludowym' (tj. żydami, komunistami i socjalistami). To, co się dzieje w Hiszpanii i we Francji musi być alarmującą przestrogą”... (list z 7 maja 1936). „Ja wszędzie mówię otwarcie, że gdyby komuniści wyszli 'na ulicę', to i my na niej musimy się znaleźć, aby bronić kraju od przewrotu bolszewickiego” (list z 27 lutego 1936). „Stronnictwo negatywnie ustosunkowało się do masowych akcji organizowanych przez opozycję centrową. Zorganizowany przez SL w 1937 strajk chłopski wywołał następujące refleksje Stefana Sachy: „Takimi 'strajkami' zaczynają się... rewolucje. Tam, w Małopolsce, w kraju Szeli, rozkołobanie instynktów zdawało się łatwe — a jednak ci, co czerwoną kołyską trzęśli, z której miało wyskoczyć niemowlę rewolucyjne, zawiedli się w swoich rachubach. Bo nawet ta najbiedniejsza i najbardziej przez żydów i socjalistów opanowana Małopolska — nie poddała się 'masażowi rewolucyjnemu'. (...)”

Ale — chociaż nieudany — będzie ten krwawy 'strajk chłopski' brzemienny w następstwa polityczne. Rozjątrzy szczyty

2. Zjazd przedstawicieli pracy narodowej na wsi, Warszawa 1937, s. 6. Szerzej poglądy kierowniczych działaczy SN omawiają J.J. Terej: *Rzeczywistość i polityka, op. cit.*, R. Wapiński: *Narodowa Demokracja 1893-1939*, Warszawa-Wrocław 1980, B. Grott: *Nacjonalizm i religia*, Kraków 1984, S. Kawalec: *Narodowa Demokracja wobec faszyzmu 1922-1939*, Warszawa 1989, także A. Friszke: *O kształt Niepodległej*, Warszawa 1989, s. 279-324.

sanacyjne na siebie, podkopie autorytet przywódców Stronnictwa Ludowego (podkopie też autorytet gen. Sikorskiego) — a równocześnie zwróci uwagę społeczeństwa na elementy komunistyczne i komunizujące oraz na żydostwo. Dzwony, dzwoniące na pogrzebach ofiar strajku, są dzwonami alarmowymi”³... (list z 28 sierpnia 1937).

W konsekwencji polaryzacji społeczeństwa i walki między obozem nacjonalistycznym a tymi wszystkimi, których zaliczano do „frontu ludowego”, miało nastąpić przejęcie władzy przez obóz narodowy. Rządy narodowe miały przystąpić do zniszczenia wpływów „międzynarodówek” w społeczeństwie i ograniczenia praw Żydów, a wyliczenie „wrogich sił” nie pozostawiało wątpliwości, że za uprawnione do dalszego działania uważano tylko środowiska nacjonalistyczne. Państwo narodowe, którego stworzenie było dalekosiężnym celem, miało więc być państwem całkowicie opanowanym przez narodowców⁴.

Kwestie ideowe, a także problemy taktyki politycznej, były przedmiotem kontrowersji wewnętrznych.

Cytowane wypowiedzi oddają przede wszystkim punkt widzenia młodych działaczy SN, którzy szczególnie od 1935 r. posiadali decydującą władzę w Stronnictwie. Nieco odmiennie oceniali rzeczywistość i przyszłość „starzy” działacze uformowani przed 1918 rokiem, dawni przywódcy Związku Ludowo-Narodowego, zwolennicy kompromisów politycznych i zachowania, choćby okrojonego, parlamentaryzmu. Byli oni także przeciwnikami zbyt radykalnego antysemityzmu i stosowania gwałtownych metod w walce politycznej. Przedstawiciel tej tendencji prof. Wacław Komarnicki pisał, że nacjonalizm polski wypływa „z głębi polskiej psychiki narodowej, której obcy jest światopogląd materialistyczny, obcy kult siły fizycznej i gwałtu. Właściwe jest nam poszanowanie osobowości ludzkiej, poczucie godności jednostki ludzkiej. Kultura nasza opiera się o mocne i jednolite zasady katolickie”. To wszystko „wyklucza możliwość ustroju totalnego w Polsce” — twierdził Komarnicki. Totalistycznym zasadom omnipotencji państwowej i dyktatury grupy rządzącej przeciwstawił „zasadę ograniczenia władzy państwowej przez prawo oraz wolność obywateli”⁵. Była to wypowiedź wyraźna w swej ogólnej tendencji, ale nieprecyzyjna w szczegółach. Nie

3. Listy Stefana Sachy do żony, udostępnione mi w 1974 r. przez p. Zofię Sachową. Odpisy w zbiorach autora.

4. J. Giertych: *O wyjście z kryzysu*, Warszawa 1938. A. Doboszyński: *Monoidea*, „Polityka Narodowa” nr 4-6 z kwietnia-maja 1939, por. oprac. cytowane w przypisie 2.

5. W. Komarnicki: *Totalizm a Polska*, „Myśl Narodowa” nr 49 z 28 kwietnia 1937.

wiadomo, jak Komarnicki i podobni mu działacze wyobrażali sobie stosunki polityczno-prawne w przyszłej Polsce. Wypowiedzi ich na ten temat były z reguły enigmatyczne. Było tak zapewne dlatego, że „starzy” nie stanowili nigdy zorganizowanej frakcji. Jedni bardziej, inni mniej akcentowali swe przywiązanie do pluralizmu i demokracji. Część podejmowała polemikę z „młodymi” rzecznikami rozwiązań prototalistycznych (R. Rybar-ski, J. Zamorski, W. Komarnicki), niektórzy wycofali się nawet z pracy w stronnictwie (M. Seyda) ale wielu zaakceptowało, choćby biernie, dokonaną w SN przemianę pokoleniową i polityczną. Względ na zachowanie siły i zwartości stronnictwa, którego osłabienie musiałoby przyczynić się do wzmocnienia wpływów sanacji z jednej, a radykalizmu z drugiej strony, był jednym z istotnych powodów, dla których „starzy” nigdy nie podjęli zorganizowanej akcji, by przeciwstawić się nowym tendencjom. Różnice dały o sobie znać jednak właśnie w czasie wojny i w 1942 r. doprowadziły do podziału SN na emigracji.

Podziału istniały również w pokoleniu młodych działaczy, wśród których można wyróżnić zwolenników Tadeusza Bieleckiego zwanych bielecczykami i jego przeciwników, z których najwybitniejszą postacią był Jędrzej Giertych. Obok animozji personalnych, do głosu dochodziły także pewne różnice polityczne. Bielecczycy byli — jak się zdaje — bardziej pragmatyczni, elastyczni, mniej doktrynerscy. Walcząc z tendencjami „demoliberalnymi” w SN, byli jednak gotowi pozostawić na wysokich stanowiskach w SN tych „starych”, którzy godzili się na przewagę „młodych”⁶. Przywiązywanie mniejszej wagi do kwestii ideologicznych, akcentowanie tego, co powinno łączyć cały obóz narodowy, ułatwiało bielecczykom opanowanie stronnictwa i uznanie ich przewodnictwa przez wielu starszych działaczy. Była to ważna okoliczność, która w latach 1942-1944 umożliwiła Bieleckiemu utrzymanie autorytetu wśród szerokiego aktywu SN w kraju. Przeciwna grupa „młodych” — jak się wydaje — nie przywiązywała większej wagi do pozyskania „starych”, o czym mogą świadczyć choćby wybitnie nieprzychylnie im uwagi w

6. T. Bielecki w swoich wspomnieniach *W szkole Dmowskiego*, Londyn 1968, zauważył, że zazwyczaj prezesami zarządów w SN byli „starzy” a kierownikami wydziałów organizacyjnych „młodzi”. „Powstały stopione w jedno zespoły kierownicze” — pisze Bielecki. W zespołach tych — jak wynika z badań J.J. Tereja i innych historyków — inicjatywa i decyzje należały do „młodych”. Tam, gdzie „starzy” nie chcieli zrezygnować z faktycznego kierowania organizacją, jak w Wielkopolsce, dochodziło do ostrych walk wewnętrznych. Por. K. Pawlak: *Rywalizacja zwolenników liberalizmu i totalizmu w wielkopolskiej organizacji Stronnictwa Narodowego w latach 1934-1939*, „Dzieje Najnowsze” nr 2 z 1978.

pracy J. Giertycha „O wyjście z kryzysu”, a także brak udziału wybitniejszych działaczy starszej generacji w pracach tej grupy przed i podczas wojny⁷.

Przedstawiciele grupy J. Giertycha zajmowali pryncypialne i nieprzejednane stanowisko wobec obozu sanacyjnego. W 1938-1939 roku podejmowali nawet działania wyraźnie sprzeczne z oficjalnymi posunięciami polskiego MSZ. Inaczej bieleckcy. Aczkolwiek trwali nadal w opozycji, to jednak nie odrzucali z góry myśli o jakimś kompromisie z częścią obozu sanacyjnego w przyszłości⁸. Od marca 1936 roku Stefan Sacha utrzymywał kontakt z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. W czasie „sprawy litewskiej” 1938 roku kontakt ten musiał być już dość bliski, skoro Sacha pisał 18 marca 1938: „Jestem od rana do nocy (i w nocy) w ruchu między redakcją, zarządem i ministerstwem spraw zagranicznych, które do nas się zbliżyło⁹”. W okresie kryzysu sudeckiego i zaolziańskiego bieleckcy sprzeciwiali się propozycji frakcji Giertycha by podjąć masową akcję demonstracji w obronie Czechosłowacji i przeciwko polityce zagranicznej Becka¹⁰.

W okresie szybko narastającego napięcia polsko-niemieckiego Kazimierz Kowalski, od 1937 prezes Zarządu Głównego, przeciwnik Bieleckiego i współpracownik Giertycha, zwołał na 30 kwietnia 1939 r. krajową radę działaczy SN. J.J. Terej pisał, że radę zwołano z pominięciem opawanego przez bieleckców wydziału organizacyjnego ZG i wyeliminowano z niej zwolenników Bieleckiego. Kowalski wygłosił — napisane wspólnie z Giertychem i innymi przywódcami grupy — bojowe antynie-

7. Jedynym bodaj wyjątkiem był Ludwik Jaxa-Bykowski, profesor pedagogiki, działacz grupy Giertycha przed wojną i w czasie okupacji.

8. S. Sacha pisał do żony 15 marca 1937: „Panowie z drugiej strony barykady (z obozu piłsudczyków) wysyłają już do nas półurzędowych parlamentarzysty, by nawiązać rozmowy... ale my mieliśmy i mamy cierpliwość”. I dalej: „po drugiej stronie nie ma partnera, cieszącego się powagą wszystkich piłsudczyków — a my tylko z takim partnerem moglibyśmy jakieś rozmowy podjąć...”

9. „Wczoraj telefonowałem po raz pierwszy do Min. Spraw Zagranicznych, a poprzednio miałem stamtąd wizytę urzędnika”; list S. Sachy do żony z 14 marca 1936. W marcu 1938 Sacha pisał: „Nasze stronnictwo wszczęło sprawę litewską właśnie z myślą o Niemcach; we wszystkich naszych poczynaniach litewskich tkwi 90 procent myśli o Niemcach. My powinniśmy znaleźć się na Litwie, ażeby Niemcom zagrozić drogę na wschód wzdłuż morza Bałtyckiego (od Prus Wschodnich na wschód)”. List S. Sachy do żony z 18 marca 1938 (podkreślone w oryginale). Por. J. Giertych: *Stronnictwo Narodowe a kryzys dziejowy 1938 roku. Relacja pamiętnikarska*, Londyn 1987, s. 58-64.

10. Por. J.J. Terej: *Rzeczywistość*, op. cit., J. Giertych: *Stronnictwo*, op. cit., s. 77-97.

mieckie przemówienie, zapowiadając, że „Polska może się upomnieć o swą granicę militarną na dawnej rubieży historycznej na linii Sudetów i Dolnej Odry”. Miało to miejsce w dwa dni po wypowiedzeniu przez Hitlera paktu o nieagresji i ujawnieniu niemieckich żądań wobec Polski, a jeszcze przed udzieleniem odpowiedzi przez Becka (co nastąpiło 5 maja). Tym samym grupa Kowalskiego-Giertycha zmanifestowała gotowość do stawiania rządu przed faktami dokonanymi, nawet w tak dramatycznej sytuacji i w tak delikatnej sprawie. Oświadczenie prezesa w tej zasadniczej i angażującej stronnictwo kwestii nie było ponadto uzgodnione ze statutowymi i kompetentnymi władzami SN. Można więc — za J.J. Terejem — mówić o ostrej walce frakcyjnej w SN. Skutkiem tej walki było zmuszenie Kowalskiego do zrzeczenia się prezesury i wybór na to stanowisko 24 czerwca 1939 r. Tadeusza Bieleckiego¹¹.

Postawy zarysowane w poczynaniach obu grup zachowały aktualność również po 1939 roku. T. Bielecki będzie utrzymywał pewne kontakty z działaczami sanacyjnymi i będzie próbował uzgadniać z nimi stanowisko w sprawach zagranicznych. Będzie także skłonny do jakiegoś, choćby ograniczonego i przejściowego kompromisu z innymi siłami politycznymi. Frakcja Giertycha-Kowalskiego podąży drogą wyłączości, opozycji wobec wszelkich sanacyjnych i „demoliberalnych” sił politycznych, widząc możliwość kompromisu jedynie ze środowiskiem ONR-ABC.



Rada Naczelna SN zebrana 25 czerwca 1939 zatwierdziła wybór Tadeusza Bieleckiego na prezesa Zarządu Głównego. Podjęła także uchwałę, w której przedstawiono stanowisko stronnictwa wobec zbliżającej się wojny. Pisano, że zawiodła polityka oparta na zaufaniu do pokojowych dążeń Niemiec. Polityka ta ułatwiła Niemcom zniszczenie niezależności Czech i Słowacji oraz „dokonanie w Europie Środkowej i Wschodniej zmian terytorialnych sprzecznych z naszymi interesami politycznymi i stwarzających niekorzystne dla nas położenie wojskowe”. Dalsze żądania niemieckie — przyłączenie Gdańska do Rzeszy i ograniczenie polskiej suwerenności na Pomorzu — dowodziły dążenia Niemiec do politycznego i gospodarczego opanowania Polski oraz Europy wschodniej. Zostały też przez Polskę odrzucone jako zamach na byt państwa polskiego. „Tysiącletnie doświadczenie uczy — czytamy w uchwale — że państwo polskie musi być oparte o Bałtyk i nie może ono dopuścić do pozbawienia

11. J.J. Terej: *op. cit.*, s. 102 i nast., por. J. Giertych, *op. cit.*, s. 121-127.

bytu niezależnego państwa Europy środkowej i wschodniej oraz zgodzić się na czyjakolwiek hegemonię w Europie. Te względy nakazują Polsce współdziałanie z państwami, które w chwili obecnej zajmują stanowisko zgodne z interesami Polski, przede wszystkim zaś z Francją i Wielką Brytanią". Zastrzeżenia ideowe, jakie miało SN zwłaszcza wobec lewicowej Francji, ustąpiły wobec racji geopolitycznych. „W razie wojny wynik jej musi zapewnić Polsce przywrócenie ziem odwiecznie polskich, szersze oparcie o morze, zapewnienie panowania nad całym Górnym Śląskiem i Prusami Wschodnimi oraz takie ukształtowanie stosunków w Europie środkowej i wschodniej, które by trwale zabezpieczyło byt państwa polskiego i niezależność narodów zagrożonych przez dążenia zaborcze Niemiec". Wysłunięto zatem program zmian granicznych, nawiązując do „linii Dmowskiego" z lat 1917-1919. Zdystansowano się tym samym od dalej idących żądań, wypowiedzianych przez K. Kowalskiego 20 kwietnia 1939 r. Wysłunięto jednak — tymczasem mglisty — program zorganizowania krajów Europy środkowo-wschodniej.

Drugą część uchwały poświęcono sprawom wewnętrznym. Zadaniem państwa powinno być wzmocnienie sił i zasobów koniecznych dla przeciwstawienia się Niemcom i urzeczywistnienia „zadań dziejowych" narodu. Obok wysokiej sprawności otaczanej powszechną miłością armii, środków materialnych i materialnej gotowości narodu do walki, musi istnieć taki układ stosunków politycznych, aby państwo mogło wydobyć z siebie jak najwięcej sił. Położenie kraju „nakazuje dokonanie zmian, które by wyzwoliły tłumioną dotychczas energię twórczą narodu i pozwoliły mu wziąć całkowitą odpowiedzialność za losy państwa". Wszelkie zadania dziejowe może wypełnić „tylko naród zwarty i zjednoczony". Zjednoczenie „nie może być pojmowane jako zlepek grup społecznych czy politycznych bez różnicy narodowości, poglądów i programów. Konsolidacja narodu to skupienie wszystkich jego sił czynnych na podstawie jedności zasad życia narodowego i dążeń politycznych w obliczu wojny". Jednym z warunków takiej konsolidacji miała być wytężona walka z zainteresowanymi w rozbijaniu narodu „żydostwem i wpływami międzynarodowymi". Słowa te wskazywały, że choć nie wysłunięto wprost hasła Polski narodowej i rządów narodowych, to konsolidację rozumiano nie jako konsolidację różnych stronnictw i sił, ale poddanie życia narodu i państwa kierownictwu obozu narodowego i narzucenie jego wyobrażenia racji stanu i dobra państwa. Konsolidacja miała się odbywać przez walkę i eliminowanie wpływów tych sił, które enigmatycznie (ale dla ówczesnego narodowca w sposób zrozumiały) klasyfikowano jako „żydostwo i wpływy międzynarodowe". Rada Naczelna zwraca-

jąc się do członków SN apelowała, by byli „wzorem żołnierzy i obywateli” oraz pamiętali, „że Polska z wojny wyjść musi jako silne państwo narodowe¹²”.

Tadeusz Bielecki został zmobilizowany do wojska 20 sierpnia 1939 r. Na czas nieobecności przekazał swoje obowiązki Mieczysławowi Trajdowski, który będzie następnie kierował działalnością konspiracyjnego SN pod okupacją. Na początku października 1939 Bielecki jako żołnierz znalazł się na Węgrzech. Szybko jednak opuścił obóz internowanych, podjął próbę zorganizowania ośrodka SN na Węgrzech i stworzył „placówkę SN”, która miała utrzymywać systematyczną łączność z krajem, organizować przerzut działaczy SN do Francji oraz kierować działalnością stronnictwa na Węgrzech. Na czele placówki Bielecki postawił Kazimierza Tychotę, działacza ze Lwowa. Jego zastępcą został Stanisław Bardzik. Zorganizowanie łączności z krajem i lokalnych władz SN na Węgrzech Bielecki uważał za ważniejsze, niż natychmiastowy wyjazd do Francji na wezwanie rządu gen. Sikorskiego. J.J. Terej pisze, że Bielecki — zdając sobie sprawę ze składu politycznego rządu w Paryżu, a nie widząc możliwości sięgnięcia po władzę — chciał przez opóźnienie przyjazdu dać do zrozumienia swoją dezaprobatę¹³. Nie można jednak wykluczyć, że Bieleckiego na Węgrzech zatrzymały istotne obowiązki — zorganizowanie łączności z Polską i uporządkowanie sytuacji wśród przebywających tu narodowców. Sprawy łączności były dla Bieleckiego szczególnie ważne, jak ważne — miała pokazać przyszłość. Z wyjazdem do Francji nie musiał się spieszyć. Nie oferowano mu ważnych stanowisk ani rozległych kompetencji, nie mógł się też łudzić, że zdoła wywrzeć poważniejszy wpływ na Sikorskiego.

W końcu listopada 1939 Bielecki przybył do Francji, gdzie — jak pisze J.J. Terej — „zastał ukształtowaną już rzeczywistość polityczną”. Od 16 października w rządzie zasiadał Marian Seyda, polityk o bogatej przeszłości, przywódca wielkopolskiej endecji przed I wojną światową, członek Komitetu Narodowego Polskiego, jeden z przywódców ZLN i SN, wieloletni poseł i senator, ale też jeden ze „starych”, najbardziej krytycznych wobec totalistycznych dążeń „młodych”. W ostatnich latach

12. „Myśl narodowa” nr 29 z 9 lipca 1939, cyt. za: *W obliczu wojny*, Kraków 1984, s. 274-276. Uchwałę skrótkowo omawia J.J. Terej, *op. cit.*, s. 105-106.

13. J.J. Terej, *op. cit.*, s. 113-114, 185-186.

przed wojną Seyda wręcz wycofał się z naczelnych władz SN i skupił na redagowaniu *Kuriera Polskiego*. Dla Sikorskiego i bliskich mu polityków był partnerem wygodnym, jako działacz znany w Polsce, mogący legitymować się aktywnością na Zachodzie w latach 1915—1919, a przy tym zwolennik koalicyjności i parlamentaryzmu. Sekretarz Seydy, Antoni Dargas, wspomina, że był on człowiekiem o młodzieńczej ideowości, pragnął wyłącznie służyć ojczyźnie, a swoją rolę służebną widział przede wszystkim w przygotowywaniu materiałów na przyszłą konferencję pokojową. Jesienią 1939 r. Marian Seyda stanął na czele rządowego Biura Informacji i Dokumentacji, które zbierało wiadomości o wydarzeniach w kraju i próbowało oddziaływać na prasę zagraniczną, a także przystąpiło do gromadzenia materiałów dla potrzeb przyszłej delegacji na konferencję pokojową¹⁴.

Jakkolwiek krytycznie nastawiony do rządu, Bielecki zaakceptował tymczasem istniejący stan rzeczy. Zgodził się wejść do Rady Narodowej (21 grudnia 1939), dał się wybrać na jej wiceprzewodniczącego (23 stycznia 1940), a co najważniejsze, wszedł w skład rządowego Komitetu dla Spraw Kraju (w styczniu 1940). Tym samym Bielecki zdecydował o udziale oficjalnego SN w rządzie, Radzie Narodowej i w ogóle władzach polskich na obczyźnie. (Obok Bieleckiego SN w Radzie Narodowej reprezento-

14. Relacja ustna Antoniego Dargasa udzielona mi we wrześniu 1985. W końcu 1939 r. w Biurze pracowali Stefan Wyrzykowski (znany wtedy pod nazwiskiem Jerzy Korbowski) jako zastępca Seydy, Stanisław Baliński jako sekretarz Biura, Marian Chelmski jako specjalista w sprawach gospodarczych, Marceli Karczewski zajmujący się powielaniem i dystrybucją materiałów oraz Antoni Dargas, osobisty sekretarz Seydy. W lutym-marcu 1940 wyłoniono biuro ekonomiczne kierowane przez Jerzego Zdziechowskiego, biuro prawne z Kajetanem Morawskim oraz biuro polityczne z Bogumiłem Longchamps de Berrier. Relacja ustna A. Dargasa. Po ewakuacji do Londynu dokonano reorganizacji. Na czele Biura Studiów, Politycznych i Ekonomicznych (nowa nazwa instytucji) stał Marian Seyda, od lipca 1940 minister sprawiedliwości. Utworzono trzy działy: polityczny, kierowany przez S. Wyrzykowskiego, prawny z Bohdanem Winiarskim na czele oraz ekonomiczny, który objął Tadeusz Mincer. Wkrótce powstał jeszcze dział rewindykacji kulturalnych z Karolem Estreicherem jako kierownikiem. Wacław Leitgeber, zaprzyjaźniony z Seydą, wspominał: „I tak np. w dziale politycznym usasadnia się nasze różne granice (statystyki, historia stosunków itp.), omawia problemy mniejszościowe, nasze prawa do Bałtyku. Dział prawny zajmuje się takimi kwestiami, jak odpowiedzialność za wybuch wojny, gwałcenie przez Niemców postanowień prawa międzynarodowego. Dział ekonomiczny przygotowuje zagadnienia odszkodowań, szkód wojennych, przyszłych potrzeb państwa polskiego”. Ze spraw aktualnych Biuro uczestniczyło w przygotowaniu deklaracji polsko-czechosłowackiej z 11 listopada 1940 r. W. Leitgeber: *W kwaterze prasowej. Dziennik z lat wojny 1939-1945*, Londyn 1972, s. 105-106; relacja A. Dargasa.

wała Zofia Zaleska, a następnie również Władysław Folkierski). Oznaczało to uznanie, zasady partnerstwa i koalicyjności z innymi siłami politycznymi, przed czym SN dotychczas się wzbraniało. Jednocześnie jednak — jak podkreślał później Seyda — Bielecki zaznaczał, że Seyda zasiada w rządzie nie jako przedstawiciel SN, a tylko jako jego członek. To rozróżnienie pozwalało nie brać odpowiedzialności za poczynania Seydy i rządu jako całości, a także gen. Sikorskiego, który od dawna miał w SN opinię masona. Formuła taka pozwalała pozostawać w rządzie, a jednocześnie nie angażować się, gdy było to stronnictwu nie na rękę¹⁵. Wydaje się jednak, że stanowisko Bieleckiego było w tym czasie bardziej kompromisowe, niż wynika to z późniejszych, pisanych w okresie ostrego konfliktu wewnętrznego, sprawozdań Seydy, Komarnickiego, Celichowskiego i innych. W dyskusji nad *exposé* premiera Sikorskiego w Radzie Narodowej 8 marca 1940 r. Bielecki mówił, że obóz narodowy popiera rząd Sikorskiego. „Zgodnie z Premierem Obóz Narodowy nie uważa, ażeby na sądy był obecnie czas” — mówił, mając zapewne na myśli próby rozliczania przywódców sanacyjnych. „Twórzmy nową Polskę z podziałem na wielkie ruchy polityczne” — wzywał prezes SN. Nie wypowiadał się o sprawach mniejszości, nie wspominał Żydów ani Ukraińców, zaznaczając jedynie, że państwo jest emanacją narodu i na narodzie powinno się opierać. Podzielał również zasadę sojuszu z Francją i Wielką Brytanią, zalecając jednak, aby szukać zbliżenia z Włochami. „Nie wierzymy bowiem, aby nie można dla nas pozyskać narodu włoskiego, z którym nas łączą tysiącletnie więzy kultury¹⁶”.

Bielecki powołał w owym czasie trójkę kierowniczą SN, do której wszedł on sam jako prezes Zarządu Głównego, Władysław Folkierski — prezes Rady Naczelnej SN oraz Marian Seyda. Funkcje szerszego kierownictwa miał pełnić Komitet Polityczny SN, w skład którego wchodziłi przebywający na zachodzie członkowie Komitetu Głównego SN. W okresie francuskim Komitet oprócz „trójki” tworzyli bielecczycy Aleksander Demi-

15. List M. Seydy do Prezydenta z 12 marca 1943 (kopia listu Seydy, Komarnickiego, Celichowskiego z Z.Gł. SN-Kwadrat z 5 lutego 1943), instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego w Londynie (dalej IHS), SN A. 48.7/ B. por. J. J. Terej, *op. cit.*, s. 187-189. W. Wasiutyński wspomina, że A. Doboszyński uważał, iż Bielecki i jego otoczenie „poddali się masońskiemu kierownictwu Sikorskiego. Był zwolennikiem zorganizowania prawicowej opozycji przeciw temu rządowi”. W. Wasiutyński: *Czwarte pokolenie*, Londyn 1982, s. 70.

16. *Komunikat o IV posiedzeniu Rady Narodowej, Angers 8 marca 1940*, IHS, PRM 15/22.

dowicz-Demidecki, Edward Sojka, Edward Kołodziej, Marian Rojek oraz „starzy” Czesław Meissner i Bohdan Winiarski¹⁷.

W tym okresie szczególną wagę kierownictwo SN przywiązywało do zorganizowania sprawnej sieci łączności z okupowanym krajem. Podczas posiedzeń KSK w lutym 1940 r. Bielecki wysuwał propozycję, by przywódcy stronnictw otrzymali wpływ na łączność z krajem, prace krajowe i kontrolę nad nimi. Na posiedzeniu 28 lutego proponował wyłonienie przez KSK trzyosobowej komisji kierowanej przez min. Kota, która otrzymałaby kompetencje decydowania, a co najmniej doradzania, we wszystkich zagadnieniach dotyczących łączności z krajem. Propozycje Bieleckiego były przeciwstawne projektom Kota, który dążył do tego, by rządowy aparat w kraju i łączności z nim uzależnić wyłącznie od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych¹⁸.

Na początku kwietnia 1940 KSK zatwierdził obsadę personalną placówek w Budapeszcie, Bukareszcie i Rzymie. Kluczową w kontaktach z krajem była placówka budapesztańska. Jej kierownictwo objął w końcu maja 1940 Edmund Fietz-Fietowicz, działacz SL z Wielkopolski, który w styczniu 1940 r. wydostał się z kraju. Zastępcami Fietowicza zostali Stanisław Bardzik z SN oraz Stanisław Opoka-Loewenstein z PPS. Dotychczas reprezentowali oni własne, partyjne komórki łączności z krajem. Obecnie Fietowicz zażądał zlikwidowania tych odrębnych siatek łączności i „przekazania mnie wszystkich chodów i agend”... Fietowicz zastrzegł, że placówka jest kierowana jednoosobowo, zastępcy podlegają mu służbowo i pełnią wyznaczone im zadania¹⁹. W praktyce jednak zastępcy zostali odsunięci od decyzji i

17. List M. Seydy *op. cit.*; relacja A. Dargasa, por. J.J. Terej, *op. cit.*, s. 188.

18. *Protokół z posiedzenia Komitetu Spraw Krajowych (KSK) 28 lutego 1940*, Studium Polski Podziemnej w Londynie (dalej SPP), KSK 1.3; E. Duraczyński: *Kontrowersje i konflikty*, Warszawa 1977, s. 90-91.

19. Archiwum Zakładu Historii Ruchu Ludowego (dalej AZHRL), Archiwum St. Kota, t. 279. W piśmie nominacyjnym z 8 maja 1940 Kot pisał: „Do głównych zadań placówki należeć będzie:

a) zbieranie informacji o Kraju o stosunkach politycznych, kulturalnych, gospodarczych i przekazywanie ich Rządowi,

b) przysyłanie wiadomości i materiałów od Rządu do Kraju,

c) zabiegi o wydobywanie osób cywilnych, których wyjazd powinien być ułatwiony przez Organy Rządowe, w myśl wskazówek Rządu,

d) skierowanie do Francji osób, których przyjazd szybki jest pożądany dla sprawy łączności”. Minister Kot polecał uzgodnić działalność z poselstwem polskim (pracującym do 31 grudnia 1940), *attaché* wojskowym i bazą wojskowej łączności z krajem (AZHRL. Arch. S. Kota, t. 279); por. także sprawozdanie Fietowicza z 10 czerwca 1940, Archiwum Adama i Lidii Ciołkoszów w Londynie (dalej AALC), Działalność 1941, teka 10. W. Felczak (*Powrót i legenda*, „Więź” nr 9 z 1966) wymienia wśród zastępców

odpowiedzialności, przygotowując się do objęcia funkcji w razie odejścia kierownika. Już latem 1940 r. Fietowicz okazał się nie „technicznym” pracownikiem aparatu MSW, ale politykiem realizującym własną koncepcję, preferującym niektóre środowiska, zwalczającym inne. Chociaż — jak się zdaje — kierował się instrukcjami otrzymywanymi od Kota, to jednocześnie wywierał poważny wpływ na kształt tych instrukcji; podsycił objawy niechęci do ŻWZ, do stronnictw w Warszawie, do Zbiorowej Delegatury itd.; z własnej inicjatywy lub za inspiracją Kota wspierał organizacje polityczne i wojskowe opozycyjne wobec ŻWZ i współdziałające z CKON²⁰. Z punktu widzenia SN powierzenie placówki budapesztańskiej Fietowiczowi i realizowana przez niego polityka oznaczały utrudnienie w nieskrępowanej łączności z krajem.

Kierownikiem bazy łączności w Bukareszcie został Władysław Kański. Placówka ta, utworzona także w maju 1940, utrzymywała kontakt ze Lwowem, a nawet szerzej — konspiracją na terytoriach przyłączonych po wrześniu 1939 r. do ZSSR. Kański był działaczem Stronnictwa Narodowego i przyjacielem Bieleckiego ze studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zastępcami Kańskiego zostali mianowani Paweł Zaleski z SL oraz Stanisław Olszewski, wiceprezes Stronnictwa Demokratycznego, reprezentujący podówczas PPS. Kański odsuwał jednak swych zastępców od wpływów, być może idąc śladem Fietowicza. Jego bliskimi współpracownikami byli natomiast narodowcy — Józef Kisielewski, autor słynnej książki „Ziemia gromadzi prochy”, który w 1940 wydawał równocześnie w Czerniowcach tygodnik o orientacji endeckiej *Nowa Polska* oraz Adam Macieliński, działacz SN ze Lwowa. Latem 1940 w kierownictwie bazy bukaresztańskiej doszło do ostrego konfliktu. Olszewski przesłał do Angers depeszę z ostrą krytyką Kańskiego, a 28 sierpnia samowolnie opuścił Bukareszt²¹. Placówka funkcjonowała jednak nadal, choć

Fietowicza także płk. Słysia z SP, a jako pracowników Pawła Zaleskiego i siebie, jako wysłanych w 1940 przez Ryszarda Świętochowskiego. *Ibidem*. W tym czasie działacz SL Paweł Zaleski pracował jednak w placówce bukaresztańskiej. Być może po 1940 został przeniesiony do Budapesztu.

20. Historia działalności placówki rządowej w Budapeszcie nie została dotychczas źródłowo opracowana. Na podstawie dostępnych przekazów i znanych autorowi źródeł można stwierdzić, że Fietowicz nie był bezstronnym obserwatorem wydarzeń w kraju.

21. Oświadczenie S. Olszewskiego, IHS, PRM 44/5/5; pismo Fietowicza nie datowane, AZHRL t. 279, k. 50; List J. Kisielewskiego do M. Seydy z 9 lutego 1941, IHS, Ministerstwo Prac Kongresowych (MPK), A. 27. 1/7. O placówce w Bukareszcie por. S. Rostworowski *Łuna od Warszawy*, Warszawa 1989, s. 165-241.

część jej funkcji przejmowała stopniowo baza w Stambule, kierowana przez wybitnego przed wojną działacza ONR-ABC Jerzego Kurcyusza, który po przybyciu na Zachód na początku 1940 r. odseparował się od swego środowiska ideowego i był lojalnym urzędnikiem ministra Kota. Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Rumunią (4 listopada 1940) z Bukaresztu ewakuowano również Kańskiego i wydelegowano do organizowania placówki rządowej w odległej od Polski Jerozolimie. W styczniu 1941 placówkę bukaresztańską rozwiązano, przekazując jej kompetencje placówce zorganizowanej przez Kurcyusza. W Rumunii dalsze prace miał nadal prowadzić podległy mu od tej pory Paweł Zaleski²².

Z punktu widzenia interesów SN objęcie bazy bukaresztańskiej było faktem korzystnym, choć nie rekompensowało słabszych wpływów w ważniejszym ośrodku budapesztańskim. (Z Bukaresztu droga prowadziła do Lwowa, z Budapesztu do Krakowa i Warszawy). Wraz z odwołaniem Kańskiego endecy zostali praktycznie wyeliminowani z placówek rządowych kierujących łącznością z okupowaną Polską. Pozostały im tylko nieformalne nici łączności zorganizowane jesienią 1939 przez Bieleckiego.



Po klęsce Francji i ewakuowaniu się władz polskich do Wielkiej Brytanii, Tadeusz Bielecki pozostał na szereg miesięcy we Francji. Pozostanie we Francji tłumaczono niekiedy rzekomą gotowością Bieleckiego do zrewidowania dotychczasowej polityki i poszukiwaniem możliwości oparcia się o profaszystowskie państwa romańskie. Jego cytowana wypowiedź na posiedzeniu Rady Narodowej, zapewne jedna z wielu, zdawała się takie oceny potwierdzać. Ale już w ostatnich dniach pozostawania rządu we Francji krążyły plotki, jakoby Bielecki opowiadał się za kompromisem z Niemcami. W rozmowie z Sikorskim, jeszcze na terytorium Francji, Bielecki kategorycznie odrzucił te zarzuty i nazwał je kłamstwem²³. Wydaje się, że pogłoski te rzeczywiście nie miały podstaw. Nic nie wskazuje na to, by narodowcy choćby tylko rozważali możliwość kompromisu z Niemcami. Radykalnie antyniemiecka tradycja ruchu, przez cały czas mocno akcentowana, czyniła taki kompromis zupełnie nieprawdopodobnym.

22. IHS, MPK, A.27. 1/7; depesza S. Kota do W. Kańskiego z 5 stycznia 1941, IHS, MSW, Turcja. A. 9.VI. 22/7/1.

23. T. Katelbach: *Akt pierwszy dramatu*, „Zeszyty Historyczne” nr. 8 z 1965, s. 32-33; por. J.J. Terej, *op. cit.*, s. 191-192.

Równocześnie jednak narodowcy wskazywali na potrzebę związku Polski z państwami romańskimi — Francją, Włochami, Portugalią, Hiszpanią. Siły polityczne, które objęły rządy we Francji nieokupowanej (Vichy) były im raczej sympatyczne. W prasie podziemnego SN, a także w londyńskiej prasie SN, można było długo jeszcze odnajdywać ciepłe wypowiedzi o Pétainie i reżimie Vichy, o odbywającym się pod tymi rządami odrodzeniu wartości narodowych i religijnych. Upadek Francji był niewątpliwie najcięższym psychologicznym momentem dla Polaków i chyba w ogóle dla koalicji antyniemieckiej. Hitler dominował na kontynencie. Być może Bielecki liczył, że sytuacja ta spowoduje zmianę stosunku państw romańskich (Włoch, Hiszpanii, Vichy, Portugalii) wobec Trzeciej Rzeszy. Jest to jednak tylko luźne przypuszczenie, gdyż bez nowych źródeł nie da się powiedzieć nic konkretnego na ten temat²⁴.

Pod osobistym kierownictwem Bieleckiego przystąpiono do zorganizowania SN na terytorium nieokupowanej Francji. W końcu sierpnia 1940 w Nicei odbył się konspiracyjny zjazd SN, na którym wyłoniono ośrodek kierowniczy na czele z Józefem Baranieckim jako prezesem, Wojciechem Wasiutyńskim, jego zastępcą i Stanisławem Łuckim — sekretarzem. Wkrótce do kierownictwa SN we Francji dokooptowano Aleksandra Demidowicz-Demideckiego, jednego z najbliższych współpracowników Bieleckiego²⁵. Od końca 1940 wydawano podziemny organ prasowy *Biuletyn Narodowy* pod redakcją Wasiutyńskiego. Józef Baraniecki wspomina, że organizacja SN we Francji skupiła kilkuset

24. Władysław Folkierski w rozmowie z prezydentem Raczkiewiczem 3 lipca 1940 kategorycznie zaprzeczył, jakoby Bielecki przejawiał „tendencje uchylecia się od współpracy z rządem J(edności) N(arodowej), trwającym przy zasadzie walki z Niemcami...” Folkierski zapewnił, że Stronnictwo Narodowe „nie zejdzie z drogi walki z najeźdźcami i oświadczył, że zgodnie ze swym porozumieniem z prezesem Bieleckim przy wyjeździe z Francji, przybył przy pierwszej możliwości do Anglii, by współpraca Stronnictwa Narodowego z rządem J.N. nie uległa przerwie, prezes Bielecki zaś pozostał na krótki czas dla opieki nad szeregiem osób, które były powierzone jego pieczy i po załatwieniu tej sprawy miał niezwłocznie przedostać się do Anglii”. Fragment dziennika Wł. Raczkiewicza (w:) Z. Tkocz: *Kryzys Rządu Polskiego w Londynie, lipiec 1940*, „Niepodległość” nr XVII, Nowy Jork — Londyn 1984, s. 75.

25. J.J. Terej, *op. cit.*, s. 192; relacja ustna J. Baranieckiego, udzielona autorowi w Londynie we wrześniu 1985. We *Fragmentach wspomnień* („Myśl Polska” nr 3/6 z 1 lutego — 15 marca 1987) Józef Baraniecki podaje, że zjazd odbył się w styczniu 1941, krótko przed wyjazdem Bieleckiego z Francji. W 1943 po zajęciu Vichy przez wojska niemieckie Baraniecki ewakuował się do Szwajcarii, Wasiutyński do Anglii, a *Biuletyn Narodowy* przestał się ukazywać.

członków, głównie w Tuluzie, Nicei, Marsylii, Montpellier, Lyonie²⁶. Narodowcy wzięli udział w pracach Komitetu Społecznego powołanego przez rząd Sikorskiego dla opieki nad Polakami oraz dla kontaktów z władzami Vichy.

Podjęto również próbę znalezienia drogi łączności z konspiracją krajową. Pod tym względem sytuacja wydawała się dramatyczna. Po klęsce Francji, zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Włochami, Węgrami i Rumunią, droga „południowa” była zagrożona, a przy tym niezwykle długa. Szukano więc dróg łatwiejszych, szybszych, biorąc pod uwagę możliwość wykorzystania przedstawicieli państw neutralnych. W staraniach tych narodowcy korzystali z pomocy m.in. Jerzego Zdziechowskiego, Kajetana Morawskiego, ks. Jana Druckiego-Lubeckiego. Dotarto do nuncjusza papieskiego we Francji. Szukano kontaktów poprzez dyplomatów państw neutralnych w Szwajcarii. Ostatecznie na przełomie 1941 i 1942 r. wysłano do kraju kurierów Nawrota i Juliusza Nowakowskiego z instrukcjami od Bieleckiego. Nawrot zginął po drodze, Nowakowski dotarł do Polski. Jak twierdził w rozmowie z autorem J. Baraniecki, droga łączności przez Francję, a następnie Szwajcarię była wykorzystywana także później, a korzystał z niej również Wacław Felczak „Celt”²⁷.

Próba montowania łączności poprzez Francję odbywała się, przynajmniej początkowo, za wiedzą i zgodą gen. Sosnkowskiego. W polskich archiwach w Londynie zachowało się pismo prezesa SP Karola Popiela do gen. Sosnkowskiego z 28 sierpnia 1940 r. Popiel pisał: „W odpowiedzi na zapytanie w sprawie ewent. odpowiedzi na propozycję p. Bieleckiego co do poruczenia mu zadań, związanych z krajem, uprzejmie donoszę, że nie orientuję się dostatecznie, jakie czynności mógłby spełniać p. prezes Bielecki przy obecnych trudnościach komunikacyjnych między nieokupowaną Francją a Polską.

Nie orientuję się też jakiego rodzaju 'polecenia i zadania' dotyczące kraju otrzymał p. Dem(idowicz) Dem(idecki). O ile 'polecenia i zadania' przekraczałyby zakres spraw ściśle technicznych, musiałbym założyć protest przeciwko wysyłaniu emisariusza, który przed wyjazdem nie porozumiał się z przedstawicielami wszystkich reprezentowanych w KSK stronnictw”. Popiel oceniał, że najbardziej miarodajną osobą w sprawie ewentualnego użycia T. Bieleckiego byłby S. Kot jako minister „któremu zostały powierzone sprawy ogólnej i politycznej łączności z kra-

26. Relacja ustna J. Baranieckiego; J. Baraniecki *Fragmenty wspomnień*, op. cit..

27. Relacja ustna J. Baranieckiego.

jem²⁸". Najwyraźniej więc szukając dróg łączności z krajem, Bielecki informował o tym Sosnkowskiego i otrzymywał oden wskazówki. Najwyraźniej też inicjatywa ta nie mogła mieć charakteru jednopartyjnego ani nie była zwrócona przeciw urzędującemu rządowi, skoro Sosnkowski poinformował o sprawie bliskiego Sikorskiemu Popiela. Sosnkowski i Bielecki zamierzali jednak najwyraźniej przeprowadzić całą sprawę z pominięciem ministra Kota, do którego ustosunkowywali się niechętnie i którego uznawali za skłonnego do politycznego kontrolowania dróg łączności z Polską.

Po ewakuacji do Wielkiej Brytanii na czele SN (pod nieobecność Bieleckiego) stanęli Marian Seyda i Władysław Folkierski. Folkierski był najwyższym w tym czasie zwierzchnikiem organizacji, reprezentował SN w Radzie Narodowej i Komitecie Spraw Krajowych. Seyda — jak i poprzednio — zasiadał w rządzie jako przedstawiciel SN. Wedle późniejszych oświadczeń Seydy, stosunki między obu politykami układały się harmonijnie²⁹.

Niemal natychmiast po przybyciu władz polskich z Francji do Anglii wybuchł kryzys rządowy. Konflikty personalne i ataki na Sikorskiego dotyczyły w tym czasie przede wszystkim sposobu dowodzenia podczas kampanii francuskiej oraz przeprowadzenia ewakuacji wojska i władz cywilnych. Jednym z powodów konfliktu było także memorandum złożone 19 czerwca w brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a następnie wycofane. W memorandum rozważano możliwość nawiązania kontaktu dyplomatycznego z ZSSR, a także wysunięto sugestię zorganizowania w ZSSR 300-tysięcznej armii polskiej. Była to osobista inicjatywa Sikorskiego, nie skonsultowana z rządem ani prezydentem. Sprawa memorandum pozostała tajemnicą niewielkiego grona i nie była wtedy „wygrywana” w toczącym się konflikcie. Była jednak w nim obecna, gdyż prezydent i kilku ministrów wiedziało o tej inicjatywie, dowodzącej gotowości Sikorskiego do zrewidowania dotychczasowego stosunku do Związku Sowieckiego.

Przywódcy SN zachowali w czasie tego kryzysu wstrzeźliwość. Co prawda Seyda oświadczył 17 lipca prezydentowi, że SN i on osobiście „nie mogą tolerować występującej w tak jaskrawych formach dominującej roli prof. Kota w rządzie” oraz dołożą starań, by autorytet prezydenta nie był narażony na szwank. Nazajutrz, tuż przed podpisaniem przez Raczkiewicza

28. List K. Popiela do gen. K. Sosnkowskiego z 28 sierpnia 1940, IHS, kolekcja S. Kota 25/10a.

29. List M. Seydy z 12.III.1943, *op. cit.*

dymisji dla Sikorskiego, Seyda poinformował prezydenta, że SN w porozumieniu z PPS (*sic!*) złożyło *démarche* u premiera, wysuwając potrzebę dbałości o autorytet prezydenta oraz „konieczności reorganizacji rządu z określeniem wyraźnym kompetencji poszczególnych ministrów, usunięciem nadrzędności jednych nad drugimi i skasowaniem urzędu ministra prezydialnego”. Dnia 19 lipca Seyda wraz z gen. Sosnkowskim angażował się na rzecz zlikwidowania kryzysu³⁰. Przywódcy SN występowali więc w obronie prezydenta Raczkiewicza, którego Sikorski w tym czasie próbował ignorować, a nawet manifestował niechęć wobec niego. Atakowali również ministra Kota, który skupił w swych rękach rozległe kompetencje dotyczące zwłaszcza kontaktów z krajem i polityki personalnej, a w czerwcu i lipcu 1940 występował z ostrymi atakami na niektórych ministrów, zarzucając im niewłaściwe zachowanie podczas ewakuacji z Francji. Jednocześnie jednak działacze SN nie poparli próby zmiany osoby premiera.

Pogląd Stronnictwa Narodowego na sprawę memorandum (bez omówienia tego wprost), na stosunek do państw romańskich pozostających w orbicie Osi, a także na zasady organizacji rządu, przedstawił Władysław Folkierski w Radzie Narodowej 19 i 29 lipca 1940 r. W pierwszym przemówieniu Folkierski oświadczył: „Gdyby Rosja się kiedyś przeciwko Niemcom skierowała, siłą faktu znaleźlibyśmy się z nią po jednej stronie. Ale jakkolwiek współpracę z Rosją bolszewicką przeciw Niemcom musielibyśmy obwarować bardzo ważnymi zastrzeżeniami dotyczącymi nie tylko granic naszych i nieuszczerplonych ziem wschodnich, ale i naszego życia religijnego i narodowego, które by mogło być poważnie na niebezpieczeństwo komunizmu narażone. (...) Przypomnieć tu zresztą należy, że mamy ze swej strony do zaofirowania Rosji inną, bardzo poważną pozycję: naszą decyzję nie mieszania się w sprawy Rosji, nie rozbijania jej np. tworzeniem sztucznym Wielkiej Ukrainy”. W słowach tych była zawarta pośrednia dezaprobata memorandum, które nie zawierało zastrzeżeń dotyczących granic. Folkierski wyraził stanowisko, które w rok później będzie podstawą opozycji SN wobec układu polsko-sowieckiego z 30 lipca 1941 r.

W obu przemówieniach Folkierskiego zwracały uwagę przyjazne akcenty wobec państw romańskich. Dnia 19 lipca apelował on, by nie potępiać Francji i wyraził nadzieję, że Francja się odrodzi. „Europa byłaby chorą bez obecności mocarstwowej,

30. Z. Tkocz: *Kryzys*, *op. cit.*, s. 86-89; por. na ten temat E. Raczyński: *W sojusznym Londynie*, Londyn 1960, s. 69-81; E. Duraczyński, *op. cit.*, s. 205-216.

katolickiej Francji". Wyraził także zadowolenie, że został zapowiedziany przyjazd francuskiego (z Vichy) *chargé d'affaires* przy rządzie polskim. Przemawiając w podobnym tonie 29 lipca Folkierski podkreślił wartość ustroju państw autorytarnych, czy nawet totalitarnych i słabość ustroju demokratycznego. „Wszakże mogliśmy się przekonać po wrogich nam Niemcach i niewrogiej nam Italii, że spoista, zwarta, silna polityka wewnętrzna dała im duże sukcesy w polityce zewnętrznej, na złych drogach, ale sukcesy. I mogliśmy niestety stwierdzić, że zgubna polityka wewnętrzna przez szereg lat trwająca, doprowadziła najsilniej z nami zaprzyjaźnioną Francję do upadku, nawet militarnego. Zła polityka wewnętrzna paraliżuje politykę zewnętrzną, politykę gospodarczą, politykę militarną”. Jednocześnie jednak Folkierski opowiedział się za zasadą rządu koalicyjnego na czas wojny i ewentualnie na okres 6 miesięcy po wojnie. Zastrzegł się, by każde z wchodzących w skład koalicji stronnictw było traktowane jednakowo, by żadne ze stronnictw nie było preferowane kosztem innych. Folkierski wyraził pogląd, że wola wielkich stronnictw, wysuwających swych najlepszych przedstawicieli musi być respektowana³¹. W ten sposób skrytykował zasadę, na jakiej został utworzony rząd Sikorskiego (premier dobierał sobie współpracowników z poszczególnych stronnictw) i opowiedział się za zasadą wysuwania przez stronnictwa kandydatów na ministrów.

W tych przemówieniach Folkierskiego zostały wyłożone zasady dotyczące organizacji rządu, które SN będzie podtrzymywać aż do 1944 r. Nie wiadomo, czy zawarte w nich postulaty były uzgodnione z Bieleckim, ale jest faktem, że po przybyciu do Anglii w połowie 1941 r. Bielecki uznał te zasady za wiążące stronnictwo i postanowił wyciągnąć z nich natychmiast praktyczne wnioski.

Dnia 4 sierpnia 1940 ukazał się pierwszy numer tygodnika *Jestem Polakiem*. Redakcja, którą kierował młody działacz Jerzy Pańciewicz, ogłosiła, że jest to niezależne pismo narodowe. Zwracano się do „wszystkich Polaków bez różnicy dawnych przekonań politycznych”, ale jednocześnie bardzo mocno podkreślano endecki charakter pisma. Służyły temu liczne cytaty z pism Dmowskiego, odwoływanie się do tradycji obozu narodowego, zamieszczanie wypowiedzi przywódców SN (m.in. Folkierskiego i Seydy). Chociaż w pierwszych numerach opublikowano teksty gen. J. Hallera, gen. I. Modelskiego, bp. J. Gawliny, nie miały one charakteru politycznego. Własne *credo* ideowe wypowiedziano w pierwszym numerze pisma. Nie pozostawiało ono

31. *Jestem Polakiem* nr 1 z 4 sierpnia 1940, nr 2 z 11 sierpnia 1940.

wątpliwości, że redaktorzy nawiązują do koncepcji „młodych” narodowców. Za najważniejszą przyczynę słabości państw demokratycznych uznano „zwyrodnienie ustroju demokratycznego”. Porządek wersalski był anachroniczny. „Żywioty bowiem, które przeszły twardą szkołę wojenną w okopach zrozumiały, że istnieje coś silniejszego, aniżeli ogólne frazesy o wolności, pokoju, cywilizacji i sprawiedliwości. Tą nową silniejszą ideą było poczucie wspólnoty narodowej. Wtedy też zrodził się kult dla dyscypliny i hierachii”. Wolność demokratyczna zrodziła egoizm jednostek, skrajny materializm, cynizm życia publicznego, rozbicie partyjne, pacyfizm. W tym kontekście zaatakowano francuskie rządy Brianda i Bluma. Hitleryzm, przecież wrogi Polsce i nie do przyjęcia dla narodów zachodnich, zapewnił siłę państwa. Wypowiadając się o sytuacji w Polsce, podkreślono zasługi obozu narodowego w wychowaniu społeczeństwa. Właśnie świadomość narodowa i idea katolicko-narodowa tworzą bohaterstwo narodu polskiego. Przykład Polski dowodzi, że nie jest prawdziwa formuła dzieląca państwa na demokratyczne i faszystowskie. „Polska (...) poszła po linii najwłaściwszej, stając się wbrew własnym rządóm, faktycznie państwem narodowym. I ten nacjonalizm polski prawdziwy, rodzimy, jest dziś źródłem siły psychicznej i energią najbardziej Niemcy zwalczającą³².”

Prócz zadeklarowanej w ten sposób niechęci wobec demokracji i uznania dla nacjonalizmu, a także ruchów faszyzujących, w piśmie pojawiły się akcenty antysemitckie, skierowane głównie przeciw polskiej liberalnej inteligencji grupującej się przy *Wiadomościach Polskich*. Wypowiedziano się za emigracją Żydów z Polski po zakończeniu wojny. Ogłoszono ciepły artykuł o Włodzimierzu Żabotyńskim, przywódcy skrajnie nacjonalistycznego odłamu syjonistów, który był zdecydowanie potępiany przez liberalne i demokratyczne środowiska żydowskie. Nacjonalizm, skłonności totalistyczne *Jestem Polakiem* były dużo łagodniejsze, w porównaniu ze stylem przedwojennych pism obozu narodowego, a także z tym co równoległe ukazywało się w oenerowskiej i endeckiej prasie konspiracyjnej w kraju. Były to jednak poglądy szokujące w Anglii. Pismo spotkało się z natychmiastową ostrą repliką lewicowej prasy brytyjskiej, która uznała je za rozpowszechniające idee faszystowskie. Redakcja odpowiedziała potępieniem faszyzmu i hitleryzmu oraz podkreśliła wkład narodowców do walki po stronie koalicji. Podtrzymywała swą krytykę „przerostów” demokracji parlamentarnej, chociaż jednocześnie uznała ustrój brytyjski i amerykański za wzorce dodatnie³³. Deklaracje te

32. *Jestem Polakiem* nr 1 z 4 sierpnia 1940.

33. *Jestem Polakiem* nr 4 z 25 sierpnia 1940.

nie zmieniły opinii o *Jestem Polakiem*, zwłaszcza, że w innych artykułach wypowiadano poglądy wyraźnie sprzeczne z demokratycznym systemem wartości, a także kontynuowano ataki na Żydów i liberalną inteligencję, wysyłając ich na przyszłość z Polski.

Problem *Jestem Polakiem* znalazł swe odbicie w Radzie Narodowej i rządzie. Socjaliści i ludowcy potraktowali pojawienie się pisma jako skandal i ostrzegli, że zwraca ono przeciw Polsce opinię lewicy brytyjskiej, stanowiąc dowód rzekomej reakcyjności i faszystowskich skłonności Polaków. Odpowiedzią była próba zlikwidowania wszystkich pism partyjnych. Posunięcie takie godziłoby nie tylko w narodowców, ale także w socjalistów, którzy wydawali *Robotnika Polskiego*, jedyny wówczas ukazujący się na emigracji organ partyjny. Do przeprowadzenia tego zamiaru nie doszło. Władze SN poczuły się jednak zmuszone do wydania na początku listopada zakazu współpracy członków stronnictwa z *Jestem Polakiem*³⁴. W praktyce oznaczało to wycofanie się z redakcji Pańciewicza (przestał być redaktorem naczelnym 11 października) i Jerzego Pietrkiewicza. Od tej pory *Jestem Polakiem* stało się coraz wyraźniejszym pismem grupy oenerowskiej.

Tymczasem kierownictwo SN podjęło inicjatywę wydawania własnego pisma, wyrażającego poglądy władz stronnictwa. Z datą 20 marca 1941 ukazał się pierwszy numer *Myśli Polskiej* pod redakcją Mariana Emila Rojka. *Jestem Polakiem* było pismem raczej popularnym, adresowanym wyraźnie do żołnierzy w Szkocji. *Myśl Polska* była poważnym pismem politycznym, kierowanym do bardziej wyrobionego czytelnika. W pierwszych numerach niektóre artykuły były drukowane po polsku i po angielsku — próbowano dotrzeć również do czytelnika angielskiego. Unikano wyraźniejszych akcentów nacjonalistycznych, nie wspomniano o Żydach. Wydaje się, że redakcja wyciągnęła wnioski ze zmiany sytuacji, liczyła się z opinią brytyjską i nie chciała prowokować wypowiedziami, które wywołały taką burzę wokół *Jestem Polakiem*. W programowym artykule „Świat anglosaski i nasza część Europy” oceniano, że w obecnej wojnie walka toczy się między światem anglosaskim i niemieckim oraz ich dwiema koncepcjami cywilizacji. Dowodzono, że naczelne idee polskiej myśli politycznej są zbieżne z brytyjską ideą *commonwealth*’u: „poszanowanie indywidualności i uprawnionych interesów ducho-

34. Notatka M. Seydy dla S. Mikołajczyka, zawierająca oświadczenie W. Folkierskiego, IHS, MPK, A. 21/1-6; por. J.J. Terej, *op. cit.*, s. 194, R. Habielski: *Polityka informacyjna i propagandowa rządu R.P. na emigracji 1939-1945*, „Dzieje najnowsze” nr 4/1987.

wych i materialnych, zarówno jednostek jak narodów; dobrowolne związki federacyjne z innymi, oparte na zasadach wolności i równości partnerów; przywiązanie do pokoju, ale nie pokoju za wszelką cenę. (...) Na zasadach tych winna też być oparta przyszła współpraca narodów naszej części Europy — zarówno tych, które wejdą w skład projektowanego związku federacyjnego, jak i ich dalszych i bliższych sąsiadów, z którymi związek złączony będzie węzłami współdziałania politycznego i gospodarczego³⁵”. Sens tego artykułu i jego język kontrastowały z wypowiedziami przedwojennej prasy SN, publicystyką *Jestem Polakiem*, a także publicystyką podziemnej krajowej *Walki*. Cytowana wypowiedź była natomiast zbieżna z ideami i celami głoszonymi przez rząd Sikorskiego.

Marian E. Rojek podjął również polemikę z koncepcjami polityki wschodniej ogłoszonymi przez Adama Doboszyńskiego. W broszurze „Wielki naród” Doboszyński proponował taką politykę w przyszłym państwie, która z czasem prowadziłaby do stapiania się Polaków i Ukraińców w jeden naród. Jednocześnie odrzucał możliwość porozumienia polsko-rosyjskiego, pisząc: „Rosja to Azja, a przyszłość Polski, misja Polski, posłannictwo Polski jest przeciw Azji³⁶”. Koncepcja Rojka była przeciwna. Odrzucał on możliwość prowadzenia równie aktywnej polityki na wschodzie i zachodzie. Opowiadał się za skoncentrowaniem wysiłków w kierunku zachodnim. „Wierzimy — pisał — iż naród polski zdolny jest po zwycięstwie Wielkiej Brytanii nad Niemcami zbudować silne państwo polskie, powiązane dobrze z życzliwymi sąsiadami w system wyższego rządu. Wierzimy, iż naród nasz zdoła odzyskać granice wschodnie z września 1939, ale nie uważamy ani za możliwe, ani stosowne, by naród polski brał jeszcze na siebie zadania negatywne, wyrażające się w chronicznym konflikcie z naszym rosyjskim sąsiadem³⁷”.

35. *Myśl Polska* nr 2 z 10 kwietnia 1941.

36. A. Doboszyński: *Wielki naród*, Szkocja 1941.

37. *Myśl Polska* nr 2 z 10 kwietnia 1941. Na podstawie linii politycznej pierwszych numerów *Myśli Polskiej*, redagowanej przez „bielecczyka” Rojka, można powiedzieć, że nie było w tym czasie otwartego konfliktu między „bielecczykami” a Seydą, czy między SN a rządem. Stronnictwo Narodowe tak modelowało w tym czasie swoje stanowisko i wypowiedzi prasowe, że trudno dopatrzeć się w nich sprzeczności z linią polityczną Sikorskiego. Zwyciężała linia Seydy, który był zwolennikiem łagodzenia sprzeczności międzypartyjnych, zachowania jedności narodowej, wytłumienia akcentów antysemickich w prasie obozu narodowego, niewychodzenia poza przedwojenny *status quo* w sprawie granicy wschodniej i ostrożnego lansowania przesunięcia na korzyść Polski granicy zachodniej. Nie znaczy to, że Seyda był bezkrytyczny wobec rządu, czy rezygnował z pryncypiów narodowo-demokratycznych. W czerwcu 1941 skarżył się W. Leitgeberowi, „że ciężka

●

Dnia 28 czerwca 1941 Tadeusz Bielecki przyjechał do Londynu i od razu znalazł się w atmosferze ożywienia politycznego, jakie nastąpiło po ataku niemieckim na ZSSR. Rozpoczęły się już wtedy rozmowy o zawarciu układu polsko-sowieckiego. Stanowisko SN w nowej sytuacji międzynarodowej zostało przedstawione w artykule Mariana Rojka pod znamienym tytułem „Zapłonął pożar światowy...” Rojek wychodził z założenia niezmienności orientacji antyniemieckiej, która obowiązuje wszystkich Polaków, gdziekolwiek się znajdują. Polska doświadczyła na sobie teorii i praktyki „obu regimów” i nie istnieje dla narodu polskiego wybór „między tymi systemami”. Nie znaczy to jednak, by Polacy mieli zachować neutralność, gdyż „Rosja w ręku Niemiec oznacza panowanie Niemiec nad światem”. Rojek wyrażał nadzieję na zmianę polityki zagranicznej ZSSR oraz przekonanie, że są możliwe dobrosąsiedzkie stosunki polsko-sowieckie. Warunkiem tego jest jednak powrót do traktatów, które obowiązywały przed sierpniem 1939³⁸, czyli powrót do granic przedwojennych.

Narodowcy pragnęli zawarcia układu, ale chcieli, by ZSSR równocześnie potwierdził granicę ryską. W sierpniu w *Myśli Polskiej* przedstawiono ogólniejszą wizję organizacji politycznej powojennej Europy, która spełniałaby oczekiwania SN.

„1. Wielka Brytania, przy czynnym oparciu o swe Imperium i o Stany Zjednoczone, bierze na siebie niejako obowiązek wydatnego udziału na czas dłuższy w utrzymywaniu pokoju i bezpieczeństwa zarówno w Europie zachodniej, jak środkowej i wschodniej — doświadczenia bowiem ostatnich lat dwudziestu wykazały aż nadto jaskrawo, że pokój i bezpieczeństwo są jedyne, niepodzielne, i że podział naszego kontynentu na strefy 'gwarantowane' doprowadzić niechybnie musi prędzej czy później do ogólnej pożogi.

jest jego pozycja w rządzie, w którym prym wiodą elementy lewicowo-centrowo-żydowskie. Nieraz trudno mu być w tym rządzie i firmować niektóre jego posunięcia, które w Kraju nie znajdują aprobaty. Z drugiej strony ustąpienie wywarłoby fatalne wrażenie zarówno w kraju jak i wśród Anglików. Byłby to dowód braku jedności narodowej, którą rząd ma reprezentować. Stosunki Seydy z Sikorskim też nie są dobre. Widać, że wzajemnie nie lubią się, chociaż Seyda uważa, że Sikorski jest jedynym politykiem wśród Polaków tutaj nadającym się na stanowisko premiera”. W. Leitgeber, *op. cit.*, s. 115-116, 128.

38. *Myśl Polska* nr 7 z 1 lipca 1941, podobne stanowisko wyrażono zresztą wcześniej, w nr 6 z 15 czerwca 1941.

2. Niemcy nie tylko zostaną rozbrojone i obezwładnione militarnie, ale stworzony zostanie system, który będzie trzymał je stale w karchach i będzie z góry skutecznie paraliżował wszelkie ewentualne nawroty germańskiego imperializmu i militarizmu, póki psychika społeczeństwa niemieckiego nie ulegnie gruntownym w tym zakresie przeobrażeniom.

3. Polska wychodzi z obecnej wojny terytorialnie i strategicznie wzmocniona przez poszerzenie jej oparcia o Bałtyk i wyprostowanie oraz skrócenie jej granicy zachodniej przy utrzymaniu granicy wschodniej w stanie dotychczasowym. Te same względy brane są pod uwagę przy odbudowie państwa czesko-słowackiego. Współdziałanie Polski i Czechosłowacji staje się podstawą dla powstania wielkiego bloku państw, położonych między Rosją a Niemcami, od Bałtyku po Adriatyk i Morze Czarne, bloku, który w polityce swej, zmierzającej do utrzymania pokoju i bezpieczeństwa, będzie z jednej strony współpracował z Rosją, z drugiej opierał się o świat anglosaski i odrodzoną po tej wojnie, jak wierzymy, Francję³⁹”.

Zasady te były wspólne dla całego bloku rządowego. SN nie wykazywało więc w tym wypadku żadnych odchyłeń od przyjętych w polityce rządu Sikorskiego celów. Oceniało jednak, że latem 1941 r. polityka polska zboczyła z tego kierunku, zawierając układ polsko-sowiecki w przyjętej wersji, a towarzyszyły temu głosy pism brytyjskich (w tym *Times'a*), gdzie wyraźnie wskazywano na konieczność powierzenia Związkowi Sowieckiemu przywództwa w Europie Wschodniej⁴⁰.

Na posiedzeniu Rady Narodowej poświęconym rokowaniom z przedstawicielami sowieckimi 15 lipca Bielecki podkreślił: „Nie wolno stwarzać choćby pozorów rezygnacji z najmniejszej nawet części terytorium narodowego”. W Radzie doszło do podziału

39. Byłoby absurdem i grzechem śmiertelnym przeciw duchowej całej naszej cywilizacji, gdyby narody te (Europy środkowo-wschodniej — przyp. AF) wydane być miały na łaskę i niełaskę jednego lub obu swych wielkich zachłannych sąsiadów. Byłoby to jednak sprzeczne również z dążeniem do stabilizacji pokoju w Europie i na świecie oraz na dalszą metę godziłoby także w najżywotniejsze interesy Imperium Brytyjskiego. (...) Polska, po wojnie obecnej, w razie spełnienia trzech wymienionych wyżej warunków bezpieczeństwa i zdrowego układu sił, stałaby się niewątpliwie najbardziej lojalnym i czynnym partnerem Wielkiej Brytanii w dziele utrzymania pokoju i *balance of power* na kontynencie europejskim”. *Myśl Polska* nr 10 z 21 sierpnia 1941.

40. W. Babiński: *Prasa angielska w sprawach polskich na przełomie lat 1943-1944*, „Zeszyty Historyczne” nr 20 z 1971, tenże: *Przyczynki historyczne*, op. cit., s. 73-74, W.T. Kowalski: *Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie 1939-1945*, wyd. VI, Warszawa 1985, s. 180-182.

na zwolenników i przeciwników proponowanego układu, podziału idącego w poprzek stronnictw. Dnia 21 lipca Rada Ministrów, mimo zastrzeżeń kilku ministrów (w tym M. Seydy) jednomyślnie aprobowwała projekt tekstu przedstawiony przez Sikorskiego⁴¹. W SN zaznaczyła się więc rozbieżność między Bieleckim i Seydą.

Obok sporu o treść układu, drugą płaszczyzną konfliktu stało się żądanie zmiany zasad działania rządu. Różne zarzuty pod jego adresem podnoszono już od kilku tygodni. Na początku czerwca Rojek zarzucał rządowi bezplanowość w działaniu, zaniedbania w akcji informowania opinii anglosaskiej o polskich sprawach i dążeniach, a także dziwne metody pomocy rządowi, a zwłaszcza premiera, który unika wszelkiej kontroli i konsultacji⁴². Prawdopodobnie 24 lipca na posiedzeniu Komitetu Politycznego SN⁴³, Bielecki wystąpił ze stanowczym postulatem wymuszenia na Sikorskim reorganizacji rządu, powiększenia w nim wpływow SN, zmiany systemu rządzenia, rewizji stosunku do mniejszości żydowskiej. Najprostszą i najskuteczniejszą drogą osiągnięcia tych zmian byłoby wywołanie nagłego i głośnego przesilenia rządowego przez podanie się do dymisji ministra Seydy. „Rzecz była postawiona pod względem retorycznym

41. E. Durczyński: *Układ Sikorski-Majski*, „Dzieje Najnowsze” nr 1 z 1987, s. 103-107.

42. Potrzeba — pisał Rojek — by ci, którzy prowadzą propagandę „mieli dobrze sformułowaną na swój użytek polską rację stanu i rozumieli, iż ich zadaniem jest przedstawienie tej racji w sposób przekonywujący opinii brytyjskiej i kierownictwu politycznemu obu tych krajów”. Rojek zarzucał rządowi małą aktywność w akcji propagandowej, skierowanej do opinii anglosaskiej. (*Myśl Polska* nr 5 z 1 czerwca 1941). W krytyce tej było sporo racji. Zrobiono stosunkowo niewiele, by upowszechnić polski punkt widzenia i polskie cele wojny w świecie anglosaskim. Rząd przykładął większą wagę do kontaktów indywidualnych z politykami i osobistościami Wielkiej Brytanii i w mniejszym stopniu do Stanów Zjednoczonych, w niewielkim natomiast stopniu starał się np. inspirować prasę brytyjską i amerykańską. O formach wewnętrznej pracy rządu mówił w sierpniu 1941 Seyda w prywatnej rozmowie z Leitgeberem: „Rządził właściwie sam Sikorski, sam podejmował inicjatywy i w jego rękach skupiały się wszelkie wiadomości polityczne. Nieraz adiutanci wiedzieli więcej przed ministrami”. Leitgeber, *op. cit.*, s. 139.

43. W skład Komitetu Politycznego SN wchodził z zasady członkowie przedwojennego Zarządu Głównego i Komitetu Głównego SN. Od kwietnia 1940 zaczęto jednak uzupełniać skład KP drogą mianowania jego członków przez władze SN. W okresie francuskim do KP wprowadzono Antoniego Dargasa, Lucjana Rybińskiego, Tadeusza Mincera, Stefana Wyrzykowskiego, w Londynie Mariana Chelmikowskiego, Witolda Łęgowskiego, Stanisława Ożgę, Jerzego Pańciewicza, Antoniego Plucińskiego, Aleksandra Sierza i Adama Żółtowskiego. Relacja Antoniego Dargasa.

w sposób bezwzględny w atmosferze raczej wiecowej i widoczne było od początku, że sprawa była przygotowana za kulisami”, wspominał później Seyda. Wielu członków Komitetu miało poprzec Bieleckiego, ale niektórzy milczeli. Wystąpienie Seydy było defensywne. Tłumaczył, że „formuła w sprawie żydowskiej (autorowi nie udało się ustalić, o jaką wypowiedź rządową chodziło — przyp. AF) była uprzednio uzgodniona z Folkierskim, który ją uznał za zręczną”. Seyda był gotów żądać dwóch tek dla SN, ale odmówił wywołania przesilenia. Burzliwe zebranie trwało do nocy. Bielecki zakończył je zapowiedzią, że nazajutrz omówi z Seydą załatwienie sprawy⁴⁴. Jerzy J. Terej słusznie ocenia, że Seydzie i Bieleckiemu chodziło o dwie różne rzeczy. Seyda był gotów postawić premierowi pewne postulaty, ale bez łamania postawy politycznej rządu. Bielecki dążył do kryzysu i utworzenia nowego rządu, w którym SN miałoby mocne wpływy⁴⁵.

Nazajutrz 25 lipca nastąpił kryzys rządowy spowodowany różnicami w ocenie układu z ZSSR. Ministrowie Kazimierz Sosnkowski, August Zaleski i Maria Seyda złożyli dymisję jako przeciwnicy zawarcia układu w proponowanym brzmieniu. Ich zdaniem ogólna formuła o tym, że „traktaty sowiecko-niemieckie z 1939 r. dotyczące zmian terytorialnych w Polsce utraciły swą moc” była niewystarczająca i prowadziła do otwarcia sporu o granicę polsko-sowiecką. Oponenti układu oceniali, że jest możliwe uzyskanie korzystniejszych zapisów. Tymczasem Sikorski działał w sposób zbyt pośpieszny, ignorując przy tym metody postępowania przyjęte w dyplomacji⁴⁶. Mimo opozycji prezy-

44. IHS, SN, A.48.7/B. List M. Seydy do Prezydenta z 12 marca 1943. Por. J.J. Terej, *op. cit.*, s. 195, E. Duraczyński *op. cit.*, s. 370.

45. T.T. Terej, *op. cit.*, s. 196. W połowie lipca Bielecki miał mówić, że skład rządu nie odpowiada sytuacji w Kraju, gdzie SN jest wyrazicielem olbrzymiej większości opinii. W przeciwieństwie do SN krajowe Stronnictwo Ludowe jest podzielone na szereg frakcji, PPS jest zupełnie rozbita, a Stronnictwo Pracy jest fikcją. Wierzył natomiast w istnienie daleko idącej i dobrze zorganizowanej konspiracji sanacyjnej „której celem jest niedopuszczenie Rządu do powrotu do kraju”. Mocno opanowane przez sanację jest wojsko i ZWZ. (Zakład Historii Ruchu Ludowego. Archiwum S. Kota, teka 319. Notatka z rozmowy z p. T. Bieleckim Adama — nazwisko nieczytelne — 15 lipca 1941).

46. O sprawie negocjacji i zawarcia układu por. K. Okulicz: *Umowa Sikorski-Majski* z 30.VII.1941, „Niepodległość” nr 2 z 1950; W. Pobóg-Malinowski: *Najnowsza historia polityczna Polski*, Londyn 1960, s. 169-177, W. Babiński, *op. cit.*, s. 46-77; E. Duraczyński, *op. cit.*, s. 359-374, tenże: *Układ Sikorski-Majski*. W sierpniu 1941 Seyda mówił Leittegerowi, że jego zastrzeżenia co do treści układu sprowadzały się do zbyt ogólnej formuły o anulowaniu traktatów i pominięciu kwestii układu sowiecko-litewskiego o

denta Raczkiewicza, trzech ministrów, kilku członków Rady Narodowej, władz Stronnictwa Narodowego i część Komitetu Zagranicznego PPS, układ polsko-sowiecki został podpisany 30 lipca 1941 r.⁴⁷.

Bielecki osiągnął to, do czego dążył — kryzys rządowy. W nowej sytuacji stawał się jednym z partnerów rozmów prowadzonych przez premiera i prezydenta. Dnia 26 lipca spotkał się z Sikorskim, a dzień później Bielecki i Folkierski skierowali do premiera pismo, w którym skrytykowali układ, wyrazili aprobatę dla decyzji Seydy i radzili wynegocjowanego układu nie podpisywać. Przechodząc do sprawy rekonstrukcji rządu pisali: „W razie uznania naszego stanowiska stwierdzamy, że należy wzmocnić pozycję Rządu przez jego rekonstrukcję i doprowadzić do stworzenia rządu istotnie koalicyjnego, złożonego z upoważnionych przedstawicieli głównych ruchów politycznych. Oświadczamy, że jesteśmy gotowi natychmiast podjąć rozmowy na ten temat⁴⁸”. Sikorski w odpowiedzi podtrzymywał swoje stanowisko odnośnie układu, zaś sugestii rekonstrukcji rządu nie podjął. Bielecki przechodził w tym czasie na drogę konsekwentnej opozycji, czego wyrazem była zapewne odmowa udziału w

przekazaniu Wilna Litwie. Miał także zastrzeżenia przeciwko użyciu słowa „amnestia”, gdyż — jak mniemał — strona sowiecka nadaje mu „głębszy sens”. Zdaniem Seydy było błędem, że to Polacy wystąpili z inicjatywą zawarcia układu, stwarzając wrażenie, że się im spieszy. Należało prowadzić rokowania powoli, na drodze dyplomatycznej, bez rozgłosu i bez angażowania autorytetu premiera. W. Leitgeber, *op. cit.*, s. 138-139.

47. Motywy rządu i spodziewane korzyści płynące z zawarcia układu zostały przedstawione w depeszy Sikorskiego (?) do kraju z 26 lipca 1941: „Cały Rząd zdawał sobie sprawę, że nie pobiwszy Rosji nie możemy jej dyktować warunków, jakie są dla nas pożądane, że zatem trzeba się zadowolić uzyskaniem pewnych warunków, jak: uznanie suwerenności państwowej, przedstawicielstw dyplomatycznych, tworzenie wojska, ulżenie losowi więźniów i zesłańców, a sprawę najtrudniejszą — granic załatwić prowizoryczną formułą, w której niczego się nie wyrzekamy. Unieważnienie traktatów rosyjsko-niemieckich będziemy interpretować jako powrót do stanu z sierpnia 1939 r. (...) Przystępując do zawarcia umowy z Rosją, rząd ulega naciskowi dwóch konieczności: pierwsza to konieczność wyrwania z tragicznego położenia milionów Polaków z Rosji, zesłańców, więźniów, jeńców, których los będzie z każdym dniem gorszy, jeśli nadal będziemy w stanie wojny z Rosją. Ich zwolnienie i skupienie wokoło energicznego ambasadora stworzy siłę, która może wyrzucić nieobliczalny dzisiaj wpływ. (...) Przeciąganie umowy grozi utworzeniem polskiego Komitetu czerwonego w Moskwie, jako reprezentacji oficjalnej po tamtej stronie”. Okolicznością drugą jest взгляд na Anglię i Stany Zjednoczone, które naciskają na zawarcie porozumienia. (Studium Polski Podziemnej w Londynie (dalej SPP), MSW Teka 10, poz. 27).

48. IHS, PRM 60 D/1.

posiedzeniu Rady Ministrów z udziałem przewodniczących Komitetów Zagranicznych Stronnictw 28 lipca 1941 r.⁴⁹.

Jednocześnie jednak na początku sierpnia Seyda w rozmowie z prezydentem i gen. Sosnkowskim mówił, że „podpisanie umowy nie jest wcale tak wielkim nieszczęściem”. Seyda streszczał stanowisko Bieleckiego, który miał oświadczyć, że do obecnego rządu SN nie wróci i bezpośredniej odpowiedzialności za podpisanie umowy nie przyjmie, „jednak do rządu prawdziwie koalicyjnego i wykluczającego zamaskowaną dyktaturę gotowe jest wejść i pracować wspólnie na dłuższą metę nad poprawieniem ujemnych stron zawartej umowy”. Seyda sprzeciwił się sugestii Sosnkowskiego, by prezydent zdymisjonował rząd, a także pomysłowi, by uznać układ za niebyły i ponownie wszcząć negocjacje. Takie posunięcia Seyda uznał za niewykonalne i przestrzegał, że nowemu gabinetowi rząd brytyjski „położy na drodze wszelkie przeszkody”. Zdymisjonowanie rządu Sikorskiego musiałoby otworzyć bardzo poważny kryzys polityczny w Londynie i zapewne wywołałoby duże niezadowolenie w kraju, gdzie osoba premiera i Naczelnego Wodza była bardzo popularna. Stanowisko Seydy było więc realistyczne. Sosnkowski przekonywał jednak do swej koncepcji nadal i zachęcał prezydenta, by odwołał się przeciwko Sikorskiemu do kraju. Liczył na poparcie PPS-WRN, SN i ludowców. Dnia 3 sierpnia 1941 Sosnkowski przyniósł prezydentowi projekt depechy do kraju uzgodniony z Adamem Ciołkoszem, Tadeuszem Bieleckim, Zygmuntem Nagórskim i Adamem Tarnowskim. Prezydent oparł się jednak projektowi odwołania się do kraju w obawie przed wywołaniem kryzysu w nastrojach Polaków w Polsce. W kwestii umowy polsko-sowieckiej Raczkiewicz oświadczył 6 sierpnia Sosnkowskiemu, że anulowanie układu jest niemożliwe. „Umowa jest faktem dokonanym i zerwanie jej ze względu na Anglików jest niepodobieństwem, można myśleć tylko o stopniowym jej poprawieniu. Tego samego zresztą zdania jest zarówno Bielecki jak i Ciołkosz”. Prezydent zwrócił także uwagę na wielką pozycję w świecie anglosaskim, czego nie można lekceważyć⁵⁰.

Tymczasem premier zaprosił na posiedzenie rządu 28 lipca trzech prezesów Komitetów Zagranicznych stronnictw — Stanis-

49. E. Duraczyński: *Układ Sikorski-Majski*, op. cit., s. 107-108.

50. W. Babiński, op. cit., s. 599-607. Gen. Sosnkowski oceniał zarysowującą się koncepcję rządu Sikorskiego bez SN: „Będzie to oczywiście powolna życzeniom angielskim kryptodyktatura z wygraniam na zewnątrz pozorów lewicowości i demokratyzmu i z demagogicznym szermowaniem argumentem o wyzbyciu się elementów sanacyjnych i antyfaszystowskich”. *Ibidem*, s. 606.

ława Mikołajczyka, Karola Popiela i Hermana Liebermana. W ten sposób idea zawarcia układu polsko-sowieckiego w uzgodnionym brzmieniu miała być wsparta autorytetem przywódców partyjnych, a pozycja premiera ulec wzmocnieniu wobec prezydenta i opozycji⁵¹. Był to również pierwszy krok w kierunku rekonstrukcji rządu i poszerzenia jego podstawy politycznej w kierunku proponowanym m.in. przez Bieleckiego. Dalszym posunięciem było przyjęcie Deklaracji Zasad, zawierającej podstawowe cele wojenne Polski, a także zasady organizacji władz polskich na emigracji. Deklaracja Zasad była rozwinięciem programu zawartego w przemówieniu Sikorskiego z 18 grudnia 1939 r. Pisano, że głównym celem „jest wyzwolenie niepodległej Polski i wprowadzenie w niej ustroju demokratycznego po ukończeniu wojny. Rząd jest narzędziem władzy i woli ogółu obywateli Rzeczypospolitej Polskiej i jej dobru winien służyć. Wykluczony jest na przyszłość tryb rządów jednostki, klik oraz wszelkich grup oligarchicznych, do jakiegokolwiek klasy ludności by one nie należały. Wykluczony jest wszelki rząd nieodpowiedzialny i niekontrolowany przez przedstawicielstwo narodowe.

Rząd uznaje za naczelne swoje zadanie, przez najwydatniejszy udział w wojnie i konferencjach pokojowych, zabezpieczenie bezpośredniego i rozległego dostępu do morza oraz granic dających rękojmię trwałego bezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej.

Nie przesądzając w niczym przyszłego ustroju politycznego i gospodarczego państwa, o którym zadecyduje kraj po odzyskaniu wolności, Rząd stwierdza:

Państwo Polskie stać będzie na gruncie kultury i zasad chrześcijańskich.

Polska będzie państwem demokratycznym, opartym na równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości wobec prawa i przed urzędami, na poszanowaniu wolności jednostki i praw obywatelskich, wreszcie na poszanowaniu praw narodowych mniejszości narodów słowiańskich, litewskiej i żydowskiej.

Polska przestrzegać będzie zasady rządów prawnych, odpowiedzialnych i kontrolowanych przez przedstawicielstwo narodowe, wybrane w uczciwych wyborach dokonanych na podstawie tajnego, równego, powszechnego i bezpośredniego głosowania.

W stosunkach społeczno-gospodarczych Polska urzeczywistni zasadę sprawiedliwości, prawo wszystkich do pracy, ze szczególnym uwzględnieniem prawa rzesz włościańskich do ziemi

51. Por. E. Duraczyński, „Kontrowersje”, *op. cit.*, s. 372.

i jej sprawiedliwego pomiędzy nie podziału oraz praw rzesz robotniczych i pracowników umysłowych do wpływu na produkcję i do sprawiedliwego udziału w jej owocach, tudzież do ochrony pracy przed wyzyskiem, celem ugruntowania racjonalnej wytwórczości społecznej w interesie całej ludności i sprawiedliwego zabezpieczenia zdrowia ludzkiego przed ruiną”.

Na strukturę organizacyjną Jedności Narodowej miały się składać trzy człony: rząd, Rada Narodowa i organizacja polityczna kraju. Prezes Rady Ministrów „ponoszący główną odpowiedzialność za konstytucję i bieg prac Rządu” przed przedstawieniem prezydentowi wniosków o nominację ministrów „porozumiewa się ze stronnictwami Jedności Narodowej co do jego składu”. W Radzie Narodowej miało zasiadać po czterech członków każdego z czterech stronnictw, przy czym premier przedkładałby prezydentowi kandydatury podane przez prezesów stronnictw. Premier miał się porozumiewać ze stronnictwami co do liczby członków Rady i powołania części z nich spoza czterech partii koalicji⁵². Zasady te, regulujące sposób powoływania rządu i Rady Narodowej, były kolejną rewizją konstytucji kwietniowej (po tzw. umowie paryskiej z 1939 r., kiedy prezydent zobowiązał się wykonywać swoje prerogatywy jawnie w porozumieniu z premierem). Sposób tworzenia rządu i Rady Narodowej miał być zbliżony do wzorów demokratycznych. Zasady te, zaspokajając w pewnej mierze oczekiwania stronnictw, w niewielkim tylko stopniu uszczuplały kompetencje premiera. Potwierdzono system kanclerski. Premier nadal miał ponosić główną odpowiedzialność za pracę rządu i jego skład. Chociaż miał się porozumiewać ze stronnictwami, nie był związany ich stanowiskiem ani w sprawach politycznych, ani personalnych. Zwiększenie wpływu stronnictw na skład Rady Narodowej miało niewielkie konsekwencje, gdyż Rada była jedynie organem opiniodawczym.

Część programowa była ogólnikowa, ale przesądzała demokratyczny kształt państwa i konieczność przeprowadzenia reform społecznych. Natomiast mgliste i wieloznaczne były ustępy dotyczące polskiej polityki zagranicznej i granic przyszłego państwa.

Te zasady zaakceptowane przez Stronnictwo Ludowe, PPS, Stronnictwo Pracy zostały przedłożone Bieleckiemu. Od ich

52. IHS, PRM 168/17. Tekst zamieszczają M. Kwiatkowski: *Rząd i Rada Narodowa w świetle faktów i dokumentów od września 1939 do lutego 1942*, Londyn 1942, R. Buczek; *Stronnictwo Ludowe w latach 1939-1945*, Londyn 1975 (z niewielkimi błędami).

przyjęcia był uzależniony udział SN w rządzie. Rozmowy zostały podjęte już po załamaniu się inicjatywy Sosnkowskiego nakłonienia prezydenta do zdymisjonowania rządu. Bielecki wiedział więc, że Sikorski pozostanie przy władzy. Rozmowy poprowadził Mikołajczyk. W pierwszej z nich, odbytej 9 sierpnia, Bielecki nawiązując do programowej części deklaracji zasad zastrzegł, że na emigracji „nie może być przesądzane nic, co dotyczy ustroju kraju na przyszłość, a omawianie dziś ordynacji wyborczej jest śmieszne”. Mikołajczyk zgodził się, że nie można przesądzać o opinii kraju, ale dodał że na konferencji pokojowej oceniać nas będą zależnie od naszego stanowiska w sprawie ustroju Polski. „Dla nas to nie jest śmieszne, lecz zasadnicze, czy Polska będzie demokratyczna i od tego nie ustąpimy”. Założenia programowe jedności narodowej nie obejmują ordynacji wyborczej, a tylko „zasady, które uznaje jako demokratyczne cały świat i my je za konieczne i zasadnicze traktujemy”. Bielecki odpowiedział, że te kwestie uważa w hierarchii zagadnień za mało ważne i nie zasługujące obecnie na uwagę. „Stronnictwo Narodowe nie chce nikogo brać za łeb, ale się samo także nie da” — dodał. Mikołajczyk przyznał, że SL „boi się tak silnego Stronnictwa Narodowego” i oświadczył, iż zna wypowiedź pisemną Bieleckiego o tym „że wybory nie są w ogóle sposobem pytania o wolę narodu ze strony rządzących”. Bielecki uchylił się od wyraźnej odpowiedzi i powiedział, że w przyszłości „To nie będzie ani demokracja ani totalizm (...) lecz zupełnie coś nowego⁵³”. Wyniki tej wymiany zdań nie mogły być dla stronnictw rządowych zachęcające. W nawiązaniu do tej rozmowy Bielecki przekazał jednak Mikołajczykowi pismo, w którym proponował przyjęcie formuły, że SN „zgodnie ze swą tradycją pragnie utrwalenia w Polsce silnej władzy wykonawczej opartej o zaufanie narodu i kontrolowanej przez przedstawicielstwo narodowe”. Formuła ta została wstępnie przyjęta, ale w następnej rozmowie — 13 sierpnia — Mikołajczyk proponował dopisanie słów „wybrane na podstawie demokratycznych wyborów”. Bielecki odpowiedział, że nie lubi używać słowa „demokratyczne”, gdyż często używają go ludzie, którzy postępują po dyktatorsku. Była to aluzja uszczypliwa wobec Sikorskiego i jego współpracowników. Ostatecznie Bielecki przystał na proponowaną formułę i została ona włączona do oficjalnego pisma przysłanego Sikorskiemu 22 sierpnia⁵⁴.

W następstwie tych negocjacji Bielecki został zaproszony na

53. IHS, PRM 60 E/5.

54. IHS, PRM 60 D/4, PRM 60 E/5. Por. E. Duraczyński: *Kontrowersje, op. cit.*, s. 376-377.

posiedzenie przywódców stronnictw z udziałem premiera, które odbyło się 15 sierpnia. Na konferencji doszło do konfliktu. Sikorski zarzucił Bieleckiemu prowadzenie agitacji w wojsku, urabianie negatywnych opinii o rządzie u Anglików. Bielecki opuścił zebranie, po czym wysłał list do Sikorskiego, w którym odrzucił oskarżenia jako bezpodstawne. „Jesteśmy dużym ruchem politycznym — pisał — opartym przede wszystkim o kraj, a nie małą garstką emigrantów, którą można krzykiem lub groźbami zastraszyć”. SN jest gotowe rozmawiać o stworzeniu rządu koalicyjnego, ale musiałoby mieć w tym rządzie prawo współdecyzji. Rozmowy takie, jak ostatnia, są bezcelowe⁵⁵. Na list ten Sikorski odpowiedział 18 sierpnia, wyrażając ubolewanie z powodu atmosfery na konferencji i przypominając, by Bielecki przekazał odpowiedź na przedstawione mu zasady jedności narodowej. Na łagodniejszy ton Sikorskiego wpłynęło być może stanowisko prezydenta, który uzależnił ponowne nawiązanie współpracy z rządem od osiągnięcia ugody z Bieleckim. Jednocześnie jednak Sikorski zgłosił tego samego dnia na posiedzeniu gabinetu rezolucję, że rząd będzie rządem jedności narodowej „nawet w wypadku, gdyby w łonie stronnictw jedności narodowej zabrakło przejściowo Stronnictwa Narodowego⁵⁶”.

Dnia 19 sierpnia zaproszony na posiedzenie przewodniczącego Komitetów Zagranicznych Stronnictw Marian Seyda (wystąpił w zastępstwie Bieleckiego) przedstawił żądania prezesa SN: stanowisko wicepremiera, stworzenie ścisłego gabinetu złożonego z przedstawicieli czterech stronnictw, złożenie dymisji przez rząd obecny i powołanie nowego rządu. Lieberman, Popiel i Mikołajczyk odmówili zgody na powierzanie Bieleckiemu wicepremierostwa, ale zgodzili się, że mógłby być ministrem. Mikołajczyk dodał jednak, że wstępnym warunkiem musi być uznanie przez SN zasad współpracy stronnictw i wyrzeknięcie się dążenia do dyktatury w powojennej Polsce. Ponadto nie można się zgodzić na to, by rząd był komitetem delegatów stronnictw, z premierem jako przewodniczącym bez rzeczywistej inicjatywy. Co do zastrzeżeń SN dotyczących układu polsko-sowieckiego Mikołajczyk akceptował projekt, by SN wchodząc do rządu złożyło odpowiednie zastrzeżenia do protokołu, przy równoczesnym stwierdzeniu, że zawarty już pakt będzie respektować. Sugestie Mikołajczyka znalazły akceptację Popiela i Liebermana⁵⁷.

55. IHS, PRM 60 D/3. Por. E. Duraczyński, *op. cit.*, s. 378.

56. E. Duraczyński, *op. cit.*, s. 378-379. R. Buczek mylnie podaje, że oznaczało to przerwanie negocjacji z Bieleckim.

57. IHS, PRM 60 E/10, por. E. Duraczyński, *op. cit.*, s. 379.

Zadaniem rządu na emigracji jest:

„1. Odbudowanie państwa polskiego z rozległym i bezpośrednim dostępem do morza w granicach dających rękojmię trwałego bezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej oraz przygotowanie konferencji pokojowej. Celowi temu służyć winny samodzielna polska polityka zagraniczna współdziałająca z państwami sojuszniczymi oraz należyte informowanie opinii obcej o położeniu Narodu Polskiego, o jego sprawach i roli w Europie.

2. Organizowanie i kierowanie zbrojnym wysiłkiem Narodu.

3. Pomoc moralna i materialna krajowi i opieka nad polskimi rzeszami uchodźczymi.

4. Opieka nad zasobami materialnymi i dorobkiem kulturalnym Narodu.

Spełnienie tych zadań przez rząd umożliwi Narodowi z chwilą wyzwolenia ziemi polskiej spod najazdu, powzięcie decyzji co do form w jakich zechce rozwijać swe życie państwowe, społeczne i gospodarcze.

Ruch nasz zgodnie ze swą tradycją pragnie utrwalenia w Polsce silnej władzy wykonawczej, opartej o zaufanie narodu i kontrolowanej przez przedstawicielstwo narodowe wybrane na zasadach demokratycznych.

Stronnictwo Narodowe jest przeciwne rządowi jednostek czy klik.

Stronnictwo Narodowe uważa, że przesądzanie zagadnień wewnętrznych i ustrojowych należy nie do emigracji, lecz jedynie do kraju⁵⁸.

Ten ustęp „Stanowiska SN” zbliżał się do rozwiązań zapowiedzianych w Deklaracji Zasad, ale w gruncie rzeczy pozostawiał SN wolną rękę w dążeniu do kształtowania powojennego ustroju. Przyjmowano, co prawda, formułę, że sam kraj zdecyduje o formach ustrojowych, ale niekoniecznie musiało to nastąpić na drodze wyborów. Władza wykonawcza miała być bowiem kontrolowana przez przedstawicielstwo narodowe, ale nie powiedziano, czy będzie przez nie wyłaniana. Przedstawicielstwo na-

58. W opinii czterech stronnictw z 27 lipca 1940 podtrzymano ważność umowy paryskiej między prezydentem i premierem z 30 listopada 1939 r., w myśl której prezydent te uprawnienia, które na mocy konstytucji miał wykonywać sam, wykonywałby w porozumieniu z premierem. Interpretacja H. Liebermana głosiła: „W razie potrzeby zamianowania nowego prezesa Rady Ministrów nastąpić to powinno na podstawie porozumienia, osiągniętego między prezydentem, rządem i stronnictwami”. Por. T. Katelbach: *Akt pierwszy*, op. cit., s. 98-99; A. Leinwand: *Posel Herman Lieberman*, Kraków-Wrocław 1983, s. 230.

rodowe miało być wybrane na zasadach demokratycznych, ale trudno nie zauważyć, że ten ustęp został dopisany na uporczywe naleganie Mikołajczyka. Ponadto zasady demokratyczne były przez SN interpretowane swoiście, jako równouprawnienie Polaków niezależnie od pochodzenia społecznego, ale niekoniecznie równouprawnienie programów politycznych. Pominięto ustęp mówiący, że Polska będzie oparta o zasady chrześcijańskie; było to pominięcie zaskakujące, zważywszy, że SN było stronnictwem programowo katolickim. Pominięto ustęp o równości obywateli, prawach politycznych, poszanowaniu praw mniejszości narodowych; nie były to pominięcia przypadkowe i oznaczały zasadniczo różne stanowisko SN w tych sprawach.

W części dotyczącej organizacji instytucji rządowych proponowano, by rząd sprawował władzę jako zespół z premierem na czele. Ministrowie powinni być odpowiedzialni za swoje resorty (zapewne chodziło o to, by np. minister spraw zagranicznych był osobą decydującą w zakresie powierzonych mu spraw, a nie jak w lipcu 1941, by jego kompetencje przejmował premier). W skład rządu koalicyjnego prócz premiera wchodzić przedstawiciele stronnictw, uzgodnieni przed mianowaniem z kierownictwami stronnictw. „Dla sprawniejszego działania rządu tworzy się gabinet ściślejszy Rady Ministrów, składający się z premiera i 4-ch ministrów reprezentujących stronnictwa”. Gabinet ściślejszy, zbierający się minimum dwa razy w tygodniu, miał przygotowywać obrady pełnej Rady Ministrów oraz sprawować funkcje rządu w czasie między posiedzeniami. We wszystkich sprawach programowych oraz ważnych sprawach państwowych należy uzgadniać stanowisko stronnictw tworzących rząd. Zastrzeżono, że należy uwzględnić nie tylko ilość, ale i wagę tak przy ich podziale między stronnictwami. Rada Narodowa powinna się składać głównie z przedstawicieli stronnictw tworzących rząd, przy czym premier przedkładałby prezydentowi do zatwierdzenia kandydatury podane przez władze stronnictw. Także sprawę ilości członków Rady i powołania deputowanych spoza stronnictw premier uzgadniałby z władzami stronnictw⁵⁹. Aczkolwiek zaznaczono, że premier ponosi „w pierwszym rzędzie odpowiedzialność za prace rządu”, to jednak we wszystkich proponowanych rozwiązaniach planowano ograniczyć władzę premiera do minimum i pozbawić go prawa inicjatywy. Według tego projektu źródłem władzy byłyby zarządy emigracyjne stronnictw, one też decydowałyby o polityce rządu i one stanowiły o składzie Rady Narodowej. Była to propozycja skrajnie przeciwna koncepcji rządu kanclerskiego, którą wyrażał Sikorski.

59. PRM 60 D/4. *Stanowisko Stronnictwa Narodowego z 22 sierpnia 1941.*

Odpowiedź Sikorskiego z 30 sierpnia oznaczała zerwanie dalszych negocjacji. Premier odmawiał współpracy w rządzie z kimkolwiek, kto nie uznawałby bez zastrzeżeń układu z 30 lipca. Sikorski powoływał się na poparcie kraju, rzeszy rodaków w Rosji i Polonii amerykańskiej, wobec czego „nie ma potrzeby przywiązywania zbytnej wagi do odmiennych opinii garstki Polaków w Anglii nie mogących się legitymować aktualnymi instrukcjami do reprezentowania Kraju”. Obóz narodowy — dodawał premier — może zawsze zgłosić się do współpracy „na warunkach równych praw i równej odpowiedzialności⁶⁰”. E. Duraczyński słusznie zauważa, że pisząc ten list Sikorski miał już kryzys poza sobą, uzyskał poparcie Kraju oraz polityków i wojskowych w ZSSR⁶¹. Czuł się więc pewnie i nie musiał dalej zabiegać o poparcie SN. Jednocześnie w piśmie Sikorskiego pojawiła się teza, że stanowisko Bieleckiego nie odzwierciedla opinii SN w kraju, a być może Bielecki nie ma już w ogóle mandatu do reprezentowania stronnictw. Być może już wtedy Sikorski brał pod uwagę możliwość wykorzystania rozbieżności w SN i przyciągnięcia do rządu oponentów Bieleckiego.

Kryzys formalnie został zamknięty 3 września, gdy prezydent Raczkiewicz podpisał nominacje ministerialne dla Karola Popiela i Hermana Liebermana (kilka dni wcześniej, 28 sierpnia, Stanisław Mikołajczyk objął kluczowy w kontaktach z krajem urząd ministra spraw wewnętrznych). Tegoż 3 września została rozwiązana Rada Narodowa.

Wypada się zgodzić z opinią Eugeniusza Duraczyńskiego, że plany Bieleckiego odegrania kluczowej roli w kryzysie sierpniowym nie powiodły się⁶². Trzeba jednak zauważyć, że odsunięcie SN od koalicji rządowej utrudniało przezwycięzenie w tym stronnictwie tendencji antydemokratycznych i monopartyjnych. Utrwalała się sytuacja, w której stronnictwo pozostawało w opozycji nie tylko do rządu, ale do całego bloku demokratycznego. Ci, którzy głosili pogląd, że na drodze demokratycznej SN nigdy nie dojdzie do wpływu na rządy, zyskali kolejny argument. Tymczasem Stronnictwo Narodowe było wielkim ruchem politycznym, którego nie można było pominąć przy tworzeniu państwa i kształtowaniu jego podstaw ustrojowych (o ile miały być oparte na zasadach demokratycznych). Pozostawienie SN w wyraźnej opozycji wobec bloku demokratycznego mogło mieć bolesne konsekwencje dla odradzającego się państwa.

Przebieg przesilenia lipcowo-sierpniowego Bielecki skomen-

60. E. Duraczyński, *op. cit.*, s. 379-380.

61. *Ibidem*, s. 379 i nast.

62. *Ibidem*, s. 381.

tował we wrześniu w wywiadzie udzielonym redaktorowi *Myśli Polskiej*. Publicznie ujawnił stanowisko SN wobec układu polsko-sowieckiego i konstrukcji rządu. Oświadczył, że SN nie walczyło przeciw traktatowi, ale przeciw jego obecnej postaci. „Sprawa była tym ważniejsza, ponieważ dotyczyła naszego terytorium państwowego. Przyszłość pokaże, kto miał rację. O wartości układu decydować będzie nie dzień dzisiejszy, lecz dalszy przebieg wydarzeń międzynarodowych”. Bielecki wyraził sprzeciw SN wobec przesądzania obecnie zagadnień ustrojowych. O tym będzie decydował kraj w przyszłości. „Jeśli będziemy się dziś zajmować ordynacją wyborczą, zaniedbać możemy sprawę granic⁶³”. Jednocześnie jednak opowiedział się za formułą silnej władzy wykonawczej kontrolowanej przez przedstawicielstwo narodowe wybrane w demokratycznych wyborach. Na temat samej demokracji wypowiadał się jednak niejasno i wieloznacznie. Bronił swej koncepcji organizacji rządu i zaznaczył — jakby przewidując przyszłe trudności, że o tym, kto przemawia w imieniu SN mogą decydować jedynie władze stronnictwa. Odpowiadając na zarzuty, że SN sprzymierza się z sanacją (chodziło m.in. o poparcie dla lipcowo-sierpniowych inicjatyw Sosnkowskiego), Bielecki oświadczył, że jeżeli jacyś piłsudczycy zajmują w sprawie podobne stanowisko, to potwierdza to jedynie, że pogląd narodowców nie jest odosobniony. Udział w poprzednim rządzie dawał SN minimalny wpływ na prace gabinetu. Pozostawanie poza rządem nie jest nieszczyściem. „Zresztą (...) żyjemy w tak zmiennych czasach, że najpewniej czują się ci, którzy nie zasiadają w rządzie. Jedyna rzecz, która im 'grozi' to wejście do rządu i to w charakterze nie dekoracyjnym⁶⁴”.

Stanowisko Bieleckiego nie było przyjmowane bezkrytycznie wśród działaczy SN. Kierowany przez Stefana Sachę zarząd podziemnego SN zachowywał powściągliwą aprobatę w ocenie układu oraz milczenie podczas akcji Bieleckiego o reorganizację rządu. Ostra walka o kształt rządu i sposób jego powoływania wydawały się z krajowej perspektywy anachroniczne. Kraj żył w atmosferze terroru i walki. Utarczki w Londynie budziły niesmak. Opozycja wobec układu i próba odsunięcia Sikorskiego od decydującego wpływu były źle przyjmowane przez znaczną większość Polaków w ZSSR. Zwolnieni z więzień i obozów na mocy

63. Bielecki mówił: „Nie wchodzę w tej chwili, czy lepsza byłaby czteroczy pięcioprzymiotnikowa ordynacja wyborcza. Jak już Panu mówiłem, decyzję w tej sprawie odsuwam do Kraju, ale jakże można zaciągać dziś jakiekolwiek zobowiązania w tej materii, jeżeli jeszcze nie wiemy w jakich granicach powstanie nowe państwo polskie oraz jakie warunki zastaniemy po powrocie do Kraju”. *Myśl Polska* nr 11-12 z 20 września 1941.

64. *Myśl Polska* nr 11-12 z 20 września 1941.

układu lipcowego, nie mogli akceptować stanowiska przeciwników układu. Stanowisko opozycji traktowali jako nacechowane nadmiernym pryncypializmem i nie biorące pod uwagę losu ponad miliona obywateli polskich z ZSSR. Stanisław Celichowski, znany działacz SN z Poznania, w liście do Seydy wyrażał ubolewanie z powodu jego ustąpienia z rządu. „Wobec obecnej sytuacji Polski — pisał — oczywiście nie czuję się skrzepowany żadnymi większymi organizacjami idąc tylko za głosem mego sumienia narodowego. Zresztą nowa Polska wymagać będzie rewizji wielu poglądów, mianowicie w dziedzinie taktyki politycznej oraz bardzo gruntownej selekcji wśród dotychczasowych wielkości politycznych z niezdrowymi ambicjami małych dyktatorów. Z doktrynerami o małej inteligencji należy prowadzić nieustępliwą walkę⁶⁵”. Te ostatnie, mocne słowa, najwyraźniej odnosiły się do Bieleckiego i jego linii politycznej.

Podobne opinie nie pozostawały bez wpływu na postawę Seydy, który nigdy nie zaliczał się do politycznych przyjaciół Bieleckiego, a latem 1941 roku znacznie się z nim różnił. Na początku października 1941 Seyda mówił Leitgeberowi, że denerwują go Bielecki i jego bliscy współpracownicy, którzy „podchodzą do zagadnień tak, jak gdyby byli w Polsce i chodziło o pozyskanie nowych zwolenników dla Stronnictwa Narodowego”. Ale też zauważył, że gdyby Sikorski nie stawiał sprawy pryncypialnie, że każdy głosujący przeciw układowi czy nawet wstrzymujący się będzie musiał wyciągnąć konsekwencje ze swego stanowiska, mógłby w rządzie pozostać. Obecnie rządu nie zwalcza i jest mu gotów służyć. Chciałby objąć Biuro Prac Politycznych, Ekonomicznych i Prawnych⁶⁶.

W październiku rozmowy między rządem a przedstawicielstwem SN zostały wznowione. Chodziło tym razem już nie tylko o kwestię wejścia SN do rządu, ale również powołania nowej Rady Narodowej, w której SN powinno mieć swoich przedstawicieli. Nad osiągnięciem kompromisu pracowali Bohdan

65. Centralne Archiwum KC PZPR (CA KC PZPR) 202/1 — 1, k.1. Bielecki w liście do gen. Andersa z 20 listopada 1941 tak tłumaczył powody swego stanowiska: „Co do układu polsko-sowieckiego jesteśmy oczywiście i byliśmy za porozumieniem z Rosją, ale w innej postaci, bez otwierania kwestii wschodnich granic Polski, co z naszego londyńskiego obserwatorium jest widocznym wyrażnie. Walczymy tutaj o samodzielną politykę polską, która by dała odbudowanie wielkiej Polski i o prawdziwą jedność narodową, a nie *blagę narodową*. (...) Obecnie nie ma nas w rządzie, ale albo doń wrócimy w zdrowym kompromisie, pilnując interesów polskich, albo inaczej wpływ na politykę polską na razie wywierać będziemy”. IHS, PRM 59a/8 (podkreślone w oryginale).

66. W. Leitgeber, *op. cit.*, s. 147, por. E. Raczyński, *op. cit.*, s. 127.

Winiarski i dopiero co przybyły z ZSSR Wacław Komarnicki. Pełnili oni rolę pośredników między Bieleckim i Folkierskim a rządem, ale doprowadzili także go bezpośredniego spotkania Bieleckiego z Mikołajczykiem 29 października 1941. Bielecki oświadczył, że warunkiem zmiany negatywnego stanowiska wobec rządu jest mianowanie ministra desygnowanego przez władze stronnictwa oraz rezygnacja z formułowania zasad, które miałyby w przyszłości obowiązywać w kraju. Stanowisko to oznaczało bezcelowość dalszych negocjacji, chociażby z tego powodu, że 28 października socjaliści i ludowcy uzależnili udział SN w rządzie lub Radzie Narodowej od uznania deklaracji zasad⁶⁷.

W październiku (nie wiadomo czy przed, czy po rozmowie Bieleckiego z Mikołajczykiem) Seyda zdecydował się wystąpić z własnymi propozycjami, niezależnie od Bieleckiego, a zapewne bez porozumienia z nim. Seyda złożył własny projekt warunków wstąpienia SN do rządu. Wchodząc do rządu przedstawicielstwo SN złożyłoby do protokołu oświadczenie, że podtrzymując zastrzeżenia wobec odnośnych punktów układu z 30 lipca, staje jednak na gruncie faktu dokonanego i jest za realizacją układu. Seyda nie postulował ujawnienia zastrzeżeń SN ani dymisji rządu, co było zawarte w warunkach Bieleckiego z 22 sierpnia. Nie było w projekcie Seydy ustępu mówiącego o integralności terytorialnej. W skład rządu powinno wchodzić po dwóch ministrów z każdego stronnictwa, uzgodnionych ze stronnictwami, do których należą. Kandydatury ministrów bezpartyjnych byłyby uzgodnione ze wszystkimi stronnictwami. Seyda, podobnie jak Bielecki, przewidywał powołanie gabinetu ściślejszego, złożonego z premiera i czterech ministrów reprezentujących cztery stronnictwa oraz ministra spraw zagranicznych. Sprawy wagi zasadniczej rozstrzygałoby jednak plenum Rady Ministrów. Seyda nie mnożył dalszych zastrzeżeń, które zawiera projekt Bieleckiego. W sprawie mianowania członków Rady Narodowej projekt Seydy nie odbiegał od warunków Bieleckiego. W zakresie zasad ogólnych Seyda również stał na stanowisku, że o ustroju politycznym i gospodarczym państwa zadecyduje kraj po odzyskaniu wolności, ale przyznawał, że „państwo polskie stać będzie na gruncie kultury i zasad chrześcijańskich”, że „Rząd stoi na podstawie zasad demokratycznych: równości wszystkich obywateli wobec prawa oraz poszanowania swobód obywatelskich, jako też praw narodowych mniejszości narodowych”. Rząd opowiada się „za silną władzą wykonawczą, ale odpowie-

67. IHS, PRM 60 E/20; SN, A. 48.7/B, Seyda do Prezydenta 12.III.1943; por. J.J. Terej, *op. cit.*, s. 205.

działną i kontrolowaną przez przedstawicielstwo narodowe wybrane w uczciwych wyborach na podstawie ordynacji demokratycznej". Seyda szedł więc nieco dalej niż Bielecki, ale w przeciwieństwie do deklaracji lipcowej trzech stronnictw bardziej ogólnie traktował kwestię praw obywatelskich i nie przesądzał sprawy, iluprzymiotnikowa będzie ordynacja wyborcza. Seyda wpisał do swej propozycji ustęp dotyczący stosunków społeczno-gospodarczych, ale do projektu trzech stronnictw wprowadził dwie istotne poprawki. Trzy stronnictwa wymieniały prawo rzesz włościańskich do ziemi i sprawiedliwego jej podziału; Seyda pisał o słusznej zasadzie „dzierżenia ziemi przez rzeszę włościańską”, ale nie wspominał o podziale ziemi, czyli parcelacji. W lipcowej Deklaracji Zasad pisano, że celem reform będzie umocnienie racjonalnej wytwórczości społecznej w interesie całej ludności”; Seyda pisał, że celem będzie ugruntowanie „racjonalnej gospodarki w interesie całego narodu”, a więc nie „wytwórczości społecznej” (co sugerowało uspołecznienie, etatyzację itp.) oraz nie w interesie wszystkich obywateli ale Polaków⁶⁸. Projekt Seydy był więc pośredni między deklaracją trzech stronnictw, a warunkami Bieleckiego.

W dążeniu do osiągnięcia kompromisu z rządem Seyda mógł liczyć na niektórych innych działaczy SN, czy tylko wywodzących się z obozu narodowego. Jeszcze w Moskwie, niebawem po zwolnieniu, Stanisław Grabski i Wacław Komarnicki opracowali tezy przyszłego ustroju prawnopañstwowego Polski, które nawiązywały do projektów Związku Ludowo-Narodowego z 1926 r. Grabski nie był już od dawna członkiem SN, ale Komarnicki był prezesem Zarządu Okręgowego SN w Wilnie i członkiem Komitetu Głównego. Po przybyciu do Londynu Grabski stanął na czele utworzonej na początku listopada z jego inicjatywy Komisji Spraw Ustrojowych, a Komarnicki wszedł w jej skład jako członek SN. Oznaczało to złamanie bojkotu, gdyż Komisja była ciałem działającym przy rządzie i miała opracować projekt, którego — wedle Bieleckiego — w ogóle nie należało opracowywać⁶⁹.

M. Seyda wraz z W. Komarnickim oraz B. Winiarskim od połowy października do połowy stycznia 1942 próbowali przekonać Bieleckiego i Folkierskiego o konieczności wejścia do rządu i Rady Narodowej. Mówili, że absencja szkodzi opinii Stronnictwa w kraju i cementuje istniejący w rządzie centrolew. Jeżeli zaś chodzi o układ polsko-sowiecki, to obowiązkiem

68. IHS, PRM 60 D/4.

69. IHS, PRM, K.20; MSW A.9 I c/14. Wymiana listów Sikorskiego z Grabskim w sierpniu 1941.

wszystkich Polaków jest podtrzymywanie polskiej jego interpretacji oraz nieużywanie go do wewnętrznych rozgrywek politycznych. Bielecki i Folkierski nie przyjmowali tych argumentów. Uważali, że nie należy brać udziału we władzach emigracyjnych choćby i do końca wojny. Z kolei u gen. Sikorskiego i u przywódców pozostałych stronnictw próbujący mediować działacze SN napotkali na sprzeciw wobec myśli o udziale Bieleckiego w rządzie. Mimo to po wyjeździe Sikorskiego do Rosji doprowadzili do jeszcze jednego spotkania Bieleckiego z Mikołajczykiem. Wynik rozmowy był jednak negatywny — obie strony stwierdziły bezcelowość dalszych pertraktacji⁷⁰. W listopadzie 1941 Seyda powiadomił Bieleckiego i Folkierskiego, że nie godzi się „na taką opozycję, jaką uprawiają” i ma zamiar wejść do rządu. Do kraju wysłał depezę ostro krytykującą politykę Bieleckiego⁷¹. W grudniu naradzał się w tej sprawie z Komarnickim i Adamem Żółtowskim⁷².

Po powrocie z Rosji Sikorski zwrócił się do Komarnickiego i Winiarskiego o przedstawienie kandydatów SN do Rady Narodowej. Postawił przy tym warunek, że jeśli narodowcy chcą wejść do Rady, muszą też zdecydować się na wejście do rządu. Na nalegania Winiarskiego i Komarnickiego zgodził się, by Bielecki i Folkierski znaleźli się w Radzie Narodowej, o ile do rządu wejdą inni narodowcy. Premier zaczął więc wygrywać rozbieżności w SN, podejmując rozmowy z grupą umiarkowaną i stawiając własne warunki personalne. 17 stycznia 1942 Winiarski i Komarnicki rozmawiali o propozycji Sikorskiego z Folkierskim (Bielecki nie przybył na spotkanie). Zaproponowali, by do rządu weszli Seyda i Komarnicki, a do Rady Narodowej Folkierski i Bielecki. Jednocześnie Komarnicki miał oświadczyć, że ustąpi miejsca Bieleckiemu lub komukolwiek przezeń wskazanemu, gdy tylko będzie on mógł być powołany do rządu. Folkierski odpowiedział, że przedstawi sprawę Bieleckiemu, ale przewiduje wynik negatywny i wykluczenie z SN tych, którzy przyjmą teki ministerialne. Dnia 20 stycznia odbyło się posiedzenie Komitetu Politycznego SN, na którym Winiarski przedstawił przebieg rozmów i uzasadnił potrzebę wejścia do rządu. Propozycja ta została odrzucona w napiętej atmosferze⁷³.

70. List M. Seydy, S. Celichowskiego, W. Komarnickiego, *op. cit.*, A. 48.7/B.

71. *Ibidem*.

72. W. Leitgeber, *op. cit.*, s. 163.

73. IHS, SN, A. 48.7/B, M. Seyda, W. Komarnicki, S. Celichowski, *op. cit.*, por. J.J. Terej, *op. cit.*, s. 205-206. Dysponujemy relacją jedynie jednej strony z przebiegu tych rozmów. Wersja drugiej strony nie jest dostępna historykom. Nie wiadomo, czy w czasie negocjacji była podnoszona kwestia

Dnia 21 stycznia 1942 Marian Seyda i Wacław Komarnicki weszli do rządu, pierwszy jako minister bez teki zajmujący się przygotowaniem do konferencji pokojowej, drugi jako minister sprawiedliwości. W przemówieniu wygłoszonym 24 stycznia do kraju Seyda oświadczył, że zastrzeżenia jakie miał w lipcu 1941 do układu polsko-sowieckiego są już nieaktualne. Dnia 3 lutego 1942 prezydent mianował członków Rady Narodowej, wprowadzając do niej z ramienia SN Mariana Chelmskiego, Lucjana Rybińskiego, Zofię Zaleską i Zbigniewa Szydłowskiego oraz jeszcze przebywającego na wschodzie Stanisława Celichowskiego. Wystąpili oni w Radzie pod nazwą Klubu Narodowego⁷⁴.

W odpowiedzi władze SN ogłosiły komunikat o wykluczeniu ze stronnictwa wszystkich, którzy weszli w skład rządu lub Rady. Decyzję tę zaaprobował Komitet Polityczny. W komentarzu podano, że decyzję taką miały prawo podjąć statutowe władze, które w Londynie reprezentują Bielecki i Folkierski. Mianowani ministrami i członkami Rady postawili stronnictwo wobec faktu dokonanego, przyjęli nominacje bez postawienia odpowiednich warunków politycznych. Należało przez to rozumieć, że oponenci Bieleckiego przeszli do porządku nad warunkami sformułowanymi przez niego w sierpniu 1941 i w rozmowie październikowej z Mikołajczykiem. Pisano, że ze strony rządu jest to metoda rozbijania stronnictw, przypominająca metody sanacyjne. Nowomianowani nie reprezentują SN, a tylko samych siebie. Oceniano, że „odejście kilku panów” nie osłabi stronnictwa, które dysponuje przeszło pół miliona członków. „Przeciwnie, Stronnictwo Narodowe po pozbyciu się obcej mu, jak się okazało, drzazgi w jego organizmie, tym łatwiej i mocniej poprowadzi walkę o podstawy polityki polskiej”⁷⁵.

deklaracji zasad. Z pewnością dla trzech stronnictw uznanie deklaracji lipcowej było nadal warunkiem wejścia SN do rządu. Wkrótce potem rząd ogłosił nową deklarację, minimalnie zmienioną w stosunku do lipcowej. Zmiany te wprowadzono, ulegając żądaniom Seydy i Komarnickiego.

74. J.J. Terej, *op. cit.*, s. 206. W styczniu 1943 odszedł z Rady M. Chelmski, a na jego miejsce powołano Romana Fenglera, który niebawem został wiceprzewodniczącym Rady. Jesienią 1943 w miejsce powołanego do rządu S. Celichowskiego do Rady powołano Tadeusza Kiersnowskiego. *Ibidem*, s. 206. AALC. Działalność 1943. Skład Komisji Rady Narodowej na dzień 20 grudnia 1943. J.J. Terej podaje (s. 206), że w miejsce Celichowskiego „wejść miał” Cz. Meissner, którego nazwisko ze względu na bezpieczeństwo rodziny w kraju nie zostało ujawnione.

75. *Myśl Polska* nr 19 z 20 lutego 1942. Jednocześnie zauważono, że Z. Szydłowski nigdy nie był członkiem SN, a tylko w młodości należał do Młodzieży Wszechpolskiej.

Decyzja władz SN, powzięta w pośpiechu, miała zapewne przeszkodzić rozbiciu stronnictwa na walczące z sobą i prowadzące odmienną politykę frakcje. W komentarzach oficjalnych i w prywatnych rozmowach wyrażano się z lekceważeniem o garstce narodowców „rządowych”. W rzeczywistości jednak kryzys był faktem. Usunięci z SN nie podporządkowali się tej decyzji i występowali jako „grupa członków SN”, choć w walce z Bieleckim zachowywali się raczej defensywnie, nie podejmując próby powołania kontrkierownictwa i przez dłuższy czas licząc na porozumienie. Wykluczenie Seydy ze stronnictwa musiało wyrzucić złe wrażenie na wielu ludziach. Był on jednym z najstarszych stażem narodowców, współtwórcą ruchu, organizatorem jego potęgi w Wielkopolsce, od 1907 r. członkiem Komitetu Centralnego Ligi Narodowej, a potem członkiem Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu. Przez długie lata pracował u boku Dmowskiego w najważniejszym dla stronnictwa okresie jego historii. Reprezentował tradycję ruchu i był już postacią historyczną. Wyrzucenie go ze stronnictwa przez młodszego o 22 lata Bieleckiego można było uznać za nietakt. Do tego dochodziły polityczne zastrzeżenia co do słuszności linii prezesa. W ciągu najbliższych tygodni po stronie Seydy opowiedzieli się członkowie Komitetu Politycznego SN Bohdan Winiarski i Czesław Meissner, a po przybyciu z ZSSR Stanisław Celichowski (przed wojną członek Komitetu Głównego), Roman Fengler (znany działacz z Poznania), Tadeusz Kiersnowski (były przywódca Ruchu Młodych w Wilnie) i Stanisław Skrzypek. Wśród zwolenników Seydy przeważali „starzy”, ale w sporze z Bieleckim udzielili mu również poparcia ludzie z pokolenia Bieleckiego — Chelmickowski, Fengler, Kiersnowski.

W grupie Seydy dominowało przekonanie, że okres wojny wymaga współdziałania różnych ugrupowań w ramach rządu jedności narodowej. Byli przeciwni mnożeniu formalnych czy ideologicznych przeszkód w osiągnięciu tej jedności, zaś będąc w zasadzie z temperamentu i przekonania politykami typu parlamentarnego, nie mieli tak licznych zastrzeżeń wobec deklaracji zasad, jak bielecczycy. Inaczej też patrzyli na politykę wschodnią Sikorskiego. Nawet jeśli nie byli entuzjastami układu lipcowego, uważali, że przyniósł wymierne korzyści, jak zwolnienie więźniów, utworzenie armii Andersa, utrzymanie Polski we wspólnej linii politycznej z Anglosasami. Oceniali, że opozycja nie potrafi przedstawić realistycznej koncepcji innej polityki, która przyniosłaby podobne korzyści. Wobec Sikorskiego byli niejednokrotnie krytyczni⁷⁶, ale

76. Seyda mówił Leitgeberowi 6 stycznia 1942: „Sikorski rzuca słowami, działa pod wpływem impulsów, przy czym jest człowiekiem próżnym, co nie raz wykorzystują Anglicy”. W. Leitgeber, *op. cit.*, s. 157.

nie dostrzegali alternatywy personalnej na urząd premiera. Wobec stanowiska Bieleckiego chętnie angażowali się w prace dotyczące przyszłego ustroju, starając się przy tym stępić radykalizm niektórych projektów i przeprowadzić możliwie wiele konserwatywnych rozwiązań. Marian Seyda w depeszy do kraju z 8 czerwca 1942 tłumaczył, że udało się im w deklaracji lutowej rządu przeforsować równouprawnienie dla mniejszości narodowych „konieczne na gruncie anglosaskim”, ale „tylko dla obywateli wiernych Rzeczypospolitej”⁷⁷. Wcześniej jeszcze Seyda tłumaczył krajowemu kierownictwu SN, że sanacja stawia na rozbicie Rosji i stworzenie Wielkiej Ukrainy. Ponieważ Bieleckiego oskarżano w tym czasie o współdziałanie z sanacją, Seyda zamierzał zapewne poderwać zaufanie Kraju do osoby prezesa. Jednocześnie w imieniu własnej grupy deklarował: „Odrzucamy stanowczo wszelkie karkołomne próby sojuszu z sanacją i trwamy bezwzględnie na gruncie tradycyjnej narodowej polityki zagranicznej”. Zaznaczał zgodność z resztą rządu co do sprzeciwu wobec ewentualnego przyznania ZSSR Litwy i Bukowiny. Następnie pisał: „Dobro Polski wymaga, by rząd był w wielkim swym wysiłku w trudnym okresie wojny silnie politycznie podtrzymany przez zwartą opinię Kraju, bo nacisk Moskwy na Londyn niewątpliwie nie ustanie”⁷⁸. Depesze te były już ważnymi instrumentami działania w walce z Bieleckim o uzyskanie poparcia krajowego SN. Walkę tę Seyda z dużym uporem będzie prowadził aż do jesieni 1944 roku.

Tadeusz Bielecki i jego grupa znaleźli się w trudnej sytuacji. Przede wszystkim rząd próbował im uniemożliwić kontaktowanie się z władzami konspiracyjnego SN w Polsce. Placówki rządowe, a w pierwszym rządzie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, zajmujące się przekazywaniem depesz polityków do Polski i z Polski, odmawiały wysyłania korespondencji Bieleckiego. Monopol na kontaktowanie się z Krajem i informowanie go otrzymał Seyda⁷⁹. Ludzi Bieleckiego eliminowano z aparatu rządowego lub przenoszono na drugorzędne politycznie placówki, np. Władysław Kański otrzymał przeniesienie z Jerozolimy do Kongo.

Przechodząc do zdecydowanej opozycji SN Bieleckiego pod-

77. M. Seyda do Kwadratu 8 czerwca 1942, otrz. 11 czerwca 1942, CA KC PZPR 202/1-2 k. 18-19.

78. M. Seyda do Kwadratu 7 kwietnia 1942, otrz. 27 kwietnia 1942, CA KC PZPR, 202/1-2 k.9.

79. Bieleckiemu udało się otrzymać niektóre depesze za pośrednictwem wojskowej sieci łączności, ale były one nieliczne. Ich egzemplarze nie udało się odnaleźć, choć zostały zaprotokołowane w odpowiednich księgach Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza przechowywanych w Studium Polski Podziemnej w Londynie.

jęło próbę konsolidacji wszystkich ugrupowań i środowisk wywodzących się z Obozu Wielkiej Polski. W lutym 1942 ogłoszono o powstaniu Komitetu Zagranicznego Obozu Narodowego, jako porozumienia łączącego Stronnictwo Narodowe, ONR-ABC, ONR-Falanga oraz „niezrzeszonych narodowców”. Zadaniem Komitetu miała być „koncentracja sił narodowych celem dania Narodowi Polskiemu pełnej niezależności politycznej, gospodarczej i kulturalnej”. Zapowiadano, że niepodległa Polska, która powstanie po pogromie Niemiec powiększy się na północy i zachodzie „o odwieczne swe ziemie, w niczym nie naruszając swego terytorium na wschodzie”. Decyzje w sprawach wewnętrznych należą wyłącznie do kraju — pisano najwyraźniej z myślą o lutowej deklaracji rządowej, a „Polska czerpać będzie z własnej tysiącletniej tradycji dziejowej, nie naśladując obcych wzorów, skądkolwiek by one pochodziły. Państwo polskie oprze się na podstawach katolickich i narodowych, dając własny wyraz przemianom społeczno-gospodarczym, które wstrząsają światem⁸⁰”. Słowa te były wieloznaczne. Mogły być czytane jako zdystansowanie się od demokracji parlamentarnej i opowiedzenie się za formułą rządów monopartyjnych. Tak też były odbierane przez przeciwników politycznych Bieleckiego i KZON.

Składu Komitetu oficjalnie nie podano. Według Jerzego J. Tereja weszli doń Tadeusz Bielecki jako przewodniczący, Marian Rojek, Edward Sojka, Aleksander Demidowicz-Demidecki, a wkrótce potem Ludwik Kopeć z SN, Mieczysław Harusewicz, Władysław Bałucki, Milewski z ONR-ABC, Zygmunt Przetańkiewicz i Poliński z ONR-Falanga oraz Adam Doboszyński, jako bezpartyjny narodowiec⁸¹. W lipcu 1942 Bielecki wymienił Zygmunta Stermińskiego jako członka KZON reprezentującego ONR-Falanga⁸². W złożonej Seydzie notatce o konferencji KZON w sierpniu 1942 znalazły się nazwiska jego uczestników — Harusewicza, Doboszyńskiego, ks. Stanisława Belcha, Edwarda Muszalskiego, Gigiela, Ręczlewskiego⁸³. A. Dargas w relacji złożonej autorowi wymienił W. Folkierskiego oraz Wojciecha Dłużewskiego z ONR-ABC⁸⁴.

Powstanie KZON było wyrazem dalszego odseparowania się SN od stronnictw centrowych. Jak trafnie zauważył J.J. Terej, „rozbrat z grupą Seydy bielecczycy wspierali konsolidacją z

80. *Myśl Polska* nr 20 z 15 marca 1942.

81. J.J. Terej: *Idee, op. cit.*, s. 203.

82. List T. Bieleckiego do W. Kańskiego z lipca 1942. Papiery W. Kańskiego udostępnione autorowi przez A. Dargasa.

83. IHS, MPK, teka A.29.9/1.

84. Relacja A. Dargasa udzielona autorowi.

ONR-owcami⁸⁵”. Na początku czerwca 1942 Bielecki pisał, że połączenie z oboma ONR zrobiliśmy „bardzo ostrożnie, zachowując *całkowitą odrębność* organizacyjną i ustalając taki sposób porozumiewania się, żeby nam nic wbrew naszej woli narzucić nie mogli⁸⁶. A. Demidecki w liście do Kańskiego ocenił, że ośrodkiem „krystalizacyjnym tego połączenia jest SN i osoba Tadzia i jego najbliższych współpracowników⁸⁷. W liście do przywódców SN w kraju Bielecki pisał, że „Komitet ma na celu ustalenie wspólnych wytycznych politycznych oraz koordynowanie prac organizacyjnych. (...) Chcielibyśmy aby było to zaczątkiem przyszłego obozu narodowego pod prymatem SN, które zasymiluje dotychczasowe odłamy”. Bielecki pragnął więc, by KZON był nie tylko porozumieniem międzypartyjnym, ale prowadził do stopniowego wchłonięcia przez SN secesjonistów z 1934 roku⁸⁸.

Porozumienie miało dotyczyć nie tylko Londynu, ale bodaj wszystkich większych ośrodków działania SN. W liście do krajowych władz SN Bielecki zachęcał, by fakt porozumienia odpowiednio zużytkowali, biorąc pod uwagę własne warunki⁸⁹. W lipcu 1942 Bielecki informował Kańskiego, że Stermiński został delegowany przez KZON na Wschód. Gdyby się znalazł w Palestynie „to dobrze będzie jeśli się będziecie razem spotykać i wspólnie sprawy omawiać i ze sobą kolaborować⁹⁰”. Zespolenie SN z ONR mogło się jednak odbywać tylko na płaszczyźnie zaostrenia krytyki ustroju demokratycznego, mocniejszego zaakcentowania ideologii nacjonalistycznej, większej agresywności wobec Żydów, wolnomularstwa, stronnictw centrowych i lewicowych.

Okres 1939-1942 był w dziejach Stronnictwa Narodowego szczególnie istotny. Przedwojenne podziały pokoleniowe i ideowe stały się po wrześniu 1939 mniej wyraźne. Dopóki Tadeusz Bielecki prowadził politykę kompromisową w stosunku do rządu i innych stronnictw, było możliwe stuszowanie podziału na „starych” i „młodych”. Kiedy wystąpił z polityką pryncypialną i zaczął szukać otwarcia w stronę skrajnej prawicy, doszło do rozłamu w SN na emigracji. Kierujący podziemnym SN w kraju

85. J.J. Terej: *Rzeczywistość*, op. cit., s. 207.

86. List T. Bieleckiego do W. Kańskiego z 4 czerwca 1942. Papiery W. Kańskiego udostępnione autorowi przez A. Dargasa.

87. A. Demidowicz-Demidecki do W. Kańskiego 3 czerwca 1942, tamże.

88. T. Bielecki do kraju (maj 1942), szerzej list ten cytuję w książce *O kształt Niepodległej*, Warszawa 1989, s. 466-468.

89. *Ibidem*, s. 467.

90. T. Bielecki do W. Kańskiego z lipca 1942. Papiery W. Kańskiego udostępnione autorowi przez A. Dargasa.

Stefan Sacha utrzymał politykę kompromisową i nie zdecydował się na porozumienie ze skrajnymi odłamami obozu narodowego. Dzięki temu w podziemnym Stronnictwie Narodowym zachowano jedność „bielecczyków” ze „starymi”.

W Londynie grupa „starych” kierowana przez Seydę, wzmocniona przez działaczy przybyłych z Rosji, mogła się wydawać Sikorskiemu i innym politykom alternatywą dla Bieleckiego i jego otoczenia. W rzeczywistości była to grupa zróżnicowana i pozbawiona woli walki w tym sensie, że wzdragała się przed dokonaniem otwartego rozłamu. Na to niezdecydowanie wpływał fakt, że w krajowym SN grupa Seydy nie znalazła grupy, która byłaby skłonna zdecydowanie poprzeć ją przeciw Bieleckiemu. Nawet „starzy” politycy krajowi nakłaniali Seydę do pogodzenia się z Bieleckim. Londyńska grupa „starych” popierała politykę Sikorskiego, potem Mikołajczyka aż do listopada 1944 r. i wraz z klęską tej polityki rozsypała się.

Grupa Bieleckiego nie zdołała doprowadzić do trwałej konsolidacji SN z grupami narodowo-radykalnymi, a szczególnie do przeniesienia takiej konsolidacji do Kraju. Nadbudowa polityczna Narodowych Sił Zbrojnych była związana z inną orientacją niż ta, którą uosabiał Bielecki. Prezes SN zwalczał politykę Sikorskiego i Mikołajczyka, szczególnie wobec ZSSR. Jakkolwiek w krytyce tej polityki wypowiedziano szereg słusznych uwag, to jednak *per saldo* nie przedstawiono przekonywującej propozycji innej polityki. W zakresie spraw wewnętrznych Bielecki unikał jednoznacznych deklaracji, zarówno za pluralizmem i parlamentaryzmem, jak za monopartyjnością i dyktaturą. Ta niejednoznaczność pozwalała Bieleckiemu zachować autorytet wśród różnych odłamów krajowego SN. Jesienią 1944 r. pozwoliła zaś w koalicji z PPS i SP stworzyć rząd Arciszewskiego.

Andrzej FRISZKE

Leszek BRZOZA

NIEDOSZŁA KONFERENCJA DYPLOMATÓW POLSKICH W 1953 R.

Głównym zadaniem polskiej polityki zagranicznej w okresie wojny było utrzymanie Polski w gronie państw sojuszniczych i zapewnienie jej należytej pozycji w powojennej Europie. Niezależnie od rzeczywistego zakresu możliwości oddziaływania politycznego na sprawy polskie, rząd emigracyjny stanowił uznany przez wszystkie mocarstwa podmiot polityczny. Stąd też główne działania polskie w zakresie polityki zagranicznej odbywały się w formie normalnych stosunków międzypaństwowych. Zakończenie wojny i wycofanie uznania dla rządu przez wielkie mocarstwa rozpoczęły zupełnie nowy okres obrony interesów polskich na forum międzynarodowym. Emigracja nie wyłoniła jednolitego ośrodka politycznego, a podziały zaczęły się z czasem pogłębiać. Zasadniczo wszystkie ośrodki polityczne emigracji przyjmowały prymat polityki zagranicznej nad zagadnieniami wewnętrznymi. Jednakże życie polityczne w głównej mierze toczyło się wokół spraw wewnętrznych i sporów między ośrodkami. Postulat zjednoczenia i próby jego osiągnięcia w latach 1947-1953 podejmowane były dość często, jednak bez powodzenia. Pomimo często powtarzanego argumentu, iż zjednoczenie doprowadzi do ujednolicenia, a co za tym idzie zwiększenia efektywności działań polskich na arenie międzynarodowej, kontrowersje układu rząd — stronnictwa (PPS i SN) — Mikołajczyk były nierozwiązywalne.

Możliwości prowadzenia polityki zagranicznej przez ośrodki emigracyjne były poważnie ograniczone. Rząd emigracyjny zachowywał konstytucyjne prawo kierowania polityką zagrani-

czną i występowania w imieniu narodu polskiego. Podkreślał zasadę swej wyłączności działań w tej dziedzinie i krytykował stronnictwa wkraczające na to pole, nawet gdy treść wystąpień nie odbiegała od poglądów rządu. Rząd kierując nadal dawnym aparatem służby zagranicznej był najlepiej przygotowany do kontynuacji działalności w nowych warunkach. Rząd polski był uznawany i utrzymywał stosunki dyplomatyczne z Watykanem, Hiszpanią, Libanem i Kubą (w Irlandii istniała placówka konsularna, poselstwo na Kubie w 1950 r. zamknięto ze względu na trudności finansowe). Na terenie najważniejszych państw, które uznały władze warszawskie, działali nieoficjalni przedstawiciele dyplomatyczni, w większości wypadków dawni ambasadorowie i posłowie w danych krajach. Na terenie Stanów Zjednoczonych, wobec rezygnacji Jana Ciechanowskiego, rolę tę pełnili kolejno Jan Wszelaki, Juliusz Łukasiewicz i Józef Lipski.

Sytuacja prawna rządu wynikająca z braku uznania powodowała, że jego działania na arenie międzynarodowej (podobnie jak pozostałych ośrodków politycznych) ograniczały się do składania memoriałów i oświadczeń¹. Okazją do tych wystąpień były częste konferencje czterech mocarstw, trzech mocarstw zachodnich, bardziej znaczące wystąpienia poszczególnych polityków, ważniejsze wydarzenia krajowe. Postulaty obozu niepodległościowego (nie zaliczano do niego Mikołajczyka) były zasadniczo niezmiennie, a ośrodki polityczne wyrażały podobne programy. Jako przykład może służyć oświadczenie rządu z 21 stycznia 1947 r. w sprawie wyborów w Polsce. Rząd stwierdzał: „(...) że wybory w Polsce nie były ani wolne ani nieskrępowane; że wyniki wyborów nie są wynikiem swobodnej woli Narodu Polskiego; (...) że rząd utworzony na podstawie 'wyborów' z 19 stycznia 1947 r., nie może być uznany przez mocarstwa; że w najbliższym czasie powinny się odbyć w Polsce wolne i nieskrępowane wybory.

Rząd Polski uważa, że dla zapewnienia istotnej wolności nowych wyborów należy wycofać wszystkie wojska sowieckie i wszelkiego rodzaju jawną i tajną policję sowiecką z całej Polski; usunąć obcą, narzuconą Polsce administrację komunistyczną i zastąpić ją przez administrację cieszącą się zaufaniem Narodu Polskiego; przywrócić praworządność w Polsce; (...) przywrócić demokratyczną ordynację wyborczą”.

Emigracyjna polityka zagraniczna nie miała szans odgrywać

1. Największe znaczenie historyczne ma oświadczenie rządu Tomasza Arciszewskiego z 13 lutego 1945 r. w sprawie układów jałtańskich, iż „decyzje konferencji Trzech dotyczące Polski nie mogą być uznane przez Rząd Polski i nie mogą obowiązywać Narodu Polskiego”.

inicjującej roli w stosunkach międzynarodowych, dlatego też pozostawało jej ustosunkowywanie się do bieżących wydarzeń politycznych. W tym zakresie decydujące znaczenie miały stosunki amerykańsko-sowieckie. Wobec zaostrzającego się konfliktu między obu mocarstwami polityka amerykańska w odniesieniu do wschodniej Europy podlegała pewnym przemianom. W roku 1946 w polityce Zachodu zaczęto używać pojęć żelazna kurtyna i zimna wojna. W marcu 1947 r. prezydent Truman wypowiedział swoją doktrynę. W swym wystąpieniu stwierdził, że „polityką Stanów Zjednoczonych musi być popieranie wolnych narodów, które przeciwstawiają się próbom ujarzmienia ich przez uzbrojone mniejszości lub przez naciski z zewnątrz”. Wypowiedź odnosiła się do Grecji i Turcji, natomiast latem 1947 przyjęto ogólną dyrektywę nazwaną doktryną powstrzymania.

W roku następnym w Stanach Zjednoczonych miała miejsce kampania wyborcza, która przebiegała pod znakiem przewagi republikańskiej. Kandydatem tej partii został Dewney (kandydował również gen. Mac Arthur), ale ostatecznie prezydentem został wybrany Truman. Ważnym wydarzeniem politycznym tego roku było wprowadzenie 19 czerwca przez wojska sowieckie blokady Berlina. Konsekwencją zaostrzającej się sytuacji międzynarodowej był amerykański plan „X”, przedstawiony przez sen. Bridgesa. Dotyczył on organizowania ruchów podziemnych w krajach okupowanych przez Związek Sowiecki. Stanowisko polskie było jednoznacznie przeciwne tym planom. Stwierdzano: „Stany Zjednoczone nie prowadzą wojny z Rosją Sowiecką i uznają wszystkie bez wyjątku rządy, narzucone przez Moskwę krajom za żelazną kurtyną. Nie mają też decyzji podjęcia takiej wojny, chyba że zmusi je do tego dalsza ekspansja Sowieców. Polityka amerykańska nie przeciwstawia się też dotąd panowaniu sowieckiemu na obszarach, które oddane zostały w Jalcie pod wpływy ZSSR. (...) W tych warunkach tworzenie w krajach pozostających pod bezpośrednią lub pośrednią okupacją ruchów podziemnych z inspiracji amerykańskiej, byłoby działaniem z punktu widzenia interesów tych krajów całkowicie nieuzasadnionym, a grożącym bezcelowymi, ciężkimi ofiarami”.

W czerwcu następnego roku powołany został Komitet Wolnej Europy (*National Council of Free Europe*). Oficjalnie była to instytucja prywatna, ale jej bliskie powiązania z Departamentem Stanu były ogólnie znane. Ocena celów politycznych Komitetu oraz charakteru udziału w nim reprezentantów polskich wzbudzały wiele kontrowersji w środowiskach polskich. Komitet inspirował powstawanie komitetów narodowych.

2. Oświadczenie rządu z 4 maja 1948 r. w sprawie Planu „X”.

W przypadku polskim, wobec istnienia rządu, powstanie takiego komitetu w reprezentatywnym kształcie oznaczałoby zerwanie z legalizmem. Stąd też taka idea była gwałtownie zwalczana. Inna obawa dotyczyła ulegania polityce amerykańskiej w kwestii układów jałtańskich i spraw niemieckich. Z inicjatywy KWE Mikołajczyk w maju 1950 r. powołał Polski Narodowy Komitet Demokratyczny, ale jego reprezentatywność była dość ograniczona. Dalsze starania KWE biegły w kierunku doprowadzenia do porozumienia między PNKD a Radą Polityczną. Zabiegi te stały się bardzo żywe z końcem 1951 r., ale nie przyniosły oczekiwanych skutków.

Wydarzeniem o kapitalnym znaczeniu dla polityki amerykańskiej był wybuch wojny koreańskiej w czerwcu 1950 r. Gwałtownie wzrósł budżet zbrojeniowy. Amerykanie jednak nie dążyli do eskalacji konfliktu, czego przejawem było odwołanie w kwietniu 1951 r. gen. Mac Arthura popieranego przez opinię polską. Dodatkowym skutkiem wybuchu wojny był wzrost nastrojów antykomunistycznych wspieranych przez sen. McCarthy'ego.

Ożywieniu uległy inicjatywy amerykańskie zmierzające do odtworzenia w jakiejś formie Polskich Sił Zbrojnych. Amerykanie nie byli jednak skłonni do akceptowania warunków politycznych, wysuwanych przez polskie czynniki wojskowe, które podporządkowane były rządowi. Warunki te przedstawił Amerykanom gen. Anders w czasie swej wizyty w Stanach Zjednoczonych jesienią 1950 r. Dotyczyły one odwołania układów w Teheranie i Jalcie, przywrócenia uznania legalnemu rządowi polskiemu, zawarcia z rządem legalnym umów politycznych, zagwarantowania granic z 1939 r. na wschodzie i Odry i Nysy na zachodzie³.

W roku 1952 miała miejsce kolejna kampania wyborcza. Wydawało się, że jej wynik będzie poważnie rzutował na dalsze kierunki polityki amerykańskiej. Demokraci starali się przedstawić osiągnięcia doktryny powstrzymania, której częścią był plan Marshalla oraz plany obrony europejskiej. Podtrzymywali również słuszność układów zawartych w Jalcie. Ich konto poważnie obciążała sytuacja azjatycka, utracono Chiny, a wojna koreańska nie była popularna w społeczeństwie. Początkowo głównym kandydatem demokratów był ponownie Truman, ale ostatecznie konwencja wybrała Adlai Stevensona. Strona republikańska propagowała rozwinięcie aktywniejszej polityki, nazywając ją doktryną wyzwalań. Głównymi politykami tego obozu byli sen.

3. List gen. Sosnkowskiego do gen. Bortnowskiego z 30 października 1950 r. (kolejka gen. Sosnkowskiego, Instytut im. Piłsudskiego, Londyn).

Taft i gen. Eisenhower; konwencja republikańska wybrała tego ostatniego.

Głosy Polonii amerykańskiej zawsze w czasie wyborów miały znaczenie, zwłaszcza gdy kandydat nie miał zdecydowanej przewagi. Ogólnie można powiedzieć, że Polonia w swej większości oddawała głosy na demokratów, tak było w roku 1944 i 1948⁴. Żadna z polskich organizacji, w tym Kongres Polonii Amerykańskiej, nie wzywała do głosowania na którąś z partii, uważając, iż formalne zaangażowanie się w kampanię wyborczą jednej z partii byłoby błędne i prowadziłoby do zbędnych podziałów, zwłaszcza że kongresmeni polskiego pochodzenia należeli do obu partii. W roku 1952 wyrażano przekonanie, iż należy poprzeć kandydata, którego program wyborczy będzie w większym stopniu uwzględniał sprawy polskie i Europy Wschodniej. Przeprowadzenie rekonesansu politycznego — w postaci przeprowadzenia rozmów z oboma kandydatami — przypadło gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu.

Gen. Sosnkowski od końca 1944 r. przebywał w Kanadzie. W pierwszych latach pobytu jego działalność publiczna ograniczona była do tamtejszej Polonii ze względu na rozmaite restrykcje wizowe, jakim był poddany. Tym niemniej utrzymywał on żywy kontakt korespondencyjny z kręgami wojskowymi oraz politycznymi związanymi z Ligą Niepodległości Polski (LNP), a na terenie Stanów Zjednoczonych z gronem piłsudczyków biorących czynny udział w Komitecie Narodowym Amerykanów Polskiego Pochodzenia (KNAPP). Już w 1951 r. gen. Sosnkowski chciał odbyć podróż do Anglii w celu uzgodnienia szeregu spraw politycznych, szczególnie związanych z działalnością na terenie amerykańskim. Natomiast LNP wysunęła kwestię kandydatury gen. Sosnkowskiego na następcę prezydenta oraz przeprowadzenia pod jej kierownictwem akcji zjednoczeniowej obozu niepodległościowego. Ostatecznie do przyjazdu nie doszło i sprawę odkładano aż do końca 1952 r.

Gen. Sosnkowski rozmowy z kandydatami przeprowadził na

4. W sprawozdaniu dla MSZ z 6 listopada 1948 r. Jan Wszelaki stwierdza, że „wiele aktywnych czynników Polonii i wśród emigrantów politycznych spekulowało na zwycięstwo republikańców (...) góra Kongresu Polonii w osobie cenzora sędziego Gunthera i prezesa Rozmarka (po długich wahaniach na trzy dni przed wyborami) wypowiedziała się za Dewey'em (...) teza, że Polonia amerykańska głosować będzie w swej większości za republikańcami okazała się domniemanie fałszywa, przynajmniej jeśli chodzi o zachód Stanów. Robotnicze rzesze Polonii poszły za partią, która dawała im większe gwarancje opieki ich interesów osobistych. Zresztą demokraci wykazali większe zrozumienie dla interesów mniejszości językowych, choćby przez wysunięcie wielu kandydatów tych mniejszości”. (kol. Łukasiewicza, Instytut im. Piłsudskiego, Nowy Jork).

krótko przed wyborami, nie wiadomo, jak ich wynik rzutował na głosy polskie. Zaproszenie do przeprowadzenia rozmów wystosowali obaj kandydaci, przy czym zaproszenie demokratów było wcześniejsze. Gen. Sosnkowski uważał, że tylko w takiej sytuacji należy podejmować rozmowy, gdyż „rozmowy jednostronne miałyby pozory mieszania się w wewnętrzne sprawy amerykańskie”. Jego przyjazd do Nowego Jorku nastąpił 29 października 1952 r. Demokraci starali się narzucić warunek rozmowy w postaci niekrytykowania Jałty. Ostatecznie zrezygnowali z niego, ale spowodowało to odroczenie spotkania. Rozmowa z gen. Eisenhowerem odbyła się 30 października i była wcześniej przygotowana przez amb. Bliss-Lane'a. W czasie rozmowy gen. Sosnkowski stwierdził, że „dla podtrzymania ducha oporu przeciw sowietyzacji kraje te (opанowane przez Sowiety) muszą mieć świadomość, że wolny świat pod przewodem Ameryki stać będzie na stanowisku prawa i sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych i że świat potępią złamanie tych zasad przez układy w Teheranie i Jałcie”. Gen. Eisenhower powiedział, że „pakt jałtański był haniebnym i powinien być niezwłocznie zniesiony. Niejednokrotnie wypowiadałem się w sprawie wyzwolenia narodu polskiego; wszystkie narody za żelazną kurtyną winny być podtrzymywane w nadziei na ostateczne odzyskanie wolności. Osiągnięcie tego powinno być jednym z celów amerykańskiej polityki zagranicznej”. W czasie rozmowy uzgodniono również pogląd, iż nie jest wskazane zachęcanie do zbrojnego oporu. Rozmowa ze Stevensonem miała miejsce następnego dnia wieczorem. W czasie jej trwania gen. Sosnkowski podkreślił znaczenie oświadczenia Stevensona w sprawie zbrojnego oporu za żelazną kurtyną. Rozmówca wyraził pogląd, że Polska powinna odzyskać pełną wolność i niepodległość. Oświadczył on również, że wzorem dla niego był prezydent Wilson i byłby bardzo szczęśliwy, gdyby mógł być wykonawcą jego testamentu politycznego. Generał wspomniął o potrzebie uznania rządów i reprezentacji narodów przebywających na emigracji. Komentując odbyte rozmowy gen. Sosnkowski stwierdził, że „formuła wilsonowska” użyta przez Stevensona była przez niego przemyślana i przygotowana i posiada „znamienną i korzystną dla nas treść polityczną”. Oświadczenia kandydatów mają szczególne znaczenie, gdyż zostały złożone przedstawicielowi narodów ujarzmionych. Inną dobrą stroną było nawiązanie osobistego kontaktu z osobą, która obejmuje urząd prezydenta⁵.

Wybory prezydenckie wygrał gen. Eisenhower, który miał

5. List gen. Sosnkowskiego z 3 października 1952 r. (kol. Katelbacha I.P.N.J.).

objąć urząd 20 stycznia 1953 r. Gen. Sosnkowski w grudniu 1952 r. udał się w podróż do Londynu. Wynikiem jego rozmów politycznych było podjęcie się przeprowadzenia akcji zjednoczeniowej. W wyniku przeprowadzonej konsultacji wszystkie stronnictwa wypowiedziały się za kandydaturą gen. Sosnkowskiego na następcę prezydenta. Prezydent August Zaleski wyraził gotowość natychmiastowego dokonania nominacji. Gen. Sosnkowski uchylił się, zgłaszając swą gotowość w momencie osiągnięcia porozumienia w sprawie zjednoczenia.

Idea zwołania konferencji dyplomatów polskich wiąże się z kampanią wyborczą w Stanach Zjednoczonych i planami akcji zjednoczeniowej. Po raz pierwszy przedstawił ją ministrowi spraw zagranicznych 6 października 1952 r. Rudolf Rathaus⁶, polski przedsiębiorca w Stanach Zjednoczonych, w czasie swej podróży do Europy. Ideę zjazdu przedstawił jako swój pomysł, ale działał on na prośbę gen. Sosnkowskiego. Minister Mieczysław Sokołowski przychylił się do planu, który w tym czasie miał dość ogólny charakter. Odbycie zjazdu uzasadniono zmianami w polityce amerykańskiej, jakich należy się spodziewać po nowej administracji. Po powrocie do Nowego Jorku Rathaus pisał do Sokołowskiego: „Im bardziej badam sytuację i zapoznałem się ze zjawiskami politycznymi w Ameryce, tym bardziej widzę, że plan ten jest nie tylko dobry, ale winien być bardzo skuteczny. Badałem tę sprawę od strony moich osobistych przyjaciół, którzy uznali go jako realny dla przywrócenia uwagi tutejszych czynników politycznych na sprawę Europy Środkowo-Wschodniej. Wydaje się, że konferencja taka, grupująca najlepsze i najbardziej doświadczone umysły polityczne i dyplomatyczne Polski za granicą, będzie miała tytuł do wypowiedzenia się w sprawach nie tylko Polski, ale Europy, zwłaszcza zaś ścisłej łączności między Wschodnią i Zachodnią Europą”. Zaznaczył fachowy charakter konferencji, gdyż zespół dyplomatów „stawia całą sprawę nadrzędnie ponad spory partyjne i personalne, a daje Amerykanom wrażenie, że konferencja to obrady specjalistów”. Zdaniem autora listu, konferencja powinna mieć precyzyjne przygotowanie programowe i techniczne, aby uzyskać odpowiedni rozgłos. Sprawa składu omawiana była w Londynie i zaproszenia dotyczyły amb. Kazimierza Papée, Józefa Potockiego, Kajetana Morawskiego, posła Tadeusza Skowrońskiego z Brazylii, amb. Jerzego Potockiego z Peru oraz dyplomatów przebywających na terenie Stanów Zjednoczonych lub Kanady, Tadeusza Romera, Jana Wszelakiego, Józefa Lipskiego i Romana Dębickiego, jak również samego ministra spraw zagranicznych. W liście podkreś-

6. Były urzędnik MSZ.

lono, że gen. Sosnkowski w pełni aprobuje projekt konferencji, a jej strona finansowa ma poparcie Alfreda Jurzykowskiego⁷.

Dalsze działania na rzecz zwołania konferencji przejął osobiście gen. Sosnkowski. Jeszcze przed wyjazdem do Londynu rozesłał on do przewidywanych uczestników list zapraszający. Powoływał się w nim na zgodę min. Sokołowskiego na odbycie konferencji i jego własny w niej udział. Generał wyrażał opinię, że objęcie „rządu Stanów Zjednoczonych w dniu 20 stycznia przez stronnictwo republikańskie rozpocznie nowy, niezmiernie doniosły okres w stosunkach międzynarodowych, mogących mieć również decydujące znaczenie dla losu sprawy polskiej. Moment ten nie może być przez nas zaniedbany. Musimy ustalić i uzgodnić cele i tezy programowej polskiej polityki zagranicznej, uprzystępniając je w granicach właściwych miarodajnym czynnikom obcym z jednej strony, a opinii publicznej z drugiej. Musimy obmyśleć i zapewnić skuteczność naszych postulatów w ich powiązaniu z ogólnym zagadnieniem przyszłości Europy, a także wolności i bezpieczeństwa całego świata”. Powyższe zadania ułatwiał udany udział Polonii w kampanii wyborczej, a utrudniał brak jednoci obozu niepodległościowego. Kwestie zjednoczeniowe gen. Sosnkowski spodziwał się poruszyć w czasie wizyty w Londynie. Jego zdaniem zjednoczenie było zagadnieniem centralnym „dookoła którego obraca się wszystko, a więc i organizacja na terenie międzynarodowym walki politycznej o prawa Polski i wpływ nasz na rozwiązanie problemu niemieckiego i ewentualne odtworzenie Polskich Sił Zbrojnych i rozwój akcji Skarbu Narodowego”. W zależności od wyniku rozmów londyńskich, inicjatywy na terenie amerykańskim przybrałyby mniej lub bardziej oficjalny charakter. Generał proponował odbycie zjazdu w dniach 12-14 lutego 1953 r. Rozszerzono listę uczestników. Dołączono do niej amb. Michała Sokolnickiego, Jana Ciechanowskiego, Wacława Grzybowskiego, Edwarda Raczyńskiego, posłów Wacława Babińskiego, Jana Karszo-Siedlewskiego, Michała Mościckiego, Mirosława Arciszewskiego, Leona Orłowskiego⁸.

Projekt zjazdu znalazł pełne poparcie dyplomatów. Amb. Ciechanowski sugerował jego odbycie w krótkim terminie gdzieś w Europie lub w Stanach Zjednoczonych po zorganizowaniu się nowej administracji, czyli w późniejszym terminie. Sprawa zjazdu została omówiona w czasie rozmowy gen. Sosnkowskiego z min. Sokołowskim 22 grudnia 1952 r. W kwestii składu mini-

7. List R. Rathausa do min. Sokołowskiego z 23 października 1952 r. (kol. Odzierżyńskiego, Instytut im. Sikorskiego, Londyn).

8. List gen. Sosnkowskiego wg rozdzielnika z 29 listopada 1952 r. (j.w.).

ster wyraził potrzebę uczestnictwa Jana Libracha (podsekretarz MSZ) i postać Zygmunta Zawadowskiego z Libanu. Gen. Sosnkowski w tej sprawie widział jedynie trudności finansowe. Minister powiedział o potrzebie powiadomienia czynników amerykańskich, aby Departament Stanu nie był zaskoczony polską inicjatywą. Należałoby się również dostosować do sugestii Departamentu Stanu w sprawie terminu zjazdu. Zjazd „powinien objąć wyłącznie zagadnienia polskiej polityki zagranicznej, z wyłączeniem wszelkich spraw z zakresu polityki wewnętrznej”. Składanie memoriałów czynnikom amerykańskim może mieć miejsce jedynie w imieniu rządu, a zjazd nie może być traktowany jako nowy i odrębny organ polskiej polityki zagranicznej. Minister wyraził również wątpliwość co do poruszania spraw wojskowych i wskazał „na specjalne znaczenie sprawy utrzymania wszelkich posunięć w Ameryce w ramach naszej zasady legalizmu”. Gen. Sosnkowski ogólnie zgadzał się z tymi uwagami, stwierdzając, iż mniej formalne traktowanie sprawy zjazdu mogłoby przynieść korzyści praktyczne⁹. Dokładniejszy program zjazdu miał dostarczyć amb. Romer, który zajmował się sprawami organizacyjnymi.

Przygotowania programowe zostały ustalone w czasie wizyty amb. Romera w Waszyngtonie 2 stycznia 1953 r. w gronie: amb. Ciechanowski i Lipski oraz Wszelaki, Karszo-Siedlewski, Dębicki. Lipski uważał, że „nie należy ze zjazdu robić sprawy propagandowej i raczej utrzymać go w ramach czysto fachowych narad”. Przygotowywana tematyka była obszerna i należy dążyć do sprecyzowania zasadniczych punktów¹⁰. Lipski zajął się powiadomieniem czynników amerykańskich i sprawę zjazdu poruszył w rozmowie z Vedelarem w Departamencie Stanu 5 stycznia 1953 r. Projekt zjazdu i akcja zjednoczeniowa gen. Sosnkowskiego spotkały się z dużym zainteresowaniem Amerykanów¹¹.

Gen. Sosnkowski w drodze powrotnej z Londynu zatrzymał się na krótko w Nowym Jorku, a następnie udał się do Montrealu. W wyniku rozmów londyńskich postanowił podjąć próbę poszerzenia charakteru zjazdu przez zaproszenie do udziału przedstawicieli Rady Politycznej. W liście zapraszającym pisał, że chodzi mu „o wyjaśnienie na terenie amerykańskim naszych szans i możliwości zarówno merytorycznej, jak i proce-

9. Notatka min. Sokołowskiego z 22 grudnia 1952 r. (j.w.).

10. List amb. Lipskiego do min. Sokołowskiego z 3 stycznia 1953 r. (kol. Lipskiego I.P.N.J.).

11. List amb. Lipskiego do min. Sokołowskiego z 11 stycznia 1953 r. (j.w.).

duralnej natury". Zjazd powinien wypracować metody i drogi przyszłych działań. Generał wyraził pogląd, że „zdobycie w tej dziedzinie pełnego obrazu naszych zadań z jednej strony, a możliwości z drugiej, nie będzie mogło obejść się bez dokonania dyskretnych sondażu u nowych miarodajnych czynników amerykańskich. Zależnie od okoliczności, te próby okazać by się mogły jednak w pewnym stopniu angażujące politycznie". Dlatego też udział przedstawicieli Rady Politycznej byłby wskazany. Powiadomiono również Radę Polityczną i innych zainteresowanych, że ze względów technicznych termin zjazdu został przesunięty o tydzień na 19-20 lutego¹².

Gen. Sosnkowski powiadamiał równocześnie o sprawach związanych ze zjazdem min. Sokołowskiego. Stwierdzał, iż zjazd jako inicjatywa nieoficjalna i oparta na prywatnych funduszach może mieć jedynie charakter opiniotwórczy w stosunku do miarodajnych władz państwowych. Generał prosił, aby minister określił formę swojego udziału w pracach zjazdu i ustosunkował się do jego programu. Informował o zaproszeniu przedstawicieli Rady Politycznej, tłumacząc to faktem, iż rozmowy z czynnikami amerykańskimi mogą być politycznie wiążące oraz ich obecność będzie wzmacniała pozycję wobec Amerykanów¹³.

Program zjazdu przewidywał podział całości tematyki na referaty, których przygotowanie byłoby wcześniej powierzone uczestnikom zjazdu. Główne tezy poszczególnych referatów znalazłyby się we właściwym programie zjazdu. Uczestnicy mogliby się zapoznać z nimi wcześniej, a w czasie obrad referent przedstawiałby uzasadnienie swoich tez. Tematy referatów przedstawiały się następująco¹⁴:

I. Pozycje wyjściowe do działań

1. Uzdrawienie stosunków w kierownictwie politycznym emigracji polskiej — gen. Sosnkowski.

2. Oblicze i przypuszczalna polityka nowego rządu amerykańskiego — amb. Ciechanowski.

3. Pokój czy wojna? Ocena od strony Stanów Zjednoczonych — amb. Ciechanowski, Związku Sowieckiego — amb. Grzybowski.

4. Jałta i jej następstwa polityczno-prawne — amb. Lipski.

12. List gen. Sosnkowskiego do Arciszewskiego z 15 stycznia 1953 r. (kol. Arciszewskiego I.S.L.).

13. List gen. Sosnkowskiego do min. Sokołowskiego z 17 stycznia 1953 r. (kol. Odzierżyńskiego I.S.L.).

14. Program zjazdu (j.w.).

II. Poszukiwanie faktów i atutów

Analiza spraw i stosunków obcych pod kątem możliwości ich wykorzystania w interesie sprawy polskiej.

5. Europa Zachodnia
 - A. Wielka Brytania — amb. Raczyński.
 - B. Francja — amb. Morawski.
 - C. Niemcy (z wyłączeniem problemów polsko-niemieckich) — amb. Morawski.
 - D. Hiszpania — pos. Potocki.
6. Bliski i Środkowy Wschód
 - A. Turcja — amb. Sokolnicki.
 - B. Kraje arabskie i Iran — pos. Zawadowski i Karszo-Siedlewski.
 - C. Państwo izraelskie i wpływy żydowskie — pos. Zawadowski.
7. Ameryka Łacińska.
 - A. Argentyna — pos. Arciszewski.
 - B. Brazylia — pos. Skowroński.
 - C. Peru, Chile, Boliwia — amb. Potocki.
 - D. Meksyk i inne kraje basenu Morza Karaibskiego — pos. Dębicki.
8. Stolica Apostolska — amb. Papée.

III. Podstawowe problemy polskie

9. Stosunki polsko-niemieckie — amb. Lipski.
10. Przyszłe losy Rosji, stosunki z sąsiadami wschodnimi Polski — amb. Grzybowski.
11. Stosunki Polski z krajami Europy Środkowej — pos. Wszelaki, Orłowski, Dębicki.
12. Plany i rozwiązania federacyjne w skali europejskiej i regionalnej — amb. Raczyński.
13. Obrona interesów polskich na terenie organizacji międzynarodowych — pos. Mościcki.
14. Możliwości, warunki i chwila odtworzenia PSZ — gen. Sosnkowski.

IV. Walka z komunizmem i obrona narodowych wartości

15. Metody walki z komunizmem od wewnątrz (wojna psychologiczna) — amb. Ciechanowski.
16. Zagadnienia związane z krajem — amb. Morawski.
17. Sprawy finansowe — amb. Romer.

18. Sprawy kulturalne — amb. Raczyński.
19. Sprawy młodzieżowe — amb. Morawski.

W związku z umieszczeniem w programie zjazdu punktu dotyczącego spraw wojskowych gen. Sosnkowski informował o tym gen. Andersa, prosząc równocześnie o przysłanie mu uchwały Rady Gabinetowej w sprawie odtworzenia PSZ oraz referatu Sztabu N.W. na ten temat na wypadek, gdyby te zagadnienia stały się przedmiotem rozmów z Amerykanami. Jednocześnie wyrażał gotowość wycofania tego punktu, jeśli gen. Anders uznał to za wskazane¹⁵.

W tym momencie rozpoczęły się problemy związane z odbyciem konferencji. Gen. Sosnkowski otrzymał odpowiedź na zaproszenie Rady Politycznej. Narada prezesów stronnictw wyraziła opinię, że „koncepcja zamierzonej narady jest sprzeczna z poglądami wyznawanymi w środowisku Rady Politycznej. (...) czynnikiem kompetentnym dla prowadzenia polskiej polityki zagranicznej będzie rząd polski przez Radę Jedności Narodowej wyłoniony, z nią stale współpracujący i przed nią odpowiedzialny. Jeśli się tę zasadę wyznaje, nie można zgodzić się, aby rolę tę miało spełniać grono kilkunastu dyplomatów, których obrady (...) mogłyby dać wyniki 'angażujące polityczne'. W oczach osób o demokratycznym światopoglądzie byłoby to sankcją dla prowadzenia polityki zagranicznej bez oparcia o społeczeństwo”. Zwracano uwagę, że w okresie prowadzenia rokowań zjednoczeniowych „nie jest wskazane, by działalność polityczna Pana Generała mogła być związana z przejawami aktywności jakiegokolwiek zespołu o przeważnie jednostronnym zabarwieniu politycznym”. Udział przedstawicieli Rady Politycznej jest niemożliwy, gdyż stwarzałby wrażenie, że zjednoczenie zostało już osiągnięte. Oceniając sytuację polityczną stwierdzono, że „przemiany w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych stwarzają warunki dla przygotowania odpowiednich zabiegów ze strony polskiej, lecz nie jest to tak naglące, aby do tego przystępować przed osiągnięciem zjednoczenia i utrudniać jego realizację”. Na koniec odradzano zwoływanie zjazdu¹⁶.

List gen. Sosnkowskiego do min. Sokołowskiego oraz program zjazdu po 10 dniach dotarł do Londynu i wywołał szybką reakcję rządu. Uznano, że zaproszenie wyłącznie opozycyjnych partii oraz objęcie programem zjazdu spraw wewnętrznych sta-

15. List gen. Sosnkowskiego do gen. Andersa z 25 stycznia 1953 r. (zbiory Haliny Martinowej, Londyn).

16. List Arciszewskiego do gen. Sosnkowskiego z 26 stycznia 1953 r. (kol. Arciszewskiego I.S.L.).

nowi całkowite zaskoczenie; czyni udział ministra oraz czynnych dyplomatów niemożliwym. Stwierdzono, że takie rozwiązanie wymaga uczestnictwa przedstawicieli wszystkich partii oraz nowego przygotowania, co wymaga czasu. Innym proponowanym rozwiązaniem było ograniczenie zjazdu do uzgodnionego składu i tematyki zagranicznej¹⁷. Równocześnie min. Sokołowski powiadamiał dyplomatów o wycofaniu swojej zgody na ich uczestnictwo w zjeździe¹⁸. Minister wyraził opinię: „Choć jestem gorącym zwolennikiem zgody narodowej, czego dałem liczne dowody, nie mogę w żadnym razie zezwolić na wciąganie sieci dyplomatycznej do polityki wewnętrznej (...). Jest to dla mnie sprawa niezwykle przykra, zarówno ze względu na osobę Generała Sosnkowskiego jak i pożytek takiego zebrania w Ameryce. Mam resztą nadzieję, że Generał będzie mógł powrócić do poprzedniej koncepcji zjazdu czysto dyplomatycznego¹⁹. Jan Librach stwierdzał, że jego zdaniem program zjazdu jest zbyt obszerny i rozgałęziony tematycznie. Wyjątkowa okazja do odbycia spotkania powinna być wykorzystana do szczegółowego omówienia podstawowych zagadnień polskiej polityki niepodległościowej²⁰.

Min. Sokołowski poszerzył swe wyjaśnienia w liście do gen. Sosnkowskiego. Swoją rolę w obradach widział w zagajeniu ogólnym i udziale w dyskusji. Zaproszenie Rady Politycznej było zaskoczeniem i jego zdaniem zmieniło zupełnie sytuację. Stwierdzał, że „zaproszenie na zjazd fachowy polityków partyjnych i to należących jedynie do opozycji, sprawy tej (prowadzenia polityki zagranicznej w oparciu o całość obozu niepodległościowego — L. B.) oczywiście nie tylko nie może załatwić, lecz nawet mogłoby jej zaszkodzić”. Przypomniał, że odrzucił propozycję udziału przedstawicieli Rady Narodowej w naradzie dyplomatycznej w Paryżu w 1951 r. jako sprzeczną z charakterem narady. Skład personalny uwzględniający przedstawicieli partii byłby trudny do ustalenia, a odbycie konferencji „wymagałoby szeregu dokładnych omówień i żmudnych prac przygotowawczych jak i troskliwego opracowania tematyki i sposobu prowadzenia obrad (...) udział dyplomatów byłby niezmiernie utrudniony, gdyż zwłaszcza w naszych warunkach należałoby się

17. Depesza min. Sokołowskiego do gen. Sosnkowskiego z 28 stycznia 1953 r. (kol. Odzierżyńskiego I.S.L.).

18. Depesza min. Sokołowskiego do dyplomatów zaproszonych na zjazd (Papée, Morawski, Grzybowski, Sokolnicki, Zawadowski, Babiński, Potocki) z 28 stycznia 1953 r. (j.w.).

19. List min. Sokołowskiego do amb. Lipskiego z 29 stycznia 1953 r. (j.w.).

20. List Libracha do amb. Romera z 30 stycznia 1953 r. (j.w.).

liczyć z niebezpieczeństwem wciągnięcia Służby Zagranicznej do rozgrywek wewnętrzno-politycznych". W sprawie programu minister wypowiedział się za usunięciem pierwszego tematu, temat nr 14 może być potraktowany jedynie ogólnikowo, ze względu na nieobecność gen. Andersa. Tematy nr 16, 17, 18, 19 mogą być omawiane jeśli będą przygotowane w oparciu o materiały rządowe, a dla uzyskania pożytecznych wyników trzeba by przeprowadzić konsultacje z organizacjami społecznymi. Na koniec minister sugerował powrót do pierwotnej koncepcji²¹.

Ostatecznie sprawę zjazdu rozstrzygnęła wymiana depesz między gen. Sosnkowskim i premierem gen. Odzierżyńskim. Gen. Sosnkowski wyjaśniał, że w zjeździe będzie brał udział przedstawiciel Rady Narodowej (amb. Grzybowski), a zaproszenie dla Rady Politycznej wygląda na uzgodnione z władzami legalnymi. Podkreślił szczególne znaczenie najbliższych tygodni dla podjęcia akcji politycznej. Wyraził zgodę na zmiany programowe. Wstrzymanie zgody na przyjazd dyplomatów określił jako torpedowanie zjazdu, co wskazuje na brak zaufania do jego osoby, z czego musi wyciągnąć konsekwencje²². Gen. Odzierżyński odpowiedział, że zjazd w nowym kształcie musi być odłożony nie mniej niż o miesiąc. Spowoduje to, iż wspólne rozmowy będą możliwe. Zgodnie z posiadanymi informacjami odbycie zjazdu w lutym nie jest konieczne, a zwłoka wręcz pożyteczna²³. Ta ostatnia ocena wiązała się z opiniami otrzymywanymi od amb. Lipskiego, który dostrzegał „wyraźne inspiracje w prasie, że tutejsza administracja musi mieć czas na uporządkowanie spraw wewnętrznych zanim zacznie występować na zewnątrz". Ambasador brytyjski spotkał się z krytyką za naleganie na szybkie przyjęcie Edena, a podróż Dullesa do Europy ma powstrzymać wizyty dyplomatów europejskich w Stanach Zjednoczonych²⁴.

W odpowiedzi gen. Odzierżyńskiemu gen. Sosnkowski stwierdził, że nie odrzuca poprzedniej idei, a tworzy nową. Zawsze wyrażał pogląd, że polityka zagraniczna nie powinna być wykorzystywana w rozgrywkach wewnętrznych. Procedura *by partisan* (oparcia się o wszystkie grupy obozu niepodległościowego) najbardziej pasowała do obecnej fazy rokowań zjednocze-

21. List min. Sokołowskiego do gen. Sosnkowskiego z 30 stycznia 1953 r. (j.w.).

22. Depesza gen. Sosnkowskiego do min. Sokołowskiego z 30 stycznia 1953 r. (j.w.).

23. Depesza min. Sokołowskiego do gen. Sosnkowskiego z 1 lutego 1953 r. (j.w.).

24. List amb. Lipskiego do min. Sokołowskiego z 29 stycznia 1953 r. (j.w.).

niowych i nie ograniczała praw rządu. Wystąpienie prezydenta Eisenhowera 'State of the Union' potwierdza słuszność wybranego terminu zjazdu. Na koniec stwierdzał, że jeśli nie otrzyma szybko pozytywnej odpowiedzi, będzie musiał odwołać zjazd. Przesunięcie na późniejszy termin jest niemożliwe ze względu na brak środków²⁵.

Równocześnie amb. Lipski wyjaśnił działania gen. Sosnkowskiego, pisząc, że „krok Generała był niewątpliwie podyktowany chęcią wytworzenia atmosfery przyjaznej w okresie toczących się rozmów na temat zjednoczenia. Nie chciał on pomijać Rady Politycznej w tak szeroko zakrojonym zjeździe, co mogło wywołać niepotrzebne zadrażnienie”. Informował również, że Polonia amerykańska oczekuje niecierpliwie zjednoczenia, doprowadziło to do poprawienia się stosunków między zwalczającymi się dotychczas przywódcami, zaś „kongresmeni pochodzenia polskiego wspominali wczoraj o konkretnych ofertach w tej sprawie, o których wolę jeszcze na razie nie pisać”. W istniejących okolicznościach byłoby bardzo szkodliwym, gdyby zjazd miał doprowadzić do nieporozumień, które obciążąłyby dyplomację za sprawę zjednoczenia. Wpłynęłoby to również na stosunki z Amerykanami. Z drugiej strony, wobec daleko posuniętych przygotowań, nie ma możliwości odwołania zjazdu. W dniu 19 lutego jest umówiony obiad wydawany przez amb. Bullitta, na którym będą obecne wysoko postawione osobistości. Kongresmeni polskiego pochodzenia przygotowują przyjęcie, w którym wzięliby udział członkowie obu Izb. Dalsze zaproszenia są również umawiane, dlatego też „bez szkody dla sprawy trudno to wszystko odwołać i nie wiadomo, jakie podać motywy. W gruncie rzeczy byłaby to kompromitacja”. Amb. Lipski proponował, aby zgodzić się na udział Jerzego Zdziechowskiego jako przedstawiciela Rady Politycznej, zaś amb. Grzybowski występowałby w charakterze przedstawiciela Rady Narodowej: „mielibyśmy wówczas namiastkę *bi-partisan policy*”. Gdyby takie rozwiązanie napotykało na trudności, można by zredukować skład zjazdu, upodabniając go do narad odbywanych w przeszłości²⁶.

Rząd zdecydował się utrzymać swoje dotychczasowe stanowisko w kwestii fachowego składu zjazdu. Dodatkowo informowano, że wobec problemów wynikłych z propozycji rozszerzenia zjazdu, dotychczasowy termin stał się niewykonalny. Odnotowywano również problemy wizowe osób zaproszonych, zwa-

25. Depesza gen. Sosnkowskiego do prem. Odzierżyńskiego z 2 lutego 1953 r. (j.w.).

26. List amb. Lipskiego do min. Sokołowskiego z 30 stycznia 1953 r. (kol. Lipskiego I.P.N.J.).

szcza odmowę otrzymania wizy przez amb. Papée²⁷.

Stawało się oczywiste, że zjazd nie może dojść do skutku. Gen. Sosnkowski zaczął czynić podsumowania związane z własną inicjatywą. Jego zdaniem „pierwsze tygodnie po objęciu władzy przez nową administrację amerykańską są bodaj decydujące, a niedopatrzenie przez nas interesów naszych w tym właśnie okresie okazać się może stratą bezpowrotną”. Znaczące jest powstanie komitetu *Psychological Warfare*, na którego czele stanął Jackson, b. prezes KWE, popierający Mikołajczyka, inne nominacje to objęcie CIA przez Allana Dullesa (promikołajczykowski) i Badella Smitha jako podsekretarza stanu. Termin zjazdu był dobrze dobrany, gdyż wzbudził zainteresowanie Amerykanów. Dawало to możliwości nawiązania szeregu kontaktów osobistych z czynnikami amerykańskimi, a w stosunku do Polonii mogło wspomóc akcję Skarbu Narodowego. Przełożenie zjazdu jest niemożliwe, gdyż organizatorzy są zniechęceni i zdezwuowani wobec gospodarzy. W terminie późniejszym nie będzie można również uzyskać wsparcia finansowego. Generał wyrażał zdziwienie, że zaproszenie Rady Politycznej wywołało burzę, z „charakterystyczną różnicą, że Rada Polityczna przeciwstawiła się w ogóle samej koncepcji konferencji, wyrażając przy tym zdanie, że odbycie jej przy moim współudziale może ujemnie wpłynąć na szanse akcji zjednoczeniowej”. Brak uzgodnienia wszystkich spraw w Londynie wynikał z faktu, że brak było wtedy jeszcze definitywnych wiadomości w kwestiach organizacyjnych i stosunku czynników amerykańskich. Również wynik konsultacji w sprawie następstwa był znany dopiero w ostatniej chwili. Zdaniem gen. Sosnkowskiego nie można mówić, aby rząd był zaskoczony programem zjazdu. W Londynie projekt zjazdu omawiano parokrotnie, ale wyłącznie od strony ogólnej, w ramach wymiany zdań na temat polityki międzynarodowej, zmiany administracji amerykańskiej i celów zjazdu. Program był w tym czasie opracowywany w Ameryce i nie był znany. Sprawy wewnętrzne miały być poruszone w formie ogólnego sprawozdania z przebiegu akcji zjednoczeniowej. W ostateczności punkt ten można było usunąć. Umieszczenie tematów 15 i 16 było istotne, aby przeciwstawić się wszelkim sugestiom amerykańskim w sprawie tworzenia ruchów oporu za żelazną kurtyną, co jest problemem wciąż aktualnym pomimo deklaracji Eisenhowera. Niedoprowadzenie zjazdu do skutku pokazuje, że większości emigracyjnych polityków nie można przekonać, aby sprawy zagranicznych nie podporządkowywali wewnętrznym, „a przeciez

27. Depesza prem. Odzierżyńskiego do gen. Sosnkowskiego z 3 lutego 1953 r. (kol. Odzierżyńskiego I.S.L.).

celem głównym, jeśli nie jedynym, zjednoczenia jest usprawnienie walki politycznej na terenie międzynarodowym o prawa i przyszłość Polski²⁸". Pojawiające się możliwości zjednoczenia stanowiły atut, „który można było wygrać dla naszej sprawy, [ale] został mi z rąk wytracony metodami iście polskimi, a więc samobójczymi²⁹". W ocenie generała fakt, iż zjazd nie doszedł do skutku spowoduje wielkie trudności w działalności na terenie amerykańskim.

Sprawa zjazdu dyplomatów została poruszona w czasie obrad Rady Narodowej. Krytyczne wobec niej stanowisko zajął Adam Pragier. Jego zdaniem liczne uczestnictwo w zjeździe jedynie ograniczało korzyści, jakie mógł on przynieść, co dodatkowo nie było wskazane ze względu na brak środków finansowych. Nie do przyjęcia był fakt umieszczenia w programie problematyki wewnętrznej. Rząd doszedł do wniosku, że „grozi mu wciągnięcie w rzecz nieprzemyślaną i niewłaściwą i odmówił zgody na zjazd. Ale uczynił to zbyt późno i jest rzeczą niefortunną, że od samego początku nie zdobył się na tę jedynie rozsądną decyzję". Rząd zgodził się również na finansowanie zjazdu przez osobę prywatną i przewodnictwo gen. Sosnkowskiego. Właściwą drogą byłoby, aby rząd podarowaną kwotę umieścił w swym budżecie i uzyskał zgodę Rady Narodowej na jej zużycowanie. Zdaniem mówcy „przedsięwzięcie całe pomyślane było jako zabieg propagandowy, związany z inicjatywą gen. Sosnkowskiego, więc jemu też miało przyspaść miejsce centralne".

Głosem popierającym zjazd było nadesłane pismo Klaudiusza Hrabyka. Stwierdzał on, że inicjatywa zjazdu została uzgodniona z rządem, jak również jego treść. Rząd miał w nim wziąć udział poprzez obecność ministra i ambasadorów wykonujących funkcje w jego imieniu. W pracach przygotowawczych brał udział przedstawiciel rządu w Stanach Zjednoczonych, co stanowiło gwarancję zabezpieczającą wgląd rządu w ich treść. Jeśli rząd nie miał czasu na wyrażenie opinii na temat przygotowanego programu przed zjazdem, to poprzez swoje uczestnictwo mógł wpłynąć na jego przebieg. Program nie budził zastrzeżeń zaproszonych dyplomatów podległych rządowi. Tematy, które wykraczały poza ustalenia londyńskie, miały mieć jedynie charakter informacyjny, mogły być też na życzenie rządu zmienione. W kwestii zaproszenia przedstawicieli Rady Politycznej Hrabyk wyraził opinię, iż była to oczywista konsekwencja toczących się rokowań zjednoczeniowych. Nie można było pominąć „udziału

28. List gen. Sosnkowskiego do Grażyńskiego z 4 lutego 1953 r. (zbiory Haliny Martinowej).

29. List gen. Sosnkowskiego do Grażyńskiego z 5 lutego 1953 r. (j.w.).

jutrzejszych partnerów w rozważaniu sprawy, która stanowi główną oś naszego pobytu na emigracji". Ich uczestnictwo wzmacniałoby jedynie prestiż rządu. Oceniając skutki „nie można stwierdzić, aby konferencja miała uzyskać na sprawy polskie decydujący czy wielki wpływ, ale niemniej na pewno stwarzałaaby pomyślną okazję do zaznaczenia stanowiska polskiego w tych sprawach, w sposób nie tylko wyraźny, ale i widoczny". Z tych też względów decyzja rządu wstrzymania się od udziału w zjeździe „oceniana jest ujemnie jako decyzja nieprzemyślana i niestety szkodliwa³⁰".

W pewnym związku ze sprawą zjazdu dyplomatów pozostaje ocena sytuacji politycznej na terenie Stanów Zjednoczonych w momencie, gdy miał on się odbyć. W czasie przyjęcia u amb. Bullitta, na którym byli obecni sen. Taft, wiceprezydent Nixon, amb. Grew i gen. Vandenberg, tematem rozmów miały być zagadnienia związane z odwołaniem układów jałtańskich. Strona amerykańska w czasie tego spotkania z gen. Sosnkowskim zachowywała w tej kwestii znaczącą wstrzeźliwość. Zgodnie z informacjami prasowymi, Eisenhower pod naciskiem partii demokratycznej i brytyjskim, przesłał do Kongresu list, dotyczący uchwały Izby w sprawie odwołania tajnych układów. Proponowana formuła stanowi odejście od deklaracji przedwyborczych oraz zawartych w „State of the Union”, ogranicza się do ogólnikowych życzeń Ameryki w stosunku do narodów ujarzmionych, „znikło potępienie tajnych paktów jako takich, ulotniło się odwołanie tych paktów; wstawiono natomiast sformułowania, które są w 100 % procentach potwierdzeniem starej i znanej tezy demokratycznej, że nie pakty jałtańskie były złe, ale niewykonanie ich przez Rosję i zła wola z jej strony". Taka sytuacja będzie miała wielki wpływ na przywrócenie uznania rządowi legalnemu i sprawy wojny psychologicznej. Generał wyraził opinię, że „znaleźliśmy się ponownie tam, gdzie byliśmy za czasów administracji demokratycznej, z tą chyba różnicą, że naszą niekorzyść, że najgorszą jest bodaj sytuacja, w której polityka demokratyczna jest wykonywana rękoma republikanów. Obawiam się, czy nie stoimy przed nowym okresem prób *appeasement*'u oraz mody na takich działaczy narodowych jak p. Mikołajczyk". Zdaniem generała należało podjąć różne próby oddziaływania na treść uchwały Izby, ale szanse były niewielkie. Administracja republikańska nie chce tarć z Kongresem, w którym połowę stanowią demokraci. W opinii generała „sprawa niesłychanej kapitulacji Eisenhowera została przesądzona w Londynie w czasie pobytu tam Fostera Dullesa". Nie jest pewne, czy

30. Tekst obu wystąpień: *Diariusz Rady Narodowej* z 11 kwietnia 1953 r.

zjazd dyplomatów mógł wpłynąć na kierunek polityki amerykańskiej, „zawracającej pod naciskiem brytyjskim na manowce”, ale był okazją do zaktualizowania sprawy polskiej³¹.

Szczególne znaczenie zjazdu dyplomatów polegało na tym, iż była to jedyna samodzielna inicjatywa polska na większą skalę. Różne inne konferencje, w których uczestniczyli reprezentanci polscy, odbywały się pod patronatem amerykańskim lub europejskim. Z perspektywy czasu można wyrazić pewność, że zjazd nie miałby wpływu na kierunek polityki amerykańskiej. W czasie kampanii wyborczej hasła anty-jałtańskie były nawet mniej istotne niż apele o zakończenie wojny koreańskiej. Wypowiadanie układów jałtańskich czy zrywanie stosunków dyplomatycznych z krajami satelickimi i uznawanie reprezentacji wyłonięnych na emigracji prowadziłoby do zaostrenia sytuacji międzynarodowej, co nie odpowiadało opinii amerykańskiej, zmęczonej wojną koreańską. Stany Zjednoczone stać było na krótkotrwale interwencje, ale nie na długotrwałą sytuację konfliktową, przeciwko której obracała się opinia publiczna. Wpływ polityki brytyjskiej na nową administrację wydaje się być przesadzony, być może takie ujęcie sprawy było wygodne na zewnątrz dla samych Amerykanów. O ile wiadomo, wszystkie istotne decyzje podejmował osobiście Eisenhower, stąd też wizyta Dullesa w Londynie nie mogła mieć decydującego znaczenia. Jeśli istniały jakieś szanse na bardziej aktywną politykę amerykańską, to śmierć Stalina jednoznacznie położyła kres tym koncepcjom.

Leszek BRZOZA

31. List gen. Sosnkowskiego do Grażyńskiego z 24 lutego 1953 r. (zbiory Haliny Martinowej).

Karolina LANCKORONSKA

O POWSTANIU I ORGANIZACJI STUDIÓW WYŻSZYCH DLA ŻOŁNIERZY DRUGIEGO KORPUSU

Ten artykuł jest przedmową do referatu Krystyny Jaworskiej: „Ośrodki akademickie II Korpusu na terenie Włoch”. Świetna ta praca daje na podstawie żmudnych badań archiwalnych konkretne dane tej sprawy. Napisałam wstęp, by opowiedzieć, jak doszło do tej w dziejach szkolnictwa wyższego chyba jedynej w swym rodzaju organizacji.

Nie myślę, by istniała w historii armia, która od pierwszej chwili swego powstania, potem w czasie przemarszu przez pół świata, wreszcie w samej akcji bojowej, organizowała i prowadziła drugą akcję, zupełnie inną. Armia polska powstała w Rosji Sowieckiej od pierwszej chwili organizowała szkolnictwo od przedszkola do matury dla ludności cywilnej, którą uwolniła z barbarzyńskiej niewoli i wiozła ze sobą przez Persję i Bliski Wschód aż do Włoch. Dowódca tej armii, która we Włoszech przybrała nazwę Drugiego Korpusu, Gen. Władysław Anders, od samego początku otaczał tę akcję oświatową bardzo intensywną i bardzo szczegółową opieką.

Kapitulacja Niemiec 8 maja 1945, koniec wojny, zastał główną część II Korpusu nad Adriatykiem. W następnych tygodniach i miesiącach jeńcy wojenni z niemieckich oślagów oraz więźniowie z obozów koncentracyjnych, którzy do „nowej” Polski wracać nie chcieli, zaczęli napływać do Korpusu. Wśród tych ostatnich znalazłam się i ja.

Zbierano nas w różnych punktach Niemiec i Francji i wieziono autokarami wojskowymi do Włoch, nad Adriatyk. Oszołomieni

atmosferą sienkiewiczowskiej epopei, widokiem sztandarów i mundurów, dotarliśmy pod Ankonę do Porto San Giorgio, gdzie stał sztab. Tam nam dano pomieszczenie i wyżywienie i kazano czekać. Wiedziałam, że bliski mój kuzyn Eugeniusz Lubomirski jest adiutantem gen. Andersa. Odnalazłam go bez trudu. Zналиśmy się bardzo dobrze od dzieciństwa. Teraz on wyszedł żywy spod Stalina, ja spod Hitlera, oboje z wyrokiem śmierci. Rozmawialiśmy o tym krótko, szybko przeszliśmy do chwili obecnej. Mówił, że Anglicy na razie traktują Korpus nadal jako część własnego wojska, nawet zezwalają na przyjęcie byłych jeńców i więźniów. „No, a co dalej?” — zapytałam. „Wielu wierzy w bliską wojnę Aliantów z Rosją i w zwycięski powrót do Polski. Nic nie wiadomo. Na razie czekamy. W wojsku się często czeka. Młodzi się niecierpliwią i wciąż narzekają na stratę czasu, proszą wprost o możliwości studiów. To, co w tym zakresie może dać Korpus, prowadzi tylko do matury właściwej, ale oni dopominają się o studia wyższe! Jak to zrobić? Nikt z nas po prostu nie wie, jak się do tego wziąć. Trzeba by mieć dostęp do uniwersytetów włoskich...”

Dziś, po 44-ch latach nie przypominam sobie, kto z nas dwojga pierwszy coś bąknął, że to ja mogłabym się przydać w tej sprawie. Niewątpliwie był to pomysł co najmniej oryginalny, ale wiedzieliśmy oboje, że przed moją habilitacją we Lwowie spędziłam 3 lata w Rzymie na pracy naukowej, że ani język, ani włoski świat akademicki nie są mi obce. Lubomirski się zapalił. „Trzeba będzie pomówić z generałem. Jemu ta sprawa tak bardzo na sercu leży. Zobaczymy”.

Po dwóch dniach otrzymałam wiadomość, że Dowódca Korpusu dał rozkaz szybkiego przyjęcia mnie do wojska. Pojechałam więc do bliskiej Ankony. Formalności były ułatwione faktem mojej służby w AK, lecz poważnie utrudnione moim wiekiem. Anglicy zezwalali na przyjęcie tylko do 45 roku życia, a ja miałam 47 lat. Wówczas otrzymałam pierwszy rozkaz: mam podać, że jestem o dwa lata młodsza. Broniłam się, ale musiałam posłuchać. Następna trudność wyszła od sierżanta, który miał wypełnić w moim formularzu rubrykę „Wykształcenie”. Dla skrócenia nieopatrznie podałam tylko „doktorat filozofii”. Sierżant zaniepokojony kazał mi czekać i poszedł „po starszego”. Ten przyszedł i zapytał: „No, niech się Pani przyzna, czy ma Pani maturę, czy jej nie ma”. Badania lekarskie trwały 3 minuty, po czym ubrano mnie w mundur. Wychodząc spotkałam koleżankę z AK, również umundurowaną. Śmiała się: „Tak nas groźnie ubrali teraz, gdy nam już nic nie grozi” — powiedziała.

Poszłam prosto do sztabu. Eugeniusz zaprowadził mnie do Generała. Ta pierwsza rozmowa była uprzejma, rzeczowa, krótka jak wszystkie późniejsze. Łatwiejszego kontaktu z tak wysoko postawionym szefem sobie nie wyobrażam. Powiedział, że pragnie umożliwić żołnierzom dostęp do studiów wyższych, że mu ogromnie

na tym zależy, że wie od Lubomirskiego, że mam pewne kwalifikacje, by to zorganizować. Pytał, czy się podejmuję. Odpowiedziałam, że się podejmuję, ale zupełnie nie wiem, czy potrafię. To ostatnie zdanie mocno podkreśliłam, ale dodałam: „bardzo pragnę spróbować”. Na to Generał kazał mi wystawić odpowiednie papiery w trzech językach, po polsku (p.il.), po angielsku i po włosku, z datą 5 września 1945 i przerzucić mnie pierwszą okazją do Rzymu. Przedtem kazał mi się przedstawić ppłkowi Jerzemu Aleksandrowiczowi, szefowi Wydziału Oświaty II Korpusu, odtąd mojemu przełożonemu, który o sprawie jest już powiadomiony. Był to profesor Akademii Weterynaryjnej we Lwowie, w ostatnich latach przed wojną wiceminister oświaty. Prof. Aleksandrowicz przyjął mnie uprzejmie, ale chłodno, nie ukrywając, że nie wierzy w możliwość wykonania takiego projektu.

Na drugi dzień już jechałam jeepem przez Apeniny. Kraj wspaniały, przez który niedawno przeszła wojna. Domy rozwalone, drzewa powalone. Stan dróg opisać trudno; zabawny był przejazd w bród przez kilka niewielkich górskich rzek. Ruiny wysadzonych mostów sterczały w pobliżu. Wreszcie Rzym. Staralam się nie ulegać emocjom tego powrotu, jakby z tamtego świata, i myśleć tylko o projekcie.

Odwiedziłam czym prędzej obu dobrze mi znanych profesorów Uniwersytetu Rzymskiego, sławistów. Byli nimi Giovanni Maver i Enrico Damiani. Ten ostatni, admirał Kasprowicza, nad którym pracował, wielki przyjaciel Polaków, co okazał w złych chwilach, był moim dobrym znajomym od wielu lat. Przywitał mnie serdecznie, ale był jakby niezupełnie swobodny. „Profesorze, ja się strasznie cieszę, że Pana widzę”. „Ja się też cieszę, ale nie bardzo mogę patrzeć w Pani oczy”. Nic nie rozumiałam. „Nie będę Pani tłumaczył, czym jest dla mnie to spotkanie, gdy porównam postawę Polaków w tej wojnie z postawą mojego narodu”. Trwało trochę, nim się odprężył.

Przedstawiłam mu nasz projekt. Przejął się. „To będzie *un' affare un po complicato*, ale pomysł jest wspaniały, nie tylko dla Waszych żołnierzy, ale i dla nas. To jest okazja, by się Wam odwdziżyć. Przecież Wyście walczyli o uwolnienie nas od Niemców. Trzeba pomyśleć”.

Rzeczywiście pomyślał. Po paru dniach mnie zawiadomił, że radca Leoni w Ministerstwie Oświaty jest gotów mnie przyjąć. Poszłam. Zastałam męczącą czterdziestoletnią, bardzo zainteresowaną sprawą, o której mu już mówił Damiani. Zaraz wspomniał o długu wdzięczności i zapytał o szczegóły. Powiedziałam wszystko, czego się tymczasem mogłam dowiedzieć: że mamy zasadniczo dwie grupy zgłaszających się kandydatów — tych, którzy studia rozpoczęli w Polsce przed wojną i tych, którzy w ogóle jeszcze studiów wyższych nie mają. Mówiłam, że wachlarz specjalności, na które pragną się zapisać, jest bardzo szeroki, ale że szcze-

góły przedstawimy później. Teraz nam przede wszystkim chodzi o zasadniczą zgodę włoskich władz oświatowych.

Leoni zadał mi wtedy trudne pytanie: „Jaki jest Wasz status *civitatis*?”. Dopiero w tym momencie zdałam sobie sprawę z sytuacji. Skoro nie uznajemy PRL, jesteśmy *de facto* bezpaństwowi. Odpowiedziałam, że te sprawy do mnie nie należą, że zamelduję, że zostałam o to pytana. Dzięki Anglikom trudność ta została „prowi-zorycznie” pokonana.

Tymczasem rozwijająca się sprawa trafiła na groźne trudności z zupełnie innej strony. Gdy już były gotowe spisy kandydatów, zostaliśmy, mój szef i ja, wezwani do gen. Andersa, który nam oświadczył, że ma dla nas niedobrą wiadomość. „Niektórzy wyżsi dowódcy zwrócili się do mnie, mówiąc, że odkomenderowanie tylu oficerów i żołnierzy na studia огоłociłoby oddziały, a my przecież jeszcze nie wiemy, co będzie. Postanowiłem więc zezwolić na studia tylko tym kandydatom, którzy już w Polsce przed wojną studia rozpoczęli. Ci, którzy mieli pójść na pierwszy rok, odkomenderowani być nie mogą”.

Chwila ciszy. Popatrzyłam na płka Aleksandrowicza. Milczał. Nie było wyjścia.

Wyprostowałam się na krześle i powiedziałam: „Panie Generale, ci, którzy Panu Generałowi tej rady udzielili, nie tylko zrobili dużej grupie najmłodszych krzywdę ogromną, ale zarazem oddali wielką przysługę temu, który w tych dniach przyjeżdża do Rzymu jako ambasador Polski Ludowej. Stanisław Kot jest profesorem uniwersytetu, natychmiast chwyci świetną okazję i da im studia”.

Podczas gdy mówiłam, generał patrzył mi bardzo mocno w oczy i słuchał z największą uwagą, a ja dobrze wiedziałam, że mnie może spotkać co najmniej duża nieprzyjemność, odkomenderowanie do jakiejś świetlicy czy messy za taką bezczelność. Nastąpiła znowu cisza, podczas której płk Aleksandrowicz poruszał się bardzo niespokojnie na krześle. Wreszcie generał powiedział: „ja się namysłem” i pożegnał nas.

Wróciłam do Rzymu. Po paru dniach zostaliśmy znowu wezwani.

Po raz już nie wiem który przejechałam przez Apeniny i poszłam się zgłosić do Lubomirskiego. Ten natychmiast zapytał: „Co było między generałem a Tobą zeszłym razem?”. „A skąd wiesz, że coś było?”. „Tego dnia podczas kolacji, przy wyższych dowódcach, generał przez cały stół głośno się do mnie odezwał: — Chciałem ci powiedzieć, że do tej Twojej kuzynki, co niedawno do nas zajęchała, mam zaufanie absolutne. — Zdziwiony mówiłem, że mnie to bardzo cieszy, ale że zupełnie nie rozumiem, czym ona w tak krótkim czasie mogła sobie na to zasłużyć. — Moja rzecz — brzmiała odpowiedź. Chyba musiałś mu się przeciwstawić, a on uznał, że masz słuszność. On wtedy tak reaguje”.

Tymczasem nadszedł płk Aleksandrowicz. Weszliśmy. Generał

kazał nam usiąść i zwrócił się do mnie: „Kandydaci na pierwszy rok studiów również będą odkomenderowani”. Milczenie. Potem zwrócił się jeszcze do Aleksandrowicza. Zażądał dostarczenia pełnych spisów możliwie szybko.

Wychodząc zdawałam sobie sprawę, że jeszcze nikt nigdy tak mi nie zaimponował. Dowódca wojskowy, otoczony w owej chwili wciąż trochę bizantyjską, zmienił w ważnej sprawie zdanie za radą kobiety, której prawie nie znał, tylko dlatego, że uważał, że ma rację. Od tej chwili byłam Andersowi oddana.

Wróciłam do Rzymu, gdy po kilku dniach zostałam — ku mojemu osłupieniu — wezwana do władz angielskich. Przyjęli mnie dwaj pułkownicy, jednym był col. Sir John Salis, którego już spotykałam w Korpusie, drugiego nie znałam. Kazali usiąść i powiedzieli: „Pani jest proszona zawiadomić generała Andersa, że żołnierze Drugiego Korpusu nie mogą być odkomenderowani na studia. Rzecz ta nie jest możliwa, ponieważ sobie tego nie życzy przybyły ambasador Polski, a władze brytyjskie chcą to życzenie uwzględnić”.

Po krótkiej bardzo chwili odezwałam się: „Przepraszam, ale nie mogę spełnić zlecenia. Nie mogę, przy mojej tak niskiej randze (tu wskazałam na swoje epolety¹), zameldować się wprost do Dowódcy Korpusu, i to jeszcze w tak ważnej sprawie. Jest to wręcz niemożliwe”. Pauza. Moi interlokutorzy wyglądali trochę bezradni. Ja tymczasem już oprzytomniałam i zrobiłam świadomie rzecz zupełnie niedopuszczalną. Zapytałam: „Czy Panowie pozwolą mi coś powiedzieć w tej sprawie zupełnie prywatnie, nie służbowo?”. Zdziwieni, wyrazili zgodę. „Panowie musieli otrzymać fałszywą informację. Nowy ambasador Polski Ludowej jest oczywiście dla mnie wrogiem politycznym. Fakt ten jednak nie pozwala mi na posądzenie go o takie postępowanie. Stanisław Kot jest profesorem uniwersytetu. Złożył przy doktoracie tę samą przysięgę², którą złożyłam i ja, i wszyscy, którzy poświęcają życie nauce. Uniemożliwienie komukolwiek dostępu do studiów byłoby złamaniem tej przysięgi. Nigdy w to nie uwierzę”.

Anglicy słuchali z wyraźnym zażenowaniem. Nie odpowiedzieli.

Czy mogę się odmeldować?

Wysłałam. Po paru godzinach znowu jechałam do generała, by go uprzedzić, nim przyjdą do niego w tej sprawie Anglicy. Nie przyszli.

Tymczasem spisy kandydatów były na ukończeniu. Byli zgrupowani wedle specjalności, którą pragnęli studiować. Płk Aleksandrowicz sprowadził mnie i kazał mi decydować, do której uczelni każda z tych grup ma być odkomenderowana. Tym razem przera-

1. Byłam „Public relation officer”, po prostu oficer bez szarży. Moje dwie gwiazdki porucznika AK dotarły do mnie z Londynu znacznie później.

2. Nie wiedziałam, jak jest po angielsku „ślubowanie”. Użyłam więc słowa „oath” — przysięga.

ziła mnie ta odpowiedzialność. Kontrast z *libertas academica*, bez której sobie dotąd życia nie wyobrażałam, był zbyt jaskrawy. Przez długie tygodnie pertraktacji starałam się wprawdzie usilnie dowiedzieć, które wydziały na różnych uczelniach cieszą się najlepszą opinią, lecz teraz strach mnie obleciał. Ja mam decydować, gdzie 1.300 ludzi ma studiować? Ale nie było rady.

Na domiar prof. płk Aleksandrowicz przybrał w tej chwili ton bardzo wojskowy. „Proszę decydować, słucham”. Ja więc zaczęłam wyliczać: humanistyka do Rzymu, architektura do Rzymu, ekonomia do Rzymu, medycyna do Bolonii, wszelkie nauki przyrodnicze i techniczne do Turynu...

Musiałam mieć głos niepewny.

„Co Pani nagle taka wystraszona? — pytał Aleksandrowicz. — To jest Pani sprawa. Pani będzie opiekunem naukowym wszystkich naszych studentów”. Zbuntowałam się. „Dlaczego ja? Jestem tylko docentem, i to kobietą, oficerem bez szarży. Przecież tu jest pełny profesor Uniwersytetu Warszawskiego, historyk, Henryk Paszkiewicz, który się stokroć lepiej do tej roli nadaje”. Pożegnałam go bez decyzji.

Znowu pomógł Lubomirski, bo powiedział generałowi, który natychmiast zrozumiał. Sprowadził prof. Paszkiewicza, podporucznika, zrobił go kapitanem „czasu wojny” i opiekunem studentów, a mnie zastępcą „od kontaktów z uczelniami włoskimi”. Od tej chwili pracowaliśmy razem w porozumieniu idealnym. Prof. Paszkiewicz miał od pierwszej chwili bardzo duży autorytet wobec studentów, a ja się zajęłam kontaktami z uczelniami.

Na pierwszym miejscu stanął przed nami wielki problem. Kandydat na studenta musiał udowodnić, że posiada maturę! Trudności były przeróżne, gdyż bardzo niewielu posiadało przedwojenne świadectwo dojrzałości. Niektórzy przedstawiali świadków. Świadectwa wydane przez gimnazja Drugiego Korpusu znowu nie miały uprawnień państwowych. Uczelnie się różnie do problemu ustosunkowały.

W Rzymie powstała komisja egzaminacyjna. Bardzo pomocny był prof. Jerzy Domaradzki, przedstawiciel naszego Ministerstwa Oświaty na Italię. W komisji rzymskiej główną rolę przy „egzaminach” z polskiej strony odgrywał prof. Paszkiewicz, a decydującą po stronie włoskiej — prof. Damiani. Wspominam ze wzruszeniem zrozumienie sytuacji i pobłażliwość Damianiego, który mówił dobrze po polsku. Pamiętam jego osłupienie, gdy mu kandydatki mówiły, że mają „egzamin dojrzałości z Nazaretu”. Zapytał mnie o tę „maturę biblijną”. Wy tłumaczyłam, że w Nazarecie było gimnazjum żeńskie II Korpusu.

Tymczasem pilnie i wśród trudności zorganizowano we wszystkich ośrodkach możliwości mieszkania dla studentów. W Rzymie studentki otrzymały Hotel Corso koło Tritone, gdzie z nimi zamieszkałam.

Wspominam ten okres jako jeden z najmiłszych w moim dłu-

gim życiu. Było nam po prostu bardzo dobrze. Początkowo się mocniej niepokoiłam o zdrowie niektórych, niż o ich studia. Te, które przeszły Rosję, miały już długi okres pseudonormalnego życia za sobą i były silniejsze od tych, które przeszły Powstanie Warszawskie z przejściem przez kanały włącznie. Niektóre miały zaatakowane nerki, bo szły przez wodę. Brat mój dostarczał nam lekarstw i witamin ze Szwajcarii, które działały doskonale. Młode organizmy niesłychanie prędko wracały do sił. Na pokarm intelektualny reagowały z entuzjazmem.

Wspominam wspólną wycieczkę do Florencji.

Pod sam koniec tego niestety zbyt krótkiego okresu przyszło mi się kilkakrotnie gorąco modlić w kościele o szczęście jednej z moich „córek” w chwili, gdy z kolegą stała przed ołtarzem.

Karolina LANCKOROŃSKA

Krystyna JAWORSKA

OŚRODKI AKADEMICKIE DRUGIEGO KORPUSU NA TERENIE WŁOCH

Charakterystyczną i niezwykłą cechą armii dowodzonej przez generała Andersa, od czasu jej utworzenia w Rosji (1941)¹, było poczucie odpowiedzialności za losy polskiej ludności cywilnej, która garnęła się do wojska z łagrów, obozów pracy i posiołków. W normalnych warunkach leżałoby to w gestii innych czynników państwowych. Mimo wyjątkowo ciężkiej sytuacji, w której znajdowało się wojsko na terenie ZSSR (nieprzychylnie ustosunkowanie władz sowieckich, utrudnianie Polakom dojazdu do punktów zbiorczych, niewystarczająca ilość żywności), dowództwo opiekowało się ludnością cywilną, a żołnierze dzielili z nią swe skromne posiłki. Przy dowództwie w Buzułuku stworzono Wydział Poszukiwania Rodzin i Biuro Propagandy i Oświaty. Jeszcze w Rosji, mimo braku podstawowych warunków do nauki (budynków, ławek, tablic, zeszytów, podręczników) powstały pierwsze szkoły dla dzieci i sierot².

1. Nazwa „Drugi Korpus” została wprowadzona dopiero w 1943 roku, poprzednie nazwy brzmiały: P.S.Z. (Polskie Siły Zbrojne) w ZSSR i A.P.W. (Armia Polska na Wschodzie).

2. Wg sprawozdania Wydziału Oświaty Dow. 2 Korpusu, m.p. 31.7.1946, (Akta Ministerstwa W.R. i O.P., Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego, dalej zaznaczony skrótem: Arch. I.P.M.S., sygn. A. 19.III/23) pod bezpośrednią opieką wojska w Rosji znalazło się około 4000 sierot, zgrupowanych w czterech obozach: Guzar, Kermine, Szachriziabs i Wrewskaja, gdzie powstały przedszkola, szkoły powszechne i zawodowe typu niższego. Jak wiadomo, ewakuacja z Rosji odbyła się dwoma rzutami, w kwietniu i sierpniu 1942, z liczbą ogólną około 116.000 osób, z czego

Armia Andersa była dla ludzi, którzy do niej dotarli po prawie dwóch latach zsyłki, jedynym ratunkiem i nadzieją, arką zbawienia i uosobieniem Polski. Odzwierciedla to rysunek z tego czasu, przedstawiający Andersa w postaci Mojżesza na statku wywożącym Polaków przez Morze Czarne z ZSSR do Iranu.

Podczas pobytu armii na Środkowym Wschodzie (1942-43) oprócz wyszkolenia wojskowego trwało i rozwijało się dokształcanie żołnierzy, zwłaszcza junaków i młodszych ochotniczek, oraz opieka nad ludnością cywilną. W miarę istniejących możliwości rozbudowywały się polskie szkoły i powstała duża liczba wydawnictw na różnych poziomach, od podręczników szkolnych do klasyków, tomiki poezji i powieści, literatura poważna i rozrywkowa, wydawano też prace naukowe (wśród wojskowych było sporo wykładowców z polskich uniwersytetów) i cały szereg czasopism³. Ten nadzwyczajny rozwój działalności wydawniczej i życia kulturalnego osiągnął szczyty w Jerozolimie, a był żywiołową reakcją na niedawno przeżyte niebezpieczeństwo zagłady, afirmacją osobistego i narodowego istnienia po wyjściu z łagrów. Wojsko stanowiło jedną z nielicznych wysp polskości w czasie wojny i dlatego spadła na nie odpowiedzialność za utrzymanie kultury polskiej i przekazanie jej młodzieży. Dowódca Korpusu jeszcze przed wojną działał w zarządzie polskiej Macierzy Szkolnej i dobrze zdawał sobie z tego sprawę, więc wydajnie wspierał działalność oświatową i szkolnictwo.

Po wylądowaniu Korpusu we Włoszech zimą 1943/44 dalej

40.000 cywili, w tym 20.000 dzieci i młodzieży. W Persji najmłodsze dzieci oddano pod opiekę polskiego Min. Pracy i Opieki Społecznej, dla nich zostały stworzone szkoły w Isfahanie, o tym ośrodku ukazała się ostatnio książka pod redakcją I. Beaupré Stankiewicz, D. Waszczuk Kamienieckiej i J. Lewickiej Howells, *Isfahan, miasto polskich dzieci*, Londyn 1987; młodzież od lat 15-tu przeniesiono do Palestyny, gdzie zorganizowano już całe szkolnictwo wojskowe, z dowództwem szkół junackich, zob. *Książka pamiątkowa szkół młodszych ochotniczek*, Londyn 1972 i *Ain-Karem, ośrodek polskich dziewcząt*, Londyn 1988.

3. Działalność wydawniczą 2 Korpusu od ZSSR do Włoch opisuje M. Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Paryż 1978; s. 87-121; zob. też J. Oktawiec, *Bibliografia wydawnictw szkolnych w Palestynie i we Włoszech 1942-1946*, Bari 1946; J. Oktawiec, *Bibliografia wydawnictw wojskowych w Palestynie i we Włoszech 1942-1946*, Bari 1946; J. Bielatowicz, *Bibliografia druków polskich we Włoszech*, Rzym 1946; J. Zabielska, *Bibliography of books in Polish or related to Poland published outside Poland since 1939*, Londyn 1953-66, t. I-III; *Literatura polska na obczyźnie*, opr. T. Terlecki, Londyn 1964, t. I-II; J. Czachowska, M.K. Maciejewska, T. Tyszkiewicz, *Literatura polska i teatr w latach II wojny światowej, bibliografia*, Wrocław 1983-86, t. I-III.

prowadzono pracę oświatową, nawet w czasie działań wojennych żołnierze otrzymywali wydawnictwa Korpusu. Rozkaz Dowódcy z dnia 21 września 1944 zarządził reorganizację Służby Oświaty pod kierownictwem Wydziału Oświaty w dowództwie Drugiego Korpusu. Praca Wydziału Oświaty i podległych mu referatów w poszczególnych jednostkach wojskowych (3DSK, 5KDP, 2BP, Baza, 7DP i jednostki pozadywizyjne) przewidywała odczyty i dzienniki mówione, kursy na poziomie szkół powszechnych, szkolnictwo średnie, rzemieślnicze kursy przygotowawcze, kursy języków obcych, biblioteki, świetlice, centralną składnicę książek. Dokształcanie żołnierzy w bazie prowadzono systematycznie, a w oddziałach liniowych doraźnie, wykorzystując przerwy w akcjach wojennych. Przez kursy dokształceniowe dla analfabetów przeszło 1.305 żołnierzy we Włoszech w okresie styczeń 1944 — maj 1945. Jak pisze szef Wydziału Oświaty, ppłk prof. dr Jerzy Aleksandrowicz (przedwojenny profesor histologii Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie): „Doceniając znaczenie nauki i chcąc uzupełnić braki wśród inteligencji polskiej, spowodowane wojną, Dowódca Korpusu zgodził się nawet w czasie trwania akcji na prowadzenie szkół średnich ogólnokształcących, odkomenderowując w tym celu odpowiednią ilość nauczycieli i uczniów-żołnierzy”. Zdarzały się wypadki, że egzaminy odbywały się na froncie, jak na przykład te z kursu gimnazjalnego 3DSK w marcu i kwietniu 1944: „Ze względu na to, że większość oddziałów Dywizji znajdowała się w tym czasie w akcji, egzaminów nie przeprowadzano centralnie, lecz Państwowa Komisja dojeżdżała do poszczególnych oddziałów będących w akcji”⁴. W 1945 roku zostały zorganizowane kursy maturalne w Alessano, w Matino, w Porto San Giorgio⁵, i gimnazjalny w Bagni di Romagna, z których skorzystało 1.155 żołnierzy. Ponadto około ośmiuset żołnierzy w tym samym czasie, tj. w pierwszej połowie 1945 r., wzięło udział w kursach rzemieślniczych.

Zakończenie działań wojennych w kwietniu 1945 roku stworzyło możliwość organizacji szkolnictwa na szeroką skalę. Niejednokrotnie dowódcy z własnej inicjatywy organizowali dokształcanie. Ze względu na brak wykwalifikowanych nauczycieli Wydział Oświaty przeprowadził dwutygodniowe kursy

4. Sprawozdanie z pracy oświatowej w 2 Korpusie za okres od 1 stycznia 1944 do dnia 4 maja 1945, Wydział Oświaty, Dow. 2 Korpusu, m.p. 1.4.1946, Arch. I.P.M.S., A.19.III/23.

5. Obszerny i dokładny opis szkoły PSK w Porto San Giorgio ukazał się nakładem Koła Szkoły pt. *Nasza niezwykła szkoła*, Londyn 1985. Szkole w Alessano są poświęcone wspomnienia M. Czartoryskiego, *Na końcu włoskiego buta*, Kraków 1986.

programowo-metodyczne, warunkiem do przyjęcia na nie było posiadanie co najmniej matury. W lutym 1946 roku 6.313 żołnierzy uczyło się w szkołach powszechnych, a 3.136 na kursach gimnazjalnych i maturalnych. Pod opieką Wydziału Oświaty 2 Korpusu znajdowały się ponadto przedszkola, szkoły powszechne, gimnazja i licea dla dzieci i młodzieży polskiej w Barletta, w Trani i także poza granicami Włoch, w Austrii, w których uczyło się 2.375 osób⁶. W 1945 roku rozpoczął się duży napływ ochotników do Korpusu: byli to jeńcy z kampanii wrześniowej, akowcy z Powstania Warszawskiego i wywiezieni na roboty do Niemiec, liczba żołnierzy na terenie Włoch wzrosła z okoku 50.000 do 110.000.

W okresie powojennym powstał projekt stworzenia ośrodków akademickich, aby umożliwić młodzieży z przerwanymi studiami w Polsce lub z maturą wojskową dalszą naukę. W tym celu Dowództwo Korpusu rozdało w jednostkach ankietę do wypełnienia przez kandydatów na studia. Po pewnym okresie zgłaszający się zostali wezwani przez Komisję Weryfikacyjną, której przewodniczył ppłk Aleksandrowicz. Komisja była przychylnie ustosunkowana do kandydatów, brała pod uwagę długie lata przerwy w nauce i niemożność przedstawienia oryginalnych świadectw szkolnych lub indeksów; w zasadzie wszyscy starający się zostali przyjęci. Mjr A. Tomaszewski w swoich wspomnieniach opisuje nastrój panujący w wojskowej komisji kwalifikacyjnej w Rzymie: przy braku odpowiednich dokumentów komisja przyjmowała kandydatów na podstawie zeznań dwóch świadków, których nietrudno było znaleźć wśród kolegów⁷. Rozkazem Dowódcy Korpusu z dnia 9 lutego 1946 r. L.dz. 361 (Ośw.) 46 odkomenderowano na wyższe studia 1.280 żołnierzy, z tego 506 oficerów, 669 podchorążych i szeregowych oraz 105 ochotniczek PSK. W Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie przechowywana jest kartoteka z danymi wszystkich żołnierzy odkomenderowanych na studia we Włoszech. Sprawozdanie Wydziału Oświaty z 17.2.1946 r.⁸ podaje dokładne liczby żołnierzy przyjętych na poszczególne uniwersytety:

6. Sprawozdanie z pracy oświatowej w 2 Korpusie i obozach dla ludności cywilnej pozostających pod opieką 2 Korpusu, Wydział Oświaty, Dow. 2 Korpusu, m.p. 31.7.1946, Arch. I.P.M.S., A.19.III/23.

7. A.S. Tomaszewski, *Własną ścieżką przez życie*, Kraków 1978, s. 211.

8. Sprawozdanie z pracy oświatowej w 2 Korpusie i obozach dla ludności cywilnej pozostających pod opieką 2 Korpusu, Wydział Oświaty, Dow. 2 Korpusu, m.p. 17.2.1946, Arch. I.P.M.S., A.19.III/23.

Odkomenderowano do RZYMU:

na wydziały ogółem:		oficerów		szeregowych		ochotniczek	
		na I rok	na wyższe lata	na I rok	na wyższe lata	na I rok	na wyższe lata
Prawniczy	90	5	35	15	30	4	1
Humanistyczny	55	5	8	10	18	8	6
Mat. przyrod.	48	3	16	10	10	6	3
Ekon. handl.	179	29	55	50	35	7	3
Inżynierii	44	-	29	-	14	-	1
Miernictwa	5	-	3	-	2	-	-
Górnicy	4	1	-	-	3	-	-
Architektury	60	21	12	16	6	2	3
Medyczny	2	-	-	-	-	1	1
Szt. piękne	51	2	11	15	20	-	3
Muz. i śpiew	15	-	3	1	10	-	1

Odkomenderowano do BOLONII:

na wydziały ogółem:		oficerów		szeregowych		ochotniczek	
		na I rok	na wyższe lata	na I rok	na wyższe lata	na I rok	na wyższe lata
Medyczny	227	27	34	76	57	32	11
Weterynarii	32	1	18	3	9	-	1
Farmacji	31	-	3	7	5	12	4
Stomatologii	8	1	2	2	-	1	2
Rolny	18	3	7	2	4	-	2

Odkomenderowano do TURYN (Politechnika):

na wydziały ogółem:		oficerów		szeregowych		ochotniczek	
		na I rok	na wyższe lata	na I rok	na wyższe lata	na I rok	na wyższe lata
Na I rok st.*	266	110	-	156	-	-	-
Mechaniczny	67	-	30	-	37	-	-
Górnicty	9	-	-	9	-	-	-
Hutniczy	2	-	1	-	1	-	-

* Pierwsze dwa lata na Politechnice Turyńskiej są wspólne dla wszystkich wydziałów.

Odkomenderowano do MEDIOLANU (Politechnika):

na wydziały ogółem:		oficerów		szeregowych		ochotniczek	
		na I rok	na wyższe lata	na I rok	na wyższe lata	na I rok	na wyższe lata
Elektrotechn.**	35	-	15	-	20	-	-
Chemii techn.	24	-	11	-	13	-	-

** Sprawozdanie Wydz. Oświaty podaje wydz. elektrotechniczny, ale więcej studentów było na mechanice.

Odkomenderowano do FLORENCJI:

na wydział		oficerów		szeregowych		ochotniczek	
		na I rok	na wyższe lata	na I rok	na wyższe lata	na I rok	na wyższe lata
Leśny	8	1	4	2	1	-	-

Wcześniej, jeszcze w grudniu 1945, odkomenderowano do Rzymu na studia specjalne (penicylina) jednego inżyniera chemika. Ponadto pod opieką Korpusu pozostawał polski ośrodek akademicki w Innsbrucku, skupiający na różnych wydziałach 151 studentów, jak również żołnierze Korpusu studiujący od 1943 r. na uniwersytetach w Bejrucie. W 1946 roku było ich 38 na uniwersytecie amerykańskim (z tego 35 ochotniczek) i 58 na uniwersytecie francuskim (z tego 24 ochotniczki). Korzystali z pomocy 2 Korpusu także cywilni Polacy studiujący we Włoszech, było ich w Rzymie w 1946 r. 139⁹.

Żołnierze zapisywali się na studia we włoskich uniwersytetach na podstawie matur i zaświadczeń zastępczych, stwierdzających posiadaną kwalifikację. Zaświadczenia te podpisywał prof. dr Teodor Domeracki, przedstawiciel w Italii Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego RP (przedstawicielstwo mieściło się w Rzymie, corso Umberto 303), a zgodność podpisu była potwierdzona przez ambasadę RP przy Stolicy Apostolskiej. Uniwersytet Rzymski uznawał je bez większych trudności, opierając się na opinii powołanej w tym celu komisji egzaminacyjnej polsko-włoskiej. Na uniwersytecie w Bolonii żołnierze zostali przyjęci warunkowo, z zastrzeżeniem, że przedstawią oryginalne dokumenty przed obroną pracy dyplomowej¹⁰. Politechnika Turyńska z kolei nie uznała wszystkich matur, w związku z tym prof. Alma Borelli (która przed wojną uczęszczała na wykłady literatury polskiej prowadzone na Uniwersytecie Turyńskim przez prof. Marinę Bersano Begey i na lektoraty języka polskiego p. Zofii Kozaryn) zorganizowała w liceum Gioberti, w którym wykładała, kurs maturalny dla żołnierzy. Kurs trwał około półtora miesiąca, po czym nastąpiło zdawanie matury z pełnego programu ze wszystkich przedmiotów i, o dziwo, wszyscy (około 50 osób) zdali pomyślnie. Komisja egzaminacyjna była, rzecz można, wyjątkowo życzliwa (jeden z maturzystów, inż. M. Rasiej, poznał przy tej okazji swoją przyszłą żonę, która egzaminowała go z łaciny i greki).

9. Notatka o młodzieży akademickiej na terenie Rzymu, Rzym, 25.5.1946, akta ambasady R.P. przy Stolicy Apostolskiej, Arch. I.P.M.S., A. 44.277/1.

10. O trudnościach z uznaniem matur, zwłaszcza niektórych, świadczy list kpt. F. Ignaciuka do ppłk. Aleksandrowicza, Bolonia, 20.5.46, w którym powiadamia on o decyzji Uniwersytetu w Bolonii, że uzna je w wypadku „o ile jakikolwiek uniwersytet zagraniczny wyda zaświadczenie, że matury te uprawniają do wstąpienia na ich uniwersytety” i sugeruje zwrócenie się w tej sprawie do Uniwersytetów Watykańskich. Odpis w aktach ambasady RP przy Watykanie, nr 122/SA/66, Arch. I.P.M.S., A. 44/277/1. Uniwersytet Rzymski przed obroną pracy żądał od studentów przyjętych warunkowo na zaświadczeniach zastępczych zdania matury we Włoszech.

Ośrodki Akademickie stworzone przez Korpus zapewniały żołnierzom zakwaterowanie, wyżywienie i dodatkową opiekę naukową. Oficerowie pokrywali z własnych poborów opłaty uniwersyteckie, podręczniki i materiały potrzebne do nauki, za szeregowych i podoficerów płaciły te koszty ośrodki z funduszu 2 Korpusu, utworzonego ze składek wszystkich oficerów. Rola opiekunów naukowych polegała na utrzymywaniu kontaktów z włoskimi władzami uniwersyteckimi oraz na prowadzeniu dodatkowych wykładów i udzielaniu porad indywidualnych. Do nich należała także organizacja kół naukowych i bibliotek ośrodków oraz decyzja zakupów pomocniczych materiałów dydaktycznych. Tylko w Mediolanie, gdzie odkomenderowano wyłącznie żołnierzy na dokończenie studiów, nie było opiekuna naukowego. Uruchomienie ośrodków wymagało sporo pracy także w rozwiązaniu trudności organizacyjnych (uzyskanie odpowiednich pomieszczeń i ich przystosowanie do nowych celów, zaopatrzenie w sprzęt kwaterunkowy, kuchnie, ogrzewanie, transport, żywność, opieka lekarska, duszpasterska, poczty polowe). Dla kierowania i obsługi wszystkich ośrodków przewidywana była 97-osobowa obsada. Inspektorem ośrodków akademickich był ppłk Perucki¹¹.

Uniwersytet Rzymski gościł największą ilość polskich studentów, zapisanych na różne wydziały. Komendantem był tu A. Tomaszewski, jego zastępcą rtm. M. Siemiradzki, odpowiedzialnymi za stronę naukową na całe Włochy od samego powstania ośrodków byli prof. H. Paszkiewicz i prof. K. Lanckorońska, której pomoc była wyjątkowo cenna, bo świetnie mówiła po włosku i dobrze знаła Rzym. Pierwszy duży problem do rozwiązania dla kierownictwa ośrodka stanowiło znalezienie odpowiedniego pomieszczenia dla studentów. Początkowo umieszczono ich w koszarach w Cechignola, 10 km od Rzymu, ale potem, dzięki poparciu Watykanu, znaleziono lokale dające dobre warunki do nauki: kolegia Leonianum i Irlandese. W Leonianum zakwaterowano dwustu studentów, zorganizowano biura (ośrodek dysponował własnym personelem, z lekarzem, oficerem gospodarczym, kancelistami itp.) i stołówką. Świetlica znajdowała się tymczasem na via Vittorio Veneto.

Stopniowo powiększyło się grono opiekunów naukowych w ośrodku rzymskim. Prof. Rutkowski zajmował się grupą muzyków i śpiewaków (po jego powrocie do Polski jesienią 1946 zastąpił go prof. H. Swolkień), prof. M. Szyszko Bohusz

11. Sprawozdanie z organizacji ośrodków akademickich dla Dowódcy 2 Korpusu sporządzone przez komendanta ośrodków, ppłk. Peruckiego, L.dz.210/46, m.p. 15.5.1946 r.; Rozkaz szczegółowy nr 1 Kwatermistrza Korpusu, L.dz.82/kwat/tj., m.p.6.2.1946; Projekt etatów dla komendy i poszczególnych ośrodków akademickich, Arch. I.P.M.S., A.XI.29/30.

studentami ASP, inż. Śmigielski architektami, a mgr E. Szczepanik ekonomistami. Prof. H. Paszkiewicz zorganizował studium z zakresu kultury polskiej dla studentów humanistyki, na którym wykładali i prowadzili seminaria prof. dr K. Lanckorońska z historii sztuki polskiej, prof. G. Maver z literatury polskiej, prof. ks. dr W. Meysztowicz z historii Kościoła w Polsce, a sam prof. Paszkiewicz z historii polskiej. Prof. Lanckorońska ponadto objęła opiekę nad wszystkimi studentkami w Rzymie. Powstały organizacje studenckie. Do zarządu Bratniaka zostali wybrani por. Kubryn (prezes), ppor. L. Hirszan, por. H. Walowski, pchor. Z. Wróblewski¹².

Dowództwo Korpusu odkomenderowując żołnierzy na studia wybierało uniwersytety cieszące się najlepszą opinią, zgodnie z poprzednią ich oceną przedstawioną przez prof. K. Lanckorońską. Dlatego na studia techniczne kierowano do sławnych Politechnik w Turynie i w Mediolanie. Po Rzymie Turyn gościł najliczniejszą grupę studentów. Na Politechnikę Turyńską zapisało się 334 żołnierzy, z czego większość na I rok. Komendantem ośrodka był mjr Weber, żołnierze mieszkali w byłej kolonii faszystowskiej zwanej „3 Gennaio”, dużej willi z ogrodem na wzgórzach, z widokiem na miasto i na Alpy, niestety po 12-20 osób w każdej sali, na miejscu była jednak stołówka, a w kuchni zatrudnieni byli Polacy, wojskowi i cywilni. Oprócz „3 Gennaio” studenci mieli do dyspozycji tzw. „Marinetto”, dziwaczny budynek w kształcie okrętu, znajdujący się nad brzegiem Padu, w okolicach obecnego „Circolo della Stampa”. Był tam klub i polska restauracja z ogrodem i możliwością plażowania nad rzeką. Można było chodzić również w cywilnych ubraniach i

12. A. Tomaszewski, *op. cit.*, s. 210-214. Krótka informacja o ośrodkach akademickich 2 Korpusu we Włoszech jest umieszczona w PTNO, *Nauka polska na obczyźnie*, zeszyt I, Londyn 1955, s. 9. Niestety kolejne dwa zeszyty tej serii nie zawierają wstępnie przewidzianego opracowania studiów polskich poza Wielką Brytanią. W zeszycie III, Londyn 1961, w artykule T. Grodyńskiego, *Statystyki studentów polskich na uczelniach wyższych polskich i obcych*, s. 35 znajdują się tylko liczby polskich studentów zaczerpnięte ze Sprawozdania Wydziału Oświaty Dow. 2 Korpusu z 17.2.1946 r.

Nie znalazłam w literaturze naukowej drukowanej na emigracji czy w Polsce żadnego opracowania na temat ośrodków akademickich 2 Korpusu we Włoszech, istnieją tylko krótkie wzmianki i wspomnienia zawarte w pamiętnikach. Niniejszą pracę przygotowywałam więc głównie na podstawie materiałów znajdujących się w Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie, szczególnie aktach ambasady RP przy Stolicy Apostolskiej, i rozmów z byłymi studentami, zwłaszcza z inż. M. Rasiejem o Turynie, z dr. T. Kamińskim o Bolonii, z inż. T. Słodykiem o Mediolanie, dziękuję im więc za życzliwą pomoc. Stanowi to jednak dopiero wstępne opracowanie tematu, który wymagałby dalszych poszukiwań.

mieszkać w mieście. W Turynie i w innych włoskich miastach była też polska komenda placu, żandarmeria i kapelan wojskowy. Studenci mogli korzystać, podobnie jak w Rzymie, z pomocy opiekunów naukowych odkomenderowanych z Korpusu, prowadzili oni dodatkowe lekcje, doradzali, starali się wypełnić luki z matematyki lub z innych przedmiotów spowodowane długą przerwą w nauce, posługując się w tym celu podręcznikami drukowanymi przez Korpus we Włoszech oraz wydawanymi w Szwajcarii przez internowaną tam 2 Dywizję Strzelców Pieszych. Na „3 Gennaio” uroczyste obchodzono w 1946 r. Wielkanoc i 3 maja, z orkiestrą i licznymi gośćmi, z koleżankami i kolegami ze studiów; organizowano również często zabawy i potańcówki. Prezesem Bratniej Pomocy został wybrany w tym okresie kol. Suchoń.

W Bolonii studiowano głównie medycynę i zbliżone kierunki: farmację, weterynarię, stomatologię. Kilkanaście osób uczyło się na wydziale rolnym, kto wybrał leśnictwo, znalazł się tymczasem we Florencji (jedyne miasto włoskie posiadające ten wydział). Komendantem placu w Bolonii był mjr Łoziński, komendantem męskiego ośrodka akademickiego kpt F. Ignaciuk, żona mjr. Łozińskiego była komendantką żeńskiego ośrodka, a pani B. Witwicka jej zastępczynią. Studentów zakwaterowano w dużej willi prof. Negri przy via Osservanza, na wzgórzach, z pięknym widokiem na miasto. Studentki i studenckie małżeństwa mieszały w Hotelu Regina, w samym centrum, na piazza Garibaldi. Serdeczne stosunki z mieszkańcami Bolonii i z innymi studentami barwnie opisuje w swej książce P. Witkowski, zwłaszcza pożegnalną zabawę przed wyjazdem Korpusu z Włoch, z przydatnymi radami Jego Magnificencji Rektora E. Volterry i żartami zaków¹³.

Ośrodek mediolański był o wiele mniejszy od poprzednich, liczył zaledwie 59 żołnierzy zapisanych na wyższe lata Politechniki (głównie na wydziale mechanicznym i chemii przemysłowej) i Uniwersytetu (wydział chemiczny). Komendantem był tu kpt. W. Romanowski. Początkowo ośrodek mieścił się na via Gioberti 11, później przeniesiono go do Hotelu Esperia Corona na via Vittor Pisani. Studentom zaliczono, na podstawie indeksu i szczegółowego programu przedmiotów, egzaminy już zdane w Polsce, ale kto nie miał świadectwa maturalnego, musiał ponownie uzyskać maturę we Włoszech, spotkało to m.in. inż. T. Słodyka, absolwenta Politechniki Lwowskiej, i asystenta na Politechnice Mediolańskiej, sławnego prof. Natta (nagroda Nobla).

13. P. Witkowski, *A po wojnie po skończonej*, Warszawa 1981, s. 41, 69-107.

Po wyjeździe Korpusu do Anglii ośrodek mediolański został zlikwidowany i pozostali studenci znaleźli sobie prywatne kwatery w mieście.

Kiedy w marcu 1946 minister Spraw Zagranicznych J.K.M. Bevin zapowiedział w Izbie Gmin demobilizację Polskich Sił Zbrojnych, spowodowało to duży niepokój i dezorientację co do przyszłości żołnierzy i młodzieży akademickiej. 22 maja Bevin oświadczył w Izbie Gmin, że 2 Korpus będzie przeniesiony do Wielkiej Brytanii i że będzie tam stworzony Korpus Rozmieszczenia i Przesiedlenia. W rozkazie z 29.5.1946 r. gen. Anders powiadomił żołnierzy o decyzji brytyjskiej. Przez całe lato wyjeżdżały oddziały do Anglii, drogą morską przez Neapol lub kolejową przez Niemcy i Francję. Aby umożliwić studentom zdanie egzaminów z kończącego się roku, zezwolono na ich wyjazd z pozostałymi jeszcze jednostkami wojska. Gen. Anders odjechał ostatnim regularnym wojskowym transportem 31.10.1946¹⁴. Przy oporze władz brytyjskich zgodę na pozostanie we Włoszech na dokończenie studiów otrzymał tylko mały procent studentów z ostatniego roku. Amb. Papée w *aide-mémoire* z 7 grudnia 1946 szacuje liczbę żołnierzy pozostających na około stu, późniejsza notatka Ambasady, z 20 marca 1947, podaje liczbę około 180 (widocznie komuś udało się nie wyjechać lub już wrócić). Ale władze brytyjskie w lutym 1947 wydają rozkaz wyjazdu do Anglii nawet tej małej grupy. Starania władz Korpusu, opiekunów naukowych i interwencje ambasady w Watykanie w celu zmiany decyzji brytyjskiej¹⁵ w końcu poskutkowały, jak możemy przeczytać w następującej depeszy z 12.4.1947 wysłanej z Londynu do Papée:

14. W. Anders, *Bez ostatniego rozdziału*, Londyn 1973, 4 wyd., s. 366-388.

15. List do Sekretariatu Stanu Watykanu z 20.3.1947 i notatka po angielsku w tej sprawie (Arch. I.P.M.S., A.44.277/1):

„*Polish Soldiers-students in Italy.*

Out of the 1250 Polish soldiers-students, who have been studying in Italy last year 180 have been allowed to stay here to finish their studies. They have now received the order from G.H.Q.C.M.F. NAGI/00219 Feb. 5th to leave Italy in March-April. A few of these have already finished in April, the majority could take their degree in June. Some of the rest, who finish in October, could demobilize in Italy, but very few will be able to afford that. Most of these students are future engineers, doctors in medicine, veterinarians and chemists. If these young men could not obtain permission to stay in Italy till June, they could not take their degree here, they could not hope to finish their studies in Great Britain, as they do not speak English well enough and their studies are not adapted to the program of the English High Schools, already terribly overcrowded. The departure of these students in March-April would break their existence, their staying till June would allow them to leave Italy as specialized workers, well prepared for civilian life, useful members of any society, no burden to anybody. (...)”

„Rad jestem niezmiernie, że starania nasze wobec studentów osiągnęły pozytywne rezultaty stop wszyscy pozostają do czerwca br. kończący jesienią dostaną urlopy z Anglii dla zdania egzaminów stop proszę zawiadomić Lanckorońską Paszkiewiczą płk. Piątkowskiego serdeczności

Anders”¹⁶

Korespondencja amb. Papée z prof. W. Folkierskim świadczy o zainteresowaniu ambasady dalszymi losami studentów zmuszonych do wyjazdu do Anglii, którzy raczej nie byli zadowoleni ze zmiany i widocznie pisali listy pełne goryczy do Rzymu¹⁷. Notatka do ambasadora podaje, że pismem z dnia 6.6.1947 Inspektorat Generalny Polskiego Korpusu Przesiedlenia i Rozmieszczenia zwrócił się o wizę włoską dla 105 studentów, którzy pragną kontynuować tam studia. „Młodzież ta po jednym roku studiów we Włoszech musiała w r. 1946 wyjechać do Anglii, gdzie się na studia dostać nie może. Jedyna i ostatnia nadzieja tych ludzi to studia we Włoszech¹⁸”. W tej samej

16. Arch. I.P.M.S., A.44.277/1.

17. Zob. list prof. W. Folkierskiego do amb. Papée, Londyn, 21.3.1947:

„Wielce Szanowny i Drogi Panie Ambasadorko, (...) Dochodzę do przekonania, że aczkolwiek mamy tu przemożne trudności, sprawy akademickie byłych żołnierzy 2 Korpusu przedstawiają się może lepiej, niżby się Wam z oddali wydawało. Zdenerwowanie akademików, którzy przerwali studia, jest zrozumiałe. Baczyc jednak trzeba, by nie przybierało ono formy historycznej. Jedną z form hysterii jest zjawiająca się u studentów chęć wędrowania w tę i w tamtą stronę. Z 900 studentów których przyjechało do Anglii, 500 dostało się do Polish University College, a 400 jest jeszcze w obozie w Sudbury. Jeżeli więc mówi się u Was we Włoszech, że akademicy 2 Korpusu mają w ogóle uniemożliwione studia, jest to znakomita przesada. Wszystko trwa długo, ale uważam, że rok poświęcony nabyciu tego języka nie jest rokiem straconym”. Folkierski zajmuje negatywne stanowisko odnośnie projektu wyjazdu na dalsze studia z Anglii do Hiszpanii i w ogóle wyjazdom, ale oczywiście mogą być wyjątki, m.in. p. J. Adamski, wspomniany w poprzednim liście ambasadora Papée, zdolny humanista: „studuje obecnie, choć nie to, co potrzeba (...). O studiach humanistycznych marzy dalej i mógłby może przy pomocy p. Lanckorońskiej dostać się do Szwajcarii, albo przy mojej do Paryża” i „Dwóch weterynarzy, porucznicy E. Grabowski i Skokowski, tak się sprawnie wzięli do dzieła, że uzyskali wizę wjazdową do Włoch, wizę powrotną do Wielkiej Brytanii i odłożyli sobie trochę pieniędzy na pierwsze potrzeby. Wyjechali już do Włoch, aby studia swe kończyć w Bolonii, skoro tego nie mogą zrobić w Wielkiej Brytanii”. Arch. I.P.M.S., A.44.277/1.

18. Arch. I.P.M.S., A.44.277/1. Na notatce jest dopisek amb. Papée do radcy ambasady E. Borowskiego: „Proszę o list mój do mons. Montini z prośbą o poparcie sprawy u władz włoskich. Lepiej nie wymieniać liczby (105), gdyż na pewno się jeszcze zmieni i może być znacznie mniej. Lepiej napisać *un certain nombre, ne dépassant 100, czy coś podobnego*”.

notatce znajduje się prośba o interwencje w Watykanie i informacja, że we Włoszech studiuje jeszcze 400 żołnierzy Korpusu (!).

Następny telegram z 21.8.1947 gen. Wiśniewskiego do Papée powiadamia, że GHQ CMF wyraził zgodę na pozostanie dyplomatów we Włoszech do 31 października, po czym muszą wyjechać do Wielkiej Brytanii albo prosić o demobilizację we Włoszech. W samym Rzymie złożyło podanie o demobilizację 43 żołnierzy¹⁹. Otrzymać zezwolenie na pozostanie w Italii nie było jednak łatwo, Anglicy ponadto nie przyjmowali do Wielkiej Brytanii żołnierzy żonatych z Włoszkami, dla nich stworzono obóz koło Forli, pod komendą płk. L. Piątkowskiego. Jego stosunki ze studentami nie były najlepsze i potrzebne były interwencje prof. Lanckorońskiej, prof. Paszkiewicza i ambasadora Papée, aby wypłacał żołd studentom.

Przed wyjazdem z Italii Gen. Anders zostawił fundusz celem wspierania pozostałych studentów. Prof. Paszkiewicz przekazał go w 1947 roku ambasadorowi Papée, który już wcześniej zajmował się studentami cywilnymi, a następnie, po rozwiązaniu ośrodków, objął opiekę nad całością polskich studentów. Korespondencja ambasadora Papée ze stypendystami świadczy o trosce, z jaką wykonywał to zadanie²⁰. Po wyjeździe prof.

19. Polski ośrodek akademicki w Rzymie, lista studentów, którzy złożyli podania o demobilizację na terenie Italii, Arch. I.P.M.S., A.44.277/1. Lista zawiera dane osobiste, wydział i rok studiów oraz środki utrzymania we Włoszech.

20. Podaje, dla przykładu korespondencji, list K. Papée do J. Skokowskiego (Rzym dn. 14 lipca 1947) i J. Skokowskiego do K. Papée (Bolonia, 24 września 1947):

„Szanowny Panie, w tych dniach otrzymałem ostatni list Pański z wiadomością o pomyślnym zdaniu 5 egzaminów. Niezmiernie mnie to uradowało, toteż życzę Panu, aby również i powakacyjne egzamina udały się z równym powodzeniem. Proszę jednocześnie o wyrażenie tych moich życzeń i uczuć koledze Pańskiemu, p. Edwardowi Grabowskiemu. Suma 10.000 lirów tytułem stypendium za lipiec br. na kontynuowanie studiów została przekazana i pewno znajduje się już w Pańskich rękach. Łączę serdeczny uścisk dłoni. K. Papée”.

„Jaśnie Wielmożny Panie Ambasadorze. Wyrażam szczerą wdzięczność Panu Ambasadorowi za bardzo życzliwe ustosunkowanie się oraz za udzieloną mi pomoc w ubiegłych miesiącach. Zawiadamiam, że otrzymałem stypendium, w sumie 15.000 lirów miesięcznie, od kuratora ośrodków akad. prof. O. Zielińskiego. Obecnie zwracam się z prośbą do Pana Ambasadora, o ile to jest możliwe, o łaskawą pomoc ze swej strony w otrzymaniu *soggiorna*. Podanie z prośbą o udzielenie *soggiorna* wysłałem dzisiaj (24 września) do Ministerstwa Spraw Zagranicznych listem poleconym. Łączę wyrazy głębokiego szacunku. J. Skokowski”. Na tym liście znajduje się własnoręczna notatka ambasadora: „B. porządny chłopiec, zasługuje na pomoc” z poleceniem załatwienia sprawy do p. Borowskiego. Arch. I.P.M.S., A.44.277/1.

Paszkiewicza do Anglii kuratorem Związku Studentów Polskich w Italii pozostał ojciec prof. dr Terejusz Zieliński OCD (corso d'Italia 39, Rzym). W aktach ambasady przechowały się jego dokładne sprawozdania z postępów w nauce poszczególnych stypendystów oraz drobiazgowo rozliczenia z powierzonych funduszy.

Po wyjeździe Korpusu życie w poszczególnych ośrodkach uległo dużej zmianie. W Rzymie wszyscy studenci przenieśli się do Leonianum. Urządzono tu nową świetlicę, ozdobioną freskami M. Panasa, gdyż te na Vittorio Veneto zlikwidowano. Stworzono nowy Związek Studentów, zrzeszający także studentów nie pochodzących z 2 Korpusu, których prezesem został wybrany St. Dziakiewicz, a sekretarzem K. Artymowska. Prezesem Bratniej Pomocy w 1947 r. był W. Halicki. W Bolonii studenci z via Osservanza przenieśli się do hotelu Regina i powstała Bratnia Pomoc, której pierwszym prezesem był J. Wysocki, drugim T. Kamiński, a trzecim B. Zelent. Stworzyli też Koło Medyków z prezesem Cz. Bratkowskim. We wszystkich ośrodkach często zmieniały się zarządy organizacji studenckich, w związku z ukończeniem studiów, wyjazdami i z innych powodów. 20 grudnia 1947 roku odbył się w Rzymie pierwszyjazd Delegatów Związku Studentów Polskich w Italii, wzięli w nim udział J. Łobodziński i W. Wyszowski z Rzymu, B. Zelent z Bolonii, Z. Chmielewski z Turynu i P. Świątkowski z Mediolanu, obecny był również o. Zieliński²¹. Duża część korespondencji organizacji studenckich z ambasadą dotyczy stypendiów, legalizowania dokumentów, pomocy w otrzymaniu zezwolenia na stały pobyt we Włoszech. We Włoszech wzrasta inflacja i studenci rzymscy skarżą się na brak pieniędzy. Wolno przypuszczać, że kurator, ojciec Zieliński, uważał ich stosunek za niewłaściwy, gdyż w liście do amb. Papée (16.IX.1947) napisanym po wizycie w Bolonii donosi, że „w odróżnieniu od studentów rzymskich pieniądze naprawdę są tu ogólnie brane jako środek, a nie jako cel”²².

21. O.T. Zieliński do amb. K. Papée, 16.IX.1947, Arch. I.P.M.S., A.44.277/1. Co do studentów w Rzymie, zob. odpis listu prezesa Bratniej Pomocy, dr W. Halickiego „do pp. Kuratorów ośrodków akademickich w Italii”, Rzym 8.7.1947, wraz z załączonym tłumaczeniem oświadczenia dr. E. Alleva, lekarza ośrodka akademickiego w Rzymie, w którym stwierdza on złą kondycję większości studentów, spowodowaną nieodpowiednim wyżywieniem, i list Związku Studentów Polskich w Italii, Rzym 7.1.1947, podpisany przez prezesa St. Dziakiewicza i sekretarza K. Artymowską, do J.E. amb. Papée, opisujący trudności materialne studentów. Arch. I.P.M.S., A.44.277/1.

22. Sprawozdanie z postępów w nauce studentów-stypendystów w okresie roku akademickiego 1947/48, sporządzone dla Komitetu Opieki nad Polakami w Italii przez T. Zielińskiego, Rzym 18.IX.1948, Akta ambasady RP przy Stolicy Apostolskiej, nr 277.SA.32, Arch. I.P.M.S., A.44.277/2.

W roku akademickim 1947/48 korzystało ze stypendiów ambasady RP 130 studentów, z których 39 w tymże roku ukończyło studia²³. Po wojnie także ambasada PRL w Rzymie i konsulat w Mediolanie udzielali stypendiów studentom, musieli jednak oni podpisywać zobowiązanie na powrót do Kraju po studiach: niewielu żołnierzy 2 Korpusu skorzystało z tej możliwości (mimo, że stypendia rządu warszawskiego były wyższe od stypendiów emigracyjnych) a z tych, co podpisali, jeszcze mniej wróciło do Polski. Z upływem czasu liczba stypendystów się zmniejszała. Nota ambasady RP z 17.11.1949 roku określa ich liczbę na 90 w całych Włoszech (36 w Rzymie, 34 w Bolonii, 20 w Turynie) i zaznacza, że w sumie stypendia dla nich wynoszą 1.000.000 lirów miesięcznie, całkowicie pokryte przez fundusz 2 Korpusu. Fundusz ten jednak widocznie się kończy, skoro w tymże 1949 roku Papée pisuje do różnych osobistości z prośbą o poparcie dla studentów. Ambasada stara się również uzyskać włoskie stypendia kombatanckie, niestety ze strony włoskiej odpowiedź była odmowna, mimo małej liczby starających się. List Związku Studentów Polskich w Italii do ministra Gonella z 18.11.1950 wymienia tylko 39 studentów — byłych żołnierzy: 25 w Bolonii, 12 w Rzymie, 2 w Turynie²⁴. Lista sporządzona przez Zrzeszenie Studentów Polskich za granicą z 20.8.1950 r.²⁵ podaje na 1950 rok 83 studentów we Włoszech, zaznaczając, że w roku akademickim 1949/50 ukończyło studia 23, a w 1950/51 powinno ukończyć 35. W roku 1951 następuje zmiana kuratora, na miejsce ojca Zielińskiego przychodzi ojciec St. Suwała²⁶. Akta ambasady RP przy Watykanie dotyczące polskich studentów na terenie Włoch obejmują okres 1946-1964, kończą się więc w latach sześćdziesiątych adnotacjami zwrotu pieniędzy za otrzymywane stypendia od byłych studentów, zamieszkałych w różnych krajach.

Z 1.280 żołnierzy, którzy w 1946 roku studiowali na włoskich uniwersytetach, około 900 wyjechało do Anglii z Korpusem jesienią 1946 roku (niektórzy z tych później wrócili jednak do Włoch), z pozostałych znaczna większość wyemigrowała do innych krajów, po przejściowym pobycie w obozie w Forli lub

23. Odpis Protokołu I Zjazdu Delegatów Z.S.P. w Italii, Arch. I.P.M.S., A.44.277/3.

24. Nota ambasady R.P. przy Stolicy Apostolskiej, 17.IX.1949 r. Arch. I.P.M.S., A.44.277/3.

25. Interwencja amb. Papée do włoskiego ministra Oświaty Gonella i odpis listu Z.S.P. w Italii do tegoż, z 18.XI.1950 r., Arch. I.P.M.S., A.44.277/4.

26. List amb. Papée do ministra Gonella z 12.2.1951 r., akta ambasady R.P. przy Stolicy Apostolskiej, nr 277.SA.40, arch. I.P.M.S., A.44.277/4.

po ukończeniu studiów, mała część wróciła do Polski i tylko niewielu pozostało na stałe we Włoszech: około dziesięciu w Turynie, kilkunastu w Mediolanie, w Bolonii, w Rzymie²⁷.

W końcu warto się zastanowić, czy był taki precedens w naszej historii, aby wojsko, na obcej ziemi, skazane na rozproszenie po różnych stronach świata, w trosce o przyszłość swoich żołnierzy umożliwiło im naukę i uzyskanie zawodu cywilnego. Jest to niewątpliwie zasługa Dowódcy Korpusu i wyznaczonego przez niego zespołu, który podjął się trudnego zadania organizacji ośrodków akademickich. Trzeba jednak podkreślić rolę profesor Karoliny Lanckorońskiej, powszechnie znanej i szanowanej krzewicielki kultury polskiej, gdyż gen. Anders powierzył jej pierwszej, we wrześniu 1945 roku²⁸, uruchomienie ośrodków i dzięki pozytywnym wynikom przez nią uzyskanym nastąpiła ich realizacja. Była ona nie tylko wybitnym wykładowcą i organizatorką, ale przede wszystkim *spiritus movens* tego pięknego i niezwykłego rozdziału historii oświaty polskiej na obczyźnie.

Krystyna JAWORSKA

27. W Turynie na przykład, z byłych studentów 2 Korpusu pozostali na stałe Z. Chmielewski, M. Czapiewski, T. Kamiński, J. Kraszewski, Z. Mol-ski, T. Carver Paszkowski, A. Tass, H. Zaziemski, K. Zborowski; w Medio-lanie: Krzyżowiec, T. Słodyk i P. Wertenstein, w Bolonii: R.K. Lewański, J. Deliś, Korngold; w Ravennie: E. Grabowski; w Modenie: B. Zelent, w Cesena: J. Woleński; w Andorze: Kruszelnicki; w Rzymie: K. Badura, Z. Hoffer, J. Zaremba i inni.

28. Rozkaz Dowódcy Korpusu do dr K. Lanckorońskiej, L. dz. 509/ADJ/45, m.p. 5.9.1945, w posiadaniu prof. K. Lanckorońskiej.

CI, CO ODESZLI

Piotr WANDYCZ

WSPOMNIENIE O HENRYKU WERESZYCKIM

Dnia 7 luego br. zmarł w Krakowie w wieku przeszło dziewięćdziesięciu jeden lat Henryk Wereszycki, znakomity historyk i wielki patriota — człowiek, który zajmował zupełnie specjalne miejsce w życiu naukowym i publicznym Polski. Profesora Wereszyckiego poznałem prawie trzydzieści lat temu, a podczas mych dłuższych pobytów w Kraju w latach 1972-73 i 1977-1978 widywałem się z nim wielokrotnie. Poza tym korespondowaliśmy i kilkadziesiąt jego listów może stanowić kiedyś interesujące źródło dla historyka. Piszę o tym tutaj, gdyż pragnąc naszkicować sylwetkę Zmarłego, a przede wszystkim pokusić się o charakterystykę tej wybitnej postaci, chciałbym uczynić to w możliwie wielopłaszczyznowym wymiarze, łącząc suche dane biograficzne z wrywkami korespondencji*.

Henryk Wereszycki urodził się we Lwowie i jak pisze w artykule „Historyk sam o sobie”, ogłoszonym w *Kwartalniku Nauki i Techniki*, nr 3-4/1986, „wychowano mnie w kulcie powstań i walk zbrojnych”. Nic więc dziwnego, iż w 1916 r. Wereszycki wstępuje do Legionów, gdzie służy w artylerii (przez jakiś czas w tej samej baterii co Józef Beck), potem jest w POW. W czasie wojny polsko-bolszewickiej zostaje raniony. Studia wyższe

* W cytowanych urzywkach poprawiłem błędy maszynowe i unowocześniłem pisownię.

kończy na Uniwersytecie Jana Kazimierza i doktoryzuje się u Adama Szelańskiego z dziedziny historii dyplomatycznej XIX w. Jego praca doktorska nosi tytuł *Austria a Powstanie Styczniowe*. Druga książka, którą zdołał jeszcze wydać przed wybuchem drugiej wojny światowej, to *Anglia a Polska 1860-1865*.

Warunki życia młodego historyka nie były łatwe i Wereszycki jak i wielu jego kolegów uczy historii w szkołach średnich, m.in. w znanym lwowskim prywatnym gimnazjum Kistryna. W 1935 r. jednakże otrzymuje posadę w Instytucie Badań Najnowszej Historii Polski, wkrótce zamienionym na Instytut Józefa Piłsudskiego. Pełni tam funkcję kustosza. W tym okresie pisze liczne artykuły i recenzje i przygotowuje do druku tom X zbiorowych pism Marszałka. W 1939 r. bierze udział w kampanii wrześniowej w stopniu porucznika i dowódcy baterii i po bitwie pod Kockiem dostaje się do niewoli. Następne lata spędzi jako jeńiec oflagów.

Po powrocie do kraju, dzięki poparciu swego przyjaciela i kolegi historyka, Stanisława Płoskiego, Wereszycki znajduje miejsce w Instytucie Pamięci Narodowej, gdzie opracowywuje podręcznik historii Polski w epoce powstaniowej 1864-1918. Podręcznik ten stanie się wkrótce kamieniem obrazy dla ekipy rozpoczynającej swe dzieło sowytyzowania nauki polskiej. Wycofany i skazany na zapomnienie, ukaże się on po raz drugi w 1979 w Paryżu, inaugurując serię Libelli „Historia i terażniejszość”. W tym okresie jednak, chociaż Wereszycki habilituje się w 1948 r. i zostaje mianowany zastępcą profesora na Uniwersytecie Wrocławskim, książka ta stanowi główny powód ataków na jego osobę. Na konferencji metodologicznej historyków w Otwocku w 1950-51 r. (którą jedna z uczestniczek porównała do uczty kiejdańskiej w *Potopie*) Roman Werfel zarzucił Wereszyckiemu fałszowanie historii, gdyż przedstawił on Piłsudskiego i Dmowskiego jako patriotów, zamiast ukazać ich jako agentów zwalczających się imperializmów.

Nastaje trudny okres w życiu Wereszyckiego, pozbawionego prawa drukowania i usuniętego na margines. Nieco wcześniej, bo w 1947 r., następuje zasadnicza zmiana w jego życiu osobistym, a mianowicie małżeństwo z Heleną z Waniczków, pracującą już wówczas w Polskim Słowniku Biograficznym w Krakowie. Tak więc, gdy przychodzi Październik i Wereszycki otrzymuje nominację na profesora nadzwyczajnego na Uniwersytecie Jagiellońskim, może on wreszcie przenieść się do Krakowa i być razem z żoną.

Następne dziesięciolecie to okres najbardziej twórczy naukowo, a także znaczny w dziedzinie dydaktyki w najszerszym tego słowa znaczeniu. Wereszycki chce i umie uczyć i wywiera

duży wpływ na rozszerzające się grono uczniów, przyjaciół, znajomych. Jego nieugięta postawa — jest on chyba jednym z nielicznych historyków, którzy nie musieli się wstydzić ani jednego napisanego słowa — znajduje uznanie i oddźwięk. Jego ostra krytyka makiety „Historii Polski” przygotowanej przez PAN, wydrukowana w *Kwartalniku Historycznym* pt. „Pesymizm błędnych tez” odzwierciedla może najlepiej jego nastawienie jako uczonego i jako Polaka wobec tematyki porozbiorowej. Charakteryzuje ją realizm, ale i mocno zaznaczony optymizm i wiara w naród. Referat Wereszyckiego o powstaniach, wygłoszony na pierwszym po Październiku zjeździe historyków w Krakowie w 1958 r., jest przepojony tym samym duchem i znajduje silny rezonans wśród słuchaczy.

Profesor jest pochłonięty pisaniem i lista jego publikacji zaczyna się wydłużać: rozdziały o okresie po Powstaniu Styczniowym w zbiorowej *History of Poland* (polskiego wydania nie ma, więc Wereszycki, jak i inni autorzy tego dzieła, był o wiele mniej skrupowany cenzurą); monumentalna trylogia z historii dyplomatycznej pt. *Sojusz trzech cesarzy* (1965), *Walka o pokój europejski 1872-1878* (1971) i *Koniec sojuszu trzech cesarzy* (1977). Pisząc o tym ostatnim tomie, Wereszycki zauważał „... zakończyłem moje prace będące pewną całością dziejów dyplomatycznych Europy środkowej w latach 1860-1890”. Zastanawiając się nad znaczeniem tych tomów, podkreślał fakt, iż „Polska historiografia odwróciła się od tych zagadnień”, które słusznie uważał za tak istotne (list do autora z 14.V.1972). Opuścili go widać wątpliwości, tak chyba charakterystyczne dla naszego fachu, że książki jak *Sojusz* czytać mogą „właściwie tylko specjaliści i dopiero przez popularyzatorów mogą być transmitowane szerzej — ale to jest problem bardzo ogólny i pod koniec życia nie warto sobie psuć humoru refleksją, że wszystko co napisałem ma bardzo względną — o ile w ogóle — wartość. Ostateczna ocena, jeśli w ogóle nastąpi, i tak nie może być przez żadnego z autorów przewidziana. Tylko wieszczowie byli pewni, że zbudowali sobie pomnik na wieczność” (list z 24.IV.1974).

Wereszycki publikuje dużo. W 1972 r. ukazuje się książka pt. *Historia Austrii*, a „cztery lata później tom *Pod berłem Habsburgów*. Będąc już prawie niewidomy (kłopoty z oczami gnębiły Wereszyckiego przez wiele lat) opracowuje wraz ze swym uczniem Jerzym Zdradą rozdziały pt. „Polska działalność dyplomatyczna 1860-1900” w tomie *Historia dyplomacji polskiej* (1982). Jest to jego ostatnia większa praca, jeśli nie liczyć zbioru artykułów, rozpraw i szkiców wydanych przez *Znak* w 1987 r. pt. *Niewygasła przyszłość*. Tom ten, jak zauważył Jan Paweł II w liście do Wereszyckiego, powinien być przeczytany przez każdego Polaka.

W tym miejscu pozwolę sobie na dygresję, ale dygresję bardzo ważną i znaczącą, a mianowicie kontakty Wereszyckiego z kardynałem Karolem Wojtyłą, a później z Ojcem Świętym. Zaczęło się to od zebrań, odbywających się co kilka miesięcy, wybitnych fizyków i chemików z Metropolitą krakowskim, na które Henryk i Helena Wereszyccy byli zapraszani jako jedyni humaniści. Pisze o tym z wrodzoną mu bezpośredniością Profesor w liście z 18. XII. 1978: „Jeśli Pan czyta Tyg[odnik] *Pow-sz[eczny]*, to Pan wie, że napisałem wspomnienie o kard. Wojtyle, na co Papież odpisał mi całkiem osobiście, nawet pośrednio zaprosił na takie zebranie, o którym pisałem w *Tyg.*, do Rzymu. Oczywiście dla mnie byłoby to za ciężko, ale pomyśleć, że wtedy kiedy się rodziłem, moi rodzice nie mogli przypuścić, że jakiś kardynał kiedyś będzie twierdził, że jego rozmowy z tym chłopcem dadzą mu tak bardzo wiele i że w końcu ten kardynał jako papież potwierdzi to pisemnie. Ale może to oznacza, że istotnie zbliża się koniec świata. Pewna moja znajoma z Genewy, profesor tamtejszej szkoły prawa międzynarodowego, wybór Polaka na papieża uznała za cud, a co więcej czeka na dalsze cuda. Pomyśleć, że wychowana w duchu najbardziej areli-gijnym. Ale to właśnie jest polska droga do ateizmu, którą poszli niektórzy wybitni przywódcy minionej epoki”. W innym liście Wereszycki pisze żartobliwie: „Zdaje się, że na koniec życia stanę się klerykałem, wbrew temu wszystkiemu, co mi w dzieciństwie wpajano. Nauczyłem się oceniać jako pozytywne to, co mnie uczono zwalczać. Ale też to się wszystko najzupełniej *prawie* zmieniło” (19.IX.1980). W tym samym liście Wereszycki wraca do Papieża pisząc, że wymienił z nim listy, „porównując Jego obecną rolę *mutatis mutandis* do roli, jaką w okresie Wiosny Ludów spełniał Mickiewicz. I chyba tak jest”.

W roku 1969 Wereszycki przeszedł na emeryturę jako profesor nadzwyczajny. Fakt, iż nie „uzwyczaiono” go był dowodem niezwyklej wprost małostkowości władz, tych samych władz, które na różnych szczeblach starały się mu zatruwać, a przynajmniej utrudniać życie. Wzmianki na ten temat pojawiają się nieraz w jego listach. W 1966 r. Wereszycki jest jedynym uczonym z Europy środkowo-wschodniej, zaproszonym na międzynarodową konferencję o monarchii habsburskiej do Bloomingtonu, któremu władze odmówiły paszportu. Zjawiają się Węgrzy, Czesi, Słowacy, Jugosłowianie, ale nikt z Polski. Jako uczestnik tej konferencji pamiętam, jak żenująco to wyglądało. Sam Wereszycki nie ma wątpliwości, że to „właśnie moja osoba jest główną przyczyną niepowodzenia. Kto inny byłby na moich warunkach na pewno wyjechał do Stanów” (24.III.1966). Nawet w lecie 1980 r. pisze, że chętnie zrecenzowałby moją książkę

United States and Poland w *Kwartalniku Historycznym*, „ale nie zrobię tego, bo byłyby kłopoty z wydrukowaniem” (19.VII.1980). Oczywiście pewne zezwolenie cenzury było widoczne już wcześniej, ale nigdy nie było się pewnym, co „przejdzie”, a co nie. Na przykład monumentalna praca o Powstaniu Styczniowym Stefana Kieniewicza nie dostała *placet* na drugie wydanie. Wereszycki komentował to z ironią: „kilku moich kolegów jeszcze nie emerytowanych miało okazję rozmawiać z miarodajnymi kolegami, naprawdę miarodajnymi, którzy im wytłumaczyli, że właśnie takie tematy są tabu, bo różnią zamiast łączyć”. Czyli, pisze dalej, jest nadzieja, że napisane osiem lat wcześniej „moje *Zagadnienie narodowościowe w monarchii Habsburgów* może się ukazać, bo już nikogo nie dzieli, a może, jak kto zechce, łączyć” (28.IV.1974).

W opinii władz Wereszycki nie zasługiwał na typową w polskim świecie naukowym księgę pamiątkową, trzeba się więc było zadowolić zeszytem *Prac Historycznych U.J.*, gdzie na wewnętrznej stronie notatka od redakcji informowała, iż zeszyt 26 jest poświęcony Henrykowi Wereszyckiemu z okazji 70-lecia jego urodzin. Uczniowie i przyjaciele profesora dali numer oprawić z napisem „Księga jubileuszowa” i wlepili fotografię Wereszyckiego. Ciekaw jestem, ile egzemplarzy tego „białego kruka” istnieje na świecie. Za to teksty są podpisane takimi nazwiskami jak Gierowski, Kieniewicz, Galos, Felczak czy Andrzej Kamiński.

Dorobek naukowy i postawa Wereszyckiego znajdują pełne uznanie w innych kołach i w innym świecie. Jest on chyba pierwszym historykiem z kraju, który otrzymał nagrodę Fundacji im. A. Jurzykowskiego w Nowym Jorku. Rocznicą osiemnastolecia urodzin Wereszyckiego nie zostaje zapomniana. Cytuję urywek z jego listu: „na moje 80 lat [*Tyg. Powsz.*] rozgłosił tę datę po całej Polsce, na skutek czego bardzo wielu ludzi przesyła mi bardzo miłe i pochlebne listy. Uczniowie i najbliżsi koledzy urządzili mi najbardziej prywatną i ekskluzywną lampkę wina, gdzie Gierowski, pierwszy mój asystent jeszcze z 1947 r. z Wrocławia, wygłosił przemówienie, które by mi mogło zawrócić w głowie, gdyby nie to, że byli tam obecni uczniowie arcymistrzów, tzn. Konopczyńskiego i Grodeckiego. Przyszły też telegramy od osób ważnych, wydawałoby się mających, a raczej powinny mieć co do mojej działalności zasadnicze zastrzeżenia. Ale takie są teraz nastroje, że ktoś zajmujący dość istotne w naszej dziedzinie stanowisko napisał 'wybitnemu uczonemu i światłemu obywatelowi'. Do czego się to ostatnie odnosi, łatwo się domyśleć, ale też jest dowodem, że w Polsce stosunki są najbardziej dziwaczne, niemal schizofreniczne” (18.XII.1978).

Pięć lat później — jubileusz 85-lecia: ciekawy artykuł J.W. Borejszy pt. „Nadzwyczajny profesor” (*Tygodnik Powszechny*, 11.XII.1983) oraz wywiad z Profesorem, oczywiście „posiekany” (jak to on określa) przez cenzurę. W liście Wereszycki pokrywa wzruszenie żartami. Dojście do późnego wieku „nie jest moją zasługą, ale jak powiedział kiedyś najdowcipniejszy człowiek moich czasów, Steinhaus: aby otrzymać wysokie odznaczenie, można nie robić nic, byle długo” (22.XII.1983). W połowie lat 80-tych Wereszycki otrzymuje doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego, a następnie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Druga z tych ceremonii musi się już odbyć w jego mieszkaniu ze względu na wiek i zły stan zdrowia. Profesor zbliża się do 90-ki. Tak się złożyło, że dniu kiedy Wereszycki kończył 90 lat znalazłem się w Krakowie i na zebraniu „klubu” mogłem wraz z kilku innymi osobami wypić jego zdrowie. „Klubem” nazywano grupę ludzi z U.J. i z *Tygodnika Powszechnego*, którzy spotykali się na kawie najpierw u Feniksa, potem w Literackiej, a później, gdy słuch Wereszyckiego nie pozwalał na cichszą konwersację — a trudno było wygłaszać donośnie niecenzuralne (polityczne) uwagi w kawiarni — w mieszkaniu profesorostwa na Siemiradzkiego. Dziewięćdziesięcioletni gospodarz prawie nic nie widział, a słyszał tylko jeśli krzyczano mu wprost do ucha, ale zachował pełną jasność umysłu, która ponoć zdumiała ekipę telewizyjną, która przyjechała nieco wcześniej nagrywać jego wypowiedzi. Było to nasze ostatnie spotkanie, ale los nie oszczędził Mu i Jego bliskim cierpień i zmagani przez długie jeszcze miesiące.

Wereszycki był przede wszystkim zawodowym historykiem wielkiej klasy, ale odkrył on również w sobie talent publicysty. W liście, który otrzymałem 24.IX.1970 r. ze Szwajcarii, dokąd Wereszycki jeździł parokrotnie na kurację i skąd pisywał bez konieczności oglądania się na cenzurę, figurował następujący *passus*: „Od roku pisuję jako Adam Stor do *Tygodnika Powszechnego*. Sprawozdanie ze zjazdu [historycznego] lubelskiego było też pisane przeze mnie, ale ogromnie okrojone przez cenzurę. Publicystyka ta daje mi wiele satysfakcji...”

Istotnie w wielu artykułach na tematy historyczne, lub nawiązujące do historii, Wereszycki trafiał doskonale do czytelnika i stwarzał tę tak istotną w polskim układzie więź „między starymi a nowymi laty”. Bowiem Profesor nigdy nie rozdzielał przeszłości od chwili obecnej i żył w tym historycznym, a równocześnie jak najbardziej aktualnym wymiarze czasu. Nasze dzieje, chyba tragiczniejsze od innych, mają to do siebie, że wywołują reakcje albo czarnej melancholii, uczucia straconych szans i pogrzebanych nadziei, lub odwrotnie, prawem kontrastu,

nastawienie etnocentryczno-mesjanistyczne. Wereszyckiego określiłbym jako optymistę, ale z pełnym wycuciem realiów i jak już wspomniałem, wiary w siły duchowe narodu. Może kilka urywków z jego listów, w których komentarze na tematy bieżące przeplatają się z ogólniejszymi refleksjami, najlepiej to zobrazuje.

Nawiązując do wydarzeń marcowych i ich następstw pisał: „Czystka antysemicka ominęła Un[iwersytet] Jag[iełłoński] dzięki rektorowi Klimaszewskiemu. W ogóle żaden praktycznie student nie ucierpiał na skutek marca 1968 r., nikt z personelu uczącego nie został usunięty ani nie emigrował pod naciskiem władz uniwersyteckich”. Wymieniając jedną osobę, która raczej skorzystała z sytuacji, aby wyemigrować, Wereszycki komentował, iż „mam mu [to] tajnie i osobiście za złe — bo w ten sposób dał argument do ręki tym, którzy głoszą, że ludzie pochodzenia żydowskiego nie czują się związani z Polską” (24.IX.1970).

W 1974 r. ukazują się w USA pierwsze tomy monumentalnej *History of East Central Europe*, które zostają przesłane Wereszyckiemu. „Zrodziło to refleksje — pisał — iż Europa Środkowo-Wschodnia to coś jak w XIX wieku Polska. Polacy zawsze niepokoiли się i baczili, czy istnieje jeszcze sprawa Polska, czy jeszcze Europa nas pamięta. Wtedy istniała Polska mitu inteligencji polskiej okresu niewoli. Polska Sprawiedliwa, Wolna, przykład dla Europy — kiedy zostanie wskrzeszona. Teraz mit ten zgał i nie ma sprawy polskiej tak, jak ją pojmowano w XIX wieku. Ale za to jesteśmy na mapie europejskiej i to nie sami, ale w grupie kilku państw i to wzmacnia naszą siłę w tym sensie, że trudniej o nas zapomnieć. Polacy w XIX wieku wydawali *Historię Polski* dla zagranicy, jako propedeutykę dla 'sprawy polskiej'. Chcieli, aby w Europie wiedziano czym była Polska, której sprawa ma inspirować politykę europejską. Teraz robi się *Historię Europy Środkowo-Wschodniej*... [ale] wydaje mi się, że analogie można prowadzić dalej, że ani świat nie uczynił niczego dla tej części Europy sam przez się, tak jak nie uczynił niczego dla Polski w XIX wieku dla niej samej” (26.VI.1975)

Późną jesienią 1976, gdy przez kraj przeszła fala strajków, powstał KOR i inne organizacje niepodległościowe, dostałem list, w którym Profesor pisał: „Kontakt z młodszymi udaje mi się w dalszym ciągu utrzymywać, co jak Pan rozumie jest w moim wieku niezmiernie ważne. Przejmuję się też sprawami publicznymi i widzę tylko ciemne chmury. Jeszcze tego jaśniejszego obrzeża nie dostrzegam, choć wiem, że nigdy nic nie trwa wiecznie i wreszcie kiedyś nadejdzie czas nadziei — nawet gdybym go nie dożył — co jest raczej pewne — to będę umierał w przekonaniu, że jednak naród nie zginie. Chociaż wydawałoby

się, że właśnie sama egzystencja jest zagrożona, przynajmniej tak jak moje pokolenie ją rozumie... znaleźliśmy się tu wszyscy w trudnym położeniu, ale na ogół nie ma nastroju beznadziejności. To byłoby sprzeczne z wszelką tradycją czyli charakterem narodowym" (3.XI.1976)

Niezachwiana wiara Wereszyckiego w naród występuje w szeregu listów. Kilkakrotnie powraca do myśli pisania pamiętników, choć „na razie zamiast pamiętników piszę listy, bo to jest jakby wprawka do pisania w ogóle” (16.VIII.1975). Podczas pobytu w klinice kreśli dość niewyraźnie list, w którym czytamy: „Jeśli ostatecznie wyzdrowieję, to będę pisał pamiętnik — ale jeśli zacznę od początku chronologicznie, to chyba nie zdążę i o Panu napisać, a szkoda, bo dałbym świadectwo prawdziwie nadzwyczaj pozytywnej i pokrzepiającej. Przecież pokrzepia myśl, że nawet w najgorszych czasach, gdy charaktery się rozkładają, są znowu rozproszeni na świecie ludzie wierni naszym ideałom, na których nie tylko my sami, ale dobro sprawy liczyć może” (24.II.1975).

Reakcja Wereszyckiego na powstanie Solidarności była do przewidzenia. „Okazuje się — pisał — że warto mi było jeszcze i tego sierpnia dożyć, choć w moim 82-im roku życia raczej dolegliwości niż radość są przeważające”. Nie patrzył jednak na rozwój sytuacji bezkrytycznie i bez pewnych obaw. „U nas nastrój wciąż jeszcze podniecony, chociaż mamy nadzieję, że jakoś się wszystko na razie ułoży pomyślnie. Domyślam się, jaki niepokój przeżywają Polacy na obczyźnie. Ale jedno jest pewne, że znowu byliśmy narodem znaczącym i w Europie i na świecie. Ale świat ma tak olbrzymie problemy w tej chwili, że chyba wkrótce przestanie się Polską interesować” (19.IX.1980). A w dwa miesiące później: „Myślę, że to po raz pierwszy 'powstanie moralne', jak nasz sierpień nazywam terminologią 1861 roku, znalazło dobrą koniunkturę międzynarodową i zwyciężyło. Przynajmniej na razie, ale mam nadzieję, że jeśli w Polsce stabilizacja polityczna potrwa jakiś czas, to będą to zmiany nieodwracalne. A zysk dla kultury polskiej bardzo widoczny, a jak Pan zna moje poglądy, to oznacza to niezmiernie wiele” (13.XI. 1980).

Na dwa dni przed wprowadzeniem stanu wojennego Profesor pisał do mnie: „Jestem optymistą i w żadną katastrofę nie wierzę, zarówno w Polsce jak i na świecie. Oczywiście o ile nie zajdzie jakiś przypadek losowy, niezależny od kierujących polityków supermocarstw... Zdaję sobie sprawę, jak wielka sprawa rozgrywa się w Polsce i jakie będzie miała znaczenie w naszych dziejach narodowych. Ale dopiero jak się ta rewolucja skończy, a stosunki wokół Polski się ustabilizują, wtedy dopiero będzie można podejść do obecnego przewrotu ze stanowiska history-

cznego. Ale tego momentu już doczekać bym nie mógł, bo jednak przynajmniej chyba będzie to trwało z pięć lat lub kto wie, czy nie więcej, nim się ogólne skutki objawią i w Polsce i w całym regionie". Wereszycki zdawał sobie sprawę, że brak obawy przed przyszłością może być „irracjonalnym optymizmem” ze strony społeczeństwa i jego ośobiście. Ale pozostawał przy swoim stanowisku (11.XII.1981). Jeśli myśli się o tych uwagach z perspektywy 1990 r., optymizm jego był uzasadniony.

Historyk pragnący docenić dorobek umysłowy Henryka Wereszyckiego winien sięgnąć do jego dzieł. Czytelnikowi interesującemu się jego twórczością publicystyczną polecam wspomniany już tom *Niewygasła przeszłość*. W tym wspomnieniu, które rozrastało się w miarę pisania, zabrakło właściwie miejsca na dogłębne omówienie wkładu Profesora Wereszyckiego do polskiej historiografii. Nie wątpię, iż uczynili lub uczynią to inni. Ja sam starałem się naszkicować postać wybitnego uczonego, takiego jakim go znałem, oraz zbliżyć go do czytelnika. A przede wszystkim szło mi o to, aby uwypuklić jego postawę ideową, której pozostawał wierny od młodzieńczych lat w Legionach aż po śmierć w bardzo już podeszłym wieku w Krakowie.

Piotr WANDYCZ

WYWIADY

Jacek KUBIAK i Iwona KUBIAK-BURSZTA

DE GAULLE, POLSKA I DYPLOMACJA EPOKI PAŹDZIERNIKA

ROZMOWA ZE STANISŁAWEM GAJEWSKIM*

JACEK KUBIAK: — *Zacznijmy od politycznego curriculum vitae. Jakie były Pańskie początki?*

STANISŁAW GAJEWSKI: — Przed wojną, po skończeniu studiów prawniczych w 1934 r., byłem aplikantem adwokackim, później urzędnikiem Prokuratury Generalnej. Do żadnej partii nie należałem. Mogę o sobie powiedzieć, że należałem do kręgów liberalno-demokratycznej młodzieży. Był to okres poprzedzający wojnę, mroczny okres narastania faszyzacji życia publicznego. Stosunki były wówczas parszywe. W pierwszym rządzie, jak zawsze w Polsce, wyrażało się to w antysemityzmie. A to mnie zawsze, że tak powiem, poruszało...

J.K.: — *Miał Pan jakieś lewicowe tradycje w rodzinie?*

* Stanisław Gajewski, w okresie powojennym przez wiele lat w polskiej służbie dyplomatycznej; 1954-1961 ambasador w Paryżu; później pracował w Kancelarii Sejmu PRL. Wywiad przedrukowujemy z *Veto* nr 16.

S.G.: — Środowisko, w którym się obracałem, było pepeesowskie, a nawet legionowe, ale z tej lewicy legionowej, która szybko odeszła od sanacji. Była to opozycja. U mnie w domu głosowało się na „dwójkę”, czyli na PPS.

J.K.: — *Czyli, krótko mówiąc, należał Pan do tej części inteligencji o tradycjach lewicowych, która uznawała, że ta rzeczywistość, na którą się zanosilo w 44-45 r., że to jest...*

S.G.: — Ja Panu powiem: że to jest jedyne wyjście. Moje zagadnienie w 1945 r. było: zostać w kraju czy wyjechać. Zdecydowała rozmowa z przyjacielem mojej matki, moim ojcem chrzestnym, Henrykiem Kołodziejskim. Był to działacz PPS, wielki mason. Uczestniczył w rozmowach w Moskwie, gdzie tworzono Rząd Jedności Narodowej. Wrócił stamtąd całkowicie przekonany, że trzeba tutaj budować Polskę, że wyjazd zubaża kraj.

J.K.: — *Od takiego stwierdzenia daleko jeszcze do podjęcia pracy w aparacie nowej władzy.*

S.G.: — No, wie Pan, wtedy było wielu ludzi, przyzwoitych ludzi, np. w PPS, którzy wierzyli początkowo, że coś się w tych ramach da zrobić, coś ratować, jakoś wpływać. I jeden z takich ludzi, których uważałem za przyzwoitych, Leon Chajn ze Stronnictwa Demokratycznego, kierownik resortu sprawiedliwości PKWN, mój przedwojenny znajomy, umieścił mnie w swoim resorcie, a po 2-3 miesiącach przeszedłem do służby dyplomatycznej.

J.K.: — *Ale później, co rok, w kolejnych latach system się obniżał.*

S.G.: — Później! Później siłą rzeczy człowiek się wciąga w pewne układy, nawet personalne, powstaje zagadnienie lojalności. Zresztą to wszystko nie było takie jednoznaczne. Niech Pan pamięta, że na czele MSZ, w którym ja wtedy byłem, stał Zygmunt Modzelewski, ojciec Karola.

J.K.: — *A jak pan trafił do Paryża?*

S.G.: — W latach 1953-54 byłem w Korei. To była międzyna-

rodowa komisja państw neutralnych, która miała organizować repatriację jeńców wojennych po podpisaniu w Genewie zawieszenia broni. I tam się dowiedziałem, że wyznaczono mnie na ambasadora do Paryża. Było to dla mnie niespodziewane. Rozumiałem, że to oznacza jakieś zmiany w generalnym nastawieniu. To był 1954 r., dokładnie marzec, a więc rok po śmierci Josifa Wissarionowicza Stalina.

J.K.: — *Widział Pan w swej nominacji jakiś „odwilżowy” symptom?*

S.G.: — To był pewien krok w otwieraniu się na Zachód. W Paryżu bowiem, gdy w 1951 r. odwołano Putramenta, nie było polskiego ambasadora.

J.K.: — *Na czym miała polegać Pańska misja?*

S.G.: — Ja nie miałem jakiś specjalnych instrukcji. Współczesna ambasada to takie wielkie biuro podróży, może też źródło informacji o danym kraju. Tam nie ma wielkiej polityki.

J.K.: — *O ile wiem jednak, stykał się Pan często z de Gaullem, także przed jego powrotem do władzy w 1958 r.*

S.G.: — Tak. Z czasem miałem nawet dość łatwy do niego dostęp. Proszę Pana, ja po przybyciu na miejsce szybko zorientowałem się, że jeśli Francja ma mieć przyszłość, to jest to on — de Gaulle. Tam właściwie nie było z kim rozmawiać. Gabinety zmieniały się jak rękawiczki. Raz ten, raz tamten. Ciągłe kłopoty z większością w parlamencie. De Gaulle nienawdził ustroju IV Republiki.

Francja była bardzo osłabiona przez wojnę. Niby wyszła z niej jako mocarstwo zwycięskie, ale faktycznie mocarstwa zwycięskie były trzy: Anglia, Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone. Poza tym wyniszczała kraj wojna indochińska. To nie była ekspedycja kolonialna, to była regularna wojna, w wyniku której stracono Indochiny, perłę imperium francuskiego, tam były niezmierzone bogactwa i kapitał. Ale jak się to skończyło w 1954 r. po słynnej klęsce pod Dien Bien Phu — o której ostatnio przypomnieli gen. Jaruzelski, mówiąc: „Czy Francuzi zapomnieli o Dien Bien Phu?” — to zaczął się w tym samym roku konflikt algierski. To było straszne. Tam dochodziło do niebywałych okrucieństw z obu stron. Konflikt ten niesłychanie

komplikował międzynarodową sytuację Francji, a sam kraj postawił na krawędzi wojny domowej.

Gdy więc w tym wszystkim się zorientowałem, zacząłem zabiegać — naturalnie za zgodą centrali — o kontakt z de Gaullem. On miał kolosalny autorytet. Można powiedzieć, że w 1940 r. uratował honor Francji. To było bardzo ważne, bo Francja wyszła z wojny moralnie załamana wskutek masowej kolaboracji, masowej! De Gaulle żył też w pamięci mas dzięki ustawodawstwu socjalnemu, jakie wprowadził tuż po wojnie. On wprawdzie w 1946 r. ustąpił i wycofał się do swego Sulejówka, Colombey-les-Deux-Eglises, ale pozostał ogromnym autorytetem.

Pierwsze spotkanie z nim miałem w 1955 r. To już było po aferze Światły, po poemacie Ważyka, były już wyraźne oznaki „odwilży”. On się tym bardzo interesował, wiedział o tym wszystkim, pytał o szczegóły. Miał wprawdzie różnych ludzi, którzy go informowali o Polsce, ale to byli głównie ludzie przebywający od lat na emigracji, a on chciał wiedzieć, co mówi ktoś stamtąd. Chętnie zresztą wspominał swój pobyt w Polsce w latach 1919-1920. Pytał, jak wygląda Warszawa...

J.K.: — *Czy nie było to jedynie kurtuazyjne zainteresowanie? O czymś w końcu musiał mówić z „kimś stamtąd”.*

S.G.: — On rzeczywiście uważał Polskę za jeden z wielkich historycznych narodów Europy. Mówił np. że Niemcy to nacjonaliści, zawsze groźni, Anglicy to wyspiarze, nic z tego wszystkiego co dzieje się na kontynencie nie rozumieją, dbają tylko o równowagę w Europie, a o Amerykanach w ogóle szkoda gadać, to prymitywni ludzie. I w tym myśleniu Polska była dla niego ważna, była narodem prawdziwie europejskim.

Po wojnie, jak mi opowiadał, był zwolennikiem odbudowania demokratycznej Polski, z wolnymi wyborami, Polski mającej dobre stosunki z Rosją, ale niepodległej. Powtarzał mi: Niech Pan pamięta, mnie w Jalcie nie było. W jego wizji Polska, przesunięta na zachód, miała być rygłem zamykającym Niemcy od Wschodu. Polska w sojuszu z Rosją z jednej, Francją z drugiej strony. A same Niemcy należało, tak uważał po wojnie, podzielić jak w traktacie westfalskim, tu Bawaria, tu Palatynat, tu to, tu tamto.

J.K.: — *A polska granica wschodnia?*

S.G.: — Linia Curzona. W tej sprawie on nie miał wątpliwości.

Mówił mi: Po co wam ten historyczny balast na Wschodzie, niech Pan popatrzy na Algierię, czym się coś takiego kończy.

Ba, trzeba pamiętać, w Algierii od pokoleń żyli Francuzi, było ich przeszło milion. Dla nich to były po prostu dwa francuskie departamenty.

J.K.: — *Ale w gruncie rzeczy jego propolskie sympatie były raczej platoniczne.*

S.G.: — I tak i nie. Pewne jest, że lepiej rozumiał naszą sytuację po wojnie niż Anglosasi i usiłował, choć Francja wtedy niewiele mogła, występować na rzecz Polski. Opowiadał mi szczegółowo o swych rozmowach ze Stalinem w grudniu 44 r. Jak mówił, Polska w tych rozmowach stała się niemal głównym tematem.

Stalin bowiem zażądał uznania komitetu lubelskiego. Miał to być warunek uznania rządu francuskiego przez ZSSR. Na to de Gaulle odparł, że nie uzna PKWN, bo to nie jest rząd pochodzący z wyborów, tylko rząd przywieziony w torbach Armii Czerwonej, że jeśli tak miałoby być, to on wyjeżdża z Moskwy.

Powiedział Stalinowi mniej więcej tak: Ja znam historię stosunków polsko-rosyjskich i uważam, że — wobec niebezpieczeństwa, które jest zawsze aktualne, ze strony Niemiec — jedyną szansą w historii Europy jest zakończenie sporu polsko-rosyjskiego prawdziwym pojednaniem, ku czemu okazję stwarza wyzwolenie Polski przez Armię Czerwoną, a warunkiem jest utworzenie Polski niepodległej, suwerennej i demokratycznej. Nigdy Polacy nie będą kochać Rosjan ani Rosjanie Polaków, ale powinni oni zawrzeć małżeństwo z rozsądku, z poczucia odpowiedzialności za losy Europy.

No i — powiada de Gaulle — tak tłumaczyłem Stalinowi, aż mi w gardle zasychało, przez kilka dni. A Stalin się nic nie odzywał, tylko słuchał, słuchał, słuchał i palił swoją fajkę, i słuchał. I wie Pan — mówi do mnie de Gaulle — jak skończyłem, to Stalin na mnie popatrzył i rzekł: Panie Generale, chcę Panu powiedzieć, że ja bardzo kocham Polaków. I wtedy — spointował swą opowieść de Gaulle — i wtedy zrozumiałem, że wszystko stracone.

J.K.: — *A jaki był efekt rozmów w Moskwie?*

S.G.: — Uzgodniono kompromis. Ustanowiono przedstawiciela Francji przy PKWN i przedstawiciela PKWN w Paryżu. Został

nim Jędrzychowski. Ale on nie był ambasadorem, to nie oznaczało uznania. Uznano dopiero Rząd Jedności Narodowej.

J.K.: — *Czyli wyszło na jedno. Tak samo mniej więcej postąpili Anglosassi.*

S.G.: — No tak, toteż de Gaulle mówił, że jego punktu widzenia na sprawy powojennej Europy nikt nie chciał zaakceptować i stało się nieszczęście. Za najgorszą rzecz dla przyszłości Europy uważał podział Niemiec między Amerykę i Rosję. Dlatego, że Niemcy podzielone będą dążyły do zjednoczenia, odrodzi się nacjonalizm niemiecki, co jest zawsze groźne. Niebezpieczeństwo podziału Niemiec między Amerykę i Rosję również zresztą przedstawił de Gaulle Stalinowi w czasie rozmów w grudniu 1944 r. i również bezskutecznie.

J.K.: — *Z tego wynika, że mimo zbliżenia francusko-niemieckiego de Gaulle nie miał zaufania do Niemców.*

S.G.: — Absolutnie żadnego zaufania. Miał duży szacunek osobisty dla Adenauera. Uważał go za rozsądnego polityka, pozbawionego jakichkolwiek skłonności imperialnych czy agresywnych. Podkreślał, że Adenauer ma antyhitlerowską przeszłość. Natomiast do Niemców jako takich nie miał zaufania za grosz.

J.K.: — *No a co proponował czynić, gdy już stało się nieszczęście: podzielona Europa, zniewolona Polska?*

S.G.: — Wiedział, że z tym trzeba jakoś żyć. To był romanzyk, ale nie był szalony. Mówił, że trzeba rozmawiać z Adenauerem, żeby go nie zostawić Amerykanom, i w ogóle trzeba wciągać Niemcy do Europy, bo w ten sposób można je jakoś kontrolować, zabezpieczyć się przed nimi.

J.K.: — *A Polska?*

S.G.: — Twierdził, że skoro w związku z Październikiem jest pewna ewolucja i może nastąpią jakieś stopniowe zmiany w kierunku takiej Polski, jakiej on pragnął — wolnej, demokratycznej, suwerennej, to trzeba szukać jakiegoś zbliżenia, jakiejś formy wzajemnego otwarcia.

J.K.: — *Czyli w jego rozumieniu polska „odwilż” 1956 r. oży-*

wiła polityczny układ w Europie, stwarzała jakieś szanse. Jeśli zważyć, że opozycja socjaldemokratyczna w Niemczech zaczęła wówczas postulować otwarcie na Polskę, czy w ogóle na Wschód, że sam Adenauer deklarował gotowość do zmian w stosunku do Polski, to można chyba powiedzieć, że Październik stworzył na Zachodzie pewną koniunkturę dla sprawy polskiej.

S.G.: — Szaloną, we Francji szaloną, choć wielką niechęć ze strony Francuskiej Partii Komunistycznej, która mnie całkowicie bojkotowała. Oni mi ręki nie podawali. Gomułka był dla nich początkowo zdrajcą.

Natomiast de Gaulle był zafascynowany postacią Gomułka. Mówił: to jest prawdziwy Polak, to jest człowiek, który przeciwstawia się Rosjanom, to jest człowiek, który wypuścił kardynała Wyszyńskiego, człowiek, który przy utrzymaniu obecnego systemu i sojuszu chce prawdziwych zmian. Zresztą de Gaulle w ogóle z wielkim uznaniem mówił, że Polacy okazali się tak rozsądni, że potrafili uniknąć rozlewu krwi takiego, jak w Budapeszcie.

Kim jest Gomułka, przekonał się de Gaulle właściwie dopiero w 1967 r., kiedy był w Warszawie i zetknął się z nim osobiście. W czasie tej rozmowy Gomułka, o ile mi wiadomo, długo i dokładnie wykladał mu, co leży w interesie narodowym Francji. A to była rzecz, której de Gaulle nie znośił. Wychodząc ze spotkania, powiedział podobno komuś ze swojego otoczenia — katastrofa, *c'est une catastrophe!*

J.K.: — Czyli tak czy inaczej, powstała około r. 1956 międzynarodowa koniunktura dla sprawy polskiej. Czy dyplomacja polska starała się ją wykorzystać?

S.G.: — Dyplomacja polska była w dość trudnej sytuacji. Główne zagadnienia, np. kwestia międzynarodowego uznania granicy na Odrze i Nysie, były sprawą ogólnoobozową. A poza tym, powiedzmy szczerze, nie wszyscy tutaj w Warszawie jasno widzieli sytuację.

Gdy de Gaulle, jeszcze jako premier Francji, spotkał się jesienią 1958 r. z Adenauerem, poszedłem do niego z interwencją i powiedziałem: Generale, co to znaczy? Prasa i różni politycy opowiadają, że Pan zostawia wolną rękę Niemcom, jeśli chodzi o granicę. A on odpowiada: Wprost przeciwnie! Widziałem się z panem Adenauerem i oświadczyłem mu, że to musi sobie wybić z głowy, wszystkie granice Niemiec muszą pozostać w aktualnym kształcie.

Wobec tego, po uzgodnieniu z centralą, przedstawiłem propozycję, by na nasze zapytanie w formie noty, dotyczącej spotkania z Adenauerem, de Gaulle oświadczył oficjalnie, na piśmie, że Francja uznaje granicę na Odrze i Nysie za ostateczną — co z formalnych względów było ważne — że także w przyszłym traktacie pokojowym stanie na tym stanowisku, natomiast my zobowiązemy się też na piśmie, w formie noty, że nie uznamy przebywającego wówczas na wygnaniu w Kairze prowizorycznego rządu algijskiego Ferhat Abbasu. I ponieważ de Gaulle tyłkrotnie, kiedy jeszcze był „prywatnym” człowiekiem, mówił mi, że coś takiego oświadczyłby, gdyby doszedł do władzy, a z drugiej strony nie było jeszcze wiadomo, co będzie z rządem Ferhat Abbasu, to on się zgodził. Przy czym trzeba dodać, że nasze oświadczenie miało być poufne, nie do publikacji, a francuskie publikowane.

To była niesłychana okazja. Byłby to pierwszy rząd zachodni, który „czarno na białym” złożyłby taką deklarację. Jak wiadomo, sprawa uznania granicy na Odrze i Nysie była jeszcze wówczas cały czas w zawieszeniu. Nikt nie chciał drażnić Niemców.

Co Panu będę długo opowiadał! Decyzja Warszawy, żeby wymienić takie noty, trwała tak długo, że zanim ja dostałem zgodę, to tam się cała sytuacja przewróciła. Rząd Ferhat Abbasu znalazł się w zupełnej izolacji, nikomu już nie zależało na naszym oświadczeniu. Poza tym de Gaulle odczuł bardzo niedobrze, że ja nie korzystam z takiej okazji, poczuł się po prostu dotknięty.

Ja szalałem, żeby tę decyzję z Warszawy otrzymać. Taka okazja! A centrala nic. Dzwoniłem codziennie do gabinetu de Gaulle’a: proszę o jeszcze jeden dzień zwłoki, jeszcze jeden, jeszcze trochę cierpliwości. A okazało się potem, iż to tak długo trwało dlatego, że ówczesny pierwszy sekretarz, Gomułka — mimo zgody Chruszczowa! — miał wątpliwości, czy prawdziwy komunista może na piśmie się zobowiązać, wobec burżuazyjnego państwa, że nie uzna rządu narodowowyzwoleńczego.

J.K.: — *Ile czasu potrzebowała centrala, żeby udzielić odpowiedzi?*

S.G.: — 24 godziny.

J.K.: — *A ile to trwało?*

S.G.: — Prawie dwa tygodnie! Zresztą jak my tak zwlekaliśmy,

to de Gaulle'owi było nawet wygodnie się wycofać. W pierwszej chwili się zgodził, to była rozmowa w cztery oczy, jakoś nie wypadło mu zachować się inaczej. Ale on też musiał liczyć się z Anglią, Ameryką, Niemcami, z sytuacją wewnętrzną.

J.K.: — *Lecz, o ile dobrze zrozumiałem, propozycję wymiany not złożył Pan przecież w porozumieniu z centralą.*

S.G.: — Oczywiście! Wszakże, gdy trzeba było sprawę ostatecznie zaakceptować, w Gomułce odezwały się skrupuły, obudziło się sumienie komunisty.

J.K.: — *Czy jednak w całej tej sprawie nie było żadnych oporów ze strony Związku Sowieckiego? Może to było decydujące?*

S.G.: — De Gaulle był przekonany, że Chruszczow się nie zgodził. Ale było inaczej, mianowicie tak: ja poinformowałem centralę, sprawa została przekazana Rapackiemu, który był wtedy w Nowym Jorku. W Nowym Jorku był też Gromyko i przekazał to Chruszczowowi. Chruszczow powiedział: brawo! I nawet zakomunikował naszemu ambasadorowi w Moskwie, że uważa to za świetny pomysł. Chruszczow nie był głupi, on wiedział, że to Francuzów wiąże, że to wsadza nóż w porozumienie niemiecko-francuskie. Gdyby to było publikowane, Adenauer miałby trudniejszą sytuację wobec własnej opinii publicznej. To by miało swoje konsekwencje. Zresztą po kilku miesiącach, już jako prezydent Republiki, de Gaulle na konferencji prasowej w marcu 1959 powiedział generalnie, że obecne granice Niemiec muszą pozostać niezmienione. Nie było to już to samo. Nie wymienił granicy Odra-Nysa, nie było to bilateralne oświadczenie wobec Polski, a i sytuacja polityczna w międzyczasie ewoluowała. Szkoda zmarnowanej okazji.

J.K.: — *Czy były jakieś inne dyplomatyczne szanse po Październiku?*

S.G.: — Tego nie wiem. Podejrzewam, że były.

J.K.: — *A plan Rapackiego? Rapacki przedstawił swą propozycję denuklearyzacji Niemiec, Polski i Czechosłowacji jako krok do przewyższenia podziału Europy. Ale z drugiej strony wolno podejrzewać, że była to tylko emanacja sowieckiej strategii neutralizacji Niemiec, czy nawet finlandyzacji Europy. Adenauer nie miał*

co do tego wątpliwości.

S.G.: — De Gaulle stanowczo wierzył, iż jest to polski plan. I mówił, że już choć z tego powodu jest dla niego szalenie interesujący. Rozmawiałem z nim na ten temat w końcu 1957 czy na początku 1958 r., kiedy jeszcze nie był przy władzy. Zgłaszał szereg uwag i zastrzeżeń co do zasięgu geograficznego planu, co do zagadnień kontroli. Ale generalną ideę akceptował.

Potem, jak doszedł od władzy, poszedłem do niego i spytałem: A jak z planem Rapackiego? A on na to: Chwileczkę trzeba poczekać, aż Francja będzie miała bombę atomową. De Gaulle chciał być równorzędnym partnerem. Co on będzie mówił o denuklearyzacji, jak on sam nie ma bomby.

J.K.: — *A inne środowiska polityczne we Francji?*

S.G.: — Zainteresowanie było spore. Najbardziej zajęli się tym socjaliści. Nie wszyscy, bo Guy Mollet, sekretarz generalny SFiD, nie chciał o tym mówić. Ale np. Jules Moch był bardzo zainteresowany. Sam fakt, że plan nosił nazwisko Rapackiego, który pochodził z PPS, miał dla nich znaczenie. Sprawa wracała na forum Międzynarodówki Socjalistycznej. Oni widzieli w tym polski pomysł, aprobowany, rzecz jasna, przez Rosjan.

J.K.: — *A jak było naprawdę?*

S.G.: — Ja nie wiem. Tego, co się działo w Warszawie, ja nie wiem. W każdym razie jedno jest pewne, Adam Rapacki uważał ten plan za swój. On nad tym długo pracował, jeździł, spotykał się po różnych stolicach, głównie z socjalistami. Rozmowy z socjalistami — to były główne kanały.

Myślę — choć to tylko supozycja — że koncepcja zrodziła się w Warszawie, a w Moskwie została zaakceptowana. Niech Pan nie zapomina, że wtedy był Chruszczow, który szedł na różne, nieoczekiwane czasem rzeczy. On pojechał do Belgradu, on wyewakuował Austrię. Do tego trzeba było odwagi, albo szaleństwa, przynajmniej z perspektywy aparatu KPZS, który musiał na to patrzeć. Niestychana sprawa: Związek Sowiecki oddał swoją część Austrii i, co więcej, praktycznie za nic.

J.K.: — *Być może jednak tylko po to, aby dowieść, iż sowiecki program zjednoczonych, neutralnych Niemiec jest szczerzy.*

S.G.: — No, ale oddał!

J.K.: — *Wracając do Rapackiego: nie ma wątpliwości, że działał w dobrej wierze, w imię interesów Polski, tak jak je pojmował, a nie w imię sowieckiej strategii imperialnej.*

S.G.: — Tak. Znałem go zresztą jeszcze sprzed wojny. To był bardzo uczciwy człowiek. Całą wojnę spędził w obozie jeńców w Woldenbergu. Był bardzo lewicowy, nie komunista, ale na pewno radykał. Mam wrażenie, że wierzył w szczerą politykę komunistów, sądząc, że połączenie w 1948 r. stworzy możliwości oddziaływania dla tych socjalistów, którzy wejdą do PZPR.

On był naiwny, naiwny do tego stopnia, że w ogóle nie wiedział, kim był otoczony. Gdy w 1968 r. jego najbliżsi współpracownicy wystąpili — publicznie, na zebraniu partyjnym — oskarżając go, że zaśmiecił aparat MSZ syjonistami, wówczas zbladł, trzasnął pięścią w stół i powiedział: To jest hańba! Moja noga tu więcej nie postanie. I wyszedł i rzeczywiście nie wrócił. Krótco potem dostał zawału.

J.K.: — *Jeszcze jeden dramatyczny epizod Marca. Ale to już późniejsze dzieje. Mówiliśmy o dyplomacji polskiej epoki Października, a ściślej o de Gaulle'u i jego stosunku do Polski. Na ile powszechne są we Francji postawy takiego zrozumienia i sympatii dla Polski?*

S.G.: — Odpowiem najogólniej. Tam jest oczywiście mnóstwo oświeconych ludzi i na nich zawsze możemy w jakiejś mierze liczyć. Ale jest jeszcze inna Francja, mieszczańska, sklepikarska, prowincjonalna.

Kiedy w r. 1955 urząd premiera objął Edgar Faure, ministrem spraw zagranicznych został Antoine Pinay, typowy przedstawiciel drobnej burżuazji — właściciel garbarni, przywódca skrajnej prawicy, skądinąd bardzo zasłużony, bo w latach poprzednich, kiedy sam był premierem, wyprowadził franka z powojennego załamania. W czasie wizyty, jaką składałem mu jako nowemu ministrowi, mówi on do mnie: Kiedy wreszcie spłacicie tę ogromną pożyczkę? Jaką pożyczkę? — pytam zdumiony. — Tę sprzed pierwszej wojny, na dobrobrojenie przeciwko Niemcom. Chodziło o gigantyczne kredyty, jakich Francja udzieliła carskiej Rosji. Dałem mu więc adres ambasady sowieckiej.

Później moi francuscy przyjaciele mówili: Słuchaj, z nim w MSZ są same kłopoty. Zanim przyjdzie jakiś ambasador, trzeba ministrowi napisać na kartce: imię, nazwisko, kraj, stolicę, część świata, itp.

To brzmi jak żart. Ale wiedza przeciętnego Francuza o świecie jest bliska zeru, a postawy ksenofobii, nietolerancji, nawet rasizmu nie są czymś wyjątkowym. Tacy ludzie, jak Le Pen, obecny przywódca czarnosecinniej prawicy, mogą ze swą demagogią i prymitywizmem zawsze liczyć na pewien, okresowo nawet znaczny odzew. Myśląc: Francja, przyjaciółka Polski, ojczyzna praw człowieka, pamiętajmy i o tym.

*Rozmawiali Jacek KUBIAK
i Iwona KUBIAK-BURSZTA*

DOKUMENTY

Gen. Izidor MODELSKI

WOJSKOWE PRZYCZYNY KLĘSKI WRZEŚNIOWEJ

(Próba syntezy)

(Część I)

Jedną z pierwszych czynności generała Sikorskiego w Paryżu było powołanie do życia Komisji do Zbadania Klęski Wrześniowej. Na jej czele stanął jeden z bliższych ludzi gen. Sikorskiego, gen. Izidor Modelski. Jest to dokument wręcz przerażający: zadaniem komisji nie było bowiem dotarcie do obiektywnych przyczyn klęski, ale wykazanie, że była ona wynikiem nieudolności poprzednich rządów. Dla uzasadnienia tej tezy nie wahano się przed fałszowaniem dokumentów, przekręcaniem relacji i wywieraniem presji na przesłuchiwanym wojskowych. Niestety, ta presja w wielu wypadkach była skuteczna — ludziom zależało na uzyskaniu przydziału do wojska i zachowaniu posiadanych stanowisk. Najgorsze, że te dokumenty zostały z miejsca udostępnione Aliantom, co znakomicie zdeprecjonowało polski wysiłek wojenny.

Druk tego dokumentu ma znaczenie nie tylko historyczne, ale ma na celu pokazanie niektórych cech charakteru polskiego, tj. serwilizmu i karierowiczostwa. Przejawy tego możemy zaobserwować i w chwili obecnej, zarówno w kraju jak i na emigracji.

REDAKTOR

Wykonano w dwóch egzemplarzach:

- Naczelnny Wódz, generał broni Wł. Sikorski
L.ew. Nr. 1
- Generał brygady dr. I. Modęlski
L.ew. Nr. 2

Londyn, 1 września 1941 r.

We wrześniu 1939 r. były błędy karygodne poprzedniego Rządu. Były błędy i niezrozumiałe a fatalne niedociągnięcia byłego Naczelnego Dowództwa.

Generał Władysław Sikorski
14 maja 1941 r.

SŁOWO PRZEDWSTĘPNE

Uprzytomnijmy sobie wypadki, które przeżyliśmy. Jeżeli można w ogóle mówić o „popularności” wojny w Narodzie tak miłującym pokój, tak do głębi duszy katolickim i tak pracowitym, jak Naród Polski — to ta wojna była popularna we wszystkich warstwach ludności polskiej. Słuszność obiektywna była bowiem tak wyraźnie po naszej stronie, a nieczne zamiary niemieckie — zwłaszcza po zaborze Austrii, Kłajpedy i Czechosłowacji — w stosunku do Polski tak oczywiste w całej swej brutalnej nagości i ohydzie, że wywołały żywiołowy i instynktowny odruch poczucia konieczności samoobrony. Nigdy bodaj w swej tysiącletniej historii Naród Polski nie był tak zwarty i tak jednolity w silnej i niezachwianej woli odparcia wroga-najeźdźcy.

Naród kochał przy tym swe wojsko i miał do tego wojska pełne zaufanie, wyhodowane długoletnią propagandą rządową.

Wierzył, że sprzymierzony z Francją i Anglią odniesie nad Niemcami zwycięstwo.

Utwierdzał go w tym przekonaniu o naszej jakoby niezniszczalnej sile artykuły prasy zależnej o naszej „mocarstwowości” i buńczuczne wystąpienia i przemówienia wysokich dygnitarzy rządowych i partyjnych (sanacyjnych) w rodzaju osławionego „nie damy nawet guzika” lub sloganów jak „silni, zwarci, gotowi”, poza tym fatalna nasza propaganda w radio i prasie,

podkreślająca rzekome lub przejawione słabe strony wojska niemieckiego czy przygotowań niemieckich do wojny, równocześnie przemilczająca niesłychaną dysproporcję sił Polski i Niemiec, jak w ogóle całego potencjału wojennego, tak różnego po jednej i po drugiej stronie.

Naród — w swej całości — wierzył, że wojsko polskie jest gotowe do wojny, „zapięte na ostatni guzik”. Ogromna większość oficerów zawodowych, z powodu „tajemnicy”, też nie wiedziała jak rzeczy naprawdę stoją i wierzyła — jak cały Naród — w naszą gotowość. Dziś wszyscy wiedzą, że było inaczej. *Ex nihilo — nihil*, czyli „z pustego — nie nalejesz”. Toteż wynik mógł być tylko jeden.

Znamy dramatyczny przebieg kampanii i tragiczne następstwa klęski. Kto znał dobrze Niemców w ogóle, a hitlerowców w szczególności, ten musiał sobie zdawać sprawę, że ta wojna, w razie klęski, nie będzie zwykłą przegraną wojną z utratą takiej czy innej prowincji na rzecz zwycięzcy. Studium *Mein Kampf* musiało rozwiązać ostatnie pod tym względem złudzenia niepoprawnych germanofilów lub upartych rusofobów i innych nie-realnie oceniających sytuację optymistów. Tym większa odpowiedzialność tych, którzy nie zrobili wszystkiego, co w ludzkiej mocy, aby Naród uchronić od klęski.

Po wrześniu Naród zamilkł i zamarł w trwodze pod terrorem.

Ale zdrowy duch Narodu domagał się instynktownie od pierwszej chwili po klęsce jesiennej 1939 r. i domaga się nadal bezustannie, jak to wiemy z licznych odgłosów, dochodzących z kraju, stwierdzenia, kto był i jest odpowiedzialny za tę nie-bywałą klęskę. Zbyt okropny los spotkał Naród i Państwo, aby winni mieli ująć bezkarnie. Poza tym ta klęska, kompromitująca fatalnie nasze naczelne władze wojskowe i nasz Sztab Generalny na długie lata w oczach fachowców całego świata, poderwała również kompletnie zaufanie najszerzych warstw Narodu do polskiej generalicji i polskich oficerów sztabowych. To jest jedna z największych win tych, co zawinili i największa krzywda tych, co są niewinni, to jest ogółu polskiego korpusu oficerskiego. Wykorzystując ten fakt różni niesumienni publicyści na naszym terenie emigracyjnym, rozmyślnie uogólniając fakty i do reszty podrywając bezkarnie podstawowy element dyscypliny w Wojsku Polskim, jakim jest zaufanie do starszych i przełożonych, nie wyłączając obecnego Naczelnego Wodza i obecnego Sztabu („Nie wszystkie mózgi są zdolne do tego, by brać naukę z doświadczeń. Ale są poza tym jeszcze ludzie młodzi i ludzie, którzy przemyśleli wrzesień itd.” — *Wiadomości Polskie* Nr 20 (62) z 18 maja 1941 r.). To jest okropna

krzywda, wyrządzona dobru Narodu i przyszłego Państwa.

Toteż obiektywne stwierdzenie, jak było, dlaczego tak było i czy mogło być inaczej, to znaczy lepiej, jest nakazem sumienia i honoru każdego zdrowo myślącego i dalekowzrocznego Polaka, miłującego Ojczyznę nie frazesami, ale czynem. Z odpowiedzi na powyższe pytania wynikną częstokroć rewelacyjne dane. Skończą się różne legendy, bazujące na kłamstwie, napiętnowani będą indywidualnie winni. Wielu z nich czuje to przez skórę. Toteż przemyślana i zorganizowana ich samoobrona, od pierwszej chwili, gdy tylko „nieco porośli w piórka”, polegała na nie przebiegającym w środkach, silnym i wszechstronnym, bardzo sprytnym i podstępным ataku na byłe Biuro Rejestracyjne. — Poza tym oficerów, którzy w nim z całym zapalem i z całą bezstronnością na rozkaz Naczelnego Wodza (a nie z własnej woli) pracowali, starano się „wykończyć”, podrywając ich opinię fachową, robiąc z nich tumanów i ośmieszając ich z powodu takich czy innych przekonań. U nich są oni na czarnej liście.

W rozkazie datowanym w Paryżu dnia 12 marca 1940 roku Naczelnny Wódz i Minister Spraw Wojskowych, Pan Generał Władysław Sikorski ogłosił wojsku polskiemu: „...działalność tego Biura jest konieczna i pożyteczna... dzięki pracy Biura Rejestracyjnego ujawniono wiele poważnych nadużyć i wyeliminowano szereg jednostek, niegodnych służby w wojsku polskim i palających mundur narodowy...”.

Podsunięto chytrze argument, że dochodzenia byłego Biura Rejestracyjnego „podrywają dyscyplinę”.

Argument, nie tylko obliczony na ludzką naiwność i mający pozory słuszności, ale godzący pośrednio w Naczelnego Wodza i bezwzględnie go obrażający. Nie ukaranie winnych, ale ich bezkarność szerzy ferment i podrywa dyscyplinę w wojsku polskim i w społeczeństwie oraz powoduje upadek dyscypliny i zaufania do Naczelnego Wodza.

Naczelnny wódz stwierdza to sam w wyżej wymienionym rozkazie „W tych warunkach ten będzie mógł określać zeznania, w Biurze składane, jako denuncjacje, podważanie autorytetu itp., kto sam nie ma czystego sumienia, lub którego przesadna wrażliwość pochodzi z próżności i pychy”.

Iustitia est fundamentum regnorum. W praworządnym państwie karzącą rękę sprawiedliwości musi odczuć na sobie każdy winny bez względu na zajmowane stanowisko, tytuł, stopień, pochodzenie, stosunki, majątek itp. i to silnie i natychmiast. Inaczej pojęta sprawiedliwość będzie oczywistą niespra-

wiedliwością, czyli nierządem. A niesprawiedliwość musi nieuchronnie doprowadzić do ponownego upadku Państwa, w jakichkolwiek by ono granicach i choćby w najkorzystniejszych warunkach powstało po tej wojnie do nowego, niepodległego bytu. *Salus Rei publicae suprema lex*. I tylko w czystej miłości Ojczyzny należy szukać genezy tej pracy, aby uczyć się na błędach popełnionych i wyciągając z nich odpowiednie wnioski, uniknąć tych samych błędów w przyszłości.

Poniższa „Próba syntezy wojskowych przyczyn klęski w kampanii jesiennej 1939 r. w Polsce” — poza własną pracą myślową, analizą przyczyn i skutków oraz poza własnymi obserwacjami i własnym doświadczeniem nabytym w długoletniej pracy w Sztabie Głównym i w G.I.S.Z. i 17-dniowej w Naczelnym Dowództwie — bazuje na uwagach i spostrzeżeniach, zawartych w sprawozdaniach:

- 21 — generałów i dowódców Wielkich Jednostek,
- 61 — oficerów Sztabu Generalnego i pracujących w sztabach,
- 9 — dowódców piechoty dywizyjnej i artylerii dywizyjnej,
- 21 — dowódców pułków,
- 13 — dowódców batalionów (dywizjonów i innych majorów),
- 37 — dowódców pododdziałów,
- 117 — młodszych oficerów,
- razem — na 279 sprawozdaniach, z czego przeszło 200, a więc około 4/5, są sprawozdaniami oficerów zawodowych.

Wykorzystanie do tej pracy jeszcze większej ilości sprawozdań i innych materiałów, będących do dyspozycji, było w danych warunkach i w określonym terminie — ponad siły jednego człowieka.

WSTĘP

Źródeł klęski wrześniowej można się doszukiwać bardzo daleko i bardzo głęboko. 123 lata niewoli Narodu z wszystkimi jej następstwami tak natury psychicznej jak i moralnej i materialnej niewątpliwie zaciążyły ujemnie na stopniu możliwości zdrowego rozwoju odrodzonego Państwa Narodu Polskiego. Nieobecność niepodległej Polski wśród wolnych narodów Europy w XIX wieku, „wieku pary i elektryczności”, zdobyczy kolo-

niałnych oraz stosunkowo łatwego, szybkiego i niesłychanego bogacenia się krajów europejskich przy jednoczesnym ucisku gospodarczym i tłumieniu we wszystkich dziedzinach rozwoju ziem polskich, zepchnęły ludność polską na dno nędzy i stawiały Polskę na jednym z ostatnich miejsc w Europie pod względem cywilizacyjnym, przemysłowym i ekonomicznym. Zniszczenie kraju podczas wojny światowej i nieotrzymanie na jego odbudowę odszkodowań wojennych zaciężyło również złowrogo na naszej Niepodległości. Traktat Wersalski, pozostawiając Prusy Wschodnie i Śląsk Opolski oraz dawne powiaty Wielkopolski jak Babimost, Kargowę, Międzyrzecz, Gorzów nad Wartą, Piłę i Złotów przy Rzeszy Niemieckiej, zawierał już sam w sobie zarodek przyszłej naszej klęski ze strategicznego punktu widzenia. Doszły inne fatalne obciążenia, jak długi wojenne i przede wszystkim „traktat mniejszościowy”, który z góry stworzył „państwo w państwie”, rozsadzał organizm Polski od wewnątrz i dał elementom wrogim państwowości polskiej szerokie pole do działalności destrukcyjnej, a państwowi obcym pretekst i prawo do mieszanja się w sprawy czysto wewnętrzne Państwa Polskiego. Traktat ten stworzył przede wszystkim „obywateli uprzywilejowanych”, należących do mniejszości, którzy nie tylko o uzyskanie Niepodległości nie starali się i nie walczyli, ale przeciwnie: w ogóle jej nie chcieli i wrogi swój stosunek do Polski na każdym kroku manifestowali, i „obywateli 2-ej klasy”, rdzennych Polaków, którzy od kilku pokoleń i przez długie lata dla Polski cierpieli prześladowania, o nią walczyli, jej pragnęli i do niej dążyli. Trudno chyba o bardziej paradoksalne i bardziej upokarzające położenie Polaka we własnym Państwie. Doszły do tego niezrozumiałe błędy własnych rządów. Nawet tych nielicznych furtek, które nam pozostawił traktat wersalski i pozostałe traktaty pokojowe, nie tylko, że nie umieliśmy wykorzystać dla dobra Polski, ale je nawet zatrzaskiwaliśmy. Żeby tylko jeden przykład przytoczyć: traktat wersalski dawał nam prawo usunięcia wszystkich Niemców, 1) którzy optowali na rzecz Niemiec, 2) którzy przybyli na nasze ziemie zachodnie po 1908 r., to jest po roku ustawy pruskiej o wywłaszczeniu. (Pozostanie tajemnicą, dlaczego nasi delegaci w Wersalu nie umieli przeforsować, jako tej daty, przynajmniej roku 1885, więc roku założenia pruskiej komisji kolonizacyjnej! Sprawiedliwość wymagałaby cofnięcia się do r. 1772, to jest daty pierwszego rozbioru). Dość, że nawet z tego postanowienia traktatu wersalskiego nie umieliśmy skorzystać. Dopóki Wielkopolska była „zbuntowaną prowincją pruską”, a rządy w niej sprawowała Naczelna Rada Ludowa, Niemcy opuszczali ją masowo. Po ratyfikacji traktatu i przyłączeniu Wielkopolski również formalnie i

prawnie do Macierzy (a w Warszawie największymi wpływami cieszył się poseł niemiecki hrabia Kessler), wyjazd Niemców do Rzeszy zmalał do minimum. Jeżeli raz na kilka miesięcy pociąg z „optantami” mijał Zbąszyń, cały aparat propagandy republiki weimarskiej rozgłaszał to po całym świecie w tysiącach artykułów z licznymi ilustracjami, jako rzekomy dowód prześladowania mniejszości niemieckiej. Nasza osławiona, zawsze nieudolna propaganda nie umiała się temu przeciwstawić. Prawdopodobnie z lenistwa i z braku sumienności przeważnie w ogóle milczała. Nasze M.S.Z. było stale w defensywie. W końcu, w układzie wiedeńskim z sierpnia 1924 roku Minister Spraw Zagranicznych, Aleksander Skrzyński, „zrezygnował” wobec p. Stresemanna w imieniu Polski z tego uprawnienia.

Łatwo było p. Skrzyńskiemu rezygnować z cudzego i być hojnym nie z własnej kieszeni, choć taka krótkowzroczność jego polityki dyskwalifikuje go jako dyplomatę, a rzuca podejrzenie na jego patriotyzm. Gorzej, że nawet nie rozumiał, jaką krzywdę wyrządził Polsce w ogóle, a ziemiom zachodnim w szczególności. Gdy przy dyskusji nad ratyfikacją tej niezrozumiałej i niecnej umowy przemawiała w sejmie Zofia Sokolnicka, gorąca patriotka, Wielkopolanka i Wielka Polka, prześladowana przed rokiem 1914 i więziona przez policję pruską za swoją pracę narodową, współpracowniczką i wielką zaufaną Henryka Sienkiewicza z czasów weyrowskich i Romana Dmowskiego z czasów paryskich, pan Aleksander hr. Skrzyński uważał za stosowne zironizować jej rzeczowe argumenty odnośnie niebezpieczeństwa niemieckiego i legalizowania przez nasz własny polski Rząd pracy eksterminacyjnej Bismarcka, Caprieviego, Bülowa i Bethmann-Hollwega. W sukurs panu ministrowi Skrzyńskiemu przyszła nazajutrz cała prasa niemiecka na terenie Polski, a *Neue Lodzer Zeitung*, chwalać „dalekowzroczną” politykę tego dyplomaty „na miarę europejską”, i tak schlebiwszy snobizmowi polskiego ministra (to samo działo się później za Becka) umieściła, ośmieszając czcigodną i prawie niewidomą posłankę, trawestację wiersza Goethego *Der Erlkönig* pod tytułem: *Sophia sah Geister am hellichten Tage...*

Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni nasze M.S.Z. fatalną polityką utrudniało lub wręcz uniemożliwiało naszą przyszłą skuteczną obronę... Błędna polityka M.S.Z. była nieomal przez całe 20-lecie niepodległości jedną z większych przyczyn kłęski wrześnieowej (Rapallo, Wiedeń, Zaolzie).

Przykładów takich można by przytoczyć wiele. „Taka polityka” mniejszościowa (choćby tylko na tym jednym, to jest

niemieckim odcinku) rozzuchwalała Niemców¹, cieszących się szczególnie pieczołowitą opieką władz polskich, pogłębiała i tak już głęboki „kompleks niższości” Polaków w stosunku do Niemców i — co w najgorsze — odbierała szerokim warstwom najrdzenniejszej i najbardziej patriotycznej ludności polskiej zaufanie do Rządu i jego polityki. Wszędzie węszone i widziano wpływy „anonimowego mocarstwa” i pracę świadomą na szkodę Polski, a *pour le roi de Prusse*, i tak było aż do końca.

Bo też najczarniejszą hipoteką, zostawioną Polsce przez długoletnich zaborców, było zarażenie duszy polskiej miazmatami nihilizmu rosyjsko-azjatyckiego i zatrucie jej poglądami liberalistyczno-ateistycznymi niepolskiego i niearyjskiego pochodzenia. Na takim tylko podłożu mogło powstać to wszystko, co w Polsce niepodległej przeżyliśmy, a co było tak niezrozumiałym dla zdrowej duszy polskiej — 20 lat Niepodległej Polski to bezustanna walka światopoglądu azjatycko-nihilistycznego z wszystkim, co dotychczas było Polakom święte, więc Bogiem, Kościołem, nacjonalizmem polskim i polską tradycją (wykpiwanie „Cudu nad Wisłą”, wygnanie Sienkiewicza ze szkół średnich, zakaz *Przewodnika Katolickiego* i „Krucjaty Eucharystycznej”, propaganda „świadomego macierzyństwa” — 200.000 dzieci zabijano w łonie matek co rok w Polsce — wygnano łacinę i grekę ze szkół).

Chora dusza polska i w następstwie zgnilizna moralna jest największą i zasadniczą przyczyną naszej klęski militarnej w 1939 r.

Gdy w roku 1871 staremu Moltkemu po powrocie do stolicy robiono w Berlinie owację z powodu przeprowadzenia zwycięskiej przeciw Francuzom wojny, Szef Sztabu Generalnego pruskiego — a w tej chwili już też niemieckiego — skromnie oświadczył: *Diesen Feldzug hat der preussische Volksschullehrer gewonnen*.

Ale też pruski nauczyciel uczył patriotyzmu i porządku, posłuchu i obowiązkowości, a nie uprawiał polityki — tym bardziej nie polityki przeciwpaństwowej czy stanowej — a pruskie podręczniki szkolne były pełne patriotycznych wierszy i czytańek, opisów i opowiadań, zaczerpniętych z bohaterских zwycięstw wojska pruskiego i wysławiających wielkość Niemiec, a o

1. Z setek przykładów tylko dwa: Jesienią 1923 roku w Lednogórze pod Gnieznem, podczas manewrów międzygarnizonowych, koloniści niemieccy — wbrew obowiązującej ustawie — odmówili oddziałom Wilk. Brygady Kawalerii kwater. Kwatery oczywiście zajęto. — W lutym 1933 r., podczas ćwiczeń zimowych 8.D.P., koloniści niemieccy we wsi Nowy Dwór pod Modlinem przeciwstawili się siłą zakwaterowaniu dyonu C.p.a.l. — Dyon oczywiście kwatery zajął.

Bogu bynajmniej nie milczały, ale go stawiały na pierwszym miejscu.

Znaliśmy podręczniki polskie naszych dzieci.

W drodze do niepodległości większość Polaków zgubiła niestety miłość Boga i Ojczyzny. Puste miejsce wypełniła frazesami demagogicznymi, radykalnymi i zupełnie obcymi umysłowości polskiej, a podsycanymi przez utajoną, podziemną propagandę niemiecką i sowiecką.

Dusza polska była chora, mentalność rządzących była obca mentalności Polaków, przeziąkniętych starodawną kulturą łacińską. Nienawiść „elity” sanacyjno-legionowej do wszystkiego, co z ducha naprawdę polskie i katolickie, była notorycznie znana i zdumiewająca i niezrozumiała... dla prawdziwego Polaka. Jej zewnętrznym przejawem była umysłowość, rzekomo „polska” i rzekomo „elitarna”, która Naród Polski, naród Chrobrego, Jagiellonów i Sobieskiego, naród królowej Jadwigi, Stanisława Kostki i Andrzeja Boboli, naród Zamoyskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Kościuszki i obrońców Olszyny, naród Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Sienkiewicza i Wyspiańskiego nazywała publicznie „narodem idiotów”.

Prasa niemiecka zahuczała radością i roztrąbiła to triumfalnie na cały świat. A „kompleks niższości” ogółu Polaków podniósł się o kilka stopni.

Takie „wychowywanie” Narodu naśladowane przez niedouczone i złych uczniów też było jedną z przyczyn klęski wrześniowej.

Ta sama, niepolaska „mentalność” zrodziła metody „wychowawcze”, godzące nie tylko w ambicję i honor osobisty jednostek, ale podrywające zupełnie wszystkie te pojęcia, które przyjęliśmy od dawna nazywać patriotyzmem, w najgłębszym, najszerszym i w najczystszyim tego słowa znaczeniu. Mało tego: te metody wychowawcze doprowadziły powoli do zupełnego zaniku zaufania do poczynąń Rządu i władz państwowych, pozbawiły je autorytetu w oczach szerokich warstw ludności, pozbawiły Naród wiary nie tylko w słuszność i celowość zamierzeń rządowych, ale w ogóle w patriotyzm i honorowość członków Rządu i jego organów wykonawczych. Powstał kompletny chaos pojęć. I znów smutny paradoks: Rząd przeciwstawiając Państwo Narodowi i Kościołowi robił wszystko, co w ludzkiej mocy, aby to Państwo zniszczyć przez niszczenie podstaw, na których może jedynie wyrosnąć Wielkość Narodu i jego ram organizacyjnych, to jest Państwa; podrywał wiarę w Boga, walczył z Kościołem i z polskim patriotyzmem, odrzucał jako „nacionalizm”, zwalczał prawo, może dlatego, że sam

wyszedł z rokoszu, więc bezprawia. Reasumując, Rząd Polski zwalczał konsekwentnie uosobienie tych dwóch nierozdzielnych pojęć, tkwiących w duszy każdego Polaka, to jest polski nacjonalizm i katolicyzm, Rząd Polski rządził bezprawnie wbrew Narodowi i ponad nim. Na tysiąc przykładów, choć kilka:

— w szkołach zwalczano literaturę piękną, jak Sienkiewicza, K.H. Rostworowskiego i tym podobnych, narzucano młodzieży brudną lekturę Boy-Zeleńskiego i bezwartościową Kadena-Bandrowskiego itp,

— młodzież polską prześladowano, bito, rozpędzano za objawy akcji narodowej i katolickiej², gdy w tym samym czasie młodzież niemiecka ćwiczyła bezkarnie pod okiem i pod opieką władz polskich w obozach letnich musztrę, służbę polową itp. (Nowy Tomyśl, Gniezno, Pomorze), gdy ta młodzież niemiecka wyjeżdżała na lato przez Gdańsk do Rzeszy na „przeszkolenie wojskowe i narodowo-socjalistyczne, a wyjeżdżała... za zniżkowe, a nieraz i darmowe polskie bilety kolejowe (proces Barbary von Mendorff ze Zdziechowej pod Gnieznem)”,

— zakazano w szkołach dzieciom należenia do (czysto dewocyjnej) organizacji „Krucjata Eucharystyczna”, czytania *Przewodnika Katolickiego* (pisanego na bardzo wysokim poziomie, na którym wychowało się kilka pokoleń wielkopolskich, a który bezustannie szykanowała policja pruska); na wiosnę 1939 roku przeszło 500 szkół powszechnych nie miało katechetów... i nauki religii, gdyż „polskie” (chyba tylko z nazwy) władze szkolne wbrew rozumowi, racji stanu, umowie z Watykanem (konkordatowi) i woli Rodziców po prostu księży samowolnie do szkół nie dopuszczali — w myśl dyrektyw komunizującego Związku Nauczycielstwa Polskiego (enuncjacja Episkopatu polskiego) — a stworzono „straże przednie” i tym podobne inne organizacje, które kompletnie demoralizowały wrażliwe, młodociane charaktery z tej przyczyny, że tylko przynależenie do nich, oraz abonowanie i czytanie bezbożniczego i duchem niepolskiego piśmienka *Płomyk* i *Płomyczek* dawały im różne prerogatywy i dobre stopnie w naukach. Było to wydawnictwo osławione i bezbożniczego i komunizującego Związku Na-

2. Prowokowane częstokroć przez czynniki rządowe zajścia akademickie we Lwowie, Poznaniu, Warszawie, w końcu nawet w arcy-sanacyjnym Wilnie. W jednej z tych sławnych „bitew” ulicznych z polską młodzieżą akademicką policją i sikawkami straży ogniowej dowodził „zwycięsko” generał dywizji (lekarz-ginekolog) Stawoj-Składkowski. Polem bitwy było Krakowskie Przedmieście w Warszawie, a brutalność postępowania policji ustępowała chyba jeszcze większej brutalności w tłumieniu sprowokowanych przez sanację zajść akademickich w 1958 r. we Lwowie.

uczycielstwa Polskiego, przeciw któremu musiał pod wpływem opinii publicznej wystąpić nawet Sławoj. Młodzież należąca do Straży Przedniej musiała też zeznawać jakie gazety czytają Rodzice, co zwłaszcza w rodzinach urzędniczych miało swoje znaczenie.

— Oficer zawodowy, krytykujący wobec przełożonych i starszych z poczucia obowiązku stosunki w wojsku, które musiały prędzej czy później doprowadzić Państwo do katastrofy, lub czytający *Myśl Narodową*, *Warszawski Dziennik Narodowy*, *Kuriera Poznańskiego* lub inne pismo „opozycyjne”, był brany na czarną listę, pomijany w awansach, karnie przenoszony lub tp., gdy w tym samym czasie ku przerażeniu Wielkopolan i Pomorzan, a sądzę, że i innych Polaków, polski generał, dowódca Korpusu VIII, był gościem na hitlerowskim *Bierabend* w polskim Inowrocławiu, gdzie nawet na cześć hitlerowców przemawiał.

— Oficerów, którzy ośmielali się praktykować, czyli być wiernymi wierze Ojców i polskim tradycjom narodowym, nie tylko wykpiwano i ośmieszano, ale uważano ich również za wrogów Państwa, zniechędzonych członków „ryzymskiej międzynarodówki”, gdy równocześnie inni polscy „oficerowie” lżyli bezkarnie i obrażali najwyższych i czcigodnych wiekiem i zasługami księży Kościoła, wypróbowanych patriotów (Kielce, Łomża, Pińsk, Kraków) lub napadali słownie i czynnie koryfeuszów polskiej myśli narodowej i społecznej (Dmowski, Korfanty, Trąpczyński, Zdziechowski, Nowaczyński, Cywiński).

— Podwójna była moralność i podwójne prawo: młodemu oficerowi łamano często szczęście osobiste nie pozwalając się żenić ze skądinąd znaną panną, a generałowie i różni „pułkownicy” wbrew prawom Boskim i moralności ogólnoludzkiej, a poza tym wbrew pojęciu honorowości i dżentelmeństwa jako zasadniczym cechom stanu oficerskiego, nagminnie się rozwodzili i zmieniali żony jak koszule³.

— Karano, nieraz nawet bardzo srogo, młodszych czy sztabowych oficerów za rzeczywiste, a często tylko domniemane ich uchybienia służbowe (na przykład dowódcę baonu, bo „inspektor uzbrojenia” z M.S. Wojsk. znalazł w jego baonie jakiś kb. ze starymi śladami rdzy lub dowódcę dywizjonu artylerii lekkiej, gdyż tenże inspektor na 12 dział tego dyonu, znalazł jedną panewkę nienatłuszczoną — co zresztą w pierwszym i w drugim

3. W jednym wypadku za trumną gen. Orlicza-Dressera sżyły trzy kłójące się o emeryturę „wdowy”, w innym zaś trzech mężów tej samej pani było w wojsku polskim równocześnie zawodowymi oficerami (ppłk art. Nałęcz-Gębicki, gen. Jatelnicki, płk int. Meksz). Dalszej „kariery” tej pani nie znam, ale nasuwa się pytanie, po co istniały komisje małżeńskie.

wypadku należało raczej do odpowiedzialności pozostałego szeregu niższych dowódców — a niektórzy generałowie, dostatecznie całej Polsce znani z nazwiska i swych czynów, kalali chrońnicznie polski mundur, już nie tylko generalski, ale w ogóle polski mundur wojskowy i to zupełnie bezkarnie, a wiedziało o tym całe wojsko,

— Wreszcie: niesprawiedliwość w sądach. W nocy kilku uzbrojonych oficerów 36 p.p. na rozkaz dowódcy pułku mówiącego w domu po niemiecku, płk. Ulricha, napada na dom ppor. rez. Wójcika w Piastowie, jego biją, maltretują jego żonę, a gdy napadany w obronie własnej strzela z posiadanego legalnie rewolweru, a sprawa nazajutrz dostaje się do prasy, nie da się więcej zatuszować, zebrany w specjalnym składzie sąd — w którym oskarżał późniejszy minister „sprawiedliwości”, Grabowski — wydaje wyrok skazujący ofiarę napadu ppor. Wójcika na więzienie... za dokonanie napadu i strzelanie do oficerów⁴. To już szczyt cynizmu i bezwstydu. Pan prokurator Grabowski zapoczątkowuje tym wyrokiem swą wielką karierę i hańbi polski wymiar sprawiedliwości, stawiając go na jednym poziomie z hitlerowskim lub bolszewickim.

— Doboszyński jest dwukrotnie zwolniony od winy i kary przez legalny Sąd Rzeczypospolitej i po obu wyrokach... prokurator zatrzymuje go wbrew ustawom i obowiązującej procedurze w więzieniu na rozkaz ministra Grabowskiego,

— To rozzuchwała. Więc generał Dąb-Biernacki wydaje rozkaz służbowy 16 ofiarom „ukarania” profesora Cywińskiego, zasłużonego, starego działacza i patriotę polskiego w kresowym Wilnie. I szesnastu uzbrojonych polskich oficerów napada na bezbronnego i starszego wiekiem cywila. Żaden z nich nie odmówił wykonania tak bezprawnego i tak hańbiącego rozkazu.

Pars pro toto. Trudno! Hańba spadła na cały korpus oficerski. Tak nisko upadł polski korpus oficerski w wyniku metod wychowawczych sanacyjno-legionowych. (Gorzej, że niektórzy z tych panów noszą po dziś dzień polski mundur oficerski w Szkocji, tak samo zresztą, jak „oprawcy” z Brześcia).

Niemcy z zachwyty zacierali ręce. Kto jak kto, ale oni to już chyba najlepiej oceniali, do czego taki korpus oficerski doprowadzi wojsko w chwili ciężkiej próby. Czy się nie pomylili, postaram się zanalizować przy rozpatrywaniu kampanii wrześniowej. — Po napadzie na Cywińskiego ani jeden polski generał nie odmówił podania ręki generałowi Dębowskiemu-Biernackiemu.

4. Informacja od jego kolegi szkolnego i dobrego znajomego z Kalisza, ppłk. dypl. piech. Spytek-Pstrokońskiego Stanisława.

mu, nie wystąpił przeciw niemu naczelny prokurator wojskowy („prokurator” — to znaczy „obronca prawa” z urzędu, a w wojsku przy tym jeszcze oficer wysokiego stopnia). A Generalny Inspektor Sił Zbrojnych też go nie zawiesił natychmiast w czynnościach, nie zdymisjonował, nie oddał pod sąd. Według oświadczenia pułkownika Korpusu Sądowego Słowikowskiego, marszałek Rydz-Śmigły wzbronił nawet wszcząć przeciwko generałowi Dąb-Biernackiemu sprawę sądową. Tak daleko i tak głęboko i tak wysoko przeżarła się już w Polsce zgnilizna moralna. To tylko trzy przykłady, a można by ich przytoczyć setki z zamordowaniem generała Zagórskiego na czele, poprzez zatrucie generała Rozwadowskiego i Wojciecha Korfanteo do bezkarności zasądzonego stu kilkudziesięciu wyrokami prawomocnymi za świadome oszczerstwa rzucone na ludzi nieskazitelnych w *Głosie Prawdy* (!?) osławionego redaktora Stpiczyńskiego. — To było bagno cuchnące. Z pijaków, miernot moralnych i umysłowych nie wyrosną w razie potrzeby, nagle, przez noc, herosy. Nie z takiej szkoły wyszli rycerze spartańscy, ni nasi wielcy hetmani, ni Prądyński, Schlieffen czy Foch.

Trzeba sobie choć w przybliżeniu uprzytomnić głębokość upadku moralności w Polsce, jeżeli chce się zrozumieć zasadnicze przyczyny klęski wrześniowej. Wszystkie inne, o których będzie mowa poniżej, są już tylko pochodnymi tej jednej, podstawowej. Zgnilizna moralna przeżerała coraz wyraźniej cały organizm państwowy. Jest to zupełnie logiczne następstwo bezprawia. Jeżeli nie obowiązuje jedno przykazanie Boskie, dlaczego ma obowiązywać inne? Ale mało tego. Skutki szły jeszcze głębiej: jeżeli przykazania Boskie nie obowiązują ministra czy generała, dlaczego — rozumowano — mają obowiązywać innych obywateli?

Nie można wojska oddzielić od Państwa. Tym niemniej wielka indywidualność, świadoma swego celu i zdająca sobie jasno sprawę ze swej dziejowej odpowiedzialności, może na niezbyt długiej przestrzeni czasu zachować wojsko, to jest kadrę zawodową, od zewnętrznych wpływów ujemnych. Przykład? Generał Seeckt i „Reichswehr”. W republice, w której naonczas — 1920-1925 r. — walczyli słowem, piórem i orężem wszyscy przeciw wszystkiemu⁵, stworzył, rozwinął i zachował nieskażone duchowo, wspaniale zdyscyplinowane, doskonale szkolące i szkolone wojsko, wysoko dzierżące sztandar Honoru, miłości Ojczyzny i świetnej tradycji dawnej armii.

W zasadzie jednak Wojsko było (i jest) tylko jednym z licznych składników organizmu państwowego, a kadra zawodowa

5. Zobacz: *Revolution über Deutschland* (aus dem Reichsarchiv).

(jak zresztą oczywiście i rezerwy) emanacją Narodu. — Nam zabrakło człowieka na miarę von Seeckta. Nie umieliśmy więc też uchronić wojska od zgnilizny, która — jak widzieliśmy — przeżerała organizm państwowy. Wszyscy o tym wiedzieli w Polsce i szeptali sobie o tym na ucho. Wszyscy o tym wiedzą tym bardziej teraz, po klęsce, i — znów tylko szepcą o tym na ucho (poza kilku publicystami, którzy traktują zresztą zagadnienie całe demagogicznie, bez dostatecznej znajomości przedmiotu i nie dla dobra sprawy, tylko dla celów osobistych).

Każdego człowieka honoru, więc przede wszystkim oficera, obowiązuje otwartość i śmiałe wypowiadanie swego zdania, gdy chodzi o dobro publiczne, nawet, gdyby ta prawda była bardzo nieprzyjemna.

Prawdzie tylko i dobru Polski ma służyć niniejsze opracowanie.

Jest też pisane w myśl powyższej zasady.



Praca poniższa nie jest i nie ma być żadną rewelacją. Tym bardziej nie dla Naczelnego Wodza, który sam trzymał bez przerwy „rękę na pulsie” i oczywiście lepiej niż kto inny orientuje się w „sanacyjnej rzeczywistości”.

Celem jej jest po prostu:

— uszeregowanie licznych przyczyn klęski jesiennej i zestawienie ich w pewnym przejrzystym porządku,

— usunięcie — o ile możliwości — już dzisiaj i w przyszłej Niepodległej Polsce tych rozpoznanych przyczyn klęski, aby drugi raz nie zagroziły istnieniu Państwa,

— zupełne odsunięcie od wpływu na Państwo i Wojsko ludzi współodpowiedzialnych w takiej czy innej mierze za klęskę, a dzisiaj już zupełnie wyraźnie dążących (w sposób zresztą jak najbardziej zakonspirowany) do ponownego objęcia władzy,

— *wyciągnięcie* z nich logicznych *wniosków*, aby uniknąć podobnych błędów w chwili formowania nowego wojska, to jest zaraz.

Niepodobieństwem nieomal jest — rozważając przyczyny klęski militarnej — wyraźnie oddzielić czysto wojskowe od ogólnopaństwowych, politycznych, społecznych, przemysłowych, ekonomicznych i finansowych, zwłaszcza, gdy nowoczesną wojnę nie wojsko samo, ale cały Naród musi prowadzić, gdy „na jednego żołnierza na froncie przypada ośmiu robotników w fabryce”.

Tym niemniej, w niniejszym krótkim studium zajmę się — o ile to tylko możliwe — tylko czysto wojskowymi przyczynami klęski jesiennej, pozostawiając wszystko inne na uboczu.

WOJSKOWE PRZYCZYNY KLĘSKI JESIENNEJ 1939 R.

I. PRZED WOJNĄ

1) Okres od maja 1926 r. do maja 1935 r.

W wywiadzie, udzielonym Melchiorowi Wańkowiczowi⁶ już na terenie rumuńskim, w miejscowości Craiova, na pytanie, kogo uważa za głównego sprawcę klęski, marszałek Śmigły-Rydz odpowiedział: „Józefa Piłsudskiego, który, zajmując się zbytnio polityką wewnętrzną i zagraniczną, zaniedbywał całkowicie armię. Gdyby wojna wybuchła nie w 1939 r. a w 1935 r. — trwałaby jeden dzień. Musiałem użyć nadludzkich wysiłków, aby armia mogła walczyć kilkanaście dni z wielokrotnie przeważającym przeciwnikiem. Drugim sprawcą jest wicepremier Kwiatkowski, który kilkakrotnie odmawiał mi kredytów na rozbudowę i unowocześnienie armii”.

W tym miejscu interesuje nas początek odpowiedzi, który powtarzam: „Józefa Piłsudskiego...”

Pozostałe stwierdzenia marszałka Śmigłego-Rydza zostaną zanalizowane, odnośnie swej obiektywnej słuszności, w dalszych rozdziałach niniejszego opracowania.

Jak najbardziej bezstronne przemyślenie i badanie wojskowych przyczyn klęski jesiennej 1939 r. w Polsce doprowadza do wniosku, że marszałek Śmigły-Rydz w tym punkcie ma rację: Największym winowajcą klęski wrześniowej jest Józef Piłsudski.

Przed rokiem 1926 on zrywał sejmy, sztucznie tworzył „partyjnictwo”, „pikował” rządy, walczył z większością polską opierając się — poza bagnetami swej „pierwszej brygady” — na mniejszościach wrogich Polsce, dyskredytował ludzi zasłużonych, zdolnych i Polsce bez reszty oddanych (jak Witos, Korfanty itd.) — on odtrącał rękę większości polskiej, wyciągniętą do zgody dla dobra Polski (Dmowski, Paderewski, Korfanty, Trąpczyński itd.) — on więc już przed majem 1926 r. był jedyną i największą przeszkodą w osiągnięciu zgody narodowej wszystkich Polaków dla dobra Państwa⁷. Ile energii i

6. Brzmienie tego wywiadu nadesłał do M.S. Wojsk. w Paryżu ppłk dypl. Rudnicki Tadeusz z nadmienieniem, że oryginał wywiadu posiada p. Birkenmayer i mjr s.s. Lepecki Mieczysław.

7. Interesujące pod tym względem jest krótkie studium historyczne: prof. dr Michał Bobrzyński „Wskrzeszenie Państwa Polskiego 1918-1923 r.”.

sił polskich zostało zmarnowanych w tych najtrudniejszych pierwszych latach Niepodległości, które — gdyby były kierowane wielkim sercem i bystrym umysłem dalekowzrocznego patrioty — mogły być podstawowymi elementami siły wewnętrznej i zewnętrznej Państwa Polskiego w latach następnych. Cel był jeden: ludzi innych obozów usunąć od rządów, aby Polską samemu rządzić, jak folwarkiem, oraz, aby wynagrodzić swoich, z pierwszej brygady, za... legendę o pobudkach odmowy przysięgi, za przygotowanie sprytną propagandą „terenu” w kraju do objęcia władzy w listopadzie 1918 roku, potwierdzoną — wbrew oczywistemu dobru Narodu „przez większość lewicowo-mniejszościową sejmu, kierując się względami oportunistycznymi i tożsamością dotychczasowych poglądów” (scilicet, „aktywistycznych”). „...oddano nieograniczoną władzę jednemu człowiekowi, który na organizmie tego państwa musiał nabywać doświadczenia”. (L.dz.594/39).

W tym też okresie podzielił Józef Piłsudski — nie *de iure* ale *de facto* — wszystkich Polaków, zamieszkujących Rzeczpospolitą, na obywateli pierwszej i drugiej klasy. Dodał tym samym do różnic dzielnicowych, które istnieją w każdym Państwie między mieszkańcami odległych dzielnic (np. Walia — Szkocja, Bretania — Pireneje, Bawaria — Meklemburgia, Podkarpacie — Kurpie czy Kaszuby lub Pałuki — Podlasie lub Śląsk), a u nas powiększonych jeszcze znacznie przez odmienne bardzo warunki wychowania, otoczenia, cywilizacji i kultury pod trzema zaborami przez 123 lata niewoli — nowe różnice i to najgroźniejsze. Na „pierwszobrygadowców”, dla których były otwarte i dostępne wszystkie stanowiska w Państwie i w wojsku i na „szary tłum”, który nawet przy wielkich zasługach w pracy narodowej przed wojną, wielkich nieraz zdolnościach, zaletach umysłu i charakteru oraz wybitnej fachowości był albo z góry odsunięty albo tylko tolerowany czasowo, „jako dobre bydło robocze”, bez którego nie można się było obyć, ale dla którego wyższe stanowiska były bezwzględnie zamknięte. Powrócę do tego zagadnienia na dalszych stronach. Tu tylko jeszcze wnioszek:

Józef Piłsudski jeszcze przed majem 1926 roku wprowadził i pogłębiał swoim postępowaniem niechęci dzielnicowe i stanowe wśród Polaków — przez okropnie niesprawiedliwą weryfikację wprowadził do polskiego korpusu oficerskiego wzajemną niechęć, poderwał w zaraniu Niepodległości zaufanie do sprawiedliwości polskich poczynąń rządowych i władz wojskowych, wreszcie: zupełnie poderwał zaufanie szerokich warstw korpusu oficerskiego do powagi stopnia wojskowego, z jednej strony, w publicznych wywiadach prasowych, krytykując

bezwzględnie i ośmieszając wysokie i bardzo wysokie szarże, pochodzące z armii zaborczych, z drugiej zaś weryfikując przeważnie młodocianych, mało doświadczonych legionistów do wysokich i bardzo wysokich stopni wojskowych, do których nie dorosli, bo dorosnąć jeszcze nie zdołali. Doly oficerskie porównywały ich z generałami i pułkownikami czy francuskimi czy państw zaborczych i porównanie to musiało wypaść i wypadało przeważnie na niekorzyść legionistów. Przecież przygniatająca większość ówczesnych polskich oficerów od podporucznika wzwyż odbyła po doskonałej szkole rekruta i podchorążówce w armiach zaborczych największe w pierwszej wojnie światowej bitwy na froncie rosyjskim, włoskim czy francuskim, widziała wiedzę, doświadczenie i charakter swych przełożonych ówczesnych, była w formacjach wschodnich czy w powstaniach na ziemiach zachodnich, w końcu w wojnie polsko-bolszewickiej. Ich udział w tych najkrwawszych i największych ówczesnych bitwach wynosił nie dni i nie tygodnie, ale długie miesiące i nawet lata. Takie przeżycia czynią ludzi dojrzałymi nad wiek, uczą patrzeć i wyciągać wnioski. Toteż porównywano tamtą organizację i porządek z tym, co widziano w wojsku polskim.

Ich doświadczenie bojowe na niższych szczeblach dowodzenia (pluton, kompania, batalion) było wprost kapitalne, ich wyszkolenie i zdyscyplinowanie wzorowe, ich przyzwyczajenie do porządku, planu, organizacji doskonałe. Brak im było wyższych dowódców z takim samym doświadczeniem i z takim samym wyszkoleniem i z takim samym poważnym podejściem do zagadnień i z taką samą dyscypliną, nabytą w dobrej, podstawowej szkole rekruckiej i w długoletniej normalnej służbie na kolejnych, coraz to wyższych stanowiskach.

Pomijam tutaj dwa nazwiska generałów, pochodzących z legionów, którzy zawsze byli w Narodzie i w wojsku wysoko cenieni i zawsze się cieszyli Narodem i wojska zaufaniem, bo podchodzili do wszystkich odłamów Narodu, do wszystkich jego stanów, warstw i partii bez uprzedzeń, z jednakowym obiektywizmem i z jednakową życzliwością i umiarem. Ale obaj mieli wyższe wykształcenie. Obaj też pokazali charakter, siłę woli i bystrość umysłu oraz roztropność w postępowaniu w ciężkich dla Państwa chwilach, tak w czasie obu wojen, jak i w kryzysach wewnętrznego życia państwowego. Czyny ich mówią za siebie, Naród nie potrzebował propagandy, aby mieć do nich zaufanie...

Ale było ich tylko dwóch.

Resztę takich wyższych oficerów — od pułku wzwyż — jakich potrzebowali ówcześni młodszy i starsi oficerowie — a przede wszystkim dobro sprawy — można tylko wybrać —

przy zupełnie bezstronnym sędzie — spośród bardzo licznych oficerów zawodowych armii austriackiej i rosyjskiej. W ten sposób mogliśmy dać podwaliny twarde i trwałe pod zdrowy i pod każdym względem dobry załążek polskiego korpusu oficerów zawodowych. Oficerowie legioniści, zweryfikowani na tych samych co oficerowie z armii zaborczych zasadach, byłiby uznani przez wszystkich i mile widzianymi kolegami. Do września — normalnie pracując i awansując — gros z nich i tak by już było doszło do stopni pułkowników, nieliczni może też już do generałów. Amalgamat taki, przeprowadzony na zasadach słuszności i sprawiedliwości, byłby dobrodziejstwem dla wojska i Państwa. Wybrano drogę inną. Z pobudek partyjnych wbito koleć między polski korpus oficerski, który spowodował nigdy nie gojącą się ranę. Oficerom legionowym największą krzywdę wyrządziła ich weryfikacja. Bez dostatecznego przygotowania fachowego, wiedzy i doświadczenia wskoczyli na szczyty, na których dostawali zawrotu głowy. Wiedzieli, że nie potrzebują pracować, aby awansować i mieć dobre stanowiska. Trzymali się na tych wyżynach sztucznie, nawzajem się podtrzymując i podpierając i pociągając wbrew dobru Państwa i woli Narodu, spaczając własne charaktery i usiłując łamać obce, aż runęli w przepaść niesławy i hańby, wciągając za sobą i wojsko i Państwo i Naród.

Francuski generał Trousson, który był w Polsce w 1923 i 1924 roku, w rozmowie z polskim oficerem w Paryżu w roku 1925 wyraził swoją opinię następująco: „Wie Pan, mnie jest żal Polski i ludzi, jak Panu. Bo gdy człowiek poznał Polskę, jak ja ją poznałem i gdy realnie patrzy się w przyszłość, to musi się ją czarno widzieć”. Na zapytanie „dlaczego?”, generał Trousson odpowiedział: „Widzi Pan, u was jest wysmienity materiał ludzki, dużo jest ludzi dobrych i zdolnych, którzy wszędzie byłiby pierwszorzędnymi jednostkami. Lecz widzi Pan, by być dobrym chirurgiem, nie wystarczy skończyć medycynę. Trzeba jeszcze w dobrym szpitalu praktykować, a potem można być sławą. W Polsce zaś, niestety, cała góra w większości nie jest na wysokości zadania. Naszych rad nie chciano słuchać. Często robiono nam na opak. Generał Sikorski, który był ich wyrazicielem, już ustąpił. Dziś u góry są ludzie zupełnie do tego nie przygotowani, bez wiedzy i praktyki wojskowej. Wewnętrzny brak zastępują zewnętrznymi pozorami. I co się stanie, gdy młody, wartościowy oficer pod takim przełożonym służy? Albo, idąc za swym sumieniem, zamelduje, gdy jedno i drugie zło zobaczy, o tym. Stanie się przez to przykrym dla przełożonego i ludzi jego otoczenia, przeważnie tej samej co on wartości i wtedy odstawią go na ślepy tor, gdy dalej będzie prawdę mel-

dował. Albo, z braku charakteru, stanie się oportunistą, przestanie pracować, a będzie wszystko chwalił. Wtedy pójdzie naprzód, lecz stanie się podobnym do swego dowódcy.

Gdy jednak wojna przyjdzie, okaże się cała próżnia tego gmachu. Myśmy to przeżyli w roku 1870/71, gdy względy dworu były miarodajne przy obsadzie stanowisk. Rezultatem był Sedan. Na szczęście mamy położenie geograficzne, które pozwoliło nam na ocknięcie się pod Paryżem i okupienie się Niemcom. Lecz dopiero spostrzeżenie tych błędów i studia nad nimi dały nam dowództwo, które potrafiło w roku 1918 zwyciężyć. Polskę, w jej geograficznym położeniu, dowództwo, jakie ma, może być jej kosztować". (L. dz.594/39).

„Mimo wszystkich wysiłków pierwszobrygadowców, aby tylko siebie utrzymać u władzy, stosunki, kontrolowane przez Sejm, zaczynają się i pod tym względem poprawiać i iść ku lepszemu. Sejm bowiem, w którym mimo partii, ludzie widzą jaśniej — zachowując cały szacunek dla tego, którego okoliczności na czele armii postawiły — chce wciągnąć ludzi fachowych do pracy, ludzi, mających uznanie sojusznicznych rzeczoznawców wojskowych. Francuska misja wojskowa działa i mówi prawdę, co jest ziarnem w wojsku, a co plewą. Plewą, niestety, jest większość znajdujących się na wysokich stanowiskach „polityków” pierwszej brygady. Powoli więc, obok nich, głos zaczynają mieć i ludzie fachowi, generał Józef Haller, (generał Stanisław Haller), gen. Rozwadowski, generał Sikorski Władysław, generał Szeptycki i inni. Za sprawowania urzędu Ministra Spraw Wojskowych przez generała Sikorskiego (i Szefostwa Sztabu przez generała Stanisława Hallera) zdaje się wszystko być na najlepszej drodze. Organizacja naczelnych władz wojskowych, oparta na wzorze francuskim, a nie oddająca sprawy bezpieczeństwa i obrony Państwa ślepo w ręce jednego człowieka, wchodzi w życie. Nad kliką jest kontrola i zdaje się, że w oparciu o Aliantów Polska idzie do normalnego rozwoju.

Lecz pierwsza brygada ma już coraz mniej do mówienia. A tu chodzi przecież o władzę, a przy tej władzy o żłób. Partia, biorąc za pretekst za małe uprawnienia dla Wodza Naczelnego, każe mu się na bok usunąć, by podziemną robotą przygotować zamach majowy..." (L.dz.594/39).

Klika robi to, co też dzisiaj, w zmniejszonej skali, obserwujemy w Szkocji: robi się sztucznie fermenty, rozszerza najróżniejsze pogłoski i plotki o przełożonych władzach wojskowych, więc tak, jak i tu: przede wszystkim o generale Sikorskim, lansuje zjadliwe i podburzające artykuły w prasie, szafując szeroko kłamstwem i oszczerstwem (tam: ówczesny tygodnik *Głos*

Prawdy, tu: *Wiadomości Polskie* w artykułach nie tylko Pruszyńskiego) — jednym słowem: robi się „wojnę nerwów”, a późną jesienią w gabinecie Skrzyńskiego zostaje Ministrem Spraw Wojskowych „popularny” na ...Wileńszczyźnie generał Żeligowski, który w Sejmie oświadcza, że „...wojsko wyprowadzi w pole” i ...obsadzi kluczowe stanowiska w wojsku ludźmi, oddanymi Piłsudskiemu. Naiwne społeczeństwo przyjmuje tę zapowiedź za dobrą wiarę w sensie długotrwałych ćwiczeń letnich. Gros oficerów nawet najniższych stopni i na najdalszej prowincji zaczyna inaczej rozumieć słowa Ministra. Tej myśli potwornej nikt jednak nie chce pozwolić się w sercu zagnieździć. Lecz słowa generała Dreszera (który po tym nie wykonał rozkazu generała Sikorskiego o objęcie 2-ej Dywizji Kawalerii w Poznaniu, ku zgorszeniu całego wojska) podczas demonstracji w Sulejówku „...o szablach, które Tobie, Komendancie, stawiamy do dyspozycji”, ostatnie rozwiewają złudzenia. Wreszcie nowe kłamstwo: napad „endeków” (oczywiście!!) na dworek „ukochanego” Wodza Narodu Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Przewidział ten „napad” proroczco pułkownik Wieniawa-Długoszowski już w przeddzień. Toteż w knajpach warszawskich skacząc po stołach robił poprzedzającej nocy w towarzystwie kobiet z półświatka, zwłaszcza żydowskiego, odpowiedni nastrój „pierwszobrygadowy”, zmuszając publiczność obecną w lokalu do śpiewania „Pierwszej Brygady”. Była to awantura, godna tragicznych farsy, jaką niebawem rozpoczęto pod nazwą „sanacja moralna”.

Nazajutrz pan Minister generał Żeligowski dotrzymując słowa... „wyprowadził wojsko w pole”, łamiąc przysięgę dwukrotnie, jako Minister i jako żołnierz. Oszukał zbrojne ramię Narodu, pracujące, milczące i kochające Ojczyznę i chcące w 90 % swego korpusu oficerskiego służyć Ojczyźnie przeciw wrogom zewnętrznym.

Swego czasu, gdy w roku 1917 chcieli Niemcy stworzyć stutysięczne wojsko polskie, oczywiście dla swoich celów, wielu ludzi światłych, widząc zbliżającą się nieuchronnie klęskę Niemiec, było za tworzeniem tego wojska, widząc doskonale, jakim to wojsko będzie atutem w chwili załamania się Rzeszy. Ludzi tych reprezentował Komitet Narodowy i druga brygada Legionów.

„Pierwsza brygada była przeciwna temu. Głębszym i jedynym powodem było to, że w tej armii ludzie nie tylko z partii głos by mieli i że władza z rąk by się obozowi wymknęła. Na zewnątrz, dla społeczeństwa, tworzy i rozdmuchuje się sprawę przysięgi. Co jednak dla obozu tego przysięga znaczyła, pokazał zamach majowy, gdy przysięga nie najeźdźcy, lecz Rzeczypospolitej złożona, została zdeptana, byleby władzę zagarnąć”. (L. dz. 594/39).

Rokosz majowy, wstydlivé „wypadkami” zwany, dochodzi do skutku. Krew bratnia się leje. Setki mogli tych, co „byli wierni przysiędze”, są ich wspomnieniem na wojskowych Powązkach. Może to symboliczne, że ogromna większość tych grobów kryje szczątki synów Wielkopolski.

Ówczesny *Ilustrowany Kurier Codzienny* nazywał Wielkopolan „...zniemczonym plemieniem, które złamało przysięgę, bo nie dochowało wierności... Marszałkowi”.

A warszawska prasa czerwona nazywała Wielkopolskę „Beotią” i „twierdzą endecką”, którą trzeba rozbić.

Całą ohydę tego rokoszu z bardzo ciekawym opisem nie-polskich fizjonomi tych, którzy rokosz popierali na ulicy, deptali Sztandar Prezydenta Rzeczypospolitej, strzelali od tyłu do polskiej młodzieży akademickiej, znęcali się nad schwytanymi, oraz charakterystykę dowódców, którzy poza przysięgą, łamali jeszcze słowo honoru, dobrowolnie dane, jak to zrobił ówczesny dowódca 1 pułku szwoleżerów, pułkownik Grobicki, uwypuklił w krótkiej, rzeczowej, a jakże dramatycznie ujętej broszurze generał Stanisław Haller⁸.

Rokosz majowy, na którego czele stanął Józef Piłsudski „kalając Majestat Rzeczypospolitej”⁹, jest jedną z głównych przyczyn klęski wojskowej w kampanii jesiennej 1939 roku w Polsce.

Józef Piłsudski bowiem, przez rokosz majowy, wprowadził w Polsce system rządów, który przez zgniliznę moralną zdeprawował kompletnie aparat administracji państwowej, przez co spowodował upadek Państwa.

Józef Piłsudski, objąwszy przez rokosz majowy władzę absolutną w Państwie, wprowadził na najwyższe stanowiska w Państwie i w wojsku miernoty moralne i intelektualne, które już bezpośrednio doprowadziły do katastrofy wrześniowej, przez co spowodował upadek Państwa.

Józef Piłsudski wprowadził przez rokosz majowy rozstrój i wzajemną nienawiść do szeregów korpusu oficerów zawodowych. Usuwając po maju co najdzielniejszych i najdoświadczniejszych i najszlachetniejszych wyższych dowódców bądź przez zabójstwa i więzienie (jak generał Zagórski i Rozwadowski), bądź przez przedwczesne emerytury (jak generał Szeptycki i Haller), bądź przez „zapomnienie” (jak generał Władysław Sikorski) i setki innych oficerów zasłużonych w wojsku polskim, a wprowadzając na ich miejsce na najwyższe i na inne naczelne stanowiska w wojsku niedoświadczonych, nadętych młokosów,

8. Gen. Stanisław Haller, „Wypadki majowe”, Warszawa 1926.

9. Z odezwy do Narodu Prezydenta R.P. Wojciechowskiego z 12 maja 1926 r.

nieuków i częściowo aferzystów ze swego obozu i pozostawiając „dla przyzwoitości” i zaciemnienia istotnego stanu rzeczy kilku mało inteligentnych generałów z armii zaborczych¹⁰, pogłębił tę nienawiść wśród korpusu oficerskiego, poderwał jego morale i kręgosłup, a wojsku polskiemu przez taką politykę personalną zamknąwszy możliwości normalnego, zdrowego rozwoju, doprowadził je z własnej winy do upadku moralnego i materialnego — przez co spowodował upadek Państwa Polskiego.

Józef Piłsudski, sięgnąwszy zuchwale i zarozumiale, przelewem krwi bratniej, wbrew woli Narodu, po władzę, wznosi się ponad partię, ...nie staje się władcą Polaków, by bacząc jedynie na wartości i kwalifikacje, wprząc ludzi charakteru i zdolnych z wszystkich obozów do pracy dla Polski, lecz pozostaje władcą partii”. (L.dz. 594/39).

Widzieli to również obcy. Znany pisarz niemiecki, Friedrich Wilhelm von Oertzen, który napisał w epoce republiki weimarskiej cały szereg pamfletów przeciwpolskich, wydał w okresie flirtów Hitler-Beck kilka książek na tematy polskie, tym razem w naświetleniu koniunkturalno propolskim, między innymi „Männer um Piłsudski” i „Alles oder Nichts”. Tę ostatnią książkę kończy zdaniem, które cytuję tylko z pamięci, ale które w swej treści i w swym sensie oddaje jak najwierniej: „*Josef Piłsudski hat mit Bajonetten gesiegt, aber der völkische Gedanke, den Roman Dmowski schon 1894 niedergelegt hat, der wird in Polen in Zukunft siegen*”.

Tak, Józef Piłsudski zdobył władzę w Polsce łamiąc prawo i depcząc to prawo — wbrew woli i wbrew wielkim tradycjom Narodu, dalej bezprawie rządził i bezprawnie szerzył.

Józef Piłsudski odsunął Naród Polski, Naród o zdrowym duchu, wielkiej myśli i gorącym sercu od udziału w rządach państwem i od kontroli nad poczynaniami i gospodarką Rządu.

A brak tej kontroli nad poczynaniami Rządu był ostatecznie najważniejszą przyczyną niebywałej i hańbiącej klęski wrześniowej.

Tak, Józef Piłsudski jest głównym winowajcą klęski wrześniowej, lecz w dużo szerszej mierze, niż to podaje w wyżej wymienionym wywiadzie marszałek Śmigły-Rydz.

Dlaczego rokosz majowy się udał, uzasadnia generał Stanisław Haller w swej broszurze. Ogół oficerski do argumentów generała Stanisława Hallera dodawał jeszcze inne, według mego zdania najistotniejsze:

10. Żeligowski, Konarzewski, bracia Wróblewscy, Kwaśniewski.

— Rząd nie stłumił przygotowań do zamachu w zarodku, o których nie mógł nie wiedzieć,

— brak zdecydowania po stronie Rządu po ujawnieniu buntu,

— brak szybkości w wykonaniu decyzji i

— brak bezwzględności w postępowaniu.

Rokosze wiedzieli, że bunt „gardłem grozi”. Postępowali więc zgodnie z wyżej wymienionymi postulatami, to jest bez skrupułów, „totalnie”.

Po stronie zaś rządowej:

— generał Ładosz zwlekał pod Ożarowem z natarciem na Warszawę, nie wiadomo na co i po co,

— generał Żymierski namawiał do tego czekania generała Ładosia, za co mu po tym sanacja się odwdzięczyła głośnym procesem,

— „mobilizacja” wojsk rządowych była niezdecydowana, połowiczna, słaba,

— reakcja Rządu na sabotaże czerwonych kolejarzy była nijaka. Oddziały wielkopolskie siłą sobie musiały otwierać drogę (w Kutnie i nie tylko tam).

Skutek:

Gros oficerów (bo ci ostatecznie decydowali o postawie wojska) widząc zdecydowanie po stronie rokoszu, a słabość, miękkość i wahanie po stronie Rządu, zachowała postawę wyczekiwania. Gdy już widocznym było, „...skąd wiatr wieje”, przeszli na stronę rokoszan.

„...Słaby Prezydent, chcąc uniknąć dalszego rozlewu krwi, składa swój urząd w chwili, gdy szala zwycięstwa się waha. To decyduje o losie Polski i jej rządach. Władzę absolutną obejmuje niepodzielnie Marszałek Józef Piłsudski i jego partia. Sejm bez odwagi cywilnej daje absolutorium za bunt i zamach stanu. Witos, Daszyński i inni, niepomni zasady *neminem captivabimus nisi iure victum*, nie upominają się ani o zabitego generała Zagórskiego, ani o więzionego generała Rozwadowskiego, nie przypuszczając, że sami niedługo padną ofiarą tego samego bezprawia, któremu w zarodku nie sprzeciwili się...” (L.dz. 594/39).

Rokosz majowy był tragedią Polski, gdyż

— zanarchizował wojsko,

— zdeprawował dusze,

— wprowadził wojsko do polityki i politykę do wojska,

— wprowadził na naczelne stanowiska w wojsku niefachowców.

Pierwsze zarządzenia Piłsudskiego w wojsku, po opanowaniu

władzy, miały wyraźnie na celu zachowanie i utrwalenie tej władzy w swoim ręku:

- przez natychmiastowe zmiany personalne,
- przez wydanie rozkazu o sądach doraźnych „za rokosz, bunt, czynne targnięcie się na przełożonego itd.”, który to rozkaz miał być czytany przed frontem każdego pododdziału w pierwszym dniu miesiąca przy wypłacie żołdu i podpisywany przez tych, którzy go przyjęli do wiadomości. Czytano go też przed frontem aż do września.

- przez wprowadzenie w życie nowej organizacji naczelnich władz wojskowych.

Spróbujmy zdać sobie sprawę, w jakim stopniu wyżej wymienione zmiany przyczyniły się do klęski wrześniowej, zaczynając od ostatniej.

Według nowej organizacji Naczelnich Władz Wojskowych:

- całą pełnię władzy wojskowej skupiał w swym ręku Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, przyszły — w razie wojny — Wódz Naczelny,

- ale odpowiedzialność konstytucyjną przed Sejmem, więc przed Narodem za obronę Państwa i za wszystkie sprawy z tą obroną związane zachował nadal Minister Spraw Wojskowych.

To było pierwsze tragiczne nieporozumienie, które tak złowrogo zaciążyło na przyszłych losach wojska i Państwa.

Piłsudski objął oba stanowiska, to jest Generalnego Inspektora i równocześnie Ministra, prawdopodobnie

- aby nawet czysto formalnie — nie podlegać Ministrowi,

- aby, widząc wadę tej organizacji, uchylić z góry jej następstwa. Skutki były mimo to, a może właśnie dlatego, opłakane.

„W żadnym państwie europejskim generał, przewidziany w czasie pokoju na Naczelnego Wodza, nie miał takiej swobody działania, jak w Polsce. Władza naszego Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych była wprost nieograniczona. Każdy jego rozkaz czy też życzenie było dla całego wojska świętym przykazaniem. Ponadto obydwaj marszałkowie zapewnili sobie wpływ w rządzie, że oni faktycznie wykonywali czynności Prezydenta Rzeczypospolitej, a nawet w dużym bardzo stopniu Premiera. Ta dyktatorska władza Generalnych Inspektorów miała w swym założeniu przynieść wojsku wiele korzyści, a jej logiczne uzasadnienie znajdowano w niezmiernie ciężkim położeniu militarnym Państwa. Bez wątplenia niezwykle trudność tego położenia wymagała niezwyklej, silnej i prostej organizacji naszych naczelnich władz wojskowych. Doszliśmy w tym jednak do zbyt

wielkiej przesady, która w skutkach okazała się szkodliwa i to w pierwszym rzędzie dla wojska.

Generalny Inspektor poświęcał przy tej organizacji wiele drogiego czasu na kierownictwo sprawami, które były związane tylko pośrednio, niekiedy tylko w małym stopniu, a niekiedy w ogóle nie były związane z przygotowaniem do wojny.

Toteż Marszałek Piłsudski nie miał możliwości bywać na ćwiczeniach letnich i zimowych ani też na grach wojennych, prowadzonych przez Inspektorów Armii, ani na inspekcjach w oddziałach, ani w Wyższej Szkole Wojennej. Pozostawało mu tylko tyle czasu, aby mniej więcej raz na rok prowadzić osobiście¹¹ egzaminy sprawdzające dla kandydatów na dowódców dywizji i piechot dywizyjnych.

Dla porównania weźmy znaną powszechnie postać niemieckiego Szefa Sztabu, generała hr. Schlieffena, działającego na przełomie XIX wieku, a także jego zastępcy, hr. Moltkego młodszego, którzy jako przyszli naczelni wodzowie znajdowali dość czasu, aby osobiście przygotować i rozgrywać niezliczone warianty przyszłej wojny niemiecko-francuskiej i rosyjsko-niemieckiej. Ba, hr. Schlieffen miał nawet czas, aby osobiście układać końcowe gry wojenne dla poruczników, absolwentów szkoły Sztabu Generalnego, nie mówiąc już o tym, że założenia do dorocznych wielkich manewrów letnich były przez niego opracowane, a kierownictwo nimi spoczywało w jego rękach". („U źródeł polskiej niemocy wojskowej", Warszawa, 27.X. 1939r.).

Nowo stworzony organ pracy Generalnego Inspektora: Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych, we właściwym sobie zakresie, to jest w pracy operacyjnej nic nie robił i nic do wiosny 1939 roku nie zrobił, jeżeli się pominie zwykle studia operacyjne, najwyżej w zakresie „Armii", a na poziomie najwyżej słuchaczy Wyższej Szkoły Wojennej, a przede wszystkim bez realnego przygotowania planów operacyjnych z braku rozkazów, wytycznych i koordynacji pracy poszczególnych Inspektorów Armii (przyszłych dowódców Armii) ze strony Generalnego Inspektora. Zajęty bowiem innymi sprawami, nie mającymi z obroną Państwa i z wojskiem nic wspólnego, nie miał on czasu na wykonanie tego swego zasadniczego obowiązku.

11. Tu nasuwa się pytanie, na jakiej zasadzie prowadził Marszałek Piłsudski te „egzaminy"? Jakie wykształcenie wojskowe i jakie dalsze studia wojskowe dawały mu do tego tytuł i kwalifikacje? Jakie więc kryteria były decydujące w jego ocenie kandydatów na wyższych dowódców?

DOWÓDCY ARMII

„Na te stanowiska byli przewidziani w czasie pokoju inspektorowie armii i tak zwani generałowie do prac. Podlegali oni wraz z niewielkimi sztabami bezpośrednio Generalnemu Inspektorowi. Nie byli wtajemniczeni w swoje zadania na wypadek wojny, bądź dlatego, że plan wojny w ogóle jeszcze nie istniał, bądź też dlatego, że Generalny Inspektor uważał to za przedwczesne. W dodatku charakterystyczne dla naszego wojska rozstrzelanie inspektorów nie sprzyjało konkretnej twórczej pracy przyszłych dowódców armii. I tak, inspektor armii w Warszawie inspekcjonował na przykład jedną dywizję na Wołyniu, jedną na granicy Śląska i jedną na Wileńszczyźnie. Inspektor armii w Toruniu inspekcjonował dywizję w okolicach Warszawy i Poznania, a oddziały należące do jednego korpusu inspekcjonowało na przykład aż ośmiu inspektorów armii. Bezpośrednim skutkiem takiego systemu były oczywiście nieustające podróże inspektorów i ich sztabów po całej Polsce. Mało tego. Przy takim systemie inspektorowie armii niezwiązani z terenem przyjęli z konieczności inspekcję jako swój główny obowiązek i wskutek tego przygotowania do wojny na szczeblu przyszłych dowódców armii nie istniało w ogóle. Stan ten uległ w ostatnich latach stopniowej poprawie, jednak ewolucja była tak powolna, że ostatecznie inspektorowie armii otrzymywali zadania na wypadek wojny z Niemcami dopiero pod naciskiem wypadków w końcu marca 1939 roku.

Drugim charakterystycznym i niewątpliwie nader ujemnym objawem były daleko posunięte zaniedbania w osobistym przygotowaniu inspektorów armii do roli, którą mieli spełnić w przyszłości. Od chwili utworzenia Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych do wybuchu wojny, to znaczy przez blisko 13 lat, inspektorowie armii nie występowali jako dowódcy ani na grach wojennych, ani też na manewrach. Byli tylko nieodpowiedzialnymi i wszechmocnymi kierownikami ćwiczeń. Sprawdzaniem ich umiejętności operacyjnych i, co najważniejsze, ich odporności duchowej, miały się stać dopiero działania wojenne.

Jest bardzo prawdopodobne, że przyczyną tego była fizyczna niemożliwość szkolenia ich przez Generalnego Inspektora zajętego, jak już widzieliśmy, różnymi innymi sprawami. Zapewne inspektorowie mieli aż nadto czasu, aby samemu pogłębić swe wyszkolenie, ale pozbawieni na stałe i zupełnie wszelkiej odpowiedzialności, dobrze sytuowani materialnie, wygodnie urządzi, zajmowali się przeważnie wyszkoleniem oddziałów,

które inspekcjonowali, a więc opuszczali się o kilka szczebli w dół, zamiast podnosić się ku górze, albo też wyladowywali się w tym, co ich szczególnie zajmowało, jak na przykład L.O.P.L. i w łowiectwie, Lidze Morskiej i Kolonialnej, Harcerstwie, dobrach ziemskich i realnościach miejskich. Nic też dziwnego, że kiedy naraz postawiono ich przed stołem egzaminacyjnym i pytania zaczął zadawać nieprzyjaciel, niektórzy nasi dowódcy armii i to nawet tacy, których nazwiska głośne były wzdłuż i wszerz całej Polski, załamali się już w pierwszych dniach wojny". („U źródeł polskiej niemocy wojskowej", Warszawa, 27 października 1939 r.).

MINISTERSTWO SPRAW WOJSKOWYCH

Ministerstwo Spraw Wojskowych w zastępstwie Ministra było kierowane przez dwóch wiceministrów, którzy ani pod względem wykształcenia i inteligencji, a przede wszystkim pod względem charakteru nie stali na wysokości zadania. Trzęśli się ze strachu przed swym Ministrem i zapominali z obawy przed nim o swych obowiązkach wobec Ojczyzny: wykonywaniu swej pracy tak, żeby wojsko szło z postępem rozwoju techniki i dorównywało armiom zagranicznym, albo podaniu się do dymisji. Pod takim kierownictwem Ministerstwo Spraw Wojskowych załatwiała tylko stosy papierków i zjadała budżet i przez bezustanną „reorganizację reorganizacji" dezorganizowało kompletnie wojsko, na przykład saperów i artylerię, o czym będzie mowa później.

Jedynym bodaj działem Ministerstwa, którym się interesował sam Marszałek Piłsudski, była „polityka personalna", jak wszystkim wiadomo, bardzo ujemna i szkodliwa. Dokumentem, który nas ośmieszył w oczach zagranicy i rzucił snop jaskrawego światła na ducha wprost lokajsko-stupajkowsko-azjatyckiego, jaki naonczas panował wśród najwyższych władz wojskowych, ducha niegodnego oficerów, jest książka lekarza, „generała dywizji" Sławoj-Składkowskiego, pod tytułem „Strzępy meldunków".

SZTAB GŁÓWNY

Sztab Główny został odsunięty, praca jego — zwłaszcza Oddziału I i Oddziału II — zakazana.

„Istotny powód tej zmiany leżał w tym, że już wtedy zaczynały się zupełnie wyraźnie niechęć i negatywne stanowisko

Marszałka Piłsudskiego do wszelkich prac Sztabu Głównego nad zagadnieniami mob."

„...Pracowano ciężko i ofiarnie, w jak najgorszych warunkach moralnych..., niestety, wszystko na darmo, wszystko rozbiła się o negatywne stanowisko marszałka Piłsudskiego, a nawet już w tym czasie jego wręcz wrogie nastawienie się do wszelkich poczynañ Sztabu Głównego w dziedzinie mob."

„...w połowie 1932 roku... znów prace wstrzymano na rozkaz nowego Szefa Sztabu Głównego (generał Gąsiorowski), i z wyraźnego polecenia Marszałka Piłsudskiego kazano spalić wszystko łącznie z brulionami, aby 'nawet ślad nie pozostał'".

„...Korzystając z pobytu Marszałka Piłsudskiego za granicą, zdolano wydać za podpisem generała Gąsiorowskiego (prawdopodobnie nie orientował się, co podpisuje, bo w przeciwnym razie byłby na pewno nie podpisał) nowe tabele mob. piechoty, artylerii, łączności i aeronautyki. Niestety — powrót Marszałka Piłsudskiego przerwał, zresztą w sposób bardzo drastyczny i przykry dla oficerów Oddziału I Sztabu Głównego i generała Zamorskiego, dalsze prace. Marszałek Piłsudski nakazał 'rozpędzić' cały Oddział I, a do tego czasu, nim to zostanie uskutecznione, zabronić oficerom jakiegokolwiek pracy w ogóle..." (Krótkie studium pod tytułem „Mobilizacja i jej przygotowanie").

„...i zakazania Oddziałowi I Sztabu Głównego brania udziału w pracach nad mobilizacją armii i kraju..." (L. dz. 994/A/40).

„...na teje samej odprawie (w Brześciu nad Bugiem) zakazał (Marszałek Piłsudski) mnie jako Szefowi Oddziału I Sztabu Głównego... brać udział w pracach mob., które zostały zlecone dowódcom O.K., a w dziedzinie materiałowej generałom Składowskiemu i Langnerowi. Motywów nie potrafiłem się domyslić". (L. dz. 994/A/40).

Wobec kategoriycznych zakazów Marszałka Piłsudskiego wszelkiej pracy Oddziału I Sztabu Głównego nad przygotowaniem nowego planu mob., szef ówczesnego tegoż Oddziału, dalekowzroczny i rozumny generał Zamorski, w porozumieniu z poważnie swe obowiązki, stanowisko i odpowiedzialność traktującym Szefem Sztabu, generałem Piskorem, przystąpił po cichu — aby ratować, co można — do uaktualniania bardzo już nieaktualnego planu „S” (z roku 1925). Piłsudski generała Piskora odwołał, a Szefem Sztabu zamianował... pułkownika dyplomowanego Gąsiorowskiego, choć w Sztabie Głównym pracował generał Zamorski.

„Praca nad dalszym uaktualnianiem tabel mob. została w maju 1932 roku przez — (w międzyczasie awansowanego) — generała Gąsiorowskiego zakazana.

Pan generał Gąsiorowski, nowy Szef Sztabu Głównego, zachowywał się tak, jakby na to stanowisko przyszedł po to, by Sztab Główny zlikwidować. Żadnej wątpliwości nie miałem, że przede wszystkim będzie zlikwidowany Oddział I. Zresztą oświadczył mi to wyraźnie, żeby na rozkaz od Pana Marszałka rozpuścić Oddział I nie na cztery, lecz na dwadzieścia wiatrów. Biuro II zastępcy (stworzone zresztą nie przeze mnie, lecz przez pułkownika Pierackiego) zlikwidowano w sposób drakoński, bowiem pułkownik Przeździecki, major Orski (artylerzysta), major Grocholski Remigiusz, kapitan dyplomowany Trembiński zostali z wojska wyrzuceni, akta zostały złożone w opieczętowanej kasie, wydziały wojskowe poddano tylko Ministerstwu, przy których istniały, tak, że mobilizacja cywilnego odcinka kraju straciła komórkę kierowniczą w Sztabie Głównym istniejącą. Z trudem najwyższym udało mi się z oficerów wyrzuczonych uratować tylko Orskiego. *Nigdy zresztą nie dowiedziałem się, dlaczego praca w Biurze II zastępcy stała się z dnia na dzień przestępstwem*". (L.dz. 994/A/40).

Treść powyższych wyciągów jest tak druzgocąca, że z mej strony nie wymaga żadnych komentarzy.

Ale dla dopełnienia obrazu ówczesnych szkodliwych i karygodnych stosunków, panujących wśród kierowniczych sfer najwyższych władz wojskowych podaję — z tego samego źródła — jeszcze poniższe:

„...Szef Sztabu Głównego (generał Gąsiorowski) nie miał o mobilizacji najmniejszego pojęcia. Z miejsca zrezygnował z dysponowania budżetem zaopatrzenia, do czego miał ustawowo prawo, i oddał to Szefowi Adm. Armii (generał Składkowski) względnie poszczególnym departamentom M.S.Wojsk. Nie chciał o tym budżecie słyszeć. W mobilizację nie wierzył i raportów moich słuchać nie chciał.

Kiedy zaś Hitler wypowiedział traktat wersalski i przystąpił do odrodzenia Wehrmachtu i ja w wydziale mat. (major dypl. Zakrzewski) zarządziłem opracowanie możliwości twórczych armii niemieckiej i z kalkulacji posiadanych przez Niemcy ówczesne zapasów materiału i wyszkolonych rezerw wyszło nam, że mogą wystawić 1.800.000 żołnierza, Szef Sztabu Głównego polecił przestudiować to zagadnienie Szefowi II Oddziału (pułkownik Englicht), z którego wynikało, że ja przedłożyłem kalkulację złą, bo *Niemcy nie mają encadrement na więcej jak na 300-400.000 wojsk. Pan Szef Sztabu oświadczył mi dnia następnego, że pan marszałek mnie ostrzega, bym nie straszył Armii!*

Mimo tych stosunków nader ciężkich moralnie, ja jak i moi podkomendni postanowiliśmy trwać na stanowiskach, licząc się z tym, że lada rok wojna z Niemcami wybuchnie i trzeba będzie

tę naszą armię zmobilizować.

Nakazałem więc, pod pozorem konieczności posiadania etatów ćwiczeniowych, opracować i drukować takie etaty, na których mogłyby się jednostki mobilizujące w chwili mob. oprzeć. Poza tym ja sam dla kalkulacji budżetowych musiałem mieć jakąś aktualną podstawę obliczeń, *Szef Sztabu i tych organizacji nie podpisał i wobec tego nie wydrukowano ich.*

Na każdym akcie z dziedziny mob. czy to pers. czy mat. *pisał pan Szef Sztabu: 'czekać aż do wyjaśnień uzyskanych przez pułkownika Glabisza'.* Wyjaśnienia te nigdy nie nadchodziły. Zresztą moim zdaniem Szef Sztabu Głównego miał nawet w owych stosunkach nie tylko prawo, ale obowiązek sam pobierać decyzje, skoro Marszałek Piłsudski, co już wspomniałem, był ciężko chorym człowiekiem. Niestety, *Szef Sztabu Głównego był cały pochłonięty remontem swego mieszkania w Sztabie Głównym, pisanie bibliografii i niczym innym. W krótkim też czasie robienie czegokolwiek w Sztabie było przestępstwem.* Wolno było swobodnie czytać *Ilustrowany Kurier Codzienny.*

Mimo to niemal co tydzień ustnie i pisemnie przedstawiałem generałowi Gąsiorowskiemu stan przygotowań mob. w dziedzinie personalnej i materiałowej.

W dziedzinie mob. personalnej generał Gąsiorowski niczego nie rozumiał, każdą zaś chęć zakupu sprzętu za granicą uważał za aferę i jeśli nie on sam, to przez generała Składkowskiego względnie Langnera każde pertraktacje utracił. Nie mógł tylko utracić realizacji IV transzy pożyczki francuskiej, o której Francuzi zapomnieli, że ją dać mają. Wyszukał tę sprawę pułkownik Zakrzewski i dzięki gorącemu zajęciu się tą sprawą generała Piskora, kiedy generał Gąsiorowski przyszedł, była już w końcowym stadium realizacji.

Przepadła natomiast sprawa dział przeciwlotniczych Driggsa, c.k.m. plotn. i ppanc. Qerlikon (później wprowadzone w armii niemieckiej), ponownie dział przeciwlotniczych Boforsa. Wszystko to w latach 1931, 1932, 1933. Udało się dzięki tylko dyrektorowi P.W.U., inżynierowi Wierzejskiemu, kupić licencję na wyrób c.k.m. i r.k.m. „Browning” i w krótkim czasie zaopatrzyć armię naszą w tę doskonałą broń. Długi jednak czas „Brownin-gom” groził los sprzętu innego, który odpadł jako tak pod-
ówczas zwane „myśli pstromotorowe”.

Zakup zmotoryzowanej artylerii najcięższej „Skody” był koroną moich ówczesnych przestępstw. Straszyl mnie generał Gąsiorowski konsekwencjami, w razie gdy Marszałek się o tym dowie.

Kiedy generałowi Gąsiorowskiemu referowałem sprawę moim zdaniem szybkimi krokami zbliżającej się wojny, używając wyra-

żenia: 'Panie generale, na miłość Boga, przecież to jest w naszych przygotowaniach za pięć minut dwunasta!', odpowiadał: 'Mówilem o tym Komendantowi, kazał Wam powiedzieć, że jest dopiero pięć po dwunastej'. W to ja nie wierzę i sędzę, że generał Gąsiorowski nie odkrywał przed Marszałkiem Piłsudskim prawdy!" (L.dz.994/A/40).

Również prace operacyjne polegały na studiach *pro domo* i nie miały praktycznego znaczenia dla przygotowania planów operacyjnych przyszłej kampanii... Planów tych bowiem nie przygotowywano.

„...W jaki sposób były przygotowania wojenne robione do roku 1935 — tego nie wiem, ale obejmując moje stanowisko w G.I.S.Z. (w listopadzie 1935 roku) znalazłem tylko bardzo szczupłe studia terenów zachodnich, bez żadnych przesłanek operacyjnych, a ograniczające się jedynie do ćwiczeń i zadań, dawanych do przestudiowania Inspektorom Armii i to głównie odnośnie łączności i warunków komunikacyjnych na Kresach Wschodnich. Strona przeciwna była tylko zawarta w raportach Oddziału II Sztabu Głównego i nie była rozpracowana, wobec czego w ciągu paru miesięcy opracowałem studium możliwości koncentracyjnych armii sowieckiej. *Studium to było nowością, a — jak mi mówił pułkownik dyplomowany Glabisz — tego rodzaju studia były poprzednio wprost zabronione*". (L.dz.1533/40).

Dalszym fatalnym błędem nowej organizacji naczelnych władz wojskowych, wprowadzonej po maju, było odebranie dowódcom Korpusu właściwości dowódczych, wyszkoleniowych i taktyczno-operacyjnych w stosunku do podległych im pod względem terytorialnym i mobilizacyjnym Wielkich Jednostek piechoty i kawalerii. W ten sposób zdevaluowano stanowisko dowódcy Korpusu i jego powagę służbową tak na terenie jego Korpusu w stosunku do władz cywilnych i wojskowych, jak i w stosunku do władz centralnych. Już sam ten fakt był niekorzystnym i niezdrowym zjawiskiem w życiu Armii i dla jej powagi wśród społeczeństwa. Towarzyszyło mu drugie: generał, wyznaczony na to stanowisko, czuł, że jest skończony. Na ogół więc nie przejmował się już pracą, a raczej podpisywał papierki, przedkładane mu przez Szefa Sztabu, poza tym dowódca Korpusu, tak jak większość Inspektorów Armii, zajmował się polityką lub mniejszościami lub różnymi pracami społecznymi lub po prostu reprezentacją wojska na zewnątrz. Wszystkie te prace dodatkowe nie miały oczywiście nic wspólnego z przygotowaniem wojska do wojny. W terenie go już nie było widać, bo też sytuacja jego była „w linii” więcej niż krzywa. Skutki były zaraz widoczne na zewnątrz w dyscyplinie oddziałów, stacjonujących na terenie Korpusu.

Ale najgorsze było inne jeszcze następstwo tej nowej „organizacji”, która tyle nieszczęść na Polskę sprowadziła. Nie było stopnia pośredniego „dowodzenia” w czasie pokojowym między Wielkimi Jednostkami piechoty czy kawalerii a Inspektorami Armii. Miało to trzy bardzo ujemne skutki:

1) dowódcy Korpusu, uważający siebie — i w naszych warunkach zupełnie słusznie — za wyeliminowanych z dalszej kariery wojskowej, nie interesowali się w zasadzie już tym, co robi wojsko polskie pod względem wyszkoleniowym, taktycznym i operacyjnym i też pod tym względem nie śledzili armii zagranicznych ani nie pogłębiali swych studiów wojskowych, aby się przygotować do wyższego stopnia dowodzenia.

2) w chwili potrzeby uzupełnienia Inspektorów Armii Generalny Inspektor powoływał na stanowiska Inspektorów Armii w czasie pokojowym dowódców dywizji, którzy, jak to kampania jesienna 1939 roku pokazała, nie byli do tego zadania przygotowani, więc też zawiedli (Bortnowski, Szylling).

3) W samym przededniu wojny, a w kilku wypadkach już po jej wybuchu, dowódcy Armii zorientowali się, że brak pośredniego stopnia dowodzenia, jakim jest Korpus, uniemożliwia im wprost dowodzenie Wielkimi Jednostkami piechoty i kawalerii i pozadywizyjnymi licznymi oddziałami. Tworzyli więc doraźnie Grupy Operacyjne, przez co wprowadzili dezorganizację dowództw dywizji piechoty lub też etapów, zależnie skąd wzięli dowódcę. Zagadnienie to omówię jeszcze na dalszych stronach niniejszego.

Bardzo interesująco przedstawia tę wadę zasadniczą naszej organizacji naczelnych władz wojskowych anonimowy autor wyżej wymienionych uwag pod tytułem „U źródeł polskiej niemocy wojskowej”.

„...Organizacja polskiej siły zbrojnej była na pierwszy rzut oka taka sama, jak we wszystkich państwach europejskich. Wojsko było podzielone na dziesięć Korpusów, każdy Korpus liczył trzy dywizje piechoty i zmienną ilość brygad kawalerii i innych oddziałów, nie wchodzących w skład dywizji piechoty, jak np. lotnictwo, saperzy, łączność itd. Jednak w rzeczywistości sprawa przedstawiała się nieco inaczej. Dowódcy Korpusów byli to generałowie jakby drugiej klasy, którzy mieli tylko uprawnienia administracyjne i mobilizacyjne. Wszystko co dotyczyło wyszkolenia oddziałów i kadry było wyłączone z ich kompetencji i szło od dowódców dywizji i brygad wprost do Ministra Spraw Wojskowych i do właściwych Inspektorów Armii, pomijając dowódcę Korpusu. Toteż wyznaczenie dowódcy dywizji na dowódcę Korpusu nie było wcale podwyższeniem w hierarchii wojskowej. Przeciwnie, było uważane za pokrzywdzenie, a generał którego

spotkała taka nieprzyjemność stawał okoniem i były wypadki, że meldował się do raportu u Marszałka z prośbą o pozostawienie go na dotychczasowym stanowisku dowódcy dywizji.

Między dowódcami dywizji i brygad kawalerii i przyszłymi dowódcami Armii brakowało więc szczebla pośredniego. W zasadzie dowódca Armii miał na wojnie dowodzić bezpośrednio dywizjami i brygadami. Była to pozostałość po wojnie polsko-rosyjskiej z 1920 roku, w czasie której bardzo wielkie przestrzenie — w porównaniu do bardzo niewielkich sił — sprzyjały samodzielnym działaniom poszczególnych dywizji. Jednak w każdych innych warunkach taka organizacja musiała być szkodliwa.

Ograniczenie kompetencji dowódców Korpusu spowodowało daleko idące trudności wyszkolenia, w dyscyplinie i w zewnętrznym wyglądzie wojska. Przede wszystkim Minister Spraw Wojskowych miał do czynienia w tych sprawach nie z dziesięcioma dowódcami Korpusów, ale jeszcze oprócz tego z trzydziestoma dowódcami dywizji, trzynastoma dowódcami brygad kawalerii, jedenastoma dowódcami grup artylerii oraz dodatkowo z pewną ilością dowódców grup lotniczych, saperów i łączności. Wszyscy dowódcy byli inspekcjonowani przez około szesnastu Inspektorów Armii, generałów do prac i generałów inspekcjonujących, przy czym, jak wiemy, podział inspekcji był niezwykle pogmatwany. W tych warunkach każdy dowódca naciskany przez swego Inspektora, kierowany wytycznymi Ministrów, a nie zrzekający się własnych poglądów, przedstawiał całkowicie odrębną jednostkę wyszkoleniową. Dodajmy do tego właściwy nam przerost indywidualności i zrozumiemy, jak wielka musiała być w naszym wojsku pstrokaczna poglądów taktycznych, metod wyszkolenia, a nawet dyscypliny i zewnętrznego wyglądu oddziałów.

Wypada to zilustrować kilkoma drobnymi, ale charakterystycznymi przykładami.

Oficer przeniesiony na przykład z dywizji stacjonowanej na Wołyniu do dywizji stacjonowanej na Wileńszczyźnie, spadał jakby z księżycy. Dowiadywał się ku niezmiernemu zdumieniu, że zasady tego lub innego działania ważne na Wołyniu są dawno przebrzmiały i nawet zdyskwalifikowaną nutą pod Wilnem. Zanim więc zaczął dowodzić, musiał zasięgnąć języka u kolegów, jak to się robi w tym samym wojsku, ale pod innym równoleżnikiem.

W jednym z większych miast komendant garnizonu rozkazał, aby żołnierze przy salutowaniu podnosili wysoko nogi i przybijali mocno krok. Zarządzenie to było sprzeczne z regaminem. Nie wykonywali go oficerowie i podoficerowie, a ponie-

waż pech chciał, że w tym samym mieście stacjonował także pułk z innej dywizji, to rozkaz ten nie był nigdy wykonywany także i przez ten pułk piechoty oraz przez wszystkie oddziały podległe wprost dowódcy Korpusu. Wreszcie pułk artylerii nie wziął sobie zupełnie do serca rozkazu swego dowódcy dywizji i salutował przybijając krok z mniejszym zapalem niż inne oddziały dywizji. Ostatecznie powstała swego rodzaju wieża Babel, której przyglądali się ze stoickim spokojem codziennie i co najmniej przez dwa lata dowódca Korpusu, dowódca dywizji i komendant garnizonu.

Po większych ćwiczeniach letnich w roku 1939 odbyła się jak zwykle defilada. Przeszła najpierw jedna dywizja i wygląd jej był mizerny. Po krótkiej przerwie zaczęła przemarsz inna dywizja. Powstało zupełne zaskoczenie i ogólne zdumienie. Piękny wygląd zewnętrzny, postawa, tempo, równanie i wszystko różniło się tak dalece, jakby te dwie dywizje należały do innych armii.

Przykłady te wskazują, jak wykrzywiała się postawa wojska nie ujęta w karby mocnej organizacji, lecz pozostawiona indywidualnej swobodzie zbyt wielkiej ilości dowódców. Jest pewne, że pozostawienie pełnych uprawnień dowódczych w rękach dowódców Korpusów tak, jak to się zresztą dzieje na całym świecie, uprościłoby znacznie cały system szkolenia i ujednoliciłoby postawę wojska. Wobec Ministra byłoby tylko dziesięciu generałów odpowiedzialnych za szkolenie, a więc w najgorszym wypadku mielibyśmy dziesięć różnych doktryn zamiast sześćdziesięciu, co było równoznaczne z pełnym chaosem. Generalny Inspektor nie powinien był żadną miarą dopuścić do takiego rozluźnienia, choćby dlatego, że znając właściwości naszego wojska i naszego narodu musiał przeciwdziałać przerostom wybujałych indywidualności.

Zdeklasowanie dowódców Korpusów pociągnęło za sobą jeszcze inne poważne następstwo. Organizacja wojska w czasie wojny przewidywała w razie koniecznej potrzeby — w pewnych wypadkach — tworzenie tak zwanych dowództw Grup Operacyjnych, które miały być szczeblem pośrednim między dowódcą Armii a dowódcami dywizji, czyli właściwie miały spełniać zadania dowódców Korpusów. Na te stanowiska nie byli jednak przewidziani generałowie, pełniący w rzeczywistości funkcje dowódców Korpusów i ich sztabów, lecz doraźnie wyznaczeni generałowie. Wskutek takiego wyklinowania dowódców Korpusów i ich sztabów powstał dotkliwy brak dowódców Grup Operacyjnych, ponieważ nie było kim obsadzić ich stanowisk. Spowodowało to obciążenie dowódców Armii, którzy musieli dowodzić bezpośrednio wszystkimi dywizjami, brygadami kawa-

lerii, brygadami obrony narodowej i różnymi doraźnie tworzonymi związkami i to nawet w wypadku, gdy działały one na różnych kierunkach. Dowódcy Armii poradzili sobie na wojnie w ten sposób, że obciążali z kolei niektórych dowódców dywizji obowiązkiem dowodzenia jeszcze jedną dywizją lub brygadą kawalerii, albo też wyznaczali na stanowisko Grupy Operacyjnej właściwego dowódcę Korpusu, który w razie wojny miał pełnić funkcję dowódcy etapów Armii. Wszystko to było improwizacją, bo dowódca dywizji nie miał środków dowodzenia więcej niż jedną dywizją, a dowódca Korpusu nie miał w ogóle możliwości dowodzenia w polu, ponieważ nie rozporządzał żadnymi środkami łączności poza kilkoma samochodami osobowymi. Wreszcie wyznaczenie dowódcy Korpusu na dowódcę Grupy Operacyjnej pozbawiało Armię dowódcy etapów, co powiększało i tak już nieprawdopodobny chaos na tyłach.

Jak widać, od roku 1921 do roku 1939 nie byliśmy w stanie wyprodukować wystarczającej ilości dowódców Grup Operacyjnych, czy też pełnowartościowych dowódców Korpusów i ich sztabów i rozpoczęliśmy wojnę z zupełnie niedostateczną ilością wyższych dowództw. Tego nie można niczym wytłumaczyć. Jest bowiem zrozumiałe, że mieliśmy braki w uzbrojeniu, bo byliśmy biednym narodem, ale nie można zrozumieć, dlaczego mielibyśmy być upośledzeni pod względem organizacji wyższego dowodzenia. Tę lekkomyślność należy bezwzględnie potępić”.

Z całym tym tragicznym zagadnieniem „Organizacji Naczelnych Władz Wojskowych” łączy się jeszcze sprawa personalna.

U nas sprawy personalne nie były podporządkowane zagadnieniom obrony Państwa, ale zagadnienia te były podporządkowane sprawom personalnym. Było wprost niepodobieństwem uzyskać etat oficera czy pracownika cywilnego dla wykonywania koniecznej i planem przewidzianej pracy, ale dla osób z klikami — dla których nie było pracy — były stwarzane etaty z pozorami pracy (na przykład Floyar Raychmann po zdymisjonowaniu, lub Iłakowiczówna itd.).

Polityka personalna w wojsku polskim po wypadkach majowych i jej tragiczne następstwa dla wojska i Państwa są zbyt dobrze znane wszystkim Polakom, aby je warto było tutaj szczegółowo analizować.

Stwierdzam tutaj tylko dla całości obrazu stosunków pomajowych, które przyczyniły się do klęski jesiennej, kilka faktów niezbitych:

— celem tej polityki personalnej nie było dobro Państwa, a jedynie i wyłącznie interes osobisty kliku sanacyjno-legionowej, aby się utrzymać przy władzy i korycie,

— dlatego z początku przeprowadzono masowe rugi oficerów, posługując się przy tym metodami, godzącymi w honor stanu i w godność osobistą danych jednostek, oraz łamiąc prawo i obchodząc ustawy,

— po zakończeniu rugów masowych przeprowadzono jeszcze „odmłodzenie” (co się szczególnie tragicznie dało we znaki artylerii) i uprawiano konsekwentnie tę samą politykę personalną po cichu aż do września, w dalszym ciągu wysuwając nie tylko na naczelne, ale w ogóle na wszystkie ważniejsze stanowiska w wojsku (do pułku i wydziału w sztabach Naczelnych Władz Wojskowych włącznie) tylko swoich ludzi, choćby się na te stanowiska zupełnie na nadawali, a trzymając z dala od tych stanowisk ludzi sobie niemiłych, choćby najbardziej zdolnych, pracowitych itd.

— aby zapewnić dopływ swoich ludzi i aby zapobiec konkurencji na wyższe stanowiska w przyszłości, ich tylko awansowano, często nawet z pominięciem obowiązujących przepisów pragmatyki (bez przepisanego stażu lub lat służby w danym stopniu) oraz z łamaniem podstawowych zasad sprawiedliwości (na przykład przeskakiwanie w awansie starszych, lepszych, zdolniejszych, pracowitszych oficerów, ale nie „swoich”), krzywdząc pozostałych oficerów i trzymając ich długie lata, mimo przeważnie wybitnych lub bardzo dobrych opinii i kwalifikacji, w stopniach niższych, aby ich potem nagle „z powodu przekroczonej granicy wieku” przenieść w stan spoczynku.

— dla tych samych celów forytowano bardzo awanse najmłodszych oficerów (tzn. polskiej produkcji), licząc, że oni już im z powodu wieku konkurencji nie zrobią, a wychowani w polskich szkołach dostatecznie silnie są przejęci „Legendą”, aby w jej prawdziwość [nie] wątpić. W konsekwencji zdarzało się często, że kapitan, który był instruktorem w szkole podchorążych, po kilku latach kolegował z tym swoim byłym uczniem, teraz już również kapitanem.

Taka polityka personalna miała dla wojska polskiego fatalne następstwa i była jedną z przyczyn klęski wrześniowej:

— zdemoralizowała (poza chlubnymi wyjątkami) gros oficerów pochodzących z legionów (i tych, którym się tylko zdawało, że byli w legionach i siebie za legionistów uważali). Wiedzieli bowiem, że, czy będą pracować czy nie, czy będą mieli dobre opinie, czy złe, awans mają i tak zapewniony, a z awansem też lepsze i lepiej płatne stanowisko. Po co więc wysiłać się i trudzić!

— zraziła do wojska polskiego wszystkich tych oficerów, których w tak haniebnym sposobie przeniesiono w stan spoczynku. Wojsko polskie, zamiast w nich mieć na wypadek wojny doskonałą rezerwę kadry zawodowej (jak na przykład armia niemiecka), miało w nich wielką rezerwę zgorzkniałych malkontentów, którzy, z zastrzeżeniami odnosząc się do wojska, które ich tak zawiodło i tak głupkowato-ordynarnie na bruk wyrzuciło, z wojskiem tym nie utrzymywali stosunków. Z chwilą wybuchu wojny poza nielicznymi znanymi mi wypadkami indywidualnej dzielności oficerów stanu spoczynku, o której zresztą — mimo doznanej krzywdy — z powodu ich patriotyzmu wątpić nie można — gros z nich przepadło bez wieści i bez pożytku dla sprawy.

— zniechęciła bardzo wielu oficerów, stale pomijanych w awansie i biedujących, często z liczną rodziną, przez długie lata z małej gaży kapitana czy majora, nie w poczuciu winy własnej, lecz świadomej krzywdy ze strony władz. „...Po co się trudzić, jeżeli i tak nie będę awansował, bo nie jestem legionistą” (lub „...nie mam ciotki w Ministerstwie”), „jaka płaca, taka praca”. — Takie uwagi często się słyszało. A nieraz znacznie ostrzejsze i bezwzględniejsze pod adresem pułkowników i generałów, którzy nic nie robią, a biorą kolosalne gaże i mają limuzyny, służbowe mieszkania, wysokie remuneracje, darmowe bilety pierwszej klasy i inne udogodnienia, nie licząc już stale zapewnionych miejsc w domach wypoczynkowych i w — specjalnie na ten cel w okresie Bożego Narodzenia z chorych opróżnianym — sanatorium wojskowym (Dłuskich) w Zakopanem. — Nie chcę przez to powiedzieć, aby ta kategoria oficerów — przeważnie kapitanów i majorów, którzy podczas wojny bolszewickiej byli już oficerami *młodszy*mi lub dowódcami pododdziałów — w sposób karygodny w ogóle nie pracowała. Przeciwnie! Ich pracą w ogóle wojsko żyło i istniało w ostatnim dziesięciu lat przed wojną. Pracowali bardzo sumiennie. Obowiązek swój spełniali bez reszty i mogli być pod tym względem przykładem dla swych przełożonych, którzy się zresztą na ich pracy przeważnie nie znali i jej nie doceniali, bo jej nigdy sami nie pełnili. Ale spełniali na ogół tylko swój obowiązek. Nic ponadto! Raczej sumiennie urzędowali. Zapał ich, entuzjazm i energię pracy już dawno i gruntownie zniszczyła sanacja legionowa. Trzeba być „nadczołwiekiem”, żeby:

— przez długie lata przed wojną i podczas wojny pracując dla odzyskania Niepodległości, nieraz w warunkach najcięższych i pod stałą groźbą policji pruskiej czy rosyjskiej,

— w powstaniach i wojnie polsko-bolszewickiej dla Polski

ochotniczo głowę nadstawiając,

— być przez długie lata bardzo sumiennej i ciężkiej pracy pokojowej traktowanym jak obywatel drugiej klasy, tylko z tego tytułu, że się nie było legionistą lub nie urodziło się tam, tylko gdzie indziej,

— być pomijanym bezustannie w awansach, cierpiąc przy tym z rodziną biedę,

— wysłuchiwać mniej lub więcej nietaktownych i bardzo często nierzeczowych uwag niedowarzonych i niedokształconych przełożonych... i się nie zniechęcić,

— oraz zdemoralizowała wielu z najmłodszych oficerów, to znaczy „polskiej produkcji”, którzy bardzo często się zorientowali, że lepiej niż pracowitość, charakter, prawdomówność...

popłaca:

— schlebianie przełożonym, mówienie tego, co jest mile słyszany, a zatajanie lub przeinaczanie prawdy, o ile to może narazić;

nie wierność ideałem sumienia, ale głośnie wyznawanie hasel urzędowych, donosicielstwo okrężnymi drogami (nieraz nawet na bezpośrednich przełożonych z kategorii wyżej wymienionych kapitanów i majorów), miast służbowego meldunku.

Faktów powyższych nie można oczywiście uogólniać. Młodzież nasza oficerska zawodowa była na ogół zdrowa i pracowita, dobra fachowo i zdyscyplinowana. Nie można tych ujemnych przykładów uważać za zbyt sporadyczne. Z własnej obserwacji znam ich kilkadziesiąt, a z opowiadań kolegów i sprawozdań mógłbym wyłuskać jeszcze kilkadziesiąt. Wszystko zależało od osoby dowódcy pułku. To jest przestroga na przyszłość.

Zatkały się awanse w całej armii. Zbyt młodych awansowano na generałów. Doły pchały do góry. Zakorkowały się etaty.

Musiano jakoś zaradzić.

Nie można było usuwać ludzi swoich, choćby nawet niedołągów.

Nie sposób było też zamknąć podchorążówki lub wydatnie zmniejszyć jej roczniki, gdyż to groziło katastrofą w przyszłości.

Rozwiązanie znaleziono iście Salomonowe. Głowy nie chciano ruszyć, nóg nie było można. Zabrano się do zbyt pełnego brzucha. Wypatroszono go. „Odmlodżono armię”. Usunięto wśród niewątpliwie bardzo dużej ilości mierznot również pokaźną liczbę bardzo wartościowych oficerów liniowych, którzy na wojnie 1920 roku byli

młodszyimi oficerami i częściowo dowódcami pododdziałów, a we wrześniu byłiby dowodzili batalionami i pułkami.

Ich we wrześniu brakło — i to była znów jedna z przyczyn klęski.

Awans zależał rzekomo i oficjalnie od opinii przełożonych. Ale wszyscy oficerowie wiedzieli, że to jest znów kłamstwem. Były bowiem całemu wojsku znane niezliczone wprost wypadki, że umysłowo, fachowo i moralnie, lub w jednej z tych dziedzin zdyskwalifikowani oficerowie awansowali „jakby nigdy nic”, a pomijani byli przy tym samym awansie oficerowie inteligentni, pracowici, solidni i dobrzy fachowcy. Wiadomo, która kategoria oficerów zawsze i gładko awansowała, wiadomo też, kto nie awansował wcale lub tylko co dziesięć lat na następny stopień. Najwięcej antagonizmów i nienawiści wśród korpusu oficerskiego wywoływały takie niesprawiedliwe awanse szczególnie w linii, to jest w pułkach, gdzie jeden obserwuje pracę drugiego i w garnizonie, i na poligonie, i na polu manewrów, i wszyscy wzajem się znają.

Poza tym w braku jednolitego, zgranego korpusu oficerskiego o ostrej tradycji, jednolitej doktrynie i jednolitym *esprit de corps* oraz o bardzo wysokim poczuciu honoru, opiniowanie zawierało samo w sobie trzy dalsze niebezpieczeństwa:

- niesprawiedliwe opiniowanie *in plus* (to znaczy na szkodę wojska, więc Państwa),

- niesprawiedliwe opiniowanie *in minus* (to znaczy na szkodę danego oficera, a poza tym również na szkodę Państwa),

- bardzo niejednolite opiniowanie, zależne nie tylko od pochodzenia, kultury ducha, bezstronności, sumienności i poczucia honoru opiniującego, ale również od stopnia jego inteligencji i od umiejętności podejścia psychologicznego do zagadnienia.

In plus opiniowali z reguły legioniści legionistów, peowia-ków, ludzi, „którzy im się uklonili” i innych z „licznych brygad”.

Była przecież jasna dla wszystkich „doktryna”: utrzymanie się przy władzy. Musiał więc iść w górę „wierny” narybek.

In minus opiniowali przeważnie legioniści oficerów, nie pochodzących z legionów. Poza tym brukano opinię tym wszystkim oficerom, nawet legionowym, którzy okazywali charakter i mieli odwagę cywilną przeciwstawić się złu.

Niejednolitość opiniowania, nawet przy długiej zupełnej bezstronności opiniującego, wpływała też z niejednolitości korpusu oficerskiego. Znane są wszystkim oficerom naszym

wypadki, że oficer, zaopiniowany przez kilka lat z rzędu za „wybitnego” w Wilnie lub Zamościu, przeniesiony na przykład do Gniezna czy Poznania został po roku zaopiniowany jako „przeciętny” i przez dalszych kilka lat nie zdołał poprawić swej opinii, choć się zmieniali przełożeni.

Nie tu miejsce na rozpatrywanie zagadnienia, czy nie było możliwości znalezienia jednolitego kryterium dla opiniowania oficerów tak, aby ta opinia była prawdziwą, sprawiedliwą i nieskażoną podstawą do użycia oficera w czasie pokoju i wojny, względnie do jego usunięcia z wojska.

Pewnym jest, że przy dobrej woli i ta sprawa jak i każda inna mogła być pomyślnie rozwiązana. Ale brakło tej dobrej woli, bo nie dobro wojska (więc Państwa) było „najwyższym prawem”, ale egoistyczny interes partyjny.

Cała polityka personalna w wojsku dała jak najfatalniejsze wyniki podczas kampanii jesiennej 1939 roku, tym egzaminie, podczas którego „pytania zaczął zadawać nieprzyjaciel”.

Do zagadnienia tego powrócę jeszcze przy omawianiu kampanii.

Jednym z przejawów tej polityki personalnej było zbyt częste przenoszenie oficerów. Jest zrozumiałe dla każdego, że nie wszyscy podporucznicy, którzy w początku swej służby oficerskiej dostali przydział do jakiegoś pułku, mogą w tym samym pułku pozostać aż do stopnia majora czy podpułkownika. Jest tak samo zrozumiałe, że oficerów dyplomowanych, po ukończeniu Wyższej Szkoły Wojennej i po pracy w sztabach, przydzielano na kolejne staże do różnych pułków. Ale często przetrzymywanie oficerów liniowych z pułku do pułku nie można sobie inaczej wytłumaczyć, jak obawą tych, którzy kierowali polityką personalną w wojsku, przed zbytnim zgraniem się i zżyciem oficerów w pułkach. Potwierdzeniem takiego przypuszczenia może być między innymi na przykład tajne zarządzenie, że oficerów, rodowitych Wielkopolan, nie wolno przenosić do D.O.K.VII, czego też ściśle przestrzegano, — w każdym razie do 1935 roku.

Najlepiej ta sprawa przedstawiała się w kawalerii, gdzie tak charakterystyczny dla tej broni i tak wybitny *esprit de corps* niwelował nieomal zupełnie wszystkie uboczne względy. Widzieliśmy skład oficerski pułków kawalerii przez lata całe nieomal niezmienny w tym sensie, że poza corocznym dopływem młodych podporuczników i poza zmianą co kilka lat dowódcy pułku i następcy, cały pozostały korpus oficerski pułku na ogół był w swym oddziale przez długie lata. Nawet oficerowie

dypłomowani, kawalerzyści, przeważnie powracali na staże do swych pułków. Toteż przywiązanie do barw swego pułku nie było w kawalerii czczym frazesem. Każdy kawalerzysta — bez względu na stopień — czuł się naprawdę rzeczywistym żołnierzem swego pułku i za honor tegoż pułku odpowiedzialnym. Było to bardzo zdrowym objawem i zdało pełen egzamin w kampanii jesiennej 1939 roku, gdy kawaleria stanęła faktycznie na pierwszym miejscu przed innymi rodzajami broni pod względem zwartości, dyscypliny i spełnienia swego obowiązku bez reszty do końca.

Na wszystkich innych rodzajach broni, w których bezustanne przenoszenie oficerów było nagminne, odbiło się to fatalnie.

Korpus oficerski danego pułku piechoty czy artylerii nie był zgrany i zżyty, gdyż nie mógł się zgrać i żyć, gdy jego skład się bezustannie zmieniał. Nie sprzyjała też temu zgraniu świadomość każdego oficera pułku, aby pilnować „błagonadzieńności” i że poza tym przynajmniej jeden z młodych oficerów jest „z urzędu” sykofantem, donosicielem bądź to dowódcy pułku, bądź tego „nasłanego” oficera sztabowego, a często i jednego i drugiego. *Nie mam tu na myśli oficera informacyjnego pułku, którego funkcja i zadanie były w naszych warunkach konieczne, wszystkim oficerom wiadome, znane i przez nich uznawane i — przez ścisłą współpracę, zwłaszcza dowódców pododdziałów — popierane.*

W takich warunkach przywiązanie do sztandaru, do tego a nie innego numeru pułku stało się pustym frazesem bez treści i bez oddźwięku w sercach oficerów, a święto pułkowe nie dniem tym większego zwarcia i zgrania się, dumnego wystąpienia na zewnątrz, przypomnienia sobie i innym dni chwały pułku i cichego ślubowania spełnienia — w razie potrzeby — swego obowiązku do ofiary życia włącznie. Nie! Święto pułkowe było nie lubiane przez oficerów, gdyż nie czuli się wewnętrznie z danym pułkiem związani. Wiedzieli za to na pewno, że jest ono co prawda okazją dla dowódcy pułku do popisania się przed dygnitarzami wojskowymi i społeczeństwem cywilnym, ich atoli naraża na niebывale koszty, które w formie potrażeń obciążały i tak już niewystarczającą gażę całymi miesiącami, a bez względu na mniejszą lub większą ilość wygłoszonych mów naszpikowanych hasłami patriotycznymi, pułkowa „rzeczywista rzeczywistość” pozostanie wraz ze wszystkimi swymi rażącymi brakami nadal bez zmian na lepsze.

Ten, spowodowany przez biuro personalne M.S.Wojsk. brak *esprit de corps* w pułkach spowodował — w niesprzyjają-

cych warunkach kampanii, gdy i tak już nieliczna kadra zawodowa została jeszcze niesłychanie rozwodniona oficerami rezerwy, też przeważnie zupełnie nie związanymi z danym pułkiem — bardzo ujemne następstwa przez rozlatywanie się całych batalionów, a nawet pułków już w pierwszym boju i to tylko z powodu silniejszego ognia artylerii lub tylko ukazania się czołgów, a nieraz nawet tylko z powodu niesprawdzonej wiadomości, że podobno gdzieś w pobliżu są czołgi nieprzyjaciela.

Oddział niezgrany i niezżyty z sobą, zwłaszcza, gdy oficerowie ani siebie nawzajem ani swych podwładnych nie znali, nie mógł posiadać... „tej nici niewidzialnej, która łączy żołnierza z sercem dowódcy” (André Gavet, „Sztuka dowodzenia”).

Takie oddziały nie mogły się nie rozlatywać, zwłaszcza przy pełnym braku dyscypliny zwłaszcza u rezerwistów. Mowa o tym będzie jeszcze szczegółowiej przy charakterystyce naszego wojska w przededniu wojny i podczas kampanii.

Tutaj tylko stwierdzenie, że jedną z przyczyn klęski wrześniowej była z gruntu błędna polityka personalna, która między innymi przez bezustanne przenoszenie oficerów nie dopuściła świadomości do zżycia i zgrania się pułkowych korpusów oficerskich.

Poza tym wojsko nasze w roku 1918/1919 nie nawiązało do tradycji królewskich pułków ani wojska Księstwa Warszawskiego ani Królestwa Kongresowego (poza 2-gim pułkiem Ułanów „Grochowski”). Dopiero mniej więcej od roku 1931 zaczęły niektóre pułki — zwłaszcza kawalerii — przybierać sobie imiona królów i hetmanów. Ale i na tym się skończyło).

Chciano w odrodzonym wojsku polskim stworzyć tradycję legionowej pierwszej brygady, nie rozumiejąc, że poza pułkami, które się wywodziły z nielicznych formacji legionowych, reszta wojska nie czuła się wewnętrznie związana z legionami. Wojsko nasze czuło (tak samo jak całe społeczeństwo), że *Polska nie zaczęła się na Piłsudskim, jak to sztucznie i bezustannie „papką i palką” propagowano, i że się na Piłsudskim nie skończy.*

Mimo całej propagandy przeciwnej ogół korpusu oficerskiego dobrze rozumiał, że na tle tysiącletniej, pełnej chwały historii Polski Piłsudski i legiony są tylko epizodem, takim czy innym, to kiedyś w perspektywie czasu historia osądzi, ale tylko epizodem.

Nie trzeba stwarzać co kilka lat nowej tradycji wojska, jak nie można — wbrew faktom — tworzyć w XX wieku bezkarnie „historii”, legend i „twórców” państwa, których „głupi ludce” ma kochać na rozkaz i słuchać bez pytania. Tak sztuczne legendy rozlatują się przy pierwszej próbie życiowej. I my to widzieliśmy i przeżyliśmy.

W genialnie przemyślanej przez generała von Seeckta organizacji stutysięcznej Reichswehry, każdy pododdział, więc kompania, szwadron, bateria miały poza swym numerem i nazwą jeszcze numer i nazwę któregoś pułku dawnej armii cesarskiej oraz obowiązek zachowywania tradycji tamtego pułku, zwłaszcza pielęgnowania jego historii bojowej.

A gdy w roku 1930 zbliżało się dziesięciolecie stworzenia Reichswehry, ówczesny dowódca tejże, generał Heye, ogłosił następujący rozkaz: „Na zapytania niektórych dowódców pułków odnośnie dziesięciolecia Reichswehry wyjaśniam, że dziesięć lat nie jest w życiu wojska okresem, który by mógł dać powód do jakichkolwiek obchodów”.

Zbyt częste przenoszenie oficerów miało jeszcze inne ujemne cechy:

- powodowało ogromne koszty dla skarbu Państwa,
- rozgoryczało oficerów, których to dotyczyło.

Co do kosztów przeniesień, to interesująca byłaby statystyka, jakie sumy wyrzucano niepotrzebnie od 1926 do 1935 roku na ten cel (oczywiście, nie uwzględniając tu kosztów przeniesień rzeczywiście potrzebnych, których średnią proporcjonalną można stosunkowo łatwo obliczyć przez porównanie z tym działem kosztów innych armii europejskich). Na koszt przeniesienia oficera składały się następujące pozycje:

- ryczałt przeniesieniowy w wysokości jednomiesięcznej gaży danego stopnia bez dodatków,
- dwa „bilety przewozowe” na 1-2 wagonów towarowych dla przewiezienia rzeczy,
- bilety wolnej jazdy dla danego oficera, jego żony i dzieci i jednej służącej
- zwrot kosztów dojazdu do i od stacji kolejowej oraz za przewiezienie bagażu osobistego.

Nie mam pod ręką materiałów, aby obliczyć, ile te koszty przeniesieniowe wynosiły rocznie w budżecie M.S. Wojsk. Nie wiem poza tym, czy ta pozycja w budżecie M.S. Wojsk. uwzględniała też zwrot kosztów do kasy Ministerstwa Komunikacji za przejazd darmowy oficerów, jego domowników i mebli.

Ale faktem jest, że w sumie koszt niepotrzebnych przeniesień oficerów w okresie lat dziewięciu musiał być bardzo znaczny i mógł być bezwzględnie lepiej użyty, na przykład na dozbrojenie.

Te częste przeniesienia rozgoryczały oficera:

- bo znów go wyrywano ze środowiska, z którym się ledwo zdołał żyć,
- nie obywało się przeważnie bez uszkodzenia mebli.

Mawiano: „dwie przeprowadzki, to jak jeden pożar”.

- dzieci jego musiały często zmieniać szkoły,
- ale przede wszystkim: oficer popadał w długi.

Jak już wyżej wspomniałem, oficer otrzymywał na koszt przeniesienia ryczałt w wysokości jednomiesięcznej gaży zasadniczej. Jeżeli to był kapitan lub major, a w tych stopniach najczęściej przenoszono, to suma 380 czy 450 złotych pod żadnym warunkiem nie mogła starczyć dla zaspokojenia wszystkich kosztów przeprowadzki (jak spakowanie szkła, porcelany, książek, zdjęcie lamp, przewiezenie mebli na dworzec i robocizna oraz w nowym miejscu powyższe prace w odwrotnym porządku plus opłaty kosztów gazowni, elektrowni... za włączenie plus napiwki plus dojazdu, gdyż Państwo zwracało za dojazd tylko 1.50 zł., a faktycznie dojazd z rodziną i walizkami wynosił wielokrotnie więcej, hotele i tym podobne dla rodziny, przynajmniej przez tydzień gdy meble były na kolei itp.).

Przeniesienie było *tragedią finansową oficera — w średnim stopniu — jeżeli miał żonę i więcej niż dwoje dzieci*. Przeniesienie wyższego oficera, bezdzietnego lub z jednym dzieckiem i bez większej ilości mebli, było dobrym interesem finansowym.

Wspominam o powyższym zagadnieniu, pozornie dość luźno związanym z tematem, tylko z tej przyczyny, aby dokładnie naświetlić te wszystkie czynniki, które wpływały na ukształtowanie się takiego czy innego ogólnego nastroju w korpusie oficerskim, *nastroju poczucia krzywdy, niepewności jutra i kłopotów finansowych*, który na dłuższą metę *musiał wywrzeć wpływ ujemny na ducha kadry zawodowej jako całości*.

Dla dopełnienia obrazka jeszcze jedno: osławiony premier Jędrzejewicz wprowadził w marcu 1934 roku ustawę uposażeniową, która dawała oficerom dodatek na dzieci tylko do ilości dwóch (zresztą dwadzieścia tylko złotych miesięcznie). Jeżeli oficer miał troje lub czworo dzieci, to na więcej niż na dwoje nie otrzymywał, o ile się urodziły po dacie tej ustawy. Była to krzywda wyrządzona nie tylko danym oficerom, ojcom liczniejszych rodzin, ale przede wszystkim krzywda, wyrządzona Narodowi i Państwu. Świadczy bardzo źle o sanacji, że taka ustawa mogła się ukazać, gdyż już cały świat znał katastrofalne wyniki systemu *de deux enfants* we Francji i gdy w tym samym czasie we Włoszech i w Niemczech za urodzenie dziecka po prostu płacono premie, a na jego wychowanie łożyło Państwo. Przecież Niemcy liczą 80, Włosi 44 miliony ludności, a Polska — bez mniejszości — „między Bogiem a prawdą” — około 22 milionów.

Gdy ilość trumien przewyższa ilość kołysek, Naród musi zginąć.

Gdy Rząd Polski nie tylko nie popierał (między innymi: ustawa uposażeniowa), ale nawet zwalczał rozmnażanie się Polaków (poradnie „świadomego macierzyństwa” i 200.000 dzieci nienarodzonych, zabitych w łonie matek rocznie w Polsce) — Polska musiała zniknąć z mapy Europy prędzej czy później¹².

Dla stworzenia dobrego korpusu oficerów zawodowych potrzeba wielu warunków, a między innymi przede wszystkim:

- zdrowego na duszy Narodu (którego emanacją jest korpus oficerski),

- czasu, którego nie waham się określić na 50 do 100 lat,

- silnego, wybitnego dowódcy, który zdoła wielkością swego ducha, mocą charakteru, dalekosiężnym umysłem i gorącością patriotycznego serca dać korpusowi oficerskiemu siłę i spójnię wewnętrzną oraz trwale i mocne zasady doktrynalne i pchać go stanowczo w kierunku, z którego nie zboczy ani się nie załamie, nawet wśród zmiennych i nieraz bardzo przeciwnych kolei losu,

- odpowiedniej selekcji narybku oraz

- bezwzględnego i natychmiastowego usuwania tych oficerów, którzy z czasem stali się niezdolnymi pod względem morale, umysłowym czy fizycznym.

Przykład taki mieliśmy przez miedzę.

Nasz zawodowy korpus oficerski w swej masie, to jest od podporucznika do podpułkownika, był zdrow, pracowity, chętny, polityką — w sensie udziału w niej — się nie zajmował. Nie miał też ani lekkiego ani łatwego życia. Był naprawdę zapracowany, zwłaszcza w linii, ale również w wielu sztabach. Mało tego: nasz korpus oficerski zastępował w wojsku i nauczyciela szkoły powszechnej i podoficera, bo na niego zwalano nieopatrzenie tę pracę. Przeciętny nasz oficer nie miał czasu ani na samokształcenie się, ani na życie towarzyskie. Interesującym może być fakt, że w tak małych garnizonach jak Płock czy Gniezno młodzi oficerowie nie chcieli pójść w karnawale na bal Czerwonego Krzyża, Ligi Morskiej Kolonialnej czy inny, z powodu przemęczenia, mimo, że tam mieli pójść jako delegacja pułku i koleżeński fundusz oficerski koszty ich udziału w balu miał pokryć. Niewątpliwie było tak samo gdzie indziej.

12. Obecnie, na terenie Wielkiej Brytanii, oficer, który tu ma rodzinę (żonę i czworo dzieci), otrzymuje dodatek tylko za troje. To chyba nieporozumienie. Przecież trudno przypuszczać, aby oficer płodził dzieci z myślą o otrzymaniu dodatku. Wiadomo, że koszt wychowania dziecka jest niewspółmiernie wyższy niż ten dodatek. Poza tym oficerów z tak liczną rodziną jest przecież — niestety — bardzo mało. Skarb więc też na tym nie straci, dając na czwarte czy piąte dziecko.

Fachowo był nasz zawodowy korpus oficerski na ogół bardzo dobrze przygotowany, a nie jego wina, że tylko do wojny na poziomie 1914 roku. Wady i błędy, które niewątpliwie miał, wynikały z błędnego nastawienia i niedostatecznego przygotowania fachowego i braku doświadczenia, a przede wszystkim braku poczucia obowiązku, sumiennosci i odpowiedzialności „góry”.

Gdy dzisiaj na emigracji w *Wiadomościach Polskich* pisze się, że oficerowie Polskę „przejedli i przepili”, a potem „uciekli z dobytkiem za granicę”, to jest to oszczerstwo, w haniebnym i podły sposób podawane — niestety bezkarnie — publiczności dla celów osobistych i demagogicznych.

Na około 15.000 oficerów zawodowych chyba 14.000 poza gażą ustawową nie miało żadnych innych korzyści osobistych, za to dość liczne ograniczenia swobody osobistej i obywatelskiej, związane z mundurem. *Te 14.000 pracowało z zaparciem się siebie — dosłownie — dniem i nocą w tych samych ciężkich warunkach materialnych, jak gros społeczeństwa. Pracy tych 14.000 oficerów Polska zawdzięcza, że w sierpniu wojsko było wyszkolone, mogło się zmobilizować i ostatecznie walczyć.*

Opinię korpusu oficerów zawodowych psuło przed wojną tych pozostałych tysięcy oficerów, którzy nie stali na wysokości zadania bądź pod względem moralnym, bądź pod względem umysłowym, często niestety pod obu względami.

Brakowi ich wyobraźni, jak będzie przyszła wojna totalna wyglądać, ich lenistwu, aby te zagadnienia studiować w wojskowej prasie polskiej i zagranicznej, ich sybarytyzmowi, który powodował, że chęć wykorzystania wysokiego stanowiska dla osobistej wygody zagłuszała sumiennosc, ich nieobowiązkowosci i lekkomyślności Polska zawdzięcza klęskę wrześniową.

Opinię zewnętrzną korpusu oficerskiego psuli też różni sanacyjni dygnitarze państwowi, którzy — kiedyś służąc w „wojsku”, w sanitariacie lub intendenturze, przeważnie zaś adiutantując tylko i antyszambrując, osiągnąwszy tamże wysokie stopnie, nadal — nieprawnie — swoich tytułów wojskowych używali i niestety nawet mundur wojskowy nosili.

Dla ilustracji powyższego podaję poniżej wyciągi ze sprawozdań kilku wyższych oficerów na ten temat:

„...Pomiędzy naszymi generałami większość posiadała piękną kartę bojową i niepodległościową.

Dużo między nimi było ludzi zdolnych i nieprzeciętnych, lecz 'system' zrobił swoje, toteż w bardzo krótkim czasie i oni podzielili się na grupy mniej lub więcej uprzywilejowanych, mniej lub więcej nieomylnych.

W stosunkowo młodym wieku muskuły ich zwiotczały od wygodnego życia, zwiotczało również i rozumienie konieczności kształcenia się oraz pracy nad sobą.

Wszystkim zaś prawie bez wyjątku brakowało doświadczenia tak życiowego jak fachowego, które większość z nich nadrabiała tupetem i pewnością siebie, bardzo często przechodzącą w zarozumiałość, tę niezawodną drogę prowadzącą do nieomyślności.

Otoczały ich również różnego rodzaju mury i murki, stwarzane przez nich samych oraz przez ich sztaby, i tutaj tak znana i popularnie zwana w wojsku 'wazelina' świeciła swoje triumfy.

'Wazelina' ta, niestety, przeciekała aż do najmłodszych warstw korpusu oficerskiego.

Poza tym generałowie nasi wzajemnie nie lubili się oraz krytykowali, nie krępując się obecności otoczenia.

Sztaby naszej generalicji składały się z ludzi zdolnych, energicznych, dążących do wysunięcia się naprzód, prawie nie ustępujących wiekiem swoim dowódcom, a przeważnie przerastających ich wiedzą fachową, natomiast również bez doświadczenia.

Wielu wyższych dowódców było pod ich wpływem. Każda W.J. żyła swoim życiem według hasła 'co kraj, to obyczaj' i według tego hasła wychowywała się oraz szkolila, twierdząc, że fakt ten miał miejsce w kawalerii bezwzględnie. Bardzo często oficer przechodzący z jednej jednostki do drugiej musiał się przyzwyczajać do nowych, nieznanym mu metod.

Wytyczne wyszkolenia przerażały ogromem wymagań, a w wielu wypadkach były niewykonalne.

Poszczególne departamenty, a szczególnie Dep. Kawalerii (który znałem dobrze) nie miały większego wpływu u dowódców W.J. toteż ich wytyczne respektowane były w miarę upodobań poszczególnych dowódców.

Wszelkie manewry W.J. dawały w wyniku rokrocznie te same powtarzane błędy, kończyły się mniej lub więcej przygotowanymi oraz udanymi omówieniami, i tak szło z roku na rok bez większych zmian, jeżeli chodziło o naukę i doświadczenia w dowodzeniu na szczeblach wyższych, od pułku w górę.

Sposoby oraz metody nowoczesnej walki były traktowane 'po łebkach' a analfabetyzm wojskowy bardzo często uwypuklał się.

Słabo przedstawiała się sprawa posługiwania się środkami łączności, które tonąc w powodzi wymaganych kryptonimów, w wielu wypadkach były po prostu unikane.

Jeszcze mniej pracowano nad dziedziną zaopatrzenia i ewakuacji, na której słabo znali się nasi generałowie, pozostawiając

tę dziedzinę pracy prawie całkowicie swoim sztabom. To samo dotyczy i prac mobilizacyjnych.

Niezorganizowanie za czasów pokojowych Grup Operacyjnych z odpowiednimi sztabami, które miałyby możliwość właściwego szkolenia się, boleśnie odbiło się na działaniach wojennych. Były one zawsze improwizowane, a organizacja ich z reguły opierała się na sztabach W.J. bez żadnej pomocy z zewnątrz. Jeżeli chodzi o wyszkolenie dowódców W.J., było ono słabe, a na szczęblu G.O. i Armii — w powijkach.

Z przykrością należy stwierdzić, że nasza generalicja i jej sztaby nie były odpowiednio same przygotowane oraz nie przygotowały wojska do wojny, która jak gradowa chmura nad Polską stała się wisiąca.

Psychicznie na wojnę Naczelne Dowództwo nastawione nie było, co udzielało się całej Armii, dowodem czego jest, że prawie do ostatniej chwili nie chciano w nią wierzyć. Doświadczenia poczynione na Śląsku Zaolziańskim aż nadto dobitnie stwierdziły panujący u nas 'bałagan', jednak mało zrobiono w kierunku jego usunięcia, a może już i nie było na to czasu.

O ile orientuję się, to byliśmy jako tako przygotowani do wojny na wschód, natomiast na zachód nie.

Nic dziwnego, że przy tak panującym systemie wychowania i wyszkolenia, dowódca pułku był kozłem ofiarnym, na którym wszystko się opierało, bo on właściwie dopiero bezpośrednio dowodził wojskiem.

Jeżeli dodać do tego, że nie posiadał on zaufania w dziedzinie gospodarki, a świadomie używam tego słowa, był prześladowany przez różnego rodzaju intendentów, uzbrojeniowców, lekarzy, budowniczych itp. — rola tego człowieka była bardzo trudna. Ogrom wymagań jemu stawianych był niewspółmierny z okazywaną pomocą.

Przed wszystkim musiał on umieć wylapać z powodzi rozkazów tylko rzeczy istotne i je wykonać. Musiał mieć albo „plecy” albo specjalny autorytet oraz umiejętność postępowania, by w tak trudnych warunkach prowadzić pułk. Musiał być giętki, by móc wylawiać spośród najróżniejszych wymagań wyższych dowódców, często ze sobą sprzecznych.

Toteż stanowisko dowódcy pułku w Armii było specjalnie trudne.

Wielu naszym dowódcom pułków brakowało również doświadczenia, które jeszcze bardziej powiększał fakt stałej zmiany na tych stanowiskach. Nie zdążył się dowódca pułku, że tak powiem, rozsmakować w dowodzeniu, gdy już przychodził nowy, który z reguły przekreślał pracę poprzednika, rozpoczynając ją na nowo z przeświadczeniem, że on dopiero zaprowadzi porządek.

Dowódcy W.J. przeważnie na to nie reagowali. Często zmiana również dowódców pododdziałów w pułkach, którzy postępowali w analogiczny sposób, musiała odbijać się ujemnie na całokształcie życia pułkowego.

Bluff również istniał w pułkach, ale był uprawiany w mniejszym stopniu, niż na szczeblach wyższych.

W pułkach piechoty, kawalerii i artylerii brak było oficerów, szczególnie na stanowiskach dowódców pododdziałów. Powodem tego były często przeniesienia do rozwijającego się lotnictwa i broni pancernej, uszczuplające stany liczebne oficerów oraz uniemożliwiające planową gospodarkę personalną w pododdziałach.

Twierdzę, że nie patrząc na wszystkie wyżej przytoczone braki, szeregowiec w pułku oraz podoficer byli wyszkoleni — dobrze, młodsi oficerowie — zadowolająco, a od dowódców kompanii i szwadronów wzwyż — dostatecznie.

Należy jednak z całą stanowczością stwierdzić, że w większej części wypadków dowódcy pułków sprostali swemu zadaniu i ciężar ostatniej kampanii wynieśli na swoich barkach, za co należy się im całkowite uznanie.

Reasumując moje spostrzeżenia o generalicji i dowódcach pułków stwierdzam, że byli pośród nich oficerowie, którzy aż nadto dobrze orientowali się w sytuacji ogólnej Armii, reagowali na nią śmiało wypowiadającymi zdaniem w mowie i piśmie, a prowadzili powierzone im jednostki bardzo dobrze — toteż armia miała W.J. i pułki wyróżniające się swoją klasą spośród ogółu, lecz niestety było ich za mało, a głos ich dowódców nie miał wpływu na całokształt życia wojskowego.

Prowadzona od wielu lat „czystka” korpusu oficerskiego armii była konieczna i 90% usuniętych z niej było słusznie wyeliminowane. Pozostałe 10% usuniętych byli to oficerowie wartościowi, na wyeliminowaniu których armia poniosła stratę. Część z nich została usunięta ze względu na otwartą walkę z panującym reżimem od razu po 1926 roku, reszta usuwana była stopniowo w ciągu kilku lat na podstawie najprzeróżniejszych animozji, intryg i stosunków.

Smutną rolę w życiu naszej starszyny wojskowej odegrały kobiety.

Niemало mamy przykładów dowodzenia pułkami przez „dowódczynię”, a często zmiana żon na szczytach armii, połączona nieraz ze zmianą religii, dostarczała szerszemu ogółowi drastycznych tematów do kawiarnianych plotek, co bynajmniej nie popularyzowało stosunków wojskowych wśród społeczeństwa ani nie wpływało dodatnio na jego morale.

Tak, niestety, ze smutkiem trzeba stwierdzić, że 'paniusie'

zaważyły na życiu wojska przeważnie *in minus*, a skądinąd świetnie pomyślana organizacja zwana 'Rodziną Wojskową' rozminęła się ze swoim przeznaczeniem, choć miała możliwość zrobienia wiele dobrego.

Poza tym w Warszawie przy sztabach M.S.Wojsk. istniała specjalna grupa oficerów, tzw. „urabiaczy opinii”, którzy znając stosunki i stosunekczki, nie tylko potrafili między nimi lawirować, ale posługując się nimi mieli wpływ na poważne sprawy wojskowe, a specjalnie w dziedzinie personalnej.

Jako tacy byli oni nieuchwytni, a określenia: „my”, „słyszalem”, „mówiono” zastępowały im osobowość. Głównym narzędziem ich działania była plotka i zausznictwo. Byli to ludzie poza Warszawą nie rozumiejący życia i wysadzenie ich z murów stolicy było prawie niemożliwe.

Polityka personalna łamała charaktery, wysuwając na stanowiska ludzi „swoich”, a nie wartościowych.

Starszeństwo w armii jako takie nie istniało, co wywoływało rozgoryczenie wśród korpusu oficerskiego oraz podrywało samą dyscyplinę.

Do szkół podchorążych armii szedł nienajlepszy narybek naszej młodzieży. Składał się on z przedstawicieli zubożałego ziemiaństwa, pracującej inteligencji oraz innych warstw społecznych. Przedstawiciele sfery posiadającej byli unikatami.

Narybek był rozmaity, specjalnie pod względem wychowania, a tym samym i nastawienia, a rozsegregowywał się w armii następująco: najlepsi szli do marynarki, kawalerii, artylerii, lotnictwa i szkół specjalnych — najgorsi do piechoty.

Winę tu ponosi całkowicie dowództwo piechoty, bo nie potrafiło, nie chciało lub nie umiało zwrócić należytej uwagi na zorganizowanie życia tej pięknej broni ani w szkołach, ani w pułkach.

Często widziałem brak miłości i dumy ze swojej broni. Życie w większości pułków posiadało dużo gminnych cech, tradycji w ogóle nie było, a wychowanie zostało odsunięte na daleki plan.

Śmiem twierdzić, że w życiu naszej piechoty, która sama siebie nazywała „szarą piechotą”, było jakby jakieś poczucie niższości w stosunku do innych broni. Toteż z pułków młodzież oficerska przy pierwszej sposobności przenosiła się, gdzie tylko mogła, a do szkół szedł tylko ten, kto nie mógł dostać się gdzie indziej.

Przykład: jak można dopuścić do nazywania pułku, w którym służy „sześć dwa”, „trzy jeden”, „pięć cztery” lub „dwunastka”, „piętnastka” itp. Pułk jest to świętość, która winna pochłoniąć całość egzystencji młodego oficera tak, by marzył o

życiu i śmierci tylko w jego barwach.

Szkolono w szkołach podchorążych, jeżeli chodzi o wiedzę formalną, dobrze, aczkolwiek przerost teorii nad praktyką był zbyt duży. Wychowanie szło w wadliwym kierunku, a tradycja była zaniedbywana kompletnie.

Pod tym względem najlepiej była postawiona sprawa w oficerskiej szkole kawalerii, ale daleka od poziomu właściwego. Zaniedbywanie wychowania i tradycji ujemnie odbijało się na zrozumieniu obowiązków oficera Armii Narodowej oraz nie nadawało mu odpowiedniego kolorytu.

Marzenia młodego oficera dalekie były od chmurnych i górnych.

Zastanawiał się on przeważnie nad tym, w jakim czasie i w jaki sposób można zrobić karierę. Punktami wyjściowymi do tego było wyrobić sobie odpowiednie stosunki lub bogaty ożenek, u najlepszych wysunąć się na widownię przez Wyższą Szkołę Wojenną.

Dyscyplina miała w sobie dużo powierzchowności — pięknie podrywało się „na baczność”, mówiło się głośno „tak jest”, a rozkaz był słabo albo wcale nie wykonywany.

Koleżństwo pozostawiało dużo do życzenia.

Krytyka przełożonych kwitła (zresztą nie bez ich winy).

Przyczyny tego wszystkiego widzę w nieumiejętnym doborze komendantów, wychowawców oraz instruktorów szkół.

Nie patrząc jednak na wszystkie wyżej wymienione braki, młody nasz oficer egzamin w obecnej kampanii zdał. Ilość mógł jest najlepszym tego świadectwem. Był on z gruntu dobrym i kochającym Ojczyznę człowiekiem, toteż swój obowiązek spełniał tak, jak umiał najlepiej.

Kwiat młodzieży polskiej, żyjący tradycją ojców, garnał się do kawalerii, potem do artylerii, dążąc do dostania się przede wszystkim do D.A.K'ów, poza tym jak w szkołach podchorążych zawodowych najslabsi szli do piechoty.

Wyszkolenie odbywało się tak samo, jak w szkołach podchorążych zawodowych, tylko w odpowiednich ramach. Te same uwagi dotyczą wychowania i tradycji.

Dalsze doskonalenie podchorążych rezerwy w pułkach całkowicie zależało od poglądów na tę sprawę dowódców W.J. i poszczególnych dowódców pułków, a tym samym nie było jednolite.

Wartość oficerów rezerwy była wobec tego różna, jeżeli chodzi o wiedzę fachową, a wartość moralna całkowicie od nich samych uzależniona.

Widziałem i słyszałem w ostatniej wojnie o biciu oficerów i podchorążych rezerwy, którzy na to nie reagowali.

Znam również i przykłady ich bohaterskiego zachowania się, które można każdemu postawić za wzór..." (L.dz.1883/40).

Mimo, że poniższy wyciąg ze sprawozdania jednego z oficerów dyplomowanych częściowo ujmuje już też okres 1935-1939, przytaczam go tutaj, gdyż charakteryzuje stosunki w wojsku w okresie sanacji, tak jak je ogromna większość oficerów widziała.

„...Nieuctwo władz kierowniczych, które czasami doprowadzało do wprost błędnego rozumowania i błędnych decyzji, bądź też dawało pole do tzw. 'referenckich rządów'. Dla podkomendnych stan ten często wytwarzał uczucie, że mają związane ręce lub stoją wobec jakiegoś muru, przez który nawet najlepsza ich wola i wiara nie zdoła przyprowadzić do świadomości przełożonego najoczywistszej prawdy. Niektórzy przełożeni myśleli stale kategoriami podporucznika z 1914 roku, albo też w ogóle zbyt mało czasu poświęcali pracy na swym stanowisku, oddając się działalności społecznej, sportowej lub zgola prywatnej. Literatura naukowa wojskowa, stojąca u nas na dość wysokim poziomie, interesowała raczej oficerów stopni średnich i młodszych i tylko z rzadka docierała do któregoś z wyższych oficerów. Sprawozdania z wojen, np. z wojny hiszpańskiej, które otrzymałem w G.I.S.Z., z reguły prawie nie były nawet czytane przez inspektorów armii. Podobnie było i z całą naszą literaturą W.I.N.W., czy wydawnictwami prywatnymi, czy wreszcie z referatami opracowywanymi przez wydziały studiów fachowych departamentów M.S.Wojsk. i Oddziału II Sztabu Głównego.

Stan ten odbijał się jaskrawo na wszystkich pracach pokojowych i planach wojennych. Gdy w roku 1937/38 Pan Marszałek nakazał „wschodnim” inspektorom armii przedłożenie planów działań ich armii, wówczas miałem możność stwierdzić, że o wartości tych prac *decydowała raczej obsada personalna oficerów sztabu danej armii, a bardzo rzadko osoba samego inspektora armii.*

Stwierdził ten brak zainteresowania wiedzą fachową jeszcze Marszałek Piłsudski, gdy na jednej z odpraw przekonał się, że podlegli mu generałowie nie wiedzą, co się dzieje i nie interesują się stosunkami wewnętrznymi państw sąsiednich, a nawet tego, na granicy którego rozciągał się odcinek armii. Toteż już Marszałek Piłsudski nakazał opracowywanie osobiście przez Inspektorów Armii tzw. 'internów' tj. sprawozdań kwartalnych o sytuacji wewnętrznej państwa ościennego przydzielonego danemu generałowi. Opracowywanie tych 'internów' zostało utrzymane i przez Marsz. Śmigłego-Rydza do końca i ja je zbierałem dla przedłożenia. Otóż tylko bardzo nieliczni Inspektorowie Armii

robili te sprawozdania osobiście, a większość wyręczała się oficerami sztabów. Ponadto niektórzy zalegali lub zgola nie przedkładali swych opracowań, tłumacząc się brakiem czasu, chorobą lub nawet urlopem. Opracowania miały być krótkie (1-2 stron) i ujmować tylko rzeczy charakterystyczne i ważne. Czytając je, muszę stwierdzić, że te, które opracowywały sztaby — były całymi referatami, a nieliczne opracowane osobiście były aż nazbyt lakoniczne i często zupełnie bez treści.

Prywata i karierowiczostwo były plagą, która zatruwała atmosferę w ogóle, a w wyższych sztabach w szczególności. Wypływały one często nawet nie z nastawienia jednostki, a po prostu z przyjętej formy „urządzania sobie życia”. Niektóre jednostki młodsze nauczył tego przykład i często zupełna niedbałość przełożonych o podkomendnego.

Jaskrawy tego stanu obraz miałem dopomagając płk. dypl. Głabiszowi w jego pracy jako przewodniczącego komisji odznaczeń niepodległościowych za powstania poznańskie i pomorskie. Niejasna i niekompletna ustawa, krzywdząca wyraźnie Poznaniaków i Pomorzan, dawała duże możliwości do różnych protekcji, skarg, prośb itp. Wysiłki płk. dypl. Głabisza i jego pomocników w komisji, płk. dypl. Cepy i ppłk. dypl. Koperskiego, rozbijały się często o wyraźną niechęć czynników decydujących (podobno Minister Kościalkowski), które na swoją rękę robiły wyjątki i wyróżnienia. Stan ten wytworzył naokół odznaczeń niepodległościowych raczej atmosferę szkodliwą. Zamiast zamierzonego wzmocnienia uczucia patriotyzmu powstała chęć uzyskania synekur, zniżek kolejowych, protekcji itp.

Pozorowanie pracy, mające na celu zmylenie przełożonego, dochodziło nieraz nawet do kłamstwa, które bywało tolerowane lub rzeczywiście myliło przełożonego niedostatecznie przygotowanego do swojej funkcji.

Obszerne sprawozdania z wyszkolenia oddziałów bywały często raczej wypracowaniami sztabów, z czym sam się zetknąłem jako oficer operacyjny sztabu 17.D.P., gdy podałem faktyczną cyfrę siedmiu ćwiczeń indywidualnych, a dowódca dywizji poprawił ją do nieprawdopodobnej cyfry 87, w półrocznym okresie sprawozdawczym. Z podobnymi wypadkami świadomego pozorowania pracy zetknąłem się później w G.I.S.Z., a nawet płk dypl. Głabisz wprost mnie pouczył, że meldunki czy raporty należy o ile możliwości sprawdzać co do ścisłości danych, zanim przedstawi je się Panu Marszałkowi.

W jak ujemnej formie ta wada odbijała się na niższych szczeblach, może służyć fakt, że jako dowódca dyonu w 17.p.a.l. stwierdziłem, że jeden z moich dowódców baterii na manewrach pozorował czasem stanowisko ogniowe swej baterii przez aparat

telefoniczny, odległy o paręset metrów od punktu obserwacyjnego, przy czym ten dowódca baterii cieszył się sławą najszybszej baterii w pułku. Najgorsze jednak było to, że ani sam nie zrozumiał mego oburzenia, ani dowódca pułku, ani wreszcie dowódca dywizji, gdy się o tym przypadkowo dowiedział. Nic dziwnego, bo odpadł bardzo efektowny punkt ze sprawozdania, które i tak przełożony przyjmował bezkrytycznie, choć wszystko było przesadzone na stronę dodatnią. Meldunki o starej i rwącej się uprzęży, o braku karmiaków czy wiader były przyjmowane niechętnie i bez rezultatu.

W czasie swej pracy w G.I.S.Z. przekonałem się, że u wielu przełożonych powołanych do naprawienia usterek, sprawozdania je wykazujące były przyjmowane niechętnie i odkładane na później. Typowym tego przykładem było sprawozdanie generała Millera, opracowane i wprost przeforsowane u niego przez ppłk. dypl. Ciałowicza i mjr. dypl. Milewskiego, a wykazujące ogromne braki w artylerii pod względem materiałowym i stanów. Gdy generał Miller pod naciskiem swych oficerów sztabu podpisał ten referat, to przedłożenie jego Panu Marszałkowi wymagało jeszcze wydanej pomocy generała Sosnkowskiego, którego osobisty autorytet musiał poprzeć dotarcie prawdy do osoby Generalnego Inspektora. Stało się to dopiero w roku 1939, a więc za późno wobec groźby wojny, ale przecież w roku 1935, w chwili objęcia władzy, Pan Marszałek polecił generałowi Piskorowi stwierdzić stan uzbrojenia Armii i przedłożyć sobie o nim raport. Z tego raportu również stan artylerii rzucał się w oczy każdemu, kto się nad tym zagadnieniem zastanowił..." (L.dz.1533/40).

A wyższy oficer dyplomowany, legionista pierwszej brygady i — jak sam wyznaje — pilsudczyk, w następujący sposób charakteryzuje niemoralną atmosferę i brak poczucia odpowiedzialności i obowiązkowości najwyższych polskich sfer wojskowych:

„...Po wypadkach majowych 1926 roku, w których osobiście wziąłem udział po stronie Józefa Piłsudskiego, wydawało się, że hasło sanacji moralnej będzie przeprowadzone w całej pełni przez ludzi powołanych do jego realizowania na kierownicze stanowiska. Osobiście łudziłem się co do tego, że w świętości, jaką dla wszystkich było wojsko, mogło być inaczej. Niestety, właśnie w wojsku moralność zaczęli realizować ludzie, którzy pozornie mając wszelkie dane na ideową i bezkompromisową z sumieniem pracę dla wojska, przeobrazili się w tych, dla których ideowość stała się czczym frazesem. Ludzie ci całym swoim postępowaniem świadczyli, że wytyczną ich życia od tej chwili jest dyskontować fakt, że się było legionistą, peowiakiem, pilsudczykiem i niegdyś naprawdę czystym ideowcem. Sumienia ich stały się niezwykle elastyczne zarówno w odniesieniu do zwykłej

uczciwości, jak i stosunku do służby, której poświęcano najwyżej pewien procent czasu, resztę zaś przeznaczając na wygodne urządzenie sobie życia. Nic też dziwnego, że niejednokrotnie postępowaniem swym zrażali również ludzi, którzy nie byli tzw. pilsudczykami, a których nie można było odsunąć od kierowniczych stanowisk. Trzeba przyznać, że okres *prosperity* w latach 1928-1930 ułatwiał im znacznie podnoszenie stopy życiowej, o jakiej zapewne w czasach ideowej młodości nawet marzyć nie mogli.

Ówczesne położenie polityczne w Europie nie wskazywało jeszcze możliwości szybkiego wybuchu wojny w wielkiej skali. Jeszcze Niemcy były skłócone wewnętrznie i hitleryzm nie miał u nich nic do powiedzenia. Jeszcze Rosja przechodziła raz po raz swoje wewnętrzne wstrząsy, organizowała się. Można było wtedy myśleć u nas o rozmachu w dziedzinach pozawojskowych, zwłaszcza, że tyle było do zrobienia po czasach niewoli i po latach 1914-1920. Ale, niestety, rozmach ten niejednokrotnie począł iść w niewłaściwych kierunkach, że wspomnę tu budownictwo państwowe monumentalnych gmachów za olbrzymie pieniądze, które by się za kilka lat przydały na lotnictwo, artylerię plotn., broń pancerną lub wreszcie zasilenie rodzimego przemysłu wojennego, skądinąd w tym właśnie okresie rozwijanego lub zaczynanego. Co gorsze jednak, to to, że właśnie w wojsku na najwyższych szczeblach zaczęło się trwonienie pieniędzy. Ba, gdyby je trwoniono na nadmierną ilość wystrzeliwanych naboii, to można by się z tym jeszcze pogodzić. Ale naboje trzeba było oszczędzać i były nawet takie lata, że artyleria nie mogła w swej całości odbywać corocznie szkoły ognia z powodu braku pocisków, czy pieniędzy na nie. Natomiast nie brakowało pieniędzy na kupno dla generałów luksusowych samochodów. W roku 1928 już nie wystarczały 6-cylindrowe Tatry, trzeba było kupować luksusowe Packardy i Lassale. Tylko że Tatra kosztowała wówczas dwadzieścia parę tysięcy złotych, a Packard siedemdziesiąt tysięcy, do tego ówczesnemu mojemu szefowi, generałowi Fabrycemu, nie wystarczały latarnie tego samochodu, lecz musiano mu kupić specjalne Zeissa za dodatkowe trzynaście tysięcy złotych. Stare Tatry poszły początkowo dla niższych w hierarchii stanowisk, ale potem i tam były nieodpowiednie, nie wypadało bowiem, by kolega w tym samym stopniu sprzed dziesięciu laty jeździł gorszą maszyną. Wreszcie do samochodów służbowych lub co najmniej wysokich na nie dodatków dorwali się pułkownicy, podpułkownicy a nawet majstrowie.

Rozpoczął się na szeroką skalę system remuneracji, z czasem nazwanym zapomogowym. Szły i poszły na to miliony, a tytuł wynaleziono dowcipny: resztki budżetowe, które to

musiały wrócić do skarbu, gdyby nie zostały do 1.IV. wydatkowane. Tak, jakby ten skarb Państwa nie był czymś wspólnym wszystkich Polaków i tak jakby M.S.Wojsk. było czymś niezwiązanym z resztą Państwa. W pierwszych latach *prosperity* szef departamentu otrzymywał 5.000 złotych takiej remuneracji, szefowie wydziałów po 500. Jeszcze w 1936 roku opowiadał mi szef wydziału pieniężnego, że mają kłopot z jakimś generałem, który co miesiąc prosi o zapomogę i dostaje po 1.000 złotych. Postanowiono więc (zdaje się generał Składkowski), by mu przy najbliższej prośbie dać tylko 500 złotych i w ten sposób skłonić do obrażenia się i niezgłaszania więcej. Oczywiście wiadomości o tych delikatnych sprawach przenikały do dołu i nie wytwarzały zdrowej moralnie atmosfery.

Dano raz z budżetu M.S.Wojsk. 20.000 złotych baletmistrzowi Parnellowi na wyjazd z trupą do Berlina, dawano zasiłki na prywatne turystyczne wyjazdy za granicę.

Wiceministrom, słabo wyposażonym z domu w meble, zakupywano je z pieniędzy skarbowych. Gdy p. Fabrycovej skradziono futro, udała się sama do szefa administracji Armii i otrzymała natychmiast na kupno nowego 5.000 złotych.

Rozmach w wygodnym życiu osobistym doszedł do takiego poziomu, że np. wymieniona p. Fabrycowa nie mogła używać zwykłej taksówki na jazdę na koncert poranny, lecz musiał po nią przyjechać osławiony Packard spod Skierniewic, dokąd odwoził jej męża na polowanie. Oczywiście po koncercie samochód powrócił tam, skąd przyszedł. Gdy córka generała Fabrycego wyjechała do Spawy na wakacje, poszły z nią dwa konie służbowe, a co kilka dni był im na miejsce dowożony owies z Warszawy.

Mówili ludzie z najbliższego otoczenia generała Regulskiego, że na wyjazd z rodziną do miejscowości kuracyjnej w Polsce otrzymał znaczną zapomogę, a ponadto zabrał ze sobą szofera służbowego z samochodem, przy czym szofer przez parę tygodni pobierał diety służbowe.

Wprowadzone również do linii dodatki samochodowe dla dowódców dywizji i dowódców P.D. stanowiły zazwyczaj dodatki do poborów, a benzynę faktycznie do podróży służbowych zdobywano w inny sposób.

Jeszcze w czasie najgłębszego kryzysu ekonomicznego kupowano za granicą Cadillaci i to wtedy, gdy na prawo i na lewo trąbiono o motoryzacji polskiej.

W ciągu kilku lat miałem możność przyjrzenia się stosunkom prasowo-wydawniczym w wojsku. O „Polsce Zbrojnej” i moralności pieniężnej w tym wydawnictwie mogliby więcej powiedzieć oficerowie Korp. Kontr. i urzędnicy N.I.K. W

samym W.I.N.O. w roku 1936 przypadkowo okazało się, że z lat poprzednich wisiało tylko 40.000 złotych na różnych ludziach, jako zaliczki za nigdy nie napisane prace, podczas gdy nieraz brakowało pieniędzy na opłacenie rzetelnych autorów. Propozycja moja, by jak najostreżniej ściągnąć te pieniądze od winnych drogą aresztu na poborach lub emeryturach, wprawdzie nie spotkała się z potępieniem ówczesnego szefa, pułkownika Leona Koca, ale też i nie została przyjęta. Już po moim wyjściu z tej instytucji dowiedziałem się, że część tych pieniędzy udało się wyrewindykować pod postacią napisania prac lub ich surogatów, większość jednak została umorzona oficjalnie, jako straty.

Tych kilka przykładów wystarczy, sądzę, dla scharakteryzowania ludzi przygotowujących wojnę. Atmosfera, jaka stąd płynęła aż do dołów, nie mogła być dobra. I nic też dziwnego, że ludzie ci, zajęci przede wszystkim swoim życiem osobistym, w swej pracy służbowej opierali się nie na głębokich własnych rozważaniach i własnych studiach zagadnień, lecz na swojej inteligencji (niejednokrotnie niezaprzeczalnej) oraz na pracy swych podwładnych, żyłowanych niemiłosiernie. Na pracę osobistą, do której tak zachęcali młodszych, na studia nad tym, co się dzieje u obcych, na pracę wyobraźni na temat form przyszłej wojny nie starczało im czasu. Nie przeszkaadzało to oczywiście, że zawsze byli mądrzejści od młodszych stopniem, słabą wiedzę pokrywając zarozumiałością i posiadanym stopniem lub stanowiskiem..." (L.dz.632/40).

Tragizm położenia przedstawia inny oficer dyplomowany:

„...będąc na stage'u w 3.p.Uł., powołany zostałem jako szef ekipy fortyfikacyjnej przez gen. Berbeckiego do opracowania kartotek 21 pozycji terenowych na G. Śląsku. Po zakończeniu tej pracy napisałem opracowanie końcowe, obrazując w nim małą przydatność metody pracy przyjętej przez nas. Pomimo, iż kartoty moje pozostały bez żadnych zmian aż do wybuchu wojny, a wartość pozycji została stwierdzona przez wojnę, raport mój poparty przez dowódcę 23.D.P. i gen. Berbeckiego *nie tylko nie odniósł skutku, ale obraził Szefa Sztabu Głównego, bo jak śmiał krytykować jego metody?* — Przepraszam! W tej pracy stwierdziłem, że plany strategiczne *nie są zupełnie przemyślane przez Inspektoraty Armii w Warszawie, bo w przeciwnym razie nie powinno się było pozwolić na nieplanowe cięcia lasów — nieplanowe i szkodliwe zabudowania, nieodpowiednio zakładane kamieniołomy, nieodpowiednio terytorialnie rozbudowaną sieć stałą połączeń telefonicznych i wiele innych drobnych spraw, które meldowałem gen. Berbeckiemu, a które nie zostały zmienione i utrudniały*

potem działania wojenne. W pracach tych stwierdziłem ponadto, że niektórzy nasi przełożeni są zupełnie pozbawieni poczucia rzeczywistości: np. gen. Berbecki wierzył, że las, w którym się robi zawalę, jest nie do przejścia, zwłaszcza, gdy się zawalę aktywizuje kilku strzelcami czy minami. Takich lasów było na Śląsku dużo, ale nie w rejonie na północ Wisły i wschód Przemszy, mimo to przewidziano tam zawalę, które oczywiście były niewykonane, bo las na to nie pozwalał. Gen. Sadowski miał *manię Alcazarów*. Gdy projektował obronę Chrzanowa, meldowałem konieczność rozebrania 20 stodół, aby oczyścić przedpole i mieć drzewo na schrony. Generał kazał je bronić, powołując się na walki w Hiszpanii (gdzie są tylko domy kamienne, a Alcazar ma mury od 4-6 metrów i stoi na skale). Gen. Piasecki, dowódca 5. Samo.B.K., nie rozumiał, jak można *spiętrzyć wodę w Przemszy przez otwarte śluzy w Porąbce i zalanie przedpola Oświęcimia*, ani na inspekcjach nie rozróżniał między polem śmierci i martwym. Ponieważ i jego szef sztabu (mjr dypl. Doliwa-Dobrowolski) nie znał się na tym, więc oczywiście każdy oficer instruktor w brygadzie był zły, skoro ten temat został poruszony przy przeglądzie szwadronu — nie ominęło to i mnie w 3.p.Uł. i spowodowało niepodanie do awansu przez dowódcę brygady.

Wyszkolenie szło więc w kierunku *woltyżerki i jazdy konnej*. Służbę polową pytał gen. Piasecki szeregowych przy pomocy tablicy, na której żądał, aby szeregowy umiał narysować teren w odpowiedniej skali i wyobraził sobie w tym terenie swoje postępowanie. Tak wykoszlawione zostało wyszkolenie ułana w *walce pieszej i konnej*. Władanie szablą było przedmiotem zawodowy pomiędzy szwadronami. Wreszcie zawody o buńczuk dawały sposobność do rozmaitych nadużyć i fałszerstw, jak przebieganie podoficerów w szeregowych, wykradanie założeń, wykorzystywanie sympatii i antypatii. System ten, nie tylko wysoce niesprawiedliwy, łamał charaktery i wprowadzał niezdrowe współzawodnictwo pomiędzy pułkami i w samych korpusach pułkowych. Koledzy zaczęli patrzeć na siebie wilkiem, gdyż tylko nadskakiwanie lub podlizywanie się dowódcy mogło przyczynić się do awansu. Dość przytoczyć fakt, że dowódca 5.p.s.k. płk Kowalczewski wykończył w ciągu dwóch i pół roku 17 oficerów (dyspozycje, ucieczki do taborów i z pułku). Jego żona zniszczyła w okresie pobytu w pułku co najmniej 40 koni najmłodszych, biorąc je na codzienne parforsy. Zupełny brak kontroli władz wyższych nad tym, co robili dowódcy pułków na swoim podwórku i sekowanie oraz uciemnianie oficerów i podoficerów były pod koniec 1934 roku charakterystyczną cechą postępowania zbyt młodych dowódców 7.p.Uł., 12.p.Uł., 3.p.s.k. i 5.p.s.k. i wielu innych.

Tylko tradycje pułkowe wkorzenione w korpus oficerski trzymały *zwartość pułku*, ale takie stosunki nie mogły wychować odpowiednich charakterów u młodszych oficerów.

Z wyjątkiem nielicznych *dowódcy* byli *nie lubiani*, a *upodlenie korpusu oficerskiego* roło z dnia na dzień. *Nieuctwo wyższych dowództw*, *niestychana ich pewność siebie*, *zarozumiałość w enuncjacjach*, *brak wszelkiego krytycyzmu w stosunku do własnego postępowania*, często *brak skrupułów wobec rodzin i żon oficerów* tworzyły podłoże niezadowolenia podkomendnych, którzy tylko z obawy przed karą lub dyspozycją milczeli z zaciśniętymi zębami. Jeszcze gorzej przedstawiało się życie młodszych oficerów.

Wyszkolenie młodszych oficerów przez mało wyszkolonych i mało albo nawet bardzo mało inteligentnych oficerów wyższych lub dyplomowanych atletów umysłowych, którzy wszystko mieli gdzieś i uparcie stali na stanowisku wyższości, nie robiło wcale postępów. Mało który dowódca pułku lub W.J. pracował nad sobą. Owszem, były chlubne wyjątki, jak gen. Raczyński-Maxymowicz, gen. Sadowski, Zajac i może kilku innych. *Gros nie robiło nic*, jeśli nie byli na kursie. Gen. Abraham 1-2 dni w tygodniu był w garnizonie i głośno mówił, że „dla pracy ma swój sztab”, sam zaś uganiał się za kobietami. — Gen. Wieniawa — wszyscy wiedzą! Gen. Piasecki mówił sam, że ciężko jest gospodarzyć na wsi i mieć na głowie majątek, no i tę brygadę. — Gen. Thommé jeździł głównie konno, na nartach i urządził zawody pływackie. Któż miał dbać o zmodernizowanie poglądów i organizacji Armii? Zainteresowanie wojskiem było w dniach defilady — poza tym nikt nie troszczył się ani o byt oficerów, ani o podoficerów, nikt nie miał odwagi upominać się. Środkiem wychowania były tylko kary i łajania lub dyspozycje. Dowódca przestał być ojcem wyrozumiałym, wychowawcą i szczerym starszym kolegą.

Po grach wojennych, które przygotowywały sztaby, a nie dowódcy, nie było dyskusji — było tylko omówienie, na którym *nie tłumaczono błędów, ale piętnowano je, korzystając z nich, aby popsuć opinię*, a nie aby wyciągnąć naukę. Zabijano w ten sposób *najlepsze chęci u młodych*, wyrabiano służalczość u starszych oficerów — *łamano indywidualność* i karano odwagę cywilną własnych poglądów. — Przez czternaście lat służby jako oficer dyplomowany miałem sposobność poznać te wszystkie objawy i dlatego pesymistycznie patrzyłem w przyszłość wobec zbliżającego się konfliktu zbrojnego...” (L.dz.2619/40).

Pomijam setki innych sprawozdań o takiej samej lub podobnej treści. W końcu tego zagadnienia tylko jeszcze jeden głos:

„...Trzeba przede wszystkim rozwiązać dość rozpowszechnione mniemanie, że kadra wojskowa zajmowała się czynnie polityką. Nic podobnego, kadra w swojej masie nie zajmowała się tym ani przez chwilę po wypadkach majowych. Natomiast istotnie stosunkowo znaczna ilość oficerów różnych broni i stopni opuszczała szeregi i zajmowała wysokie stanowiska w rządzie, administracji, przedsiębiorstwach państwowych, lub kontrolowanych przez państwo, w sejmie, senacie i partii rządzącej. Wszyscy ci ludzie należeli w większości do jednego i tego samego obozu i na swoich wpływowych stanowiskach forsowali politykę określoną popularnie jako legionowa. Nie zapomniano im jednak ich wojskowego pochodzenia i do tytułów „Pan X.Y. Wojewoda Krakowski” dodawał Nowakowski z I.K.C., bywalcy z Grand Hotelu i wszyscy inni — „pułkownik artylerii”. Stąd zapewne powstało pewne pomieszanie pojęć i do drugiego szeregu wpływowych, najwplywowszych osobistości, pochodzących z wojska, a uprawiających politykę, dołączono mechanicznie lecz niesłusznie całą kadrę zawodową.

Niezależnie jednak od ludzkiej opinii, opuszczenie szeregów wojska przez dużą ilość oficerów nie mogło pozostać bez następstw dla naszej siły zbrojnej. Nie było wielkiej straty kiedy ta ulegalizowana dezercja wystąpiła zaraz po przewrocie majowym. Oczyszcziło to bowiem Armię z elementu najsilniej zaangażowanego politycznie w czasie przewrotu i przyczyniło się niewątpliwie do szybszego złagodzenia różnic, wzajemnych podejrzeń i żalów. Ale dalszy ubytek był częstokroć połączony z bolesną stratą dla wojska. Czy na to szkolono oficera na różnych kursach, czy na to kończył Wyższą Szkołę Wojskową, co kosztowało budżet państwowy około 80 tysięcy na głowę, aby po roku lądował jako jeden z dyrektorów wielkiego przedsiębiorstwa przemysłowego na Górnym Śląsku? Oczywiście, że tak rozrzutne szafowanie kadrą zawodową dla celów nie mających nic wspólnego z wojskiem musiało wydatnie przyczynić się do kryzysu w wojsku. Ujawnił się on też w sposób katastrofalny w przededniu wojny i szczególnie dotkliwie właśnie w formie braku oficerów dyplomowanych.

Drugą przyczyną, która ilościowo i jakościowo zdeorganizowała kadrę zawodową, była błędna polityka personalna. Ogólnie w wojsku i poza wojskiem utarło się przekonanie, że najbardziej charakterystyczną cechą wszystkich posunięć było tzw. faworyzowanie legionistów. Trudno było twierdzić, że ten *vox populi* był całkowicie błędny. Niewątpliwie legionistom było dużo łatwiej w wojsku niż oficerom pochodzącym z wojsk zaborczych. Ale najbardziej charakterystyczną i równocześnie najbardziej szkodliwą cechą naszej polityki personalnej był jej zły

punkt wyjścia. Jako przykład można podać personalne posunięcia w artylerii. Otóż po zakończeniu wojny w roku 1920 okazało się, że do służby zawodowej w artylerii posłano dość znaczną ilość oficerów z innych broni i służb. Oficerów tych przeszkoliło się na odpowiednich kursach i doszkoliło później w pułkach. Ponadto po zakończeniu wojny okazało się, że techniczny poziom wykształcenia wszystkich naszych oficerów artylerii jest bardzo niski i ażeby go podnieść, należało znowu uruchomić ogromną ilość kursów. Były one bardziej kosztowne niż w piechocie i kawalerii, ponieważ poza innymi wydatkami dochodziły koszty na amunicję artyleryjską niezbędną do szkolenia. Koszty te nie ustawały i po ukończeniu kursu, ponieważ co roku na tzw. szkołach ognia oraz ćwiczeniach letnich i zimowych z piechotą oficerowie artylerii celem nauki wystrzeliwali drogocenną amunicję. Z tego wszystkiego wynikały na przyszłość proste wnioski:

- wykształcenie oficera artylerii jest żmudne,
- wykształcenie to było ponadto kosztowne,
- zaznaczył się już raz brak oficerów artylerii, podczas gdy nie było tego braku w innych broniach.

Wszystko więc wskazywało, że należy postępować ostrożnie. Tymczasem po przewrocie majowym, kiedy w wojsku szalały tzw. dyspozycje i przenoszono masowo oficerów zawodowych w stan spoczynku, usunięto także znaczną ilość oficerów artylerii i to nie tylko starszych stopniem i wiekiem, ale i młodszych. Bezpośrednio po dyspozycjach zachęcano znów oficerów artylerii do administracji wojskowej. Aż pod koniec w okresie, niewiele poprzedzającym wojnę, jeden z szefów departamentu artylerii ocknął się i zaczął wszelkimi sposobami tamować odpływ oficerów korpusu artylerii. Stan był już tak groźny, że odmawiano oficerom artylerii zezwoleń na odejście do Wyższej Szkoły Intendentury i do Politechniki, nie bacząc, że złożyli już przepisane egzaminy, aż w końcu zaczęto im także utrudniać odejście do Wyższej Szkoły Wojennej. Było już jednak za późno. Pierwsza częściowa mobilizacja 1939 roku w marcu ujawniła katastrofalny stan oficerów artylerii. Nawet najmłodszy, świeżo upieczony podporucznik, który nie umiał ani dowodzić ani strzelać, był kreowany na dowódcę baterii. Gdziekolwiek nie udało się w czasie mobilizacji obsadzić wszystkich baterii oficerami zawodowymi i zdarzyło się, że zanim zgłosił się wyznaczony dowódca baterii, mobilizację jej przeprowadzał podoficer, który w sprawy mobilizacyjne nie był i nie mógł być w ogóle wtajemniczony. Nic też dziwnego, że zmobilizowane oddziały artylerii przedstawiały się pod względem sprawności bojowej na ogół niedostatecznie. I musiało tak być, skoro doświadczeni,

dobrze wyszkoleni i przy nakładzie tak wielkiego wysiłku i kosztu przygotowani dowódcy baterii byli powiatowymi komendantami policji, oficerami w komendach miasta, pracowali na kolejach, a niedoświadczeni podporucznicy zawodowi i rezerwa dowodzili bateriami.

Polityka personalna w wojsku była więc krótkowzroczna. Kierowała się jakimiś tajemniczymi, dla ogółu oficerów niezrozumiałymi zasadami, zastaniała się ustawicznie jakimiś tajnymi wytycznymi, podczas gdy jej niezłomnym punktem wyjścia powinno być zapewnienie wojsku na wypadek wojny jakościowo dobrej kadry i ilościowo dostatecznej.

Polityka personalna była ponadto nieopatrzna. Byłoby zupełnie mylnym twierdzeniem, że można przez szereg lat pomijać w awansie dobrego, a nawet wybitnego oficera, dla błahych pozorów lub jaskrawo fałszywych powodów i uważać, że oficer nie zostanie zdemoralizowany. Takich oficerów był w wojsku legion i zatruwali w pułkach atmosferę, dając przede wszystkim fatalny przykład młodszej generacji. Zniechęceni, skarżący się, często zaniedbani, niekiedy opuszczający się w służbie, zwykle odrabiający ją bez serca i zapału, obliczali szanse emerytalne i ostro krytykowali przełożonych i krzywdzące ich posunięcia personalne. I trzeba przyznać, że słuszność była po ich stronie. Nie każdy rozumie, jakim przeżyciem oficera jest awans czy też pominięcie go w awansie. To drugie nosi wszelkie cechy dyskwalifikacji, łamie przyszłość oficera, jest ciosem, który leczy się dłużej niż ciężka rana. Oficer pominięty w awansie staje się na jakiś czas łachmanem moralnym, popada często w nałogi, nerwy odmawiają mu posłuszeństwa, aż zabłyśnie mu znowu nadzieja upragnionego awansu. Ponowny zawód sprowadza ogólne otępienie. Trzeba wielkiej odporności charakteru, aby w takich warunkach utrzymać się w jakiejś takiej formie. U nas utracano oficerów przy awansie z nieprawdopodobnych przyczyn, które zresztą zmieniały się nieledwie z roku na rok. Początkowo wojna 1918-1920 roku nie liczyła się w ogóle w karierze oficera. Tylko wojna światowa, legiony i formacje polskie za granicą miały znaczenie. Później wyjaśniło się, że może awansować tylko oficer, który był na wojnie 1918-1920. Nagle któregoś roku okazało się, że nie mogą w ogóle awansować oficerowie zajęci w szkolnictwie wojskowym i w sztabach. Doszło do silnego zadrażnienia. Było przecież zupełnie nie do pomyślenia, aby np. wykładowca z Centrum Szkolenia Piechoty, powołany na to stanowisko z racji swych szczególnych uzdolnień i wybitnych ogólnych kwalifikacji, był pominięty przy awansie, gdy tymczasem jego uczniowie z gorszymi kwalifikacjami i mniej uzdolnieni awansowali wcześniej tylko dlatego, że służyli w pułkach. Osta-

tecnie, kto mógł poruszał wszystkie sprężyny, aby wydostać się ze szkolnictwa i ze sztabu, jak mówiono — z trupiarni. Jeszcze później ustalono pewne granice wieku, ale zmieniano je co roku. Jako skutek wywołało to usunięcie wielu dobrych oficerów ze służby liniowej lub też w ogóle z wojska. Np. kapitan z ukończonym 38-ym rokiem życia nie może zostać majorem, ponieważ ma przekroczony wiek. Wobec tego przenosił się do kolejnictwa, do służb lub też do administracji wojskowej czy cywilnej. Zresztą ułatwiano mu to skwapliwie. Upływał jeszcze jeden rok i zdumiony urzędnik dowiadywał się, że usunął się z wojska niepotrzebnie, ponieważ przesunięto tymczasem granicę wieku o kilka lat wzwyż. Wreszcie określano pewne czasokresy dowodzenia. Kto nie sprawował przez określoną ilość lat dowodzenia kompanią, batalionem, pułkiem, ten nie miał prawa awansu. Jednak bywały wypadki, kiedy oficer, pominięty z tego powodu w awansie, dowiadywał się, że część jego kolegów awansowała nie mając spełnionych warunków dowodzenia.

Były to lekkomyślności, które sprawiały wrażenie, że zarządzania personalne są wynikiem złych i dobrych humorów i nie wypływają z przewidywań rozważnych, sprawiedliwych i obliczonych na daleką metę. Toteż mimo pozorów nasz korpus oficerów zawodowych nie był jednolitą masą ludzi, wiodących wojsko z zapalem ku zwycięstwu, lecz był gęsto przetkany jednostkami zniechęconymi, złamanymi moralnie lub też zastraszonymi o swój byt, którego podstawy mogły być każdego dnia przekreślone przez jakieś nieznane siły i z nieznanых powodów. Ci oficerowie — to nie byli przyszli zwycięzcy...” („U źródeł polskiej niemocy wojskowej”, Warszawa, październik 1939 r.).

Czasu straconego nigdy już nie można odzyskać, a przez to też pracy zaniedbanej odrobić. Braki w przygotowaniu wystarczającej ilościowo i dobrej jakościowo kadry zawodowej i oficerów rezerwy w okresie 1926-1935, a nawet, jak już to powyżej opisałem i w dalszych rozdziałach przedstawię, do roku 1939, odbiły się zupełnie wyraźnie w sensie ujemnym na przebiegu kampanii jesiennej w Polsce i były jedną z przyczyn naszej klęski.

Kompletne zaniedbanie w tymże okresie spraw uzbrojenia wojska w broń nowocześnie jest również, i to jedną z najważniejszych przyczyn klęski jesiennej 1939 roku.

„...Marszałek Piłsudski o brakach naszego zaopatrzenia wie- dział. Miał nawet o tym przesadne pojęcie. Otrzymywał z Oddziału I zestawiony raport stanu zaopatrzenia mob. Armii naszej, który przeglądał. Kwestię braków lotnictwa, broni pan-

cernej i artylerii ciężkiej referował wielokrotnie generał Piskor, póki było to możliwe. Wydaje mi się zresztą, że do jakiegoś 1930 roku nie wyglądaliśmy tak bardzo źle w porównaniu z sąsiadami. Istotnie braki te były duże, jak to już zaznaczyłem w stosunku do ilości posiadanych jednostek i stąd tendencje zmniejszenia ich do liczby odpowiadającej ilości posiadanego materiału.

Ja, ilekroć miałem sposobność, ośmielałem się meldować bez względu na konsekwencje, które w końcu ponosiłem. Póki był generał Piskor, meldował również. Z chwilą przyjsia generała Gąsiorowskiego nikt już nie miał dostępu do Marszałka Piłsudskiego, który wtedy był już ciężko chorym człowiekiem. Wszystko doń szło przez pułkownika Warthe lub pułkownika Głabisza..." (L.dz.994/A/40).

Że w ogóle w okresie 1926-1935 choć cośkolwiek zrobiono, aby usunąć przynajmniej najbardziej rażące braki uzbrojenia, jest niewątpliwą zasługą generała Zamorskiego, jako szefa Oddziału I Sztabu Głównego i generała Piskora, jako Szefa Sztabu Głównego.

Obaj ci generałowie mimo wszystkich trudności i niezrozumienia, na jakie natrafiali u Marszałka oraz u różnych dygnitarzy w M.S.Wojsk. pracowali po cichu i ręką w rękę, aby — w granicach możliwości — ratować tragiczną wprost sytuację. W tym czasie przeprowadzono wymianę dział i karabinów z Rumunią (ciężkie działa rosyjskie za 75 mm francuskie, karabiny Mannlichera za Lebelles) i z Jugosławią (austriackie działa polowe 80 mm Skody za 75 mm francuskie).

Jaką fatalną, niezrozumiałą dla Polaków i niegodną polskiego oficera rolę odegrał w sprawie uzbrojenia generał Gąsiorowski, jako Szef Sztabu Głównego po generale Piskorze, przedstawiłem już przy charakterystyce pracy Sztabu Głównego w tym okresie. „...Nie mogło być w Polsce dobrze, gdy Minister obejmował swój resort 'na rozkaz' i bez dostatecznego przygotowania fachowego... (L.dz. 2795/40) i gdy Szef Sztabu Głównego i inni generałowie na wysokich stanowiskach nie mieli dość odwagi cywilnej, aby się przeciwstawić złu lub nie mieli tyle honoru, aby bezwzględnie ustąpić, gdy ich obowiązku spełnić im nie pozwalano.

W roku 1831 szef sztabu rządu książę Czartoryski zaproponował dowódcy dywizji, generałowi hrabiemu Szembekowi, jakiś resort w rządzie. Na to hrabia Szembek odpowiedział: „Ja, proszę księcia, mam dobry zadek do siodła, a nie głowę do rady"... i do rządu nie wstąpił.

Na jakie trudności natrafiały zamierzenia generała Piskora i generała Zamorskiego, niech świadczy następujący opis:

„...General Piskor w roku 1929 i 1930 pracował nad wzmocnieniem Armii naszej sprzętem francuskim. Dzięki jego zapobiegliwości udało się Oddziałowi I uzyskać tzw. IV transzę należnej nam do Francji pożyczki materiałowej. Była to dość duża ilość dział 105 i 155 Schneider-Creuzot, najnowszego modelu, co pozwoliło nam na zupełne urealnienie planu 'S' w dziedzinie artylerii ciężkiej. Szczegóły może pamiętać ppłk Zakrzewski, który będąc wówczas szefem wydziału mat. w I Oddziale Sztabu głównego tę sprawę prowadził i w tej sprawie był w Paryżu.

Prócz tego miał generał Piskor jechać na urlop do Francji, gdzie przy pomocy generała Denain miał uzyskać nową pożyczkę materiałową dla Armii naszej. Pożyczka ta miała dotyczyć znów artylerii i broni pancernej.

Pożyczka ta miała nam dać możliwość wystawienia drugich pułków artylerii w dywizjach piechoty. Poza tym generał Piskor był przeciwnikiem kupowania licencji na wozy „Fiata”, który nam żadnych typów bojowych nie dawał, był natomiast zwolennikiem umowy z „Renault” względnie „Citroën” jako wytwórniami dającymi możliwość produkowania różnorakiego sprzętu bojowego.

Tuż przed wyjazdem swoim generał Piskor najzupełniej niespodziewanie odszedł. Prawdopodobnie wiadomości o zamiarach generała Piskora w dziedzinie uzbrojenia, które doszły do marszałka Piłsudskiego, jak również zatwierdzenie przezeń w dniu 22.VII.1931 roku instrukcji o mobilizacji oficerów L. 2800/Og.Mob.31 były bezpośrednią i konkretnie wiadomą przyczyną jego odejścia. Sprawę zaś samej instrukcji o mob. oficerów może pamiętać ówczesny kapitan Steblik, dziś zdaje mi się major, ostatnio pomocnik *attaché* wojskowego w Berlinie, który ową instrukcję opracowywał i którego uważam za jednego z najwybitniejszych oficerów polskich.

Duży i zły wpływ na sprawy mob. naszych sił do 1933 roku miały decyzje Komitetu Rozbrojeniowego, czy też Komisji Rozbrojeniowej Ligi Narodów. Delegatami do tej instytucji byli od Polski generał Burhardt-Bukacki i p. Komarnicki, zwany ministrem. Należało się z jakimkolwiek nowym zamówieniem kryć, każdy nowy sprzęt należało konspirować, stworzenie każdej nowej kadry maskować. Mimo tego było przy tych ograniczeniach lepiej niż w czasie od roku 1933, kiedy to ze strony Ligi Narodów mieliśmy ręce rozwiązane, ale za to mieliśmy Szefa Sztabu Głównego, który w przyjscie wojny z Niemcami nie wierzył, w każdym zamówieniu wietrzył aferę i w ogóle nie lubił, by mu przeszkadzano...” (L. dz.994/A/40).

Gdy się uwzględni, że wybudowanie pierwszego działła

modelowego, fabrycznego, wymaga wykonania około dziesięciu tysięcy rysunków technicznych i dwóch lat pracy, a wykonanie próbnych strzelań i innych sprawdzeń i doświadczeń do chwili przejścia na fabrykację seryjną dalszego roku pracy, można dopiero zrozumieć, jak złowrogo na stanie naszego uzbrojenia w chwili wybuchu wojny zaciążyło kompletne nieróbstwo w dziedzinie uzbrojenia w okresie 1926-1935. To samo dotyczy oczywiście każdego innego sprzętu, a przede wszystkim czołgów i samolotów. Dodać tu jeszcze należy, że koszt uzbrojenia Armii — bezwzględnie niesłychanie wysoki jak na nasze stosunki — rozłożony na lat piętnaście był zupełnie możliwy do zrealizowania. Przecież już w roku 1926 wiadano, że francuskie działo polowe 75 mm — przy wszystkich swoich niezaprzeczalnych zaletach balistycznych — jest przestarzałym pod każdym względem rupiec, pomijając już jego liczne wady konstrukcyjne, które również w roku 1897 były wadami, a nie zaletami. Francuzi działo to chwalili, ale to nie był i nie mógł być argument dla naszych fachowców, to jest artylerzystów i inżynierów uzbrojenia artylerii. Fachowcem nie był długoletni Szef Departamentu Artylerii w M.S.Wojsk., pułkownik Jan Maciej Bolt, który całą naszą artylerię — nie tylko pod względem sprzętu — zdeorganizował kompletnie i położył na obie łopatki, a w nagrodę poszedł w roku 1935 na emeryturę z pełnymi poborami i miesięcznym dodatkiem pięć tysięcy złotych na dyrektora państwowej wytwórni prochów w Pionkach, na czym się też oczywiście nie znał, gdyż nie był ani chemikiem, ani inżynierem, tylko niższym urzędnikiem bankowym, gdy wstąpił do pierwszej brygady. Za jego też rządów w Departamencie Artylerii zakupiono moździerz 220 mm Skody. Wprowadzenie do naszego wojska sprzętu ciężkiego¹³ było w zasadzie objawem bardzo dodatnim, gdyż dotychczas mieliśmy jako namiastkę sprzętu ciężkiego tylko francuskie 155 mm (krótkie) i to w bardzo niedostatecznej ilości. Pomyślał o tym i sprawę doprowadził do końca generał Zamorski jako Szef Oddziału I i to jest jego zasługą. Atoli zakupienie tego właśnie moździerza 220 mm Skody (a nie innego z licznych modeli Vickersa, Schneidera czy Boforsa) była fatalnym błędem, za który odpowiedzialność ponosi pułkownik Bolt jako artylerzysta (przynajmniej z patek) i Szef Departamentu Artylerii, oraz komisja przez niego powołana. Był to sprzęt okropnie niezdarny, przewożony w trzech

13. Błędnie u nas nazywano sprzętem „ciężkim” „155” a nawet „105”. Był to sprzęt średni. Ciężkim nazywa się sprzęt powyżej 155 do 250, „najcięższym” zaś kalibry od 280 wzwyż.

częściach, których zmontowanie i przygotowanie do strzału wymagało siedmiu godzin pracy obsługi. Największy celownik wynosił tylko dziewięć kilometrów, a siła pocisku wystarczała tylko na przebicie betonu o grubości jednego metra. W chwili zakupu przez nas u Skody był to więc sprzęt już przestarzały względnie tak wadliwy konstrukcyjnie, że nie odpowiadał ani wymogom wojny ruchowej ani pozycyjnej. Nie nadawał się też do zwalczania fortyfikacji stałych w Prusach Wschodnich, które wszystkie miały schrony betonowe o grubości półtora do trzech metrów. (Umocnień Odry, jako późniejszych w czasie, tutaj nie przytaczam rozmyślnie).

Nawiasem tylko jeszcze podkreślam, że „tabele strzelnicze”, sprzedane nam wraz ze sprzętem przez Skodę, okazały się... w roku 1938 zupełnie błędne, i na wystrzelanie nowych, prawidłowych już tabel, zużyto w Zielonce masę niesłychanie kosztownych pocisków i jedną łufę.

W okresie tym zakupiono też licencję na wyrób karabinów maszynowych „Browning” i zaopatrzono Armię w tę broń.

Poza tym, jak już wyżej przytoczyłem, „...przepadła sprawa dział przeciwlotniczych Driggsa, c.k.m. plot. i ppanc. Qerli-kona... i ponownie dział plot. Boforsa. Wszystko to w latach 1931, 1932, 1933...” (L.dz.994/A/40).

Stan uzbrojenia naszego wojska był w maju 1935 roku proporcjonalnie znacznie gorszy, niż wojska francuskiego czy niemieckiego w sierpniu 1914 roku, zwłaszcza pod względem artylerii wszystkich kalibrów.

Generał Składkowski w swej książce „Strzępy meldunków” wspomina z dumą, że któregoś dnia referując jako Szef Administracji Armii i zauważywszy, że Marszałek Piłsudski jest w dobrym humorze... ośmielił się zameldować, że jeszcze jedną dywizję udało się dozbroić w polskie karabiny..., a generał Zamorski pisze, że przyczynił się jako Szef Oddziału I Sztabu Głównego do zakupu artylerii najcięższej, było to... „koroną moich ówczesnych przestępstw. Straszył mnie generał Gąsiorowski konsekwencjami w razie, gdy Marszałek się o tym dowie”.

Do spraw tych powrócę jeszcze przy rozpatrywaniu gotowości naszego wojska w przededniu wojny.

Konkluzja za okres: maj 1926 - maj 1935

— Pod względem wojskowym był to czas bezpowrotnie i bezużytecznie dla Polski stracony (gdy Rzesza dopiero zaczynała

się zbroić — od 1928 tajnie, od 1933 jawnie i Sowiety w ogóle nie były jeszcze brane pod uwagę).

— Marszałek Piłsudski bowiem, zajęty nadmiernie innymi sprawami:

— Sam nie miał czasu, a później i zdrowia, aby się woj-
skiem samemu zająć,

— Ludziom dalekowzrocznym i dobrej woli (jak generałowie Piłsudski, Zamorski) nie pozwalał pracować, a nawet zakazywał pracować.

Toteż Inspektorowie Armii nic nie robili, Sztab Główny nic nie robił, a M.S.Wojsk. tylko niezbędną pracę pokojową. W szczególności: planów wojny nie przygotował ani G.I.S.Z., ani Oddział III Sztabu Głównego. Oddział II zbierał wiadomości i wydawał komunikaty i opracowania, których nikt nie czytał z wyższych dowódców i z których nie wyciągano żadnych wniosków praktycznych. Oddział I miał zakaz pracy, Oddział IV i Wydział Komunikacji Wojskowych chronicznie nic nie robiły. M.S.Wojsk. „zawiadywało budżetem” i wymyślało ciągle to nowe sposoby uprzykrzania wojsku życia tak papierową robotą jak ciągłymi zmianami przepisów mundurowych itp. Generał Składkowski jako Szef Administracji Armii pokazywał poza tym od czasu do czasu panom posłom na Sejm wzory naszej motoryzacji i uzbrojenia. Wojsko tego uzbrojenia wprawdzie nie posiadało, ale prasa rządowa mogła robić reklamę i usypiać czujność społeczeństwa, pisząc o wspaniałym, nowoczesnym uzbrojeniu naszego wojska. „Byczo jest”, mówił generał Składkowski z zadowoleniem.

— Wojsko, to znaczy „linia” na ogół pracowało bardzo poważnie, sumiennie i dużo, ale nie z jego winy — na poziomie 1914 roku, walcząc bezustannie z niesłychanymi trudnościami, jak katastrofalnie niskie stany, brak koni, umundurowania, sprzętu i pomocy wyszkoleniowych, butów i innego koniecznego wyposażenia. Pułki artylerii w tym okresie były tylko pułkami z nazwy. Faktycznie były to tylko w czasie przybycia rekrutów, to jest od 1 marca, ośrodki dość lichego z braku czasu wyszkolenia podstawowego, a od września — gdy zwolniono starszy rocznik — zamieniały się na folwarki, w których oficerowie pełnili obowiązki ekonomów, a kanonierzy byli fernalami dla pracy przy zwożeniu owsa i siana, żywności dla kwatermistrza i czyszczenia sprzętu. O szkoleniu oczywiście nie mogło być mowy. Mimo to, zgodnie z „terminarzem” szły obszerne meldunki o szkoleniu. Dowódcy pułków musieli kłamać, aby im konie nie pozdychały z głodu i brudu, a sprzęt nie zmarniał z braku pielęgnacji. W centrali dobrze ten stan artylerii znano z bezustannych meldunków pisemnych i ustnych, tak

dowódców grup artylerii, jak i dowódców pułków. Życie zaś zmuszało dowódców pułków do składania fałszywych meldunków, gdyż opinię i pułk by stracili, gdyby liczne przybywające do pułku komisje stwierdziły zły stan koni lub sprzętu. O ludzi nikt nie pytał. Wiedzieli o tym wszyscy oficerowie i uczyli się kłamać.

— Wojsku brakowało nie tylko nowoczesnego sprzętu i uzbrojenia we wszystkich rodzajach broni, ale brakło mu nawet tych najniezbędniejszych i podstawowych części uzbrojenia i wyposażenia pokojowego, które nawet nasze, tak ubogie tabele polskie, przewidywały, jak na przykład ostrogi, maski, hełmy, sprzęt o.p.l., sprzęt optyczno-mierniczy w artylerii, uprząż, wozy taborowe itp. Oficerowie często z własnej gaży kupowali gwoździe do butów żołnierzy, kredę do pisania itp.

— Plan mobilizacji faktycznie nie istniał, bo był zupełnie nieaktualny.

Toteż w maju 1935 roku mobilizacja byłaby niemożliwa, a wojna, prowadzona przez nas bez najpotrzebniejszego sprzętu, uzbrojenia i wyposażenia „...trwałaby jeden dzień”.

W tym punkcie Marszałek Śmigły-Rydz ma rację.

A generał Zamorski, w końcu wojny „wygryziony” ze Sztabu Głównego, powiedział odchodząc generałowi Gąsiorowskiemu: „...gdyby wojna wybuchła natychmiast, wiem, że musiałbym być rozstrzelany od razu przed grobem nieznanego żołnierza, ale miałbym tę satysfakcję, że patrzyłbym na jego śmierć, bo on byłby rozstrzelany pierwszy...”

Wręczył też generałowi Gąsiorowskiemu pismo w zalakowanej kopercie z pieczęcią „mob” za L.dz.160/mob/35 z datą 25 stycznia 1935 roku, w którym między innymi pisze:

1. Mobilizacja władz.....nie istnieje wcale,
2. Mobilizacja oficerów..... nie przygotowana wcale,
3. Mobilizacja wojska..... tabele nieaktualne,
4. Jeżeli będziemy się mobilizować do przyszłej wojny w ten sposób, to powtórzymy błąd armii austriackiej z 1914 roku, z dodatkiem naszego bałaganu z roku 1918,
5. plan transportów przestał istnieć.....
6. Stan powyższy znany mi od roku 1927 i niejednokrotnie referowany przełożonym, którzy zresztą dokładnie o tym są poinformowani, pogorszył się ostatnio zasadniczym rozdźwiękiem w pracach M.S.Wojsk. i kilku „specjalistów”, specjalnie powołanych, a Sztabem Głównym. Wprawdzie ostatnio po odejściu generała Langnera udało mi się doprowadzić dzięki ppłk. Sierosławskiemu i płk. Ulrychowi do harmonijnej współ-

pracy, to jednak nie może doprowadzić do likwidacji planu „S” ciężącego ciągle nad Armią. Stwierdzam z naciskiem, że wszelkie te roboty nie zmieniły nic z groźnego stanu obecnego. Doprowadziły tylko do ujawnienia zasadniczej tajemnicy odprawy w Brześciu nad Bugiem mobilizacji 33.D.P., podczas gdy zasady tej odprawy wykonane nie są i mob. tych 3 D.P. nie istnieje, do tego stopnia, że faktycznie nie wiadomo z czego mają te 3 D.P. poza pokojowymi powstać.

7. Podkreślam to z poczuciem całkowitej odpowiedzialności za to co piszę z tym, że wydaje mi się, iż Pan marszałek przekonany jest, że zarówno odprawa w Krakowie jak w Brześciu nad Bugiem są zrealizowane, tymczasem ani jedno, ani drugie.

8. System pracy studiami, robionymi przez różnych *ad hoc* specjalistów w postaci generała Wołkowickiego i płk. Lewińskiego bez wcielania studiów w czyn w nowym planie, czy zmianach w poprzednim jest systemem zgubnym i, twierdząc to z całą świadomością, prowadzącym w chwili mobilizacji najkrótszą drogą do katastrofy...

9. Tymczasem jednak istnieje kategoryczny zakaz Pana Marszałka wprowadzania jakichkolwiek zmian w planie obecnym, czy przystępowania do opracowania planu nowego, jak również wydania nowych organizacji wojennych, bo dawne są z roku 1923.

10.

11. W końcu jeśli chodzi o materialną stronę przygotowania naszego wojska do wojny, to podkreślam, pominąwszy wszystko inne, co można o tym napisać, jedno:

Możemy się bić około miesiąca do dwóch, bo na tyle czasu mamy zapalników. Na to zagadnienie zwracałem uwagę przełożonych w czasie ubiegłych lat kilkakrotnie bez rezultatu. Cóż z tego, że mamy amunicji piechoty na sześć miesięcy? Bez artylerii możemy najwyżej powtórzyć partyzantkę Burów z roku 1901.

Armia bez oficerów z jednej strony, bez amunicji artyleryjskiej i taborów z drugiej strony — może chwalebnie zginąć — ale bić się nie może!

12. Do żadnej wojny gotowi nie jesteśmy!

Ochodząc z wojska melduję to Panu Generałowi, bowiem jakkolwiek chętnie dzielę się swoją zasługą, chętnie ponoszę odpowiedzialność za czyny przeze mnie popełnione, nie chcę w przyszłości ponosić odpowiedzialności, zwłaszcza moralnej, za stan, w jakim pod względem przygotowań mob. znajdzie się nasze wojsko, albowiem Panu Generałowi przyczyny takiego stanu rzeczy są najdokładniej znane, a razem z tym i to, że

odpowiedzialności za to nie ponoszę.

13. Powyżej poruszyłem tylko odcinek Armii samej — pozostaje dziedzina mob. Państwa, którą zajmowałem się swego czasu jako p.o. zastępcy Szefa Sztabu. Na rozkaz Marszałka zajmować się przestałem. Stwierdzam, że o tym zagadnieniu nie myśli poważnie nikt. W niektórych ministerstwach robi się małe, drobne rzeczy z inicjatywy dogorywających tam wydziałów woj-skowych, ale faktycznie przygotowania samego aparatu pań-stwowego do zmobilizowania się nie istnieją, mob. pieniężna nieprzemyślana, mob. przemysłu i handlu na bezdrożu — prawie nie istnieje, mob. policji państwowej nie istnieje, mob. K.O.P. nie istnieje, doskonała kadra Straży Granicznej niewykorzystana.

(—) *Kordian ZAMORSKI*
generał brygady

Przez długi czas po złożeniu tego pisma, które w odpisie posłałem do G.I.S.Z., oczekiwałem wielkiej burzy z procesem sądowym włącznie. Nic podobnego nie nastąpiło, mimo że gen. Gąsiorowski raport ten przeczytał. Raport ten był znany również następcy generała Gąsiorowskiego, generałowi Stachewiczowi..." (L.dz.994/A/40).

GEN. Izydor MODELSKI

(*Ciąg dalszy nastąpi*)

Z DZIEJÓW EMIGRACJI

Konstanty St. KAMIŃSKI

POLACY W SZWAJCARII (1832 — 1863)

Polacy bywali w Szwajcarii od czasów średniowiecznych¹. Do pierwszych wybitniejszych naszych rodaków przebywających w tym kraju należeli: pisarz i rektor Akademii Krakowskiej, Paweł Włodkowic z Brudzewa, który zasłynął obroną spraw polskich na soborze w Konstancji oraz postępujący w r. 1434 na sobór w Bazylei poeta i podkanclerzy, Stanisław Ciołek. W wiekach następnych studiował tam m.in. w l. 1578-1587 Marcin Chmielecki, który był następnie profesorem Uniwersytetu Bazylejskiego od r. 1589 i pełnił wielokrotnie godność dziekana i rektora (1613/14, 1627/28). W XVI w. przebywał w Zurychu i pracował nad słownikiem polsko-łacińskim nasz leksykograf, arianin, Jan Mączyński oraz studiowali tam: przyszedł poeta Daniel Naborowski — medycynę w Bazylei (1592-95) i polityk Jan Ostroróg — w Bazylei i Genewie (1581). Ostatnie dwa lata życia spędził potem w Solurze Tadeusz Kościuszko.

1. Zob.: A. Bonarski, *Stosunki intelektualne polsko-szwajcarskie w ciągu wieków*, „Przegląd Współczesny” 1931, nr 112/113; H. Barycz, *Z dziejów polskich wędrówek naukowych za granicę*, Wrocław 1969; S. Kot, *Polacy w Bazylei za czasów Zygmunta Augusta*, Ref. w Pol. 1921; A.M. Skałkowski, *Kościuszko en Suisse* [w:] Pologne-Suisse, Varsovie — Lw. 1938; Historia nauki polskiej, t. 1-2, 4, Wrocław 1970-4.

I

Większa liczba Polaków zamieszkiwała w Szwajcarii po upadku powstania listopadowego, tworząc niekiedy znaczące ośrodki (instytucje) polityczne, społeczne bądź kulturalne oraz wnosząc niebagatelny wkład do niektórych dziedzin cywilizacji szwajcarskiej. Od 1832 do 1863 r. przebywało tu od kilkudziesięciu do około sześciuset naszych rodaków. Nie bez znaczenia był fakt, że ten demokratyczny kraj nie uznał rozbiorów Polski, a jego mieszkańcy odznaczali się kultem wolności, odnosili się do emigrantów polskich życzliwie i gościnnie, starali się, jak i postępowe władze wielu kantonów — mimo nacisku zaborców i ulegania mu niekiedy przez władze centralne Związku Szwajcarskiego — pomagać im materialnie w niełatwym życiu i działalności².

Kształciła się tam wówczas na uniwersytetach, w akademiach i innych zakładach naukowych, jak przeznaczony dla cudzoziemców Pensionnat de la Grenade w Genewie, pewna liczba polskiej młodzieży. Odwiedzali Szwajcarię różni turyści polscy (bogaci podróżnicy), np. liczna rodzina Wodzińskich, Otto Rajecki oraz ludzie interesu, jak finansista Ludwik hr. Jel-ski. Przebywali okresowo dość liczni wojskowi. Wielu emigrantów polskich osiedliło się tu na stałe, a niektórzy z nich zasłynęli w różnych dziedzinach, jako działacze polityczni, projektanci i budowniczości, wytwórcy renomowanych zegarków, organizatorzy armii szwajcarskiej. Mieszkali tu i tworzyli nasi najwybitniejsi pisarze i inni ludzie pióra oraz znani filozofowie, bywali też różni nasi działacze i twórcy kultury przejazdem lub jedynie na krótko.

W tym okresie istniały w Szwajcarii polskie lub polsko-szwajcarskie organizacje społeczne, polityczne i kulturalne, a także zaczęło ukazywać się pierwsze polskie czasopismo. Oprócz omawianych w dalszej części tego szkicu ugrupowań, stowarzyszeń i komitetów — jak Legion Polski (tzw. Hufiec Święty), Rada Gospodarcza (Rada Emigracji Polskiej w Szwajcarii), Towarzystwo Tułaczów Polskich na Ziemi Szwajcarskiej, Towarzystwo Praw Człowieka i Obywatela na Tułactwie Polskim w Szwajcarii, Komitet Centralny Polski — w połowie marca 1834 r. powstała w Szwajcarii tajna demokratyczno-niepodległościowa organizacja polityczna pod nazwą Młoda Polska, która istniała

2. Por. J. Bartkowski, *Wspomnienia z powstania 1831 roku i pierwszych lat emigracji*, Kraków 1967.

do końca r. 1836³. Dnia 12.VI.1834 r. wydała ona pierwszą odezwę, informującą o powstaniu Komitetu Tymczasowego oraz wzywającą do tworzenia gmin tej organizacji w celu walki o wolność i — jej warunek — równość wszystkich ludzi i ludów. W skład tego Komitetu weszli pozostali w Szwajcarii członkowie rozwiązanego 26.IV.1834 r. Legionu Polskiego K. Stolzman, F. Nowosielski, F. Gordaszewski, K. Zaleski i J. Dybowski. Młoda Polska nie zyskała wielu zwolenników ani wśród przerzedzonej po wyprawie sabaudzkiej tutejszej naszej emigracji, ani w ogóle — po werbunku do niej członków we Francji i Belgii. Liczba członków nie przekroczyła 142 (w Szwajcarii — 17). Z bardziej znanych osobistości do tej organizacji należeli: Joachim Lelewel (od końca 1834, potem jej przewodniczący), Szymon Konarski, Ludwik Mierosławski, Wiktor Heltman, Walenty Zwierkowski, Aleksander Napoleon Dybowski. Ta nieliczna organizacja, która nie wyszła w zasadzie poza sprawy organizacyjne (Stały Komitet wybrano dopiero w końcu grudnia 1835 r.), rozpoczęła na nowo konspirację w kraju, wysyłając tam emisariuszy, m.in. Sz. Konarskiego i T. Żabickiego, zainicjowała nową organizację — Stowarzyszenie Ludu Polskiego, podejmowała próby zjednoczenia emigracji polskiej i wznowienia na emigracji obrad Sejmu. Po upadku Młodej Polski wielu jej członków wstąpiło do Zjednoczenia Emigracji Polskiej. Próby jej wznowienia (reaktywowania) przez K. Stolzmana i S. Worcella nie powiodły się.

W grudniu 1838 r. założona została w Genewie instytucja charytatywno-samopomocowa od nazwą Skarbuna Polska. Jej inicjatorem, współzałożycielem, jednym z najaktywniejszych członków i wieloletnim skarbnikiem był znany genewski fabrykant zegarków, Antoni N. Patek. Do jej współzałożycieli i czynnych działaczy należał Henryk Nakwaski.

W omawianym okresie istniało w Szwajcarii Stowarzyszenie Wzajemnej Pomocy i Gmina Polska Genewska. Prezesem tych organizacji był Aleksander Stryjeński.

Po apelu Juliana Ursyna Niemcewicza o współpracę emigracji polskiej w Szwajcarii z Towarzystwem Literackim Polskim w Paryżu (od 6.XI.1834 Tow. Historyczno-Literackie) 29.XI.1839 r. powstał w Genewie tzw. Dozór Polski, zwany też Dozorem Genewsko-Polskim⁴. Początkowo był on swego rodzaju ekspozyturą w.w. Towarzystwa paryskiego, potem (od r. 1848) — organizacją

3. Szczegółowo: S. Sokołowska, *Młoda Polska. Z dziejów ugrupowań demokratycznych Wielkiej Emigracji*, Wrocław 1972

4. Por.: A. Lewak, *Dozór polski w Genewie w r. 1848 (Sprawa Legionu szwajcarsko-polskiego. Korespondencja A. Mickiewicza z M.H. Nakwaskim)*, „Kwart. Hist.” 1919, s. 45-60

polityczną, reprezentującą w zasadzie wszystkich Polaków zamieszkałych w Szwajcarii. „Celem towarzystwa genewskiego — wg A. Lewaka⁵ — było śpieszenie z pomocą rodakom oraz wspólna praca nad dziejami Polski z paryskim Towarzystwem Historyczno-Literackim”. Za jego inicjatora uznaje się wspomnianego H. Nakwaskiego, który — z wyboru członków — przewodził mu wraz z A. Stryjeńskim i A. J. Kisielewskim, szczególnie aktywnie podczas Wiosny Ludów. Do Dozoru należało około 40 członków, przede wszystkim byłych uczestników powstania listopadowego i członków Hufca Świętego oraz Młodej Polski, którzy osiedlili się w Szwajcarii na stałe, pracując w fabrykach zegarków, jako nauczyciele, inżynierowie, kartografowie, drukarze, robotnicy w różnych branżach, a także żyjąc z posiadanych kapitałów i posiadłości. Organizowano początkowo obchody rocznicy powstania listopadowego, współpracowano z Towarzystwem Literackim w Paryżu, zapewniano pomoc materialną potrzebującym rodakom. W maju 1844 r. założono, głównie dzięki H. Nakwaskiemu, Bibliotekę i Czytelnię Polską w Genewie. Najbardziej ożywioną działalność prowadził Dozór Polski w Genewie w r. 1848, po uzyskaniu 28 marca mandatu reprezentowania całej Polonii szwajcarskiej. Udzielał wtedy pomocy emigrantom polskim idącym walczyć w kraju, w Berlinie i Wiedniu, w Badenii, w Italii i na Węgrzech. Nawiązał stosunki z paryskim Komitetem Narodowym, z Komitetem Narodowym w Poznaniu i Komitetem Polskim w Dreźnie. Najdotkliwszy zawód sprawił Dozorowi Polskiemu Komitet w Poznaniu, do którego H. Nakwaski zwrócił się pismem z dniem 28.III.1848 r. polecając usługi i wolę podjęcia starań o uznanie niepodległości Polski przez władze szwajcarskie i turyńskie. Ponowił je 10 kwietnia tegoż roku, proponując ponadto pomoc krajowi przez organizowany legion polsko-szwajcarski pod wodzą płka Karola Klossa, a po odzyskaniu niepodległości przez naszą ojczyznę — budowę w niej dochodowego przemysłu zegarmistrzowskiego, m.in. siłami osadników szwajcarskich. Dopiero pismem z dnia 18 kwietnia tego pamiętnego roku Komitet w Poznaniu poinformował o powstrzymaniu działań rewolucyjnych w tym regionie (o ugodzie z Niemcami i rozpuszczeniu ok. 30 tys. żołnierzy), nie załatwiając przemarszu legionu polsko-szwajcarskiego przez Prusy i nie upoważniając Nakwaskiego do reprezentowania spraw krajowych w Szwajcarii. Po tej niepomysłnej odpowiedzi — nb. podpisanej przez Libelta, Moraczewskiego i Mielżyńskiego — oraz dodatkowym wyjaśnieniu gen. D. Chłapowskiego, przesłanym zaprzyjaźnionemu A. Stryjeńskiemu w liście z dnia

5. *Tamże*, s. 45

20 kwietnia, Dozór Polski w Genewie zbierał fundusze na zakup broni dla kraju i na przebywających w Szwajcarii naszych rodaków. Zwrócił się o ofiary do miejscowych Polaków i do Włochów w specjalnej odezwie, którą dla Włochów przetłumaczył przyjaciel Polski Vegezzi Ruscal, wydał w Turynie i rozestął po całej Italii. Odezwa drukowana 6 maja w Turynie, pióra H. Nakwaskiego, zachęcająca do tworzenia komitetów i legionów polskich oraz wzywająca do składek na broń dla Polski, dotarła do Mickiewicza, który organizował w Mediolanie legion polsko-słowiański pod dowództwem płka M. Kamińskiego, powodując wymianę korespondencji z Nakwaskim. Ujawniła się w niej niewiara Dozoru — jak zresztą znacznej części emigracji — do poczynañ Mickiewicza, która zniechęciła wielkiego poetę do emigracji polskiej w Szwajcarii.

Nowe organizacje polskie i polsko-szwajcarskie, mające na celu pomoc Polsce i Polakom, zaczęły następnie powstawać w tym kraju po wybuchu powstania styczniowego, jak np. Komitet Szwajcarsko-Polski, zorganizowany w r. 1863. Ożywioną działalność na rzecz naszej ojczyzny podjęli zamieszkali tu od lat rodacy, w tym również Andrzej Towiański, Henryk Kamiński i Antoni N. Patek (o czym niżej).

Dnia 8.X.1860 r. wyszedł z druku w Genewie pierwszy numer („poszyt”) pierwszego w Szwajcarii czasopisma polskiego pt. *Prawda*, wydawanego i redagowanego przez Henryka Kamińskiego pod kryptonimem X.Y.Z. W tym mieście ukazał się jeszcze 27.II.1861 r. drugi numer tego „pisma czasowego”. Pozostałe cztery, w tym czwarty i piąty łącznie, wydane zostały już w Berlinie.

II

Najliczniejszą, przekraczającą okresowo pięćset osób grupę emigracji polskiej w Szwajcarii w latach 1833-1834 stanowili wojskowi. Przybyli oni w początkach kwietnia r. 1833, głównie z Besançon we Francji, zdążając na pomoc powstaniu we Frankfurcie n. Menem, które miało zapoczątkować powszechną rewolucję europejską⁶. W przygranicznej wsi Gumois zorganizowali się 9 kwietnia — na zasadzie dobrowolności — w oddział będący rodzajem gminy żołnierskiej, który przyjął nazwę

6. Zob.: A. Lewak, *Od związków węglarskich do Młodej Polski. Dzieje emigracji i Legionu Polskiego w Szwajcarii w r. 1833-1834*, Warszawa (1937) S. Kalembe, *Wielka Emigracja. Polskie uchodźstwo polityczne w latach 1831-1862*, Warszawa 1971, s. 165-170.

Legionu Polskiego lub Hufca Świętego. Wszystkich zwierzchników wybierano i o wszystkich sprawach decydowano w nim „równymi, niepodległymi i pojedynczymi” głosami. Składał się on z dwóch batalionów i ośmiu kompanii (potem przybyły z innych zakładów emigracji polskiej we Francji stanowili kompanie 9-tą i 10-tą). W Legionie było tylko 25-ciu żołnierzy, resztę stanowili oficerowie, w tym trzech pułkowników i sześciu podpułkowników. Naczelnikiem Hufca Świętego („żołnierzem naczelnikiem”) wybrano płk. Ludwika Oborskiego⁷, szefem sztabu — kpt. Karola Stolzmana, kwatermistrzem — ppłk. Jana Lelewela (brata Joachima), dowódcami batalionów — płk. Kazimierza Paszkowicza i Jakuba Antoniniego. Ponieważ okazało się, że powstanie frankfurckie po kilku godzinach zostało stłumione 3 kwietnia, Legion Polski przekroczywszy granicę szwajcarską w Saigneliger pozostał w kantonie berneńskim. Choć jego organizacja została zachowana, w pierwszych dniach maja 1833 r. utworzono zwierzchnią władzę polityczną, tj. 8-osobową Radę Gospodarczą (Radę Emigracji Polskiej w Szwajcarii *vel* Radę Tułaczów Polskich na Ziemi Szwajcarskiej), której prezesem ogół wybrał L. Oborskiego, a członkami — pozostałych przywódców Hufca Świętego oraz Feliksa Nowosielskiego, Franciszka Gordaszewskiego i Teodora Stefańskiego. Rada powierzyła funkcję kasjera Emerykowi Staniewiczowi, zaś sekretarza — Konstantemu Zaleskiemu. Siedzibami wybieranej co trzy miesiące Rady były kolejno miejscowości: Saigneliger, Porrentruy, Bienne, Berno. Podstawę organizacji politycznej stanowił *Akt zobowiązania się wzajemnego tułaczów polskich na ziemi szwajcarskiej*, którego projekt opracowała specjalna komisja czteroosobowa, złożona z przedstawicieli poszczególnych pododdziałów pod przewodnictwem Andrzeja Gregorowicza. Projekt został przyjęty przeważającą większością głosów (435 przeciwko 65) i podpisany pod datą 3.V.1833 r. Emigranci polscy w Szwajcarii, przybyli z Francji i innych krajów, którzy podpisali tę ustawę, stanowili Towarzystwo Tułaczów Polskich na Ziemi Szwajcarskiej.

Zgodnie z owym *Aktem*, każdy członek tej zwartej organizacji politycznej, zwanej „wędrującą Rzplitą polską” (od wyznaczania drobnym grupkom Polaków coraz to innych miejsc pobytu we francuskiej części kantonu berneńskiego), jest osobą publiczną, a jego posłannictwem — gotowość zbrojna w nadziei na walkę o wolność ojczyzny. Wszyscy byli sobie równi bez względu na stopnie i zasługi oraz jednakowo zamożni jako

7. B. Cygler, *Pułkownik Ludwik Oborski szermierz wolności (1789-1873)*, Gdańsk 1971

obywatele-żołnierze. Władzę prawodawczą i sędowniczą stanowił ogół, który powierzał w drodze wyborów wszelkie stanowiska i funkcje oraz odwoływał z nich. Rada, do której wybierani musieli mieć 3/5 głosów, wydawała co dekadę pisma i okólniki, prowadziła korespondencję, troszczyła się o potrzeby materialne rodaków. W jednym z pism wyraziła nawet przekonanie (nadszanie), że emigracja szwajcarska stanie się reprezentacją narodu.

Przybyły z Paryża wysłannik Komitetu Narodowego, Anastazy Dunin, pisał 3.V.1833 r. z Porrentruy o członkach tej organizacji:

„Część ta Polaków w Szwajcarii rzadki stawia widok braterskiej zgody i wzajemnego zaufania. Wspólnemu dobru wszelką różność opinii poświęcono. Dawne stosunki między starszymi i młodszymi zamieniono w koleżeńską równość, a posłuszeństwo, nie subordynacja, ale uczuciem honoru wojskowego utrzymywane dla dowódców, pokazuje narodowi, jakich ma synów i jakich miał żołnierzy”.

Dzięki wzorowemu prowadzeniu się emigranci polscy zyskali sympatię miejscowej ludności. Przychylnie odnosiły się do nich liberalne władze kantonu berneńskiego, natomiast z dystansem władze centralne Szwajcarii, o czym już wspomniano wyżej.

Sytuacja materialna tej grupy emigracyjnej była, zwłaszcza początkowo, bardzo trudna. Przez 18 dni członkowie Hufca Świętego utrzymywali się sami — z utworzonej 9 kwietnia wspólnej kasy, do której oddali dobrowolnie posiadaną gotówkę i kosztowności (precjoza). Od 27.IV.1833 do 1.II.1834 r. rząd berneński wypłacał po 18 *sous* (tj. 6 *batzów*, czyli 90 centymów) dziennie na osobę Szwajcarom, u których Polacy byli rozlokowani. Stałe zapomogi miesięczne przyznawały też kantony: Vaud, Zurych, Genewa, Lucerna. Inne, jak Tessin, Fryburg, St. Gallen i Aargaou, udzieliły pomocy jednorazowej. Przysyłali pewne datki patrioci szwajcarscy, francuscy, angielscy, niemieccy i polscy (np. Klaudyna Potocka) oraz organizacje emigracyjne, jak Komitet Dwernickiego, komitety polsko-szwajcarskie. Nadto niektórzy „celniejsi” Szwajcarzy przyjęli do swych domów pojedynczych Polaków na własny koszt⁹. Zarządzaniem funduszami przekazywanymi tutejszej emigracji polskiej zajął się utworzony pod koniec maja 1833 r. w Bernie Komitet Centralny Polski. Mimo jego sprzeciwu pewnymi, dość znacznymi funduszami dysponowała nadal Rada Gospodarcza, która w końcu tego roku

8. A. Dunin, *O Polakach w Szwajcarii*, „Pamiętnik Emigracji” 1833, cz. 3
9. J. Bartkowski, *op. cit.*, s. 183/4, 187-9.

posiadała 180 tysięcy franków¹⁰.

Nie wszyscy jednak Szwajcarzy chętnie przyjmowali przydzielonych im Polaków nawet za opłatą, jak wieśniacy z Cornol. Życzliwy naszym rodakom prefekt Stockmar z Porrentruy radził zatem, aby „w celu ujęcia sobie swych gospodarzy, pomagali im według możliwości ręką i radą w ich pracach gospodarczych¹¹. Nierzadko stosowano się do tych rad, np. ppor. Adam Zapolski wywoził u karczmarza gnój na pole, a potem został garsonem i obsługiwał chłopom w karczmie, podając im piwo, oraz wymalał bezpłatnie budzący podziw wieśniaków szyld (ułana na karym koniu); Jan Hauszyld pomagał młynarzowi „przy pytlu”, Tomasz Jasiński „wziął się do blacharstwa” i wyrabiał naczynia i sprzęty kuchenne, „Łempicki August — jak wspomina J. Bartkowski — został furmanem w rulażu (w przedsiębiorstwie przewozowym), przewoził towary z Bazylei do Berna i tak sobie przyswoił postawę, obyczaj i język furmański, że nikt by się nie domyślił, że to cudzoziemiec i niedawno przedtem oficer¹²”. Wielu naszych rodaków trudniło się, o czym niżej, drukarstwem (zecerstwem), zegarmistrzostwem i innymi zawodami.

Mimo różnych kłopotów i trudności Rada Gospodarcza, zwana też wg J. Bartkowskiego Radą Emigracji Polskiej w Szwajcarii, zaprosiła pismem z dnia 24.VII.1833 r. do Szwajcarii Joachima Lelewela, wyrażając przekonanie, że połączenie się z członkami Legionu Polskiego osłodziłoby przykrości i cierpienia wielkiego uczonego. Nie mogąc przyjąć zaproszenia do zakazanego dla niego kraju, Lelewel pisał 30 sierpnia tego roku do Rady Tułaczów Polskich na ziemi szwajcarskiej:

„Wielkie jest wasze, Szanowni rodacy, powołanie, trudne i niebezpieczne położenie, zazdrości godne postępowanie. Oczy rozproszonego tułactwa naszego zwrócone na was. Wszystkich myśli za wami gonią¹³”.

Na prośbę władz wydzielonego z kantoru bazylejskiego postępowego kantoru wiejskiego (Bâle-Campagne) ze stolicą w Liestal, latem roku 1833 sześciu oficerów polskich z tzw. Hufca Świętego — Karol Kloss, Edward Vernezobe, Ludwik Mierosławski, Tadeusz Pągowski, Juliusz Michałowski i Jan Głowicki — zostało instruktorami formowanej tu milicji ludowej do

10. O syt. mater. zob.: *Zdanie sprawy z czynności emigracji polskiej w Szwajcarii*, Paryż 1833; F. Gordaszewski, *Stan Polaków w Szwajcarii*, Bienne 6.VIII 1833 (w:) *Komitet Narodowy Emigr. Pol....*, Paryż 1833, s.2; A. Dunin, *op. cit.*; S. Sokołowska, *op. cit.*, *passim*.

11. J. Bartkowski, *op. cit.*, s. 187.

12. *Tamże*, s. 189.

13. J. Lelewel, *Listy emigracyjne*, t.1, Kraków 1948, s. 182.

obrony przed spodziewanym atakiem wojsk reakcyjnego rządu w Bazylei. Następnie wzięli udział w walce przeciw 500-osobowemu oddziałowi najemnemu Bazylei (złożonemu głównie z Niemców), a dowodzonemu przez płka Landerera. Dzięki pomysłowej taktyce (zasadce) przywódcy Liestalczyków i okolicznych chłopów, płka K. Klossa, przeważające siły bazylejskie poniosły klęskę, zginęło 160 najemników, a ich dowódca dostał się do niewoli i został następnie zabity przez rozjuszonych chłopów. Ponieważ władze bazylejskie ogłosiły w gazetach, że Liestalczycy zwyciężyli tak duży oddział wojsk regularnych dzięki znacznej liczbie Polaków walczących w ich szeregach pod wzgórzami Hüftenschanze — płk K. Kloss oraz pięciu pozostałych oficerów polskich biorących udział w bitwie opublikowało 7 sierpnia w pismach szwajcarskich odpowiednie oświadczenie, że tylko oni z Polaków brali udział w potyczce 3 sierpnia, a zwycięstwo waleczni Liestalczycy zawdzięczają własnej odwadze i im należy się sława¹⁴. W rzeczywistości „zabłąkało się” tam jeszcze 3-ch czy 4-ch żołnierzy, a wśród nich niejaki Jan Koza, zaś rola nielicznych naszych oficerów w tym ważnym zwycięstwie była dość istotna, jeżeli nie decydująca.

Po tej krótkotrwałej wojnie domowej władze federalne rozwiązały występującą przeciw kantonom demokratycznym Ligę Sarnenską, ale państwa zaborcze wzmożyły naciski dyplomatyczne mające na celu wydalenie Polaków ze Szwajcarii. Rada Gospodarcza wysłała zatem do Sejmu Związkowego w Zurychu pismo proponujące pomoc Polaków w razie zbrojnej interwencji. Ostatecznie z różnych względów — jak wspomniana presja zaborców, konflikt w Radzie, nieprzychylny względem naszych rodaków posunięcia władz szwajcarskich — pod koniec 1833 r. 240 Polaków skorzystało z zezwolenia powrotu do Francji, a 66 udało się do innych krajów. Mimo to pozostało tu jeszcze przeszło 200 członków Hufca Świętego.

Dnia 1.XII.1833 r. założono Towarzystwo Praw Człowieka i Obywatela na Tułactwie Polskim w Szwajcarii, do którego weszło 213 naszych rodaków. Towarzystwo głosiło hasła walki o wolność, równość, sprawiedliwy rozdział korzyści i ciężarów. Gminy powstające w miejscowościach, gdzie mieszkali Polacy, dzieliły się na sekcje liczące od 10-20 członków. Gminę w Bienne (Biel) nazwano Młodą Polską. Należeli do niej: L. Oborski, J. Antonini, K. Stolzman, J. i A. Dybowscy, T. Żabicki.

Z powodu różnicy stanowisk w sprawie współpracy z Młodymi Włochami J. Mazziniego i planowanej zbrojnej wyprawy

14. Tekst tego oświadczenia podał J. Bartkowski w cyt. *Wspomnieniach* (s. 205).

sabaudzkiej doszło do takiego zaostrzenia konfliktu w Radzie i rozbicia jej jedności i zwartości Hufca Świętego, że przeciwny temu współdziałaniu i wyprawie płk L. Oborski (po próbie zamachu na jego życie, podobno przez Gordaszewskiego) zrezygnował ze stanowiska naczelnika. Usunął się też płk K. Paszkowicz. Na czoło wysunęli się zwolennicy Mazziniego, tj. K. Stolzman, F. Gordaszewski, F. Nowosielski i J. Antonini, pozyskując ok. 160 ludzi. Trzej pierwsi podpisali 27.XI.1833 r. porozumienie (umowę) z Komitetem Włoskim. Na podstawie tej umowy w lutym następnego roku stu kilkudziesięciu Polaków wzięło udział w wyprawie zbrojnej o wyzwolenie graniczącej ze Szwajcarią Sabaudii, należącej do Francji, ale rządzonej przez króla Sardynii Karola Alberta. Wyprawą dowodził gen. Ramorino, szefem sztabu był gen. Roman Sołtyk. Złe przygotowana i kierowana, zakończyła się ona zupełnym niepowodzeniem¹⁵. Polacy zostali aresztowani w kantonach Genewa i Vaud. Dopiero po długich zabiegach wrócili do kantonu berneńskiego. Dnia 5 marca wybrano Radę Tymczasową Polaków w Szwajcarii, ale nie odegrała ona istotniejszej roli. Dnia 21. IV. 1834 r., po interwencji dyplomatycznej państw zaborczych, wręczono emigrantom polskim drukowane wezwanie z prośbą o opuszczenie Szwajcarii. Pięć dni później członkowie Hufca Świętego przegłosowali w Bernie jego rozwiązanie (84 głosami przeciwko 48). Ostatecznie akt rozwiązania tej organizacji wojskowej podpisało 163 Polaków, a wśród nich płk L. Oborski. Pod koniec kwietnia tegoż roku (ok. 140) b. członków Hufca odebrało paszporty na przejazd grupkami przez Francję do Anglii. Wśród innych w połowie maja znalazł się w Londynie płk L. Oborski. Po deportacji członków legionu (Hufca) w końcu kwietnia i na początku maja 1834 r. w Szwajcarii przebywało kilkudziesięciu Polaków, w tym ok. 50 członków rozwiązanego legionu, z których wielu pozostało tu na zawsze.

Oprócz przywódcy legionu (Hufca Świętego) i Rady Gospodarczej płka L. Oborskiego (1789-1873) — uczestnika organizacji spiskowych w kraju, powstania listopadowego i badensko-palatynackiego w r. 1849 oraz członka I Międzynarodówki — do najwyższych rangą oficerów polskich należał wtedy w Szwajcarii płk Kazimierz Paszkowicz (1788-1845), który brał udział już w wojnach napoleońskich, oraz poznany z wyjątkowego męstwa w powstaniu listopadowym Włoch z pochodzenia, płk Jakub Antonini (1792-1855), który dosłużył się potem stopnia generała i marszałka polnego na Sycylii, gdzie był począt-

15. W. Prechner, *Wyprawa do Sabaudii w r. 1834*, „Przeg. Hist.” 1924, t. XXIV; M. Wawrykowa, *Geneza powstania sabaudzkiego*, tamże, 1970, z. 2.

kowo naczelnym wodzem wojsk rewolucyjnych w powstaniu 1849 r. (zanim opuścił wyspę z powodu ostrego konfliktu z Ludwikiem Mierosławskim).

Z najczynniejszych członków Hufca Świętego na uwagę zasługują: ppłk Feliks Nowosielski (1800-1864) oraz kpt. Franciszek Gordaszewski (1801-1870) i Karol Stolzman, którzy cieszyli się dużą popularnością wśród towarzyszy emigracji, o czym świadczyły wybory ich do Rady Gospodarczej (Rady Emigracji Polskiej w Szwajcarii). Jako zwolennicy współpracy z J. Mazzinim, wiele wysiłku włożyli w organizację chybionej wyprawy sabaudzkiej, potem wyróżnili się aktywnością w międzynarodowej organizacji rewolucyjnej Młoda Europa, a także jako współzałożyciele i przywódcy Młodej Polski.

Podczas Wiosny Ludów przechodzili przez Szwajcarię nasi szermierze wolności, podążający walczyć o niepodległość w kraju, na Węgrzech, bądź we Włoszech, na Sycylii. Nowa, dość znaczna grupa polskich wojskowych napłynęła tu dopiero w lecie (w lipcu) 1849 r., po uczestnictwie w powstaniu badeńsko-palatynackim¹⁶. Przybył, po rezygnacji 1 lipca ze stanowiska naczelnego wodza tego powstania, gen. Ludwik Mierosławski (1814-1878) i przebywał w Bernie do października, kiedy to powrócił do Paryża. Oprócz gen. Mierosławskiego znalazło się przejściowo w zasadzie na ziemi szwajcarskiej kilkudziesięciu polskich oficerów oraz około 200-300 żołnierzy powstałego w południowych Niemczech legionu polskiego i oddziału (kompanii) ochotniczego młodzieży emigracyjnej.

Mieszkający w Bernie Stanisław Małachowski pisał zjadliwie do „jednego z filarów Hotelu Lambert” w Paryżu, Barzykowskiego, w liście z dnia 12.VII.1849 r.:

„Kraj tu i czas przesłiczny i tylko teraz zabrukany uciekającymi, hałasem demagogów niemieckich z naszym wodzem naczelnym z Wersalu, który pokazał jeszcze raz dobitniej, czym jest, to jest kpm wielkim, bezczelnym, który narobiwszy niestychanych głupstw jak zawsze, przed końcem czmychnął¹⁷”.

Wśród przybyłych z południowych Niemiec oficerów byli m.in.: płk Siegiel, ppłk Pisarski, mjr Trociński, kpt. Adam Mierosławski (brat Ludwika) i Domagalski oraz późniejszy autor

16. J. Falkowski, *Wspomnienia z roku 1848 i 1849*, Poznań 1879; A. Owsieńska, *Powstanie palatynacko-badeńskie w 1849 r. oraz udział w nim Polaków*, Wrocław 1965; M. Żychowski, *Ludwik Mierosławski 1814-1878*, Warszawa 1963.

17. *Korespondencja Barzykowskiego 1844-1871*, Bibl. Czarторыckich w Krakowie, rkps 1237.

interesujących wspomnień z tych czasów, kpt Juliusz Falkowski¹⁸. Ponadto dotarł do Szwajcarii Aleksander Krzyżanowski (ok. 1825-1894), stojący wraz z W. Heltmanem na czele oficjalnego przedstawicielstwa TDP przy rewolucyjnym rządzie badeńsko-palatynackim, zwanego Komisją Polską. W przeciwieństwie do ulegającego złudzeniom, więcej szkodliwego niż użytecznego Heltmana, nie kierował się uczuciem ani wyobraźnią, miał „charakter umiarkowany, wytrawny, ale pozytywny”.

Polacy rozproszyli się w różnych rejonach Szwajcarii, m.in. w Bernie, Zurychu i Genewie. Najwięcej jednak nowych naszych emigrantów skupiło się zapewne w Genewie, korzystając z życzliwej pomocy H. Nakwaskiego i jego małżonki oraz innych osiadłych tu rodaków i istniejących organizacji polskich. J. Falkowski, który przyjechał do Genewy po krótkim pobycie w Bernie i niemal codziennych odwiedzinach zamieszkałej pod tym miastem spokrewnionej z nim rodziny gen. Józefa Szymanowskiego, napisał w swoich wspomnieniach:

„Z Berna udałem się do Genewy, gdzie zastałem mnóstwo przyjezdnych Polaków emigrantów, między innymi Józefa Sobolewskiego, do którego miałem [...] list polecający od księcia Czartoryskiego. Największa część tych gości w Genewie zgromadziła się w willi zamieszkałej przez państwo Nakwaskich, którzy przyjmowali rodaków z prawdziwie staropolską gościnnością¹⁹”.

W domu Henryka i Karoliny Nakwaskich czuł się Falkowski „jak między krewnymi” (oprócz właściwej gospodarzom serdeczności, jego rodzina pochodziła też z płockiej ziemi i była zaprzyjaźniona z Nakwaskimi od kilku pokoleń). Dzięki H. Nakwaskiemu prezydent kantonu genewskiego, Jomes Fazy, wydał mu paszport na nazwisko rodowitego Szwajcara, umożliwiając podróż za granicę, po trzech tygodniach pobytu w Szwajcarii.

Przybyli w 1849 roku do Szwajcarii polscy oficerowie i żołnierze nie stworzyli tak zwartej i znaczącej organizacji jak Hufiec Święty z lat 1833-1834, przebywali tu na ogół stosunkowo krótko i nie odegrali istotniejszej roli. Pobyt w tym kraju traktowali jako etap przejściowy w swoim życiu tułaczy i bojowników wolności. Opuścili przeważnie Szwajcarię jesienią tego roku lub w roku następnym, jak np. Aleksander Krzyżanowski.

18. J. Falkowski *op. cit.*

19. *Tamże*, s. 379.

III

Nieco więcej uwagi wypada poświęcić choć niektórym wybitniejszym Polakom zamieszkałym wtedy w Szwajcarii, którzy zdobyli sławę w różnych dziedzinach działalności w kraju pobytu, na arenie międzynarodowej lub w ojczyźnie.

Dnia 23.XII.1833 r. przybył z Belgii (Brukseli) do Bienne w Szwajcarii — „wychudzony, w pożyczonym surducie i butach, w wytartej bieliźnie²⁰” — były uczestnik powstania listopadowego i nieudanej wyprawy płka J. Zaliwskiego do kraju wiosną tego roku, przyszedł niezłomny emisariusz, Szymon Konarski (1808-1839)²¹, pozostając tu do jesieni roku następnego. Po opuszczeniu kraju wskutek dekonspiracji wyprawy Zaliwskiego, czteromiesięcznym pobycie w więzieniu elbląskim i deportacji przez Prusaków do Belgii, żył w Brukseli w niedostatku, zarabiając na utrzymanie jako zecer, a następnie grywając na flecie w orkiestrach wiejskich i po „estaminetach”. Czuł się obco wśród tutejszej emigracji polskiej, dlatego pragnął połączyć się z zaprzyjaźnionymi w Besançon rodakami z Hufca Świętego w Szwajcarii. Dowiedziawszy się o jego sytuacji i pragnieniu, Rada Gospodarcza przesłała mu zaproszenie do Szwajcarii i 300 franków na podróż (wraz z Bernsdorfem), „zważając na jego smutne i niepewne dzisiejsze położenie, będące jego miłości do kraju i sprawy wypływem”. Zaproszenie to sprawiło Konarskiemu wielką radość, co wyraził w liście do Rady Gospodarczej z dnia 20.XI.1833 r., pisząc m.in.: „Dowód waszej dobroci przyprowadził mnie raptem z ostateczności znużenia i niecierpliwości do wesołości i — mogę powiedzieć, szczęścia”. Niewykluczony jest też wpływ na decyzję wyjazdu Konarskiego do Szwajcarii Joachima Lelewela, który pozostawał z nim wtedy w bliskich stosunkach i „przywrócił mu wiarę w możliwość politycznego działania”.

W Bienne, gdzie znajdował się wówczas sztab Hufca Świętego i Rada Gospodarcza, Konarski wstąpił niebawem do powstałej tu niedawno gminy Towarzystwa Praw Człowieka i Obywatela na Tułactwie Polskim w Szwajcarii pod nazwą Młoda Polska. Na zlecenie tej organizacji wyjechał na krótko w początkach stycznia 1834 r. do Paryża. Po powrocie wziął w

20. S. Szpotański, *Konarszczyzna...*, Warszawa, b.d., s. 29.

21. Obszerniej: I. Daszyński, *Szymon Konarski*, Lwów 1902; W. Zahorski, *Szymon Konarski (Życie i czyny)*, Wilno 1907; W. Łukaszewicz, *Szymon Konarski (1808-1839)*, Warszawa 1948; H. Mościcki, *Szymon Konarski*, Warszawa 1949; S. Kieniewicz, PSB, t. XIII; Sz. Konarski, *Dzienniki z lat 1831-1834*, Wrocław 1973.

lutym tego roku udział w wyprawie sabaudzkiej. Aresztowany (internowany) przez Szwajcarów w koszarach w Chante-Poulet, uciekł stamtąd 20 lutego i osiadł w miejscowości (wsi) La Chaux-des-Fonds w kantonie Neuchâtel. „Na początku 1834 roku, znajdując się w Szwajcarii, był w zgrai burzycieli, którzy napadali na Sabaudię [...]” — skwitował to potem opacznie *Kurier Litewski* z dnia 18.IV.1839 roku.

W czasie pobytu w wymienionej miejscowości Konarski żył początkowo w niezwykle ciężkich warunkach. Zwracał się o pomoc finansową — przysłanie 20 lub 25 franków w formie pożyczki — do mjr. Wiktora Lubańskiego w Bienne. W jednym z listów do tegoż informował i wyjaśniał:

„Cokolwiek nastąpi, ja przedsięwziąłem tutaj pracować w fabryce zegarków do czasu, w których moja ręka będzie mogła być użyteczna mojej ojczyźnie lub sprawie, dla której pracujemy. Przedsięwziąłem dlatego, że jestem przekonany, że głową moją nie mogę być użyteczny obojgu przedmiotom, a w oczekiwaniu czas beczynnie przepędzać jest nieznośnym po tylu ciągłych prześladowaniach losu, który nas dosięga. Za kilka miesięcy będę mógł sam z siebie utrzymać się, dziś nie mając i grosza przy duszy, żyję na zaręczenie tutejszego obywatela²²”.

Istotnie, w ciągu kilku miesięcy — mieszkając i jedząc na kredyt u majstra — Konarski nauczył się zawodu zegarmistrza i zaczął zarabiać na swoje utrzymanie w fabryce zegarków. Zapewnienie sobie bytu materialnego, praca w wytwórni zegarków i pobyt wśród Szwajcarów nie przynosiły mu jednak satysfakcji. W liście do Hipolita Mierosławskiego z dnia 25.IX.1834 r. pisał m.in.:

„Tymczasem robię, a robię cylindry [do zegarków] [...]. Nie wychodzę nigdzie, rzadko kiedy w niedzielę ze znajomymi idę na przechadzkę, powracam czym prędzej, bo nienawidzę ludzi bez uczucia, których tu nie brak, siadam w kącie, dumam, czytam, czasami gram na flecie i wzdycham do ojczyzny. Głodu nie cierpię, jem, śpię i pracuję, zupełnie tak, jak wół, bo resztę [...] wydarli nam wszystkim, pozbawili nas wszystkiego, do czego nas natura przeznaczyła²³”.

W rzeczywistości życie jego nie ograniczało się jednak wtedy do tego, co wymienił w liście. Brał też udział w działalności organizacji demokratyczno-niepodległościowej Młoda Polska, do której powstania wiosną tego roku w Bernie również się

22. Cyt. za: I. Daszyński, *op. cit.*, s. 16

23. *Wybór pism Szymona Konarskiego* [w:] W. Łukaszewicz, *op. cit.*, s. 209.

przyczynił. Niektórzy badacze nie wykluczają także, iż utrzymywał stosunki z J. Mazzinim, przebywającym wówczas w Szwajcarii. Aby uniknąć deportacji po wyprawie sabaudzkiej, Konarski występował pod nazwiskiem Simon Konar(s), podając się za artystę muzyka i ukrywając swoje polskie pochodzenie. W Młodej Polsce używał nazwiska Rembek.

Jak świadczy jego *Dziennik z lat 1831-1834*, podczas pobytu w Szwajcarii spotykał się z bliskimi mu kolegami, rozlokowanymi w różnych miejscowościach. Najszczęśliwsze chwile przeżył od przybycia do wyprawy sabaudzkiej, „w stolicy rzezypospolitej polskiej w Szwajcarii (Bienne)”, co wyraził na posiedzeniu Rady w dniu 23.XII.1833 r. Z podziwem patrzył na wielu zasłużonych kolegów, pracujących w różnych zawodach — u karczmarzy, rymarzy, garbarzy, zegarmistrzów.

Po otrzymaniu 10.XI.1834 roku od Czyńskiego informacji o zezwoleniu na powrót do Francji i przyznaniu pensji, w cztery dni później wyruszył do Paryża, aby już w maju przyszłego roku pojawić się w Londynie, następnie w Brukseli, a w czerwcu przybyć z A. i L. Zaleskimi do Krakowa i rozpocząć swoją niezwykłą działalność emisariusza.

Według późniejszych wspomnień Zygmunta Szczęsnego Felińskiego tak oto przedstawia się sylwetka tego nieugiętego bojownika wolności:

„Był to średniego wzrostu i średniej tuszy blondyn, regularnych rysów, o błękitnych, ale ognistych oczach; mówił płynnie i z wielkim zapalem, pięknie też śpiewał i grał na flecie, a że był młody, śmiały i silnie zbudowany, posiadał przeto te przymioty, które podbijają serca²⁴”.

Przez wiele lat żył i prowadził wielostronną działalność w Szwajcarii absolwent Wydziału Prawa i Administracji Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego, działacz polityczny w Królestwie Polskim (w środowisku akademickim)²⁵ i na emigracji, poseł na Sejm 1831 r. oraz publicysta — Henryk Mirosław Nakwaski (1800-1876)²⁶.

Przybył tu wraz z żoną Karoliną (rodziną) 4.VIII.1833 r. i

24. Z. Sz. Feliński, *Pamiętniki*, Warszawa 1986, s. 122

25. J. Bieliński, *Królewski Uniwersytet Warszawski (1816-1830)*, t. 2, Warszawa 1911; A. Kamiński, *Polskie związki młodzieży (1804-1831)*, Warszawa 1963.

26. Br. Zaleski, *Zmarli na wychodźstwie od 1873 do 1878 roku*, „Rocz. Tow.Hist.-Liter. w Paryżu”. Lata 1873-1878, t. 2, Poznań 1879; A. Lewak, *Dozór Polski...*, s. 45-60; A. Mickiewicz, *Listy*, cz. II, Warszawa 1955; J. Falkowski, *op. cit.*; L. Gadon, *Emigracja Polska*, Kraków 1902; M. Tyrowicz, PSB, t. XXII.

przebywał — z przerwami, spowodowanymi wyjazdami do Francji, południowych Niemiec i Wielkopolski — do r. 1862. Mieszkał w Vevey koło Lozanny, potem w Lancy pod Genewą i w Genewie. Bez powodzenia próbował założyć w tym kraju jednoczący emigrację Zakon Wychodźców Polskich, określając jego cele i zasady w *Uwagach o użyciu najkorzystniejszym czasu emigracji wraz z projektem aktu ogólnego stowarzyszenia się wychodźców polskich*, opublikowanych w Paryżu (1833, 1838) oraz w zbiorze swoich prac w Vevey (1838) tu m.in. również *Projekt ustaw zakonu wychodźców polskich*. W *Uwagach* tych napisał: „Powinniśmy się starać, aby każdy z nas mądrzejszym wrócił do kraju, jak z niego wyszedł, aby się czego pożytecznego nauczył”. Jako członek, a właściwie szef, specjalnej komisji, powołanej przed rokiem w Paryżu przez przebywających tam polskich posłów na Sejm 1831 — z wielką ofiarnością i wytrwałością kontynuował starania, mające na celu odzyskanie i zabezpieczenie dokumentacji (archiwum) tego Sejmu. Wykorzystując swoje znajomości we francuskich sferach rządowych, pomógł Juliuszowi Słowackiemu w uzyskaniu paszportu do Włoch pod koniec r. 1835. Od 1836 r. był członkiem Komisji Funduszków Emigracyjnych. Jak już wspomniano, należał do współzałożycieli i czynnych działaczy powstałej pod koniec 1838 r. w Genewie Skarbuny Polskiej. Wiele interesujących szczegółów o działalności samopomocowej Nakwaskiego zawiera m.in. jego publikacja pt. *Zdanie sprawy z zebranych pieniędzy w latach 1837 i 38 w Szwajcarii, a szczególnie w Genewie i w Vevey*, ogłoszona w Paryżu i w w.w. zbiorze w Vevey (1838). Mieszkając jeszcze w Vevey, Nakwaski pomagał poznanemu wcześniej w Dreźnie Adamowi Mickiewiczowi w staraniach o objęcie katedry literatury łacińskiej w Akademii Lozańskiej (1838, 1839). Z wielkim poetą przyjaźnił się i podejmował go w swoim domu pod Genewą w czasie jego pobytu w Lozannie. Utrzymywał z nim stosunki także później — mimo różnicy poglądów w wielu sprawach, jak np. mesjanizm i sposób walki o odzyskanie niepodległości Polski, oraz polemicznej nierzadko wymiany korespondencji i odmiennych charakterów.

Ten niestrudzony społecznik i żarliwy patriota położył duże zasługi — o czym była już mowa wyżej — jako inicjator i przywódca tzw. Dozoru Genewsko-Polskiego, współtwórca Stowarzyszenia Wychowania Narodowego Dzieci Wychodźców Polskich w Paryżu (1841) oraz Biblioteki i Czytelnii Polskiej w Genewie (1844), a także jako organizator pomocy dla kraju podczas Wiosny Ludów i dla nowej emigracji polskiej. Nakwaski uczestniczył również w innych pracach (inicjatywach) emigracyjnych, m.in. „trudnił się wzniesieniem pomnika dla Klaudyny Potockiej w Genewie”.

Po wieloletnich staraniach ten zawsze czynny b. poseł bracławski (zwany też, np. przez Lelewelów, Bracławskim) odzyskał, przy pomocy filozofa Bronisława Trentowskiego, ukryte w Hanowerze u pastora „pod ołtarzem” (w depozycie)²⁷ dokumenty Sejmu 1831 i przewiózł je do Genewy w r. 1856. Odtąd „nie rozstawał się z tymi papierami, uważając się za jedynego urzędowego ich stróża”. Szlachetnemu, zasłużonemu dla sprawy polskiej pastorowi przesłał, w dowód wdzięczności i uznania, wykonany u A.N. Patka luksusowy złoty zegarek z podobizną Tadeusza Kościuszki.

W tym też roku (1856) H. Nakwaski otrzymał (przyjął) obywatelstwo szwajcarskie. Odtąd brał czynny udział w życiu kulturalnym i naukowym Genewy, jako członek Société Genevoise d'Utilité Publique oraz L'Institut Genevois (sekcja rolnictwa). W r. 1860 uczestniczył w Międzynarodowym Kongresie Ekonomicznym w Lozannie, gdzie zaprezentował swoją pracę pt. *Etude sur les divers systèmes pénitentiaires...*, wydaną tegoż roku w Genewie.

Mimo przyjęcia obywatelstwa szwajcarskiego i uczestnictwa w życiu kulturalno-naukowym Genewy, Nakwaski nie zerwał więzów z emigracją polską i krajem ojczystym. „Zawsze był przeciwny robotom ks. Adama Czartoryskiego i jego przyjaciół, ale wszędzie gdzie był, potrzebującym rodakom chętnie z pomocą śpieszył, a dom jego był ogniskiem polskich uczuć i patriarchalnego obyczaju” — napisał Bronisław Zaleski w cytowanym wspomnieniu pośmiertnym²⁸.

Podczas pobytu w Szwajcarii H. Nakwaski napisał wiele prac w języku polskim i francuskim, m.in. (oprócz wspomnianych): *O nadaniu własności włościanom polskim za wynagrodzeniem teraźniejszych właścicieli dóbr* (Paryż 1835), *Kilka słów o demokracji* („Młoda Polska” 1838 i odb. Paryż 1838), *O szkole domowej i Towarzystwie Naukowej Pomocy* („Narodowość” 1841), *O więzieniach pokutniczo-poprawczych* („Przyjaciel Ludu” 1842/43), *Cinq millions de Polonais...* (Paryż 1845), *Le grand Constantin à Varsovie pendant le Congrès de Vienne* (Paryż 1847), *Sprawa włościańska na sejmie 1831 r.* (Paryż 1859), *Question de l'émancipation des paysans de la Pologne* (Genewa 1860).

Oprócz *Młodej Polski*, *Narodowości* i *Przyjaciela Ludu*, Nakwaski współpracował z takimi czasopismami, jak *Zbratnienie* (1847), *Teraźniejszość i Przyszłość* (1848), nie licząc pism francuskich. Trudnił się też edytorstwem i pisał pamiętniki, których

27. B. Zaleski, *tamże*, s. 370; wg innych archiwum sejmowe było przechowywane w Getyndze.

28. B. Zaleski, *tamże*, s. 372.

fragmenty opublikował J. Kallenbach w dodatku do monografii pt. *Adam Mickiewicz* (t.2, *Dodatek*, Kraków 1897). W tym okresie korespondował też m.in. z A. Mickiewiczem, W. Zwierkowskim, J.N. Jankowskim, J. Lelewelem.

Opuściwszy Szwajcarię z rodziną (1862), przebywał przeważnie w Tours we Francji, gdzie też zmarł 22.III.1876 roku. J. Falkowski tak oto wspominał tego pełnego uroku osobistego człowieka i działacza emigracyjnego:

„[...] Henryk Nakwaski, żywy, ruchliwy, gadatliwy, wesoły, uprzejmy, gościnny, miał w swoim obejściu, akcencie, wyrażeniach, sposobie widzenia rzeczy i ludzi, cechę właściwą wyłącznie warszawianom i nie było wielką przesadą widzieć w nim na obczyźnie symbol żywej tej kochanej stolicy naszej, tak jak król Zygmunt jest symbolem kamiennym”.

Od kwietnia 1833 r. do zgonu przebywał w Szwajcarii, przyczyniając się do jej rozwoju gospodarczego i cywilizacyjnego, Jan Paweł Lelewel (1796-1847), brat Joachima, uczestnik powstania listopadowego, podpułkownik inżynierii²⁹.

Przybył on w Berneńskie z Besançon we Francji i pełnił funkcję kwatermistrza Hufca Świętego oraz wchodził w skład Rady Gospodarczej. Po nieudanej wyprawie sabaudzkiej w lutym 1834 r. uzyskał z nieliczną grupą swych towarzyszy zezwolenie władz szwajcarskich na pobyt w Bernie i poświęcił się działalności gospodarczej. O pozytywnym załatwieniu sprawy jego pozostania (osiedlenia się) w tym kraju w czasach przymusowych deportacji stąd Polaków zadecydowało wcześniejsze podjęcie zatrudnienia i niedostatek w kantonie berneńskim, jak zresztą w całej Szwajcarii, wysoko kwalifikowanych, dobrych specjalistów inżynierów.

Na zlecenie rządu kantonalnego w Bernie J.P. Lelewel opracował i zrealizował trudny i pożyteczny dla całego kraju plan osuszenia wielkich błot Seelandu. Mianowany w r. 1837 naczelnym inżynierem w Dyrekcji Dróg i Mostów, kierował budową dróg między Bernem a Lucerną i Bazyleą, wznosił śluzy i zaprojektował nowoczesny most na rzece Aar pod Bernem, który zbudowano już po jego śmierci, w r. 1850, i nazwano jego imieniem. Był ponadto twórcą planu rozbudowy Berna, gmachu Zarządu Kantonalnego, poczty i innych obiektów użyteczności publicznej. Zorganizował też w Bernie Biuro Techniczne, dokonał licznych ulepszeń w pracach inżynierskich, kształcił młodych techników. Zajmował się także malarstwem i

29. *Żywot Jana Pawła Lelewela, podpułkownika inżynierii*, Poznań 1857; J. Lelewel, *Listy do rodzeństwa pisane*, t. 1-2, Poznań 1878-79; tenże, *Listy emigracyjne*, t. 2-3, Kraków 1951-1952; H. Więckowska, PSB, t. XVIII.

rysownictwem, ilustrując m.in. niektóre dzieła historyczne swojego słynnego brata, który mieszkał wtedy w Brukseli.

Brata Joachima odwiedził w Belgii latem 1843 r. „Samotnik brukselski” pisał o tym 1 sierpnia tego roku do Piotra Kopczyńskiego w Paryżu: „Mam w Belgii brata Jana ze Szwajcarii, bawił trzy czy cztery dni w Brukseli, raz tylko parę godzin pomówić mogłem. Jest teraz w Ostendzie³⁰”.

Słynny historyk poświęcał bratu Janowi wzmianki w listach do różnych osób, jak L. Chodźko, wymieniony P. Kopczyński i W. Zwierkowski³¹. Bracia utrzymywali też mniej lub bardziej systematyczne stosunki korespondencyjne³². Jan informował brata Joachima o interesujących go wydarzeniach politycznych i innych zachodzących w Szwajcarii, swoim życiu oraz wspólnych znajomych, głównie Polakach, jak H. Nakwaski, Wodzińska, Kleczyński, który pojawił się w Bernie pod koniec lata 1845 r., a następnie otrzymał pracę jako zecer w Lozannie.

Jan Lelewel, oprócz Brukseli, odwiedzał niejednokrotnie Paryż, spotykając się, przy okazji załatwiania spraw służbowych i osobistych z przebywającymi tu rodakami, m.in. L. Chodźką, P. Konopczyńskim. Oprócz wymienionych, pozostawał w stosunkach znajomości lub przyjaźni z wieloma osobistościami. Znał go przyjaźnie odnoszący się do Polaków książę Napoleon Bonaparte (bratanek Napoleona I), współpracował z zasłużonym generałem szwajcarskim G.H. Dufour.

Mimo odsunięcia się od polityki i zaangażowania w pracę zawodową na rzecz Szwajcarii, interesował się sprawami emigracji polskiej w tym kraju i ojczyzny. Znalazł w Szwajcarii jakiś oburzający go dokument przeciwko gen. Ramorinie i Zamoyskiemu, o którym pisał do brata Joachima:

„Znam dokument pod względem wojskowym w kraju spisany, w którym konduita Ramoriny najszykardniej się odcechowywa, wpływ zaś na nią hr. Zamoyskiemu przypisany³³”.

W wolnych chwilach J.P. Lelewel napisał kilka prac, które opublikował w języku polskim, francuskim bądź niemieckim. Życie nie oszczędziło mu też przykrości. Wyuczzeni przez niego inżynierowie szwajcarscy zazdrościli mu zajmowanego stanowiska w Dyrekcji Dróg i Mostów, usiłując pozbawić go osiągniętej pozycji zawodowej. W r. 1839 ta „wojna podjazdowa” została stłumiona przez rząd kantonalny, „ucichły wszelkie sarkania i

30. J. Lelewel, *Listy emigracyjne*, t. 3, Kraków 1952, s. 57 (list 666).

31. *Tamże*, listy nr 669, 670, 771, 902, 905, 917.

32. J. Lelewel, *tamże*, tenże, *Listy do rodzeństwa pisane*, Poznań 1878/9.

33. J. Lelewel, *Listy emigracyjne*, t. 3, s. 200.

przygryzki". Pod koniec życia pozycja jego była ustabilizowana, powodziło mu się dość lub bardzo (wg brata Prota) dobrze, choć nb. u schyłku 1845 r. miejscem zamieszkania tego wielce zasłużonego dla Szwajcarii inżyniera był Hôtel de Musique w Bernie.

Zmarł nieoczekiwanie i przedwcześnie, „wśród okropnych boleści”, 9.IV.1847 r. w Bernie, zachowując do końca przytomność umysłu. Obecnych przy zgonie — Bera, Kruszyńskiego i Siekierskiego — zobowiązał do przekazania wszystkiego bratu Joachimowi. W ostatniej drodze na miejscowy cmentarz górny towarzyszyli mu przyjaciele i znajomi, a wśród nich koledzy-ziomkowie, którzy uczcili go następnie pomnikiem.

W Szwajcarii większość swego życia spędził przyjaciel i współpracownik Jana P. Lelewela, uczestnik powstania listopadowego, kapitan inżynierii i kartograf — Aleksander Stryjeński (1805-1875)³⁴. Przybył on tu w kwietniu 1833 r. z Besançon, był podkwatremistrzem Hufca Świętego, z którego wystąpił przed wyprawą sabaudzką i zajął się pracą zawodową, kładąc znaczne zasługi dla kraju zamieszkania w dziedzinie inżynierii i topografii.

Według wspomnień Jana Bartkowskiego, z J.P. Lelewalem „zostali użyci przez rząd berneński do triangulacji Oberlandu w celu osuszania pewnych okolic tej części kantonu”³⁵. Oprócz współpracy z Lelewalem w r. 1834 przy opracowaniu projektu osuszenia wielkich błot Seelandu, mającego żywotne znaczenie dla pięciu kantonów, i jego realizacji, Stryjeński współdziałał z gen. G.H. Dufour (naczelnym wodzem wojsk federalnych w czasie wojny domowej 1847 r., współtwórcą Międzynarodowego Czerwonego Krzyża) nad szczegółową mapą Szwajcarii, wykonaną przez sztab generalny pod kierunkiem wymienionego generała. Autorstwa Stryjeńskiego jest jedna z kart składająca się na tę rozległą mapę, która zyskała bardzo wysoką cenę znawców.

Niepospolicie zdolny i precyzyjny w wykonywaniu obowiązków oraz ujmujący w sposobie bycia, kpt. Stryjeński zyskał przychyłność, a potem przyjaźń szwajcarskiego generała. Dzięki niemu otrzymał urzędową posadę inżyniera w Federacyjnym Biurze Topograficznym (wg B. Zaleskiego — posadę inżyniera robót publicznych kantonu geneńskiego, którą piastował do końca pobytu w Szwajcarii). Cieszył się w kantonie geneńskim powszechnym szacunkiem. Brał udział w życiu Polonii geneńskiej i nigdy nie zaprzestał myśleć o ojczyźnie. Udzielał przebywającym tu rodakom wielostronnej pomocy finansowej, w zdo-

34. B. Zaleski, *op. cit.*, str. 413-416.

35. J. Bartkowski, *op. cit.*, str. 189.

bywaniu pracy i środków do życia, służył radą, dawał schronienie we własnym domu, będącym „otwartą przystanią”, skupiał wokół siebie „uczciwe umysły”. Był prezesem Stowarzyszenia Wzajemnej Pomocy i Gminy Polskiej Genewskiej. Z małżeństwa, które zawarł w Szwajcarii z Pauliną Lestocq, narodziło się trzech synów i trzy córki. Najstarszy syn, Władysław, udał się w r. 1863 do Polski, wziął udział w powstaniu, został wzięty do niewoli i zesłany na Sybir, gdzie zmarł. Jest to wymowny przykład (dowód) patriotyzmu, który przekazał Aleksander Stryjeński swoim dzieciom.

Ze względu na wiek i stan zdrowia A. Stryjeński podał się w r. 1875 do dymisji, otrzymując podziękowanie władz kantonu genewskiego za „znakomitą i przeznaczoną służbę”, i przeniósł się do córki w Paryżu, gdzie po dwóch miesiącach zmarł 9 grudnia tego roku przy rue Delaborde 6 oraz został pochowany na cmentarzu w Montmorency obok E. Januszkiewicza.

B. Zaleski tak scharakteryzował A. Stryjeńskiego w cytowanym wspomnieniu pośmiertnym:

„Niewielkiego wzrostu, ale silnie zbudowany, w powierzchowności swojej zachował do końca coś żołnierskiego, obok szczerzej dobroci, towarzyszącej zwykle prawdziwej odwadze, a wielkiej ścisłości w wykonywaniu wszelkiego obowiązku”.

Oprócz budownictwa i topografii, przebywający wtedy w Szwajcarii Polacy przyczynili się do rozwoju przemysłu zegarmistrzowskiego, a kilku z nich odegrało w tej dziedzinie wybitną rolę, zyskując międzynarodowy rozgłos.

Po upadku powstania listopadowego i przejściowym pobycie we Francji (Cahors, Amiens) osiedlił się na stałe w Genewie uczestnik powstania listopadowego, Antoni Norbert Patek (1811-1877)³⁶. Początkowo uczył się malarstwa u sławnego pejzażysty A. Calme'a. Pod wpływem szwajcarskiego zegarmistrza Moreau z Versoix pod Genewą, z którym się niebawem spowinowacił, zajął się zegarmistrzostwem. W r. 1835 (wg H. Florkowskiej-Franćić w 1839) założył wytwórnię zegarków w Genewie wspólnie ze spolszczonym Czechem, byłym żołnierzem Gwardii Narodowej w Warszawie w 1831, Franciszkiem Czapkiem, autorem pierwszej polskiej broszury z tej dziedziny pt. *Słów kilka o zegarmistrzostwie* (Lipsk 1850). Wytwórnia ta nosiła nazwę (występowała pod firmą): „Patek i Czapek”. Większość produkowanych tu zegarków o wielkiej precyzji i estetycznej oprawie była robiona na zamówienie, w myśl zasady: „polsko-

36. B. Zaleski, *op. cit.*, str. 377-378; W. Siedlecka, *Polskie zegary*, Wrocław 1974; L. Zajdler, *Dzieje zegara*, Warszawa 1977; T. Stark, *Genève et Pologne au cours des siècles*, Genève 1952.

honorowe traktowanie z genewską akuracją". Te kunsztowne i wysoko cenione zegarki, przeznaczone początkowo dla Polaków, ozdabiano motywami patriotycznymi bądź religijnymi — wizerunkami Kościuszki, ks. Józefa Poniatowskiego, A. Mickiewicza, T. Rejtana i in.

Firma „Patek i Czapek”, zatrudniająca początkowo zaledwie sześciu rzemieślników, rozwinęła się w duży zakład przemysłowy, dzięki wysokiej jakości wyrobów i kapitałom dwóch pracujących w niej Polaków, byłych uczestników powstania listopadowego, a potem członków spółki — Juliusza Grużewskiego i Wincentego Gostkowskiego. J. Grużewski, niedawny właściciel zakładu litograficznego w Genewie, zajmował się w tej spółce handlem zegarków i przyczynił się do jej rozgłosu w skali międzynarodowej. Nb. został on przez J. Słowackiego wprowadzony w r. 1835 do Société de Lecture w Genewie, uczestniczył w powstaniu wielkopolskim 1848, a podczas powstania styczniowego był agentem Rządu Narodowego w Szwajcarii, trudnił się zakupem broni dla kraju i współpracował z Wydziałem Spraw Zagranicznych.

Na początku 1845 r. wspólnicy utworzyli w Genewie konkurencyjne firmy. Założone przez Patka przedsiębiorstwo stanowiło od 1.V.1845 r. spółkę pod firmą: „Patek, Philippe i komp.". Oprócz zegarmistrza francuskiego Adriana Philippe'a, współnikiem Patka był też wspomniany prawnik W. Gostkowski. Zasiłał on przedsiębiorstwo własnym kapitałem. Pisał o tym później J.I. Kraszewski; „we wszystkich ciężkich chwilach, jakie pracownia Patka przechodziła wraz z innymi tego rodzaju zakładami w latach 1848 i następnych, ostatnim swym zasobem, z największym poświęceniem własnym, ratował ją i ocalił³⁷".

A. Patek prowadził sprawy handlowe spółki. W związku z tym wyjeżdżał do różnych krajów, m.in. do Anglii (1847), Ameryki Północnej (1854/55), Rosji (1858). Wracając z Petersburga przez Warszawę, „miał pociechę oglądać jeszcze dawniejsze progi domowe i błogosławieństwo podeszłej matki otrzymać". Podczas jednej podróży do Rzymu wręczył zegarek papieżowi Piusowi IX, który go „przyjął raczyl".

Firma Patka i innych zatrudniała z czasem ponad 500 robotników, stała się jedną z czołowych fabryk zegarków luksusowych w Genewie, zdobywając uznanie nabywców w Europie i w Ameryce oraz wiele nagród i wyróżnień na wystawach międzynarodowych, np. w Londynie w r. 1851, na Wystawie Powszechnej w Paryżu w 1855 r.

37. J.I. Kraszewski, *L.W. Gostkowsky i zegarmistrzostwo polskie w Genewie*, „Biesiada Literacka" 1882, nr 317, s. 58.

Oprócz produkcji renomowanych zegarków, A. Patek brał czynny udział w życiu społeczno-kulturalnym emigracji polskiej w Szwajcarii, o czym już była mowa wyżej. Należał m.in. do współzałożycieli i wybitnych działaczy Skarbu Polskiej w Genewie, a także pomagał H. Nakwaskiemu przy zorganizowaniu w tym mieście Biblioteki i Czytelni Polskiej. Współpracował nadto i zachęcał innych do współpracy z Komisją Funduszków Emigracji Polskiej oraz z Biblioteką Polską w Paryżu. Dnia 18.V.1846 r. wstąpił w Lyonie do TDP. W czasie Wiosny Ludów jeździł konspiracyjnie do Frankfurtu n. Menem, a 6.III.1848 r. wystąpił na posiedzeniu Dozoru Polskiego z wnioskiem powołania Sejmu Polskiego na emigracji. Współpracował też z J. H. Kajsiewiczem i założonym przez niego wraz z P. Semenenką w r. 1842 zakonem Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego³⁸. Za ożywioną działalność religijną w Genewie — wśród Polonii i Szwajcarów — uzyskał od papieża Piusa IX tytuł hrabiowski. Podczas powstania styczniowego przejawiał — wg szpiega carskiego Juliana A. Bałaszewicza³⁹ — dużą aktywność polityczną na rzecz Polski i naszej emigracji.

Ze Szwajcarią związał na stałe (dozgonnie) swoje losy pochodzący ze spolonizowanej rodziny niemieckiej absolwent warszawskiej Szkoły Podchorążych, uczestnik spisku Piotra Wysockiego i powstania listopadowego, płk Karol Kloss (ok. 1800-1871)⁴⁰. Przybył tu z Besançon w kwietniu 1833 r. jako członek Hufca Świętego i osiedlił się na wsi pod Liestal, utrzymując się początkowo z zasiłku rządu kantonálního i miejscowego komitetu polsko-szwajcarskiego.

Dowodząc wyszkolonymi przez siebie i pięciu innych polskich oficerów Liestalczykami i okolicznym chłopstwem podczas krótkotrwałej wojny domowej w sierpniu 1833 r. przyczynił się zdecydowanie do zdumiewającego zwycięstwa demokratów nad przeważającymi siłami najemnymi konserwatywnego rządu Bazylei pod wzgórzami Hüftenschanze. Niebawem po tym zwycięstwie K. Kloss wstąpił do armii szwajcarskiej (kantonu Liestal), zdobywając dość szybko duże znaczenie i stopień pułkownika (w WP był on kapitanem 2 pułku piechoty liniowej). W czasie ponownej wojny domowej (ostatniej wojny religijnej) w Szwajcarii w r. 1847, w której wodzem naczelnym wojsk federalnych był gen. G.H. Dufour — płk Kloss dowodził oddziałami fede-

38. P. Smolikowski, *Historia zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego*, Kraków 1892-1896.

39. (J.A. Bałaszewicz), A. Potocki, *Raporty szpiega*, Warszawa 1973.

40. „Rocznik Tow. Hist.-Liter. w Paryżu” 1870-1872, s. 611, J. Bartkowski, *op. cit.*, s. 204-5; A. Lewak, *op. cit.*, *passim*.

ralnymi w Aargau i bronił granicy szwajcarskiej pod Rheinfelden.

W następnym (1848) roku zamierzał porzucić służbę w armii szwajcarskiej i stanąć na czele Legionu szwajcarsko-polskiego, który Dozór Polski w Genewie chciał zorganizować i wysłać do kraju. Wskutek negatywnego stanowiska Komitetu Narodowego w Poznaniu plan zorganizowania i wysłania do kraju Legionu nie został zrealizowany. Nadal jednak wykazywał Kloss duże zainteresowanie sprawami naszego kraju, o czym świadczy m.in. korespondencja z W. Platerem i redakcją pisma *Der Weisse Adler*. Odznaczał się też przekonaniami demokratycznymi, dzięki którym zyskał duże uznanie i popularność tak wśród miejscowej ludności szwajcarskiej, jak i wśród emigracji polskiej.

Ze Szwajcarią i przebywającymi tam w pierwszych latach po powstaniu listopadowym Polakami, w tym najwybitniejszymi, związane było również krótkotrwałe życie znanej z patriotyzmu, ofiarności i działalności charytatywno-opiekuńczej Klaudyny z Działyńskich Potockiej (1801-1836)⁴¹. Ta budząca podziw sanitariuszka powstańcza przybyła do Bex w Szwajcarii w maju 1833 r., przewożąc wraz z mężem Benedyktem chorego Stefana Garczyńskiego, którym opiekowała się — o czym niżej — z A. Mickiewiczem aż do jego przedwczesnej śmierci.

Jej dom w Genewie stanowił ośrodek pomocy i opieki dla emigrantów polskich. Pomagała finansowo Hufcowi Świętemu, otaczała opieką jej członków po nieudanej wyprawie sabaudzkiej. Wspierała emisariuszy udających się do kraju, m.in. J. Zaliwskiego i Sz. Konarskiego. Utrzymywała kontakty z różnymi ośrodkami emigracyjnymi oraz wielu znanymi osobistościami jak A. Mickiewicz i J. Słowacki, generałowie: Bem, Dwernicki, Umiński, Morawski, Małachowski. Przyjaźniła się z rodziną gen. G.H. Dufour, będąc w jego domu niemal codziennym gościem⁴².

Niestety, już w r. 1834 zachorowała ciężko na serce, a potem również na płuca. Nie pomogła kuracja na południu Francji (Pireneje). Zmarła niebawem po powrocie do Genewy, tj. 8.IV.1836 r., gdzie została najpierw pochowana (potem jej prochy złożono w grobowcu gen. Zamoyskiego w Montmorency pod Paryżem). Podczas pogrzebu kupcy zamknęli sklepy w dowód szacunku i żałoby. Jej zabalsamowane serce przechowywała rodzina gen. Dufour przez wiele lat.

Pamięć K. Potockiej uczcili wierszami: A.E. Odyniec,

41. D. Ciepieńko-Zielińska, *Klaudyna z Działyńskich Potocka*, Kraków 1973; *Listy do S. Garczyńskiego...* „Arch. Liter.”; t. XI, Wrocław 1967; I. Domejko, *Moje podróże*, Wrocław 1962; A. Mickiewicz, *op. cit.*

42. Por.: W. Skalska, A. Kruczkowski, *Berneńskie ABC*, Warszawa 1978, s. 26.

C. Norwid i W. Pol, medalionem — rzeźbiarz francuski David d'Angers, metalowymi obrączkami — A. Mickiewicz, założeniem kasy pomocy i zaprojektowaniem pomnika — rodacy w Genewie. Potem jej imieniem nazywano stowarzyszenia charytatywne, gimnazja żeńskie w Poznaniu i w Puławach. A. Mickiewicz napisał o niej m.in. do I. Domeyki w liście z dnia 9.VII.1833 r.: „Ta kobieta godzi z rodzajem ludzkim i może natchnąć wiarą w cnotę i dobroć na ziemi. Zdaje się mieć życia tylko na parę godzin, a przecież znajduje zawsze siły na służenie innym⁴³”.

Z innych zasłużonych Polaków przebywających wtedy w Szwajcarii trzeba choć przykładowo wspomnieć o Sewerynie Mielżyńskim, który zorganizował w Genewie tzw. bazar dobroczynny na pomoc dla uboższych rodaków (1834), uczestniczył w wyprawie sabaudzkiej, działał w Młodej Polsce i TDP.

Do grupy osiadłych tu wówczas na stałe emigrantów polskich, którzy nie wnieśli bardziej znaczących zasług i nie zyskali sławy, ale mieli na swym koncie wiele pożytecznych dokonań dla Polonii i Szwajcarii, należał zacytować Wiktor hr. Jundziłł — bibliotekarz towarzystwa ekonomicznego we Fryburgu i członek rady kantonalnej, potem (od 1840) właściciel posiadłości pod Lozanną zwanej „*Campagne Litwa*”, przyjaciel Mickiewicza, z którym mieszkał w jednym domu, współpracownik Dozoru Polskiego, działacz miasta Lozanny i kantonu, pomagający miejscowej Polonii i wychowujący doskonale dwanaścioro swoich dzieci.

IV

Jak wiadomo, w omawianym okresie mieszkali, działali i tworzyli w Szwajcarii najwybitniejsi polscy pisarze oraz inni znani ludzie pióra i filozofowie. Ponieważ fakty i wydarzenia odnoszące się do czołowych poetów zostały omówione dość szczegółowo przez badaczy, można ograniczyć się tu do nielicznych jedynie uwag.

Wielokrotnie przebywał wtedy w tym kraju Adam Mickiewicz, który nb. mieszkał tu wcześniej: w r. 1829, kiedy to napisał wiersz *Na Alpach w Splügen* i w 1830, gdy poznał 11 sierpnia Z. Krasińskiego i odbył z nim wycieczkę w Alpy Wyższe. Dnia 8.VII.1833 r. autor *Dziadów* przyjechał z Paryża do Bexk. Lozanny na prośbę chorego przyjaciela, Stefana Garczyńskiego, który przebywał tu „na dziwnie wystawionej serwatkowej

43. A. Mickiewicz, *op. cit.*, s. 87

kuracji". Obaj przyjaciele mieszkali początkowo w Pension des Bains, później — w Grand Hôtel de Bex et de L'Etablissement thermal. Tu zatrzymała się też zapewne przyjeżdżająca z Genewy Klaudyna Potocka, aby pielęgnować wspólnie z Mickiewiczem chorego na gruźlicę poetę.

Ponieważ kuracja Garczyńskiego w Bex nie odnosiła pożądanego skutku, 21 lipca przewieziono chorego do Genewy z zamiarem udania się następnie na południe. Z przyczyn paszportowych i ze względu na słabe zdrowie chorego pobyt w Genewie potrwał do końca sierpnia. Poeci mieszkali w L'Hôtel de l'Écu de Genève. W opiece nad chorym pomagała wydatnie K. Potocka, którą Garczyński w listach do Odyńca nazywał „swoim Aniołem Stróżem, Aniołem Poczyszycielem”. A. Mickiewicz informował I. Domejkę w liście z dnia 2.VIII.1833 r.: „Jesteśmy do dwóch tygodni w Genewie. Stefan tak był słaby, że przez kilka godzin co dzień patrzyliśmy na wszystkie symptomata konania. [...] Teraz lepiej znacznie, ale ja, przyznam się, nie mam żadnej nadziei!”⁴⁴. Tego dnia odwiedził Mickiewicza i Garczyńskiego J. Słowacki, przynosząc drugi tom *Poezji* chorego poety, o który niecierpliwie dopytywał się autor. Mickiewicz przerwał pracę nad *Panem Tadeuszem*, nie czytał, nie spotykał się niemal z nikim. Ze zdumiewającą nawet zdolną do największych poświęceń K. Potocką ofiarnością pielęgnował gasnącego przyjaciela. W liście do A.E. Odyńca w Dreźnie napisała ona 2.VIII.1833 r. m.in.:

„Nie chciałabym Zosi [Odyńcowej] w dumę wprowadzać, ale przyznać muszę, że [...Mickiewicz] dzień i noc go nie odstępuję. Duszę jego w geniuszu przeczułam, a z podziwieniem, ze łzami na niego patrzę. Wyższym jest od nas wszystkim: sercem, cnotą, duszą, jak jest i geniuszem wyższym od wybranych”⁴⁵.

W opiece nad Garczyńskim pomagał T. Pągowski, który „wszystkie godziny od pracy wolne przy nim przepędzał”. Prawdziwą „drogą przez mękę” Mickiewicza było przewiezienie chorego Garczyńskiego z Genewy do Awinionu (29.VIII.-7.IX.1833), gdzie zmarł 20 września tego roku mimo troskliwej opieki Mickiewicza, Potockiej i Pągowskiego.

Ponownie przybył Mickiewicz do Szwajcarii w październiku 1838 r., aby starać się o wolną posadę profesora literatury łacińskiej w Akademii Lozańskiej. W Genewie, gdzie zamieszkał po gościnnym pobycie u H. Nakwaskiego w Vevey i załatwieniu przy jego życzliwej pomocy formalności w Lozannie, ubiegał się bez powodzenia o stanowisko profesora literatury porównawczej

44. *Tamże*, s. 90/91

45. A. Pług, *A.E. Odyniec*, „Kłosa” 1885, nr 1054.

w miejscowej Akademii, spotykając się też z Aleksandrem Potockim i Stanisławem Małachowskim. Ostatecznie nie doszło wtedy do objęcia profesury w Lozannie, gdyż z powodu niebezpiecznej choroby żony Mickiewicz musiał wrócić w listopadzie do Paryża.

Starania o wolną jeszcze, jak się okazało, katedrę lozańską wznowił w czerwcu następnego (1839) roku, przybywając do Lozanny z żoną i dwojgiem dzieci. Zamieszkał tu z rodziną przy rue St. Pierre nr 16 w pięknym (umeblowanym) domu za 80 fr. miesięcznie i przebywał w nim do końca tego roku. Po długotrwałych formalnościach został Mickiewicz mianowany 24 września przez Radę Stanu kantonu Vaud profesorem literatury łacińskiej (tymczasowym) w Akademii Lozańskiej z wysoką stosunkowo pensją 2700 fr. za 2 godziny wykładów i 4 godziny zajęć dydaktycznych tygodniowo w miejscowym gimnazjum. Dzięki b. starannemu przygotowaniu pierwszy wykład wygłoszony po francusku 12.XI.1839 r. (jak i inne), został przyjęty przez studentów owacyjnie (serenadą). „Zrę tedy łacinę, a pluję francuszczyzną⁴⁶” — napisał Mickiewicz do B. Zaleskiego akurat w dziewiątą rocznicę powstania listopadowego. Później, 15.II.1840 r., poinformował I. Domejkę:

„Od roku prawie siedzę w Szwajcarii [...], jestem profesorem ekstraordynaryjnym literatury łacińskiej, z pensją 2700 fr., teraz mam być mianowany ordynaryjnym z powiększeniem płacy. Lektje dosyć dobrze przyjęto, wszyscy mnie tu przychylni [...]”.

Istotnie, niebawem, tj. 11 marca, został poeta mianowany przez Radę Stanu kantonu Vaud profesorem zwyczajnym i otrzymał znacznie wyższą pensję (również od innych profesorów). Jednocześnie obniżono mu liczbę wykładów tygodniowo.

Gdy jednak 17.VI.1840 r. Francuska Izba Deputowanych podjęła uchwałę o utworzeniu w Collège de France katedry języka i literatury słowiańskiej, a 9 września francuski minister oświecenia powierzył mu tę katedrę — Mickiewicz przyjął ją ze względów patriotycznych i, uzyskawszy dymisję z dotychczasowego stanowiska, powrócił z rodziną w październiku do Paryża. Rząd szwajcarski, rozumiejący jego motywy, nadał mu 3 listopada tytuł profesora honorowego Akademii Lozańskiej.

Okres lozański należał do najszcześniejszych, najspokojniejszych i najlepszych pod względem materialnym w życiu poety. W r. 1840 mieszkał z rodziną w pięknym domu, nazywanym przez siebie pałacem (Maison Beau-Séjour), z zaprzyjaźnioną

46. A. Mickiewicz, *op. cit.*, s. 299.

47. *Tamże*, s. 311.

litewską rodziną W. hr. Jundziłła. W „pałacu” tym gościł ponad miesiąc B. i J. Zaleskich. 24 maja urodziła się mu córka, której nadano imię Helena. Podczas pobytu w Szwajcarii Mickiewicz utrzymywał stosunki z Polonią genewską, skupioną wokół H. Nakwaskiego, mieszkającego wtedy w Lancy pod Genewą. Przyjaźnił się z rodziną historyka i poety szwajcarskiego Juste Oliviera. Korespondował z wielu osobistościami, głównie z I. Domejką, B. Zaleskim i S. Witwickim. Nadto, mimo narzekań do cenionego poety B. Zaleskiego, wrócił do twórczości poetyckiej i napisał tzw. liryki lozańskie.

H. Nakwaski, po dniu spędzonym z Mickiewiczem, zanotował 8.IV.1840 r. o tym, jego zdaniem, zepsutym dziecku i niezdolnym arystokracie-geniuszu: „Jest brudny, nieporządný, ciągle cygara palący itd. Jednakże ma on dużo taktu — lubo niby roztargniony, ale wie, co robi! wie, jak z kim mówić, z cudzoziemcami uważa, z Polonią się puszcza: litewski zupełnie charakter w nim: wie, co chce, a nie wie, czego nie chce⁴⁸”.

Mickiewicz był w Szwajcarii również później. Bawił tu we wrześniu 1843 r., głównie w Lozannie i okolicach, z Andrzejem Towiańskim, podążającym z Brukseli do Rzymu. Następnie spędził miesiąc od połowy maja do połowy czerwca 1845 r. w Rychterswylu u Towiańskiego, który osiedlił się tu pod koniec listopada 1843 r. Towiański zabiegał wtedy o utrzymanie przy sobie wielkiego poety i zachowanie jedności całego Koła paryskiego. Podobny charakter miał pobyt wieszca u Towiańskiego w Zurychu w lutym i marcu 1846 r. Rozmowy Mickiewicza (przy pomocy E. Januszkiewicza) z Towiańskim i jego zwolennikami, usiłowania strony przeciwnej, stanowiły dla poety wielkie udręczenie.

Od 30.XII.1832 do lutego 1836 r. mieszkał i tworzył w Szwajcarii Juliusz Słowacki. Po przybyciu z Paryża do Genewy przez kilka dni zatrzymał się w hotelu Pod Wielkim Orłem, a następnie (od 3.I.1833 r.) zamieszkiwał w pensjonacie Klaudyny Pattey na przedmieściu Pâquis (obecnie rue Montoux 32), z wyjątkiem okresu od lipca do października 1835 r., który spędził w miejscowości Veytoux, położonej po przeciwnej stronie Jeziora Lemańskiego. Nieistniejący obecnie ów pensjonat, upamiętniony tablicą, opisał poeta w liście do matki, rozpoczętym 30.XII., a ukończonym 5.I.1833 r., poświęcając też nieco uwagi zajmowanemu przez siebie pokojowi⁴⁹. Został tam życzliwie

48. *Wyjtki z Pamiętników i listów H. Nakwaskiego (na podstawie autografów)*, (w:) J. Kallenbach, *Adam Mickiewicz*, t. II, *Dodatek*, Kraków 1897.

49. J. Słowacki, *Listy do matki*, Wrocław 1959, s. 117-118

przyjęty dzięki dobrej opinii, jaką pozostawili mieszkający tu wcześniej Polacy, zwłaszcza znajomi poety Józef Grocholski i Ludwik Kosielski.

Już na początku r. 1833 Słowacki zawarł bliższą znajomość z miejscowym chirurgiem Jacques Charles Morin (i jego rodziną), który wprowadził poetę do Société de Lecture. Przez pewien czas darzył sympatią córkę doktora, Charlotte Henriette. Był kochany, raczej bez wzajemności, przez córkę właścicieli pensjonatu Eglantynę Pattey, z którą bywał w kasynie i na zabawach w domach prywatnych. Bawił się z wnuczką pani Pattey, Matyldą. Pełnił rolę suflera w teatrze amatorskim w pensjonacie. Nade wszystko wiele czasu spędzał w bibliotece publicznej, czytając gazety i różne dzieła, oraz na pisaniu i korektach drukowanych utworów.

Wiosną tego roku gościł Ludwika hr. Jelskiego (ok. 24.IV), latem spotkał się z kolporterem swoich poezji Mokrzeckim z Paryża i osiadłym niedawno w Genewie J. Grużewskim, poznał K. Potocką i złożył wizytę Mickiewiczowi oraz Garczyńskiemu, przynosząc tom *Poezji* chorego poety. W lipcu odbywał wycieczki konne i po jeziorze, a także w górę Salève, zaś 21 września zwiedził dom Byrona w Cologuy. Jesienią poznał w Genewie rodzinę Wodzińskich — panią Wodzińską, jej trzech synów i dwie córki. Starsza córka p. Wodzińskiej, Maria, posłużyła poecie za prototyp bohaterki poematu *W Szwajcarii*. Wtedy też spotkał się Słowacki z grupą 12-tu młodych Polaków studiujących w zakładzie pod nazwą Pensionnat de la Grenade.

W lecie następnego (1834) roku odbył poeta wycieczkę w Alpy, w towarzystwie rodziny Wodzińskich oraz gen. Gruszeńskiego i braci Miączyńskich. Wyprawę tę pięknie opisał w liście do matki z 21.VIII.1834 r.⁵⁰ oraz wykorzystał w swoich utworach, głównie w poemacie *W Szwajcarii*. Jesienią bywał u p. Wodzińskich, uczył się włoskiego, wiele pisał i czytał z zachwytem *Pana Tadeusza*.

W r. 1835 zawarł Słowacki bliższą znajomość z uczestnikiem powstania listopadowego Aleksandrem Sobańskim, który mieszkał w Vevey, w nabytym zamku Kyburg (do r. 1840), wprowadził do Société de Lecture J. Grużewskiego oraz utrzymywał stosunki m.in. z Ottonem Rajeckim, o którym pisał 29.XI.1835 do matki: „Jest to ziomek wojażer, bogaty, lubi bawić się, trzyma powóz i konie, daje co tydzień wieczory, ma wszystko oprócz zdrowia⁵¹. Dzięki pomocy H. Nakwaskiego poeta otrzymał paszport i opuścił ok. 10.II.1836 r. Genewę, udając się do Rzymu.

50. *Tamże*, s. 198-204

51. *Tamże*, s. 265

W Szwajcarii powstały takie utwory Słowackiego, jak *Kor-dian*, *Balladyna*, *Mazepa*, część *Horsztyńskiego* i poematu *W Szwajcarii*, nie licząc wielu drobniejszych. Oprócz twórczości literackiej i bogatej korespondencji poeta zajmował się wtedy malarstwem i grywał na fortepianie. Okres szwajcarski należał do najbardziej płodnych i szczęśliwych w życiu Słowackiego.

W Genewie bawił w omawianym okresie — po dłuższym pobycie tu w latach 1829-1830 — Zygmunt Krasiński. Powrócił do tego miasta 25.II.1831 r. po przeszło trzymiesięcznych wojazach po Italię — zwiedzeniu Rzymu (z A. Mickiewiczem), Florencji, Genui i Mediolanu. Dnia 14 maja nadszedł niecierpliwie oczekiwany list od ojca z rozkazem pozostania na miejscu i nie mieszania się do powstania listopadowego, zwanego rewolucją. Hr. Zygmunt postanowił jednak wbrew woli kochanego ojca wrócić do Polski i walczyć o jej wolność, ale te szlachetne zamierzenia nie zostały zrealizowane, co zrodziło w nim duczliwy kompleks winy. Do przyjaciela, Henryka Reeve'a napisał w liście z 8-12.VII.1831 r.: „Brak mi męskiej odwagi, nie śmiem narazić się na ojcowskie przekleństwo⁵²”. Z czasem uległ ojcowskiej interpretacji powstania, zwłaszcza że służyła ona usprawiedliwieniu własnej bezczynności i przesądom klasowym.

W październiku tego roku Z. Krasiński spotkał się w Genewie i spędził kilka nocy na dyskusjach z Leonem Łubieńskim, który znieważył go w czasie zajęć na UW w r. 1829. Mimo iż nie osiągnęli ugody, mimo twardego swego stanowiska i zimnego pożegnania, Krasiński był urzeczony postacią tego znienawidzonego człowieka, którego uważał za cynicznego radykała i zdrajcę arystokracji, ale zarazem za człowieka przyszłości. Ten fascynujący, lecz odrażający zarazem antagonistą stał się pierwowzorem Pankracego.

W okresie genewskim napisał kilka prac i utworów. Jednym z ciekawszych jest powieść pt. *Adam Szaleniec*, która znana jest tylko ze streszczeń i fragmentów tłumaczonych na francuski w listach do H. Reeve'a. Podobnie ma się rzecz z utworem, nazwanym w ostatniej wersji *Wizja*. Powstało tu opowiadanie o młodym zbrodniarzu Hiszpanie we Wiedniu pt. *Cholera*, będące, wg wyznania autora, „historią w duchu Balzaka”. Najbardziej znaczącym jednak utworem Krasińskiego z tego okresu jest powieść historyczna o losach Maryny Mniskówny, zatytułowana ostatecznie *Agaj-Han*, ukończona 7.I.1832 r.

W marcu tegoż roku wznowił pisarz korespondencję z uczes-

52. *Correspondance de S. Krasiński et de H. Reeve*, t.I, 1902, Paris, s. 138.

tniczającym w powstaniu listopadowym przyjacielem uniwersyteckim, Konstantym Gaszyńskim. Otrzymał też wtedy list od ojca, wzywający go do Warszawy. Nie przewidując ojcowskiego planu zaangażowania go w służbę caratu, początkowo z wdzięcznością przyjął to zezwolenie na powrót do Polski. Postarzały i chory na oczy, opuścił 4.V.1832 r. Genewę, udając się przez Włochy do Wiednia, a następnie do Warszawy. W Szwajcarii był potem tylko przelotnie, np. w lipcu 1839 r. z poznaną niedawno w Neapolu Delfiną Potocką, jadąc na spotkanie z ojcem w Dreźnie.

Prawie trzydzieści cztery lata życia spędził w Szwajcarii Andrzej Towiański (1799-1878)⁵³. Najpierw zatrzymał się w Lozannie we wrześniu 1843 r., jadąc z Brukseli — z żoną Karoliną oraz siostrą Anną i jej mężem Ferdynandem Guttem — do Rzymu w celu uzyskania audiencji i poparcia papieża Piusa IX dla swej nauki. Przez pewien czas towarzyszył mu w podróży i w Szwajcarii Adam Mickiewicz, z którym odbył kilka wycieczek w Alpy, a rozstał się w Genui. Wydalony z Państwa Kościelnego po trzech tygodniach pobytu, Towiański powrócił 23 listopada z rodziną do Szwajcarii, gdzie mieszkał w Lozannie i innych miastach (Rychterswyl, Zurych) przeszło cztery i pół roku. Oprócz Mickiewicza (o czym wyżej) bywali tu u niego wówczas inni znani rodacy, jak Seweryn Goszczyński (kwiecień 1847), Eustachy Januszkiewicz (luty 1846), Karol Różycki.

Po wybuchu rewolucji lutowej w Paryżu Towiański wyjechał tam 26 maja 1848 r. w celu połączenia dwóch zwaśnionych odłamów (Kół) swoich wyznawców, sprowadzenia z Włoch Mickiewicza i ożywienia działalności „apostolskiej” wśród emigracji oraz uzyskania wpływu na nowych przywódców Francji. Gdy jednak stłumiono powstanie proletariatu i zaczęły się w Paryżu prześladowania polityczne, Towiańskiego aresztowano i uwięziono na trzy miesiące. Po zwolnieniu opuścił on Paryż 7.X.1848 r. i przez Avignon (gdzie się zatrzymał kilka miesięcy) powrócił w czerwcu 1849 r. do Szwajcarii.

Odtąd mieszkał do końca życia w Zurychu, zmieniając jedynie trzykrotnie mieszkanie. Nie zrealizował swych planów osiedlenia się w Belgii, Anglii, Włoszech oraz powrotu do Polski. Od

53. Zob.: S. Szpotafski, *Andrzej Towiański. Jego życie i nauka*, Warszawa (1938); M. Zdziechowski, *Andrzej Towiański*, Kraków 1921; A. Begy, *U źródła. Wspomnienie o Andrzeju Towiańskim*, „Przegl. Współcz.” 1929, nr 86 i odb.; W. Mickiewicz, *Współudział Adama Mickiewicza w Sprawie Andrzeja Towiańskiego*, Paryż 1877; M. Budzyński, *Wspomnienia z mojego życia*, t. 1, Poznań 1860; XYZ (H. Kamiński), *Zwolennicy Towiańskiego*, „Prawda” 1860/61, nr 1/2.

powrotu z Francji prowadził spokojniejszy tryb życia. Pozostawał w kontaktach z dawnymi i nowymi zwolennikami (wyznawcami) oraz przyjaciółmi. Szczególny kult jego osoby i nauki przejawiali Włosi, m.in. Scovazzi, Tankret Canonico, Atillio Begey (rodzinie Begeyów powierzono archiwum „mistrza”). Od przełomu 1849/50 mieszkał z Towiańskimi Stanisław Falkowski, od r. 1863 — również Karol Baykowski, przez cały czas — Guttowie. Liczna rodzina i domownicy utrzymywali się z ofiar zwolenników „mistrza” (dary osób obojętnych nie były przyjmowane), zarobków szwagra F. Gutta jako lekarza, pomocy finansowej zaprzyjaźnionego notariusza warszawskiego J. Noskowskiego oraz najstarszych dzieci po ich dorostaniu.

Od r. 1860 zaczęła narastać opozycja przeciw Towiańskiemu wśród jego paryskich wyznawców. Organizował ją (podniecał) wieloletni zwolennik, S. Goszczyński, który dwa lata później zerwał z towianizmem.

Do jaśniejszych kart w kontrowersyjnym życiu Towiańskiego należy jego stosunek do powstania styczniowego. Po jego wybuchu opowiedział się za udziałem w walce orężnej, z czego skwapliwie skorzystali zwolennicy i uczniowie, udając się licznie do kraju i biorąc udział w walce o niepodległość ojczyzny. Sam „mistrz” wybierał się do Polski, uznając, że wszystko kończy się na emigracji, a zaczyna się praca w ojczyźnie (wg W. Mickiewicza).

Podczas pobytu w Szwajcarii w omawianym okresie Towiański napisał *Wielki Period* oraz inne prace, jak np. *Powody, dla których amnestia przyjęta być nie może...* (Paryż 1857), *Do braci udających się do Polski w czasie powstania 1863 r.* (Zurych 1863). Korespondował też z takimi osobistościami, jak A. Mickiewicz, K. Baliński, A. Chodźko, gen. J. Skrzynecki, Rotszyld. Był miłośnikiem teatru i opery. Zasłynął z gościnności i gotowości pomocy innym potrzebującym.

Uzyskawszy paszport dla ratowania poważnie zagrożonego zdrowia (życia) przybył na początku 1852 r. do Szwajcarii ze swego majątku Ruda w Lubelskim znany pisarz polityczny i filozof Henryk Kamieński⁵⁴. Osiedlił się tu na stałe w Interlaken. Stąd odbywał podróże do różnych krajów, m.in. do Belgii, Westfalii, Włoch i Tunisu. Z nadejściem jesieni stan zdrowia znowu się pogorszył, więc za radą lekarzy udał się do Algieru, gdzie w styczniu i lutym 1853 r. spisał swoje pamiętniki o działalności politycznej w latach 1842-1845. Mimo korzystnego

54. H. Kamieński, *Pamiętniki i wizerunki*, Wrocław 1951; W. Kula, *Henryk Kamieński*, Warszawa 1953.

klimatu miejscowego stan jego zdrowia nie uległ szybkiej poprawie, pisanie szło nieraz b. mozolnie. Ponadto czuł się zupełnie samotny, nie mając „żadnego przyjaciela, żadnego rodaka, żadnego nawet znajomego”.

Wrócił podleczoney do Interlaken i wiosną ożenił się z córką okolicznego farmera, Liżą Wittwer, i przyjął obywatelstwo szwajcarskie. Dzięki troskliwej opiece żony i lekarzy zdrowie poprawiało się systematycznie, umożliwiając twórczość, której brakło jednak dawnej żarliwości i siły wyrazu. Krytycznie odniósł się Kamiński do udziału Polaków w wojnie krymskiej. W dziele pt. *Rosja i Europa, Polska* (Paryż 1857) przewidywał, że Polska może dojść do porozumienia, na sprawiedliwych podstawach, z Rosją, która stanie się mocarstwem. „Książka tytańska co do rozmiarów, uroczysta powagą, mądra pojęciami...” — napisał o niej dawny przeciwnik, Z. Krasiński.

Dość żywo zareagował pisarz na wybuch wojny włoskiej i manifestacji patriotycznych w Warszawie, podejmując różne próby działalności. W r. 1860 zaczął wydawać w Genewie czasopismo społeczno-polityczne pt. *Prawda*, które od nr 3-6 ukazywało się nieregularnie w Berlinie. Nie spełniło ono nadziei wydawcy wywierania wpływu na kraj i zostało zawieszone.

Nie mogąc wziąć udziału w powstaniu styczniowym, przeobraził na jego użytek swoją *Wojnę ludową*, która nie zyskała jednak zainteresowania Rządu Narodowego. Oderwany od ojczyzny i młodego pokolenia, Kamiński coraz bardziej tracił zrozumienie i wpływ na kraj, popadł w niedostatek.

W Szwajcarii przebywali te inni, mniej znani, ludzie pióra — pisarze, publicyści, historycy, jak L. Nabelak, M.A. Kubalski oraz już wymienieni.

Konstanty St. KAMIŃSKI

POLEMIKI

Bogdan STACHIEWICZ

O PRZYGOTOWANIU WOJNY RAZ JESZCZE

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 89 *Zeszytów Historycznych* ukazał się artykuł p. W.M. Drzewienieckiego zatytułowany „Jeszcze o planowaniu operacyjnym w roku 1939”.

W artykule tym p. Drzewieniecki występuje w obronę generała Bortnowskiego i stara się usprawiedliwić fakt, że gen. Bortnowski nie wykonał na czas rozkazu Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, marszałka Śmigłego. Rozkaz ten, wydany rano 31 sierpnia, nakazywał natychmiastowe wycofanie Korpusu Interwencyjnego, do którego należała 27 dywizja piechoty, z wysuniętych pozycji w korytarzu pomorskim. Zwłoka w wykonaniu tego rozkazu spowodowała, że 27-a dywizja została okrążona przez Niemców i rozbita parę dni później.

W drugiej części swego artykułu p. Drzewieniecki powraca do sprawy podziału pracy, w dziedzinie operacyjnej, pomiędzy Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych (GISZ) i Sztab Główny i wyciąga mylny wniosek w tej sprawie.

Rozpatrzmy najpierw, jak wyglądała sytuacja na Pomorzu wczesnym rankiem 31 sierpnia 1939 r. 27 d.p. wchodziła w skład Korpusu Interwencyjnego, którego zadaniem była akcja na Gdańsk w wypadku pogwałcenia naszych praw w Wolnym Mieście. Interwencję gdańską miał wykonać Korpus Interwencyjny, dowodzony

przez gen. Skwarczyńskiego pod ogólnym kierownictwem dowódcy armii „Pomorze”, gen. Bortnowskiego. Była ona przewidziana na wypadek zamachu na Gdańsk bez równoczesnego wybuchu wojny z Niemcami i skutkiem tego nie była włączona do ogólnego planu operacyjnego¹. Wysłunięcie części Korpusu Interwencyjnego ku północy Generalny Inspektor uważał za „absurd operacyjny” wymuszony względami politycznymi².

Rozkazem z dnia 31 sierpnia 39 r. nadanym o 8.50 rano Korpus został rozwiązany, a 27 d.p. oddana do dyspozycji dowódcy Armii Pomorze, gen. Bortnowskiego. Jak najszybsze wycofanie tych jednostek z wysuniętych pozycji w korytarzu pomorskim było koniecznością, z której zdawali sobie dokładnie sprawę wszyscy dowódcy z gen. Bortnowskim włącznie.

W.M. Drzewieniecki podaje w swym artykule streszczenie swej rozmowy z gen. Bortnowskim właśnie na ten temat. Wersja tej rozmowy zawiera wiele nieścisłości. Być może że nie pochodzi ona od gen. Bortnowskiego, gdyż zdarza się czasem, że notatki z rozmowy nie zawsze oddają wiernie o co mówiącemu chodziło. Uderza w tym streszczeniu uporczywe powtarzanie (czterokrotnie) że rozkaz wycofania został wydany przez Szefa Sztabu Głównego a nie przez Generalnego Inspektora. Jest to nieścisłe. W przedwojennym wojsku polskim Szef Sztabu Głównego nie miał prawa rozkazodawstwa w stosunku do dowódców armii. Czyżby chodziło tu o przekonanie nie orientującego się w tych sprawach czytelnika, że ponieważ rozkaz był wydany przez Szefa Sztabu, a nie przez Generalnego Inspektora, zwłoka w wykonaniu przez dowódcę armii była dopuszczalna? Równie nieścisłe jest twierdzenie, że 27 d.p. nigdy nie była przydzielona do Armii Pomorze. Jak wspomniałem powyżej, została ona oddana gen. Bortnowskiemu rozkazem z dnia 31.VIII.³

W dalszym ciągu rozmowy (w ujęciu W.M. Drzewienieckiego) gen. Bortnowski miał mu powiedzieć, że zwłoka w wykonaniu rozkazu Generalnego Inspektora była spowodowana jego nieobecnością w dowództwie przez cały dzień 31 sierpnia i że po powrocie z inspekcji i zapoznaniu się z treścią rozkazu otrzymanego rano, zarządził wycofanie 27 d.p. na 7-mą rano 1 września.

Trudno uwierzyć, że w okresie bezpośredniego zagrożenia, kiedy oczekiwano ataku niemieckiego w każdej chwili i gdy Armia Pomorze była w stanie ostrego pogotowia, dowódca Armii nie był w kontakcie ze swym szefem sztabu (który odebrał rozkaz N.W. o 9-tej rano) przez 12 godzin. Cóżby się stało, gdyby wojna wybuchła 31 sierpnia? Równie trudno jest uwierzyć, że gen. Bortnowski, który bardzo się troszczył o 27 d.p., wysuniętą daleko na północ, nie doceniał pilności wykonania rozkazu marszałka. Mimo to zwlekał.

1. *Polskie Siły Zbrojne* (PSZ) Tom I, Cz. I. str. 311.

2. *Ibid.*, str. 380.

3. P.S.Z. tom I, cz. 1 str. 416

Drzewieniecki pisze, że rozkaz odmarszu 27 d.p. Bortnowski wydał dywizji 31 sierpnia wieczorem. Ale gen. Drapella — dowódca 27 d.p. — i oficerowie jego sztabu twierdzą w swych relacjach, że rozkaz otrzymali dopiero o 8-ej rano 1 września, już po wybuchu wojny⁴.

Cóż więc było prawdziwym powodem tej zwłoki?

Istnieje na ten temat kilka supozycji. Jedną z bardzo prawdopodobnych jest ta, którą podaje Leszek Moczulski w swej książce „Wojna Polska”⁵:

„... wprowadzie 31 sierpnia marszałek Śmigły nakazał rozwiązanie korpusu interwencyjnego i wycofanie wchodzącej w jego skład 27 d.p. spod granic Wolnego Miasta do Bydgoszczy, jednak gen. Bortnowski — dowódca armii — opóźnił wykonanie tego rozkazu. Wiele wskazuje na to, że miał on własny pomysł dość ryzykownej bitwy z wkraczającymi Niemcami, których chciał zaatakować od północy. Plan ten skrywał zresztą w tajemnicy przed Wodzem Naczelnym, zdając sobie sprawę, że Śmigły nigdy go nie zaakceptuje. W rezultacie poprzednich przegrupowań i niewycofania 27 d.p. siły polskie na Pomorzu skupione były w dwu głównych zgrupowaniach. Północne, ześrodkowane wokół Tucholi i na południe od Starogrodu, składało się z 27 d.p., Pomorskiej b.k. oraz części 9 d.p. Południowe — pod Bydgoszczą — obejmowało 15 d.p.. Trzydziestokilometrowy odcinek pomiędzy tymi zgrupowaniami obsadzała tylko część sił 9 dywizji. W dodatku jeden z jej pułków, 34 p.p., został zatrzymany i dopiero w nocy z czwartku na piątek skierowano go na wyznaczone pozycje, w celu zamknięcia nie obsadzonego odcinka. Trudno oprzeć się wrażeniu, że gen. Bortnowski pragnął, aby Niemcy zauważyli lukę w polskim ugrupowaniu i ruszyli w nią, podstawiając się pod uderzenie z północy...”

Następnie p. Drzewieniecki podaje następujący cytat z listu gen. Bortnowskiego do niego mówiący o generale Wacławie Stachewiczu:

„Prawdą jest, że w czasie pierwszej wojny nie dowodził żadną jednostką. Sam zdawał sobie sprawę z tego faktu i starał się ten brak uzupełnić. Należał on do tych niezbędnych w sztabie, których na front nie wpuszczano”.

Nie ma w tych kilku zdaniach *ani jednego słowa prawdy* i dziwi mnie, że W.M. Drzewieniecki, dla którego, jak pisze, historia wojny wrześniowej jest „przedmiotem zainteresowania”, uważa za stosowne powtarzanie fałszywych opinii dotyczących Szefa Sztabu Głównego, które nie mają nic wspólnego z tematem jego artykułu.

Generał Stachewicz wyruszył na wojnę z Oleandrów w sierpniu 1914 r. jako podoficer. Po otrzymaniu nominacji na podporucznika w Jakubowicach, w październiku 1914 dowodził bez przerwy najpierw plutonem, potem jako porucznik kompanią przez cały okres walk 1-szej Brygady. Brał udział we wszystkich bitwach swego pułku

4. P.S.Z. tom I, cz. 1 str. 73

5. L. Moczulski: *Wojna Polska*, Wyd. Poznańskie 1972, str. 201

jako dowódca liniowy i był ranny pod Konarami. Za wybitne dowodzenie otrzymał wysokie odznaczenie wojskowe polskie i austriackie. W sztabie 1-szej brygady nigdy nie służył. Po wojnie przeszedł wszystkie szczeble dowodzenia (d-ca pułku, piechoty dywizyjnej i dywizji). Był absolwentem francuskiej École Supérieure de Guerre i wykładowcą taktyki ogólnej w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie. Niewielu było w polskim wojsku oficerów posiadających tak wszechstronne wykształcenie wojskowe i tak piękną przeszłość bojową.

W drugiej części swego artykułu p. Drzewieniecki powraca do sprawy podziału odpowiedzialności za planowanie operacyjne pomiędzy GISZ-em i Sztabem Głównym.

Opierając się na twierdzeniach dowódców armii, że nie znali całości planu operacyjnego, i na mylnej interpretacji cytatu z artykułu gen. Jaklicza „Mózg armii”, dochodzi do następującej konkluzji: „... Wniosek stąd prosty — planowanie operacyjne na najwyższym szczeblu było w rękach Generalnego Inspektora i jego sztabu. Taką ocenę podał mi zresztą gen. Bortnowski...”

Razi mnie trochę takie uproszczenie tego skomplikowanego zagadnienia. P. Drzewieniecki albo nie pamięta, albo nie uważa za miarodajną odpowiedzi danej mu przez gen. Stachewicza, do którego zwrócił się w r. 1965 z prośbą o wyjaśnienie tej sprawy. W liście pod datą 13.II.1966 gen. Stachewicz tak mu odpowiedział:

(...) „Generał Rydz-Śmigły po objęciu stanowiska Generalnego Inspektora przywrócił Sztab Główny do właściwej roli w zakresie prac organizacyjno-wojennych i mobilizacyjnych. Natomiast od strony operacyjnej nie wszystkie ograniczenia Sztabu Głównego zostały zniesione oraz nie został przywrócony wpływ Sztabu na szkolenie wojska. W sprawach operacyjnych Sztab Gł. pozostał nadal organem wykonawczym GISZ-u, ograniczonym w zakresie swojej pracy, z czego wielu obecnych krytyków nie zdaje sobie sprawy, identyfikując rolę i kompetencje polskiego Sztabu Gł. z rolą Sztabów Generalnych innych państw, a zwłaszcza Austrii i Niemiec sprzed 1-szej wojny światowej...”

W swym artykule p. W.M. Drzewieniecki ani słowem nie wspomina o tej wypowiedzi byłego Szefa Sztabu Głównego. Sądzę, że byłoby wskazane wziąć ją pod uwagę przed wyciągnięciem „prostyh wniosków”. Sprawy te są dokładnie przedstawione w pracy gen. W. Stachewicza (2 tomy) o organizacji najwyższych władz wojskowych w Polsce⁶.

Ponieważ jednak sprawa podziału pracy pomiędzy Sztab Główny i Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych (GISZ) w latach 1935-39 jest ciągle niedobrze zrozumiana przez wielu, których interesują te sprawy, a ogrom pracy dokonany w tym okresie przez oficerów sztabu jest na ogół niedoceniany, myślę że warto przypomnieć, jak były prowadzone prace nad przygotowaniem do wojny.

W r. 1935, po śmierci marszałka Piłsudskiego, nowomianowany generalny Inspektor Sił Zbrojnych, gen. Rydz-Śmigły, stanął wobec

6. *Zeszyty Historyczne* nr 40 i 50.

nowej sytuacji stworzonej przez dojście do władzy Hitlera i szybką modernizację i rozbudowę wojsk obu naszych sąsiadów — Niemiec i Rosji. Wymagała ona olbrzymiego wysiłku, aby możliwie szybko doprowadzić do gotowości nasze przygotowania wojenne na obu frontach. Zakres prac, które musiały być wykonane, był ogromny, a środki, zwłaszcza finansowe, bardzo ubogie.

Generalny Inspektor miał do swej dyspozycji dwa organy pracy: GISZ i Sztab Główny.

Na pierwszym planie postawił Generalny Inspektor opracowanie definitywnej organizacji wojennej i nowego planu mobilizacyjnego oraz planu dozbrojenia i rozbudowy wojska łącznie z rozbudową przemysłu wojennego. Prace te skupione zostały w Sztabie Głównym.

W dziedzinie operacyjnej studia i prace nad frontem wschodnim, oparte na studiach marszałka Piłsudskiego i Inspektorów Armii, były dostatecznie zaawansowane, aby pozwolić Generalnemu Inspektorowi na powzięcie podstawowych decyzji operacyjnych co do planu wschodniego. Decyzje te zostały następnie przekazane Sztabowi Głównemu do szczegółowego rozpracowania sztabowego.

Prace nad frontem zachodnim były w tym okresie (1935) w stadium początkowym. W zimie 1935 Sztab Główny opracował obszerne studium „Niemcy”, które stało się podstawą prac przygotowawczych do planowania wojny na zachodzie. Pod koniec lutego 1939 marszałek Śmigły podał Szefowi Sztabu Głównego gen. Stachiewiczowi zasadniczą koncepcję planu operacyjnego „Zachód” i wytyczne do sztabowego opracowania tego planu. (To jest praca, o której pisze gen. Jaklicz w swym artykule „Mózg armii”, który p. Drzewieniecki mylnie interpretuje jako rozwój koncepcji strategicznej planu). Przez cały ten okres 1935-39 Szef Sztabu Głównego ani żaden oficer Sztabu nie brali udziału w formułowaniu podstawowych decyzji operacyjnych. Szef Sztabu nie był ani razu wezwany przez Generalnego Inspektora w celu dyskusji czy rozmów na ten temat. Po otrzymaniu wytycznych, żadne zmiany proponowane przez Sztab Główny nie były uwzględnione przez Generalnego Inspektora.

Czy Generalny Inspektor polegał na opinii inspektorów armii przy pobieraniu ostatecznych decyzji operacyjnych — nie wiadomo. Faktem jest, że koncepcja działań Generalnego Inspektora z 1939 r., czyli koncepcja *walki o czas* w formie opóźnienia do czasu osiągnięcia zmiany niekorzystnego stosunku sił, była odmienna od koncepcji Inspektorów Armii, którzy wszyscy w swych studiach nad frontem zachodnim dążyli do złamania ofensywy nieprzyjaciela własnymi siłami, nie czekając na odciążenie nas przez ofensywę sojuszników. Było to, zdaniem generała Stachiewicza, jedną z zasadniczych przyczyn nieporozumień trwających do dzisiejszego dnia.

W swym liście do W.M. Drzewienieckiego, o którym wspominałem poprzednio, gen. Stachiewicz pisał:

„Przygotowanie i prowadzenie wojny, szczególnie w naszych wyjątkowo ciężkich warunkach, w których trudności nie do pokonania piętrzyły się dosłownie ze wszystkich stron, było zagadnieniem zbyt skomplikowanym, żeby je można było omówić i naświetlić w dorywczej rozmowie, czy na paru kartkach papieru. Jak Panu wiadomo, dużo publikacji ogłoszono na te tematy, często bardzo powierzchownych i mało wartościowych i na ogół zabarwionych taką czy inną tendencją. Zorientować się w tym całym chaotycznym materiale nie jest rzeczą łatwą i trzeba być szczególnie uważnym, by przez łatwe uproszczenie nie stworzyć fałszywego obrazu całości”.

Do tej dobrej rady powinniśmy się wszyscy stosować, studiując historię naszych przygotowań do wojny.

Bogdan STACHIEWICZ

Dr Marian WOŹNIAK

W ODPOWIEDZI NA „KONSPIRACJĘ POZNAŃSKĄ”

Pod pretensjonalnym tytułem „Konspiracja poznańska” zaprezentował się światowej rzeszy czytelników *Zeszytów Historycznych* literat Jerzy Korczak¹. Rzecz jest o tyle wymagająca sprostowania, że autor ani słowem nie wspominał, że chodzi nie o historię, lecz o utwór literacki, swoistą kontynuację powieściowego ujęcia dziejów Armii „Poznań” w walkach 1939 r., wydanej w kraju pod tytułem „Cóżś Ty za pani”. Bogate dzieje struktur Polskiego Państwa Podziemnego we wcielonej do Rzeszy Wielkopolsce nie miały dotąd szczęścia, by poświęcono im miejsce w tak znaczącym dla historii najnowszej wydawnictwie. Były ku temu liczne powody. Do podstawowych zaliczyć należy niekorzystny klimat polityczny w kraju, w następstwie którego konspiracja wielkopolska 1939-1945, kontynuowana następnie do późnych lat pięćdziesiątych, była urzędowo przemilczana. Nie prowadzono w Wielkopolsce gruntownych badań historycznych, co przy licznych dekonspiracjach w latach okupacji, masowych aresztowaniach i utracie większości archiwaliów organizacyjnych musiało prowadzić do dramatycznego zafałszowania kolejnej karty walki Wielkopolan o wolność i niepodległość.

Jesteśmy świadomi poważnych zapóźnień badań historycznych.

1. Jerzy Korczak, „Konspiracja poznańska”, w: *Zeszyty Historyczne* nr 88, 1989 r., s. 101-107.

Nie możemy jednak pozostawać bierni, gdy fakty historyczne próbuje się zastępować wytworami literackiej wyobraźni. Z takim stanem mamy do czynienia w omawianym artykule J. Korczaka.

W kontrowersyjnych wywodach autor przedstawia skrzywiony obraz Wielkopolski Walczącej.

Nie sposób w krótkim artykule przedstawić choćby zarysu dziejów wielkopolskiej konspiracji. Ograniczymy się zatem do sprostowania tylko podstawowych błędów zawartych w artykule J. Korczaka, mając na uwadze fakt, że są to fragmenty przygotowywanej do druku powieści historycznej.

1. U genezy konspiracji wielkopolskiej legły tradycje Powstania Wielkopolskiego i własna, wypracowana w Poznaniu wizja struktur Polskiego Państwa Podziemnego. Był to swoisty ewenement, gdy skłonne raczej do realizacji partykularnych interesów grupy działaczy politycznych, wywodzących się z „obozu narodowego”, w tym także liczna grupa oficerów przeniesionych po zamachu majowym 1926 r. w stan spoczynku, opowiedziały się za koniecznością podporządkowania wszelkich interesów nadrzędnej roli państwa. W tym nurcie powstała „Ojczyzna”, zdecydowanie popierana przez powstańców wielkopolskich tej miary co mjr dr Wojciech Jedlina Jacobson, mjr Stefan Łukowicz, ppłk Edmund Effert, ppłk Franciszek Rataj, czy ppor. rez. Franciszek Paweł, a więc tych, którzy istotnie nawiązali kontakty z gen. Michałem Tokarzewskim, lecz do czasu podjęcia decyzji przez gen. Władysława Sikorskiego o utworzeniu ZWZ uniemożliwili wszelkie działania organizacyjne ze strony SZP, podejrzewając ją o związki z sanacją².

2. Począwszy od października 1939 r. powstawały w Poznaniu, a także w innych ośrodkach Wielkopolski różne organizacje podziemne, głównie nawiązujące do tradycji Powstania Wielkopolskiego, by wymienić tu Wojsko Ochotnicze, tajną Organizację Wojskową, Poznańską Organizację Zbrojną, Tajną Polską Organizację Wojskową, Wielkopolską Organizację Wojskową, czy Wielkopolską Organizację Zbrojną. Jednocześnie rozwinięta została największa inicjatywa konspiracyjna Stronnictwa Narodowego, w Poznaniu początkowo pod nazwą „Obrona Narodu”, a w Kaliszu „Organizacja Jedności Narodowej”, która od września 1940 r. przyjęła nazwę „Narodowa Organizacja Bojowa” (NOB). Ta ostatnia prowadziła bezpardonową rywalizację z pozostałymi o „rząd dusz”. Z tajnych drukarni wychodziły liczne pisma: *Polska Narodowa, Jedność, Armia Narodowa, Polonia Poznańska, Czuwamy, Czuwajmy, Świt, Dla Ciebie Polsko*, by wymienić tylko kilka najpoważniejszych³.

2. Marian Woźniak, *Geneza i początki organizacyjne SZP-Związku Walki Zbrojnej w obszarze Poznańsko-Pomorskim*, w druku: Towarzystwo Naukowe w Toruniu, materiały sesji w 50-lecie powołania SZP na Pomorzu.

3. Edward Serwański, *Wielkopolska w cieniu swastyki*, Warszawa 1970; M. Woźniak, *Polska konspiracja wojskowa w Wielkopolsce 1939-1945*, UAM, Poznań 1978.

3. Pierwsze próby unifikacyjne, podjęte w grudniu 1939 r., nie dały wyników z wyjątkiem środowisk wojskowych, głównie wśród podoficerów zawodowych oraz Związku Podoficerów Rezerwy („Żelazna Brygada”, „Rezerwowa Brygada”). Upadła też koncepcja „Wojska Ochotniczego Ziem Zachodnich”, wysuwana przez zdegradowanego przed wojną kpt. Leona Komorskiego. W jej miejsce powstała wiosną 1940 r., a więc po przeprowadzeniu rozmów scaleńskich przez emisariusza rządu mjr. Jerzego Michalewskiego („Dokładny”) „Wojskowa Organizacja Ziem Zachodnich”, dowodzona przez kpt. Leona Kmiołka („Pomian”, „Dołęga”).

4. Jesienią 1939 r. wznowiło w warunkach konspiracji działanie Harcerstwo. Część pod ustaloną w Poznaniu nazwą „Szare Szeregi”, część w łączności z konspiracją narodową pod nazwami „Harcerstwo Niepodległościowe” bądź „Harcerstwo Polskie”⁴.

5. Środowisko „Ojczyzny” przekazało w grudniu 1939 r. na ręce rządu, za pośrednictwem min. Mariana Seydy, całościową koncepcję budowy w Wielkopolsce struktur Polskiego Państwa Podziemnego, czego wyrazem było powołanie 3.V.1940 r. Adolfa Bnińskiego na Głównego Delegata Rządu RP dla Ziem Zachodnich oraz nominacja płk. Rudolfa Ostrianskiego 5.VI.1940 r. na komendanta Poznańskiego Okręgu ZWZ⁵.

6. Organizację Poznańskiego Okręgu ZWZ poprzedziło powołanie 5.II.1940 r. Komitetu, złożonego z przywódców organizacji poznańskich — „Ojczyzny”, „Wielkopolskiej Organizacji Wojskowej”, Harcerstwa, a początkowo także NOB, który miał działać jako ZWZ, do czasu uzgodnienia personalnych aspektów związanych z osobą komendanta Poznańskiego Okręgu ZWZ⁶.

7. Wielkopolskie Kierownictwo Związku Odwetu budowane było początkowo równolegle do sieci terytorialnej ZWZ, począwszy od grudnia 1939 r., w oparciu o przygotowaną przed wybuchem wojny „trójkę” obszarową Sieci Dywersji Specjalnej („Tajna Organizacja Konspiracyjna”), kierowaną przez por. rez. Czesława Surmę („Korzeniewski”). Ośrodki terenowe działały w Gnieźnie, Ostrowie Wlkp., Lesznie i w Poznaniu. Po brawurowej ucieczce z Poznania z rąk gestapo por. Cz. Surmy kierownictwo objął i prowadził do dekonspiracji wiosną 1942 r. ppor. rez. Zenon Pluciński („Halski”). W ramach WKZO działały trzy podstawowe pionierzy organizacyjne — Oddział Dywersji i Sabotażu (ppor. Stefan Celler, z podległym mu plutonem lotnym st. sierż. Michała Graczyka („Kuba”), Oddział Łączności dowodzony przez ppor. rez. Edwarda Norbeckiego

4. Instytut Zachodni, Poznań, cyt. IZ, *Sprawozdania Inspektora Tajnej Policji Państwowej i SD, Der Inspekteur der Sicherheitspolizei und der SD Posen za 1940 r.*, Gestapo Łódź, t. 236 k.8-12.

5.. Jan Jacek Nikisch, „Organizacja 'Ojczyzna' w latach 1939-1945” w: *Więź* nr 10-11-12, s. 184-207. Zob. M. Woźniak, *Zarys struktury organizacyjnej i personalnej Poznańskiego Okręgu ZWZ-Armii Krajowej*, w druku.

6. *Ibidem*.

(„Eduard Liedke”) oraz Oddział Naukowo-Produkcyjny, kierowany przez dr Franciszka Witaszka („Warta”). Po przejściu przez kontrwywiad Głównej Delegatury Rządu RP tajnego okólnika do ustawy o Niemieckiej Liście Narodowościowej, z którego wynikało, że Wielkopolanie, w odróżnieniu od Pomorzan i Ślązaków, mają być biologicznie zniszczeni w okresie 10-ciu lat, w przewidywaniu masowej eksterminacji opracowano w WKZO projekt kontrakcji w postaci „wojny bakteriologicznej”, z terminem uruchomienia 1.IX.1941 r.⁷ Na skutek dekonspiracji w sztabie Poznańskiego Okręgu 9.IX.1941 r. od realizacji planu odstąpiono. Od 1.IX.1941 do wiosny 1942 r. wywołano kilka ognisk epidemii wśród zwierząt (konie wojskowe, drób i bydło w dyspozycji Wehrmachtu)⁸.

8. Wyjaśnienia wymaga też powtarzany przez autora za innymi autorami scenariusz erygowania Głównej Delegatury Rządu RP dla Ziem Zachodnich, która wyprzedziła powołanie Głównej Delegatury Rządu RP na Generalne Gubernatorstwo. W toku naszych badań udało się dotrzeć do sprawozdań Głównego Delegata oraz podległego mu Biura, zdeponowanych w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Władysława Sikorskiego. Główny Delegat Rządu RP w Poznaniu nie był, jak to się sugeruje, wybierany, lecz nominowany bezpośrednio przez ustanowionego przez gen. Wł. Sikorskiego „męża zaufania rządu” ks. inf. Józefa Prądzyńskiego i objął swój urząd 3.V.1940 r. Powołanie Politycznego Komitetu Porozumiewawczego miało charakter wtórny, przy dużym udziale „męża zaufania”. Rząd, kierując się zapewne swarami w kręgach politycznych działaczy PKP w Warszawie, wstrzymywał formalną nominację Adolfa Bnińskiego, udzielając jej wspólnie z Cyrylem Ratajskim dopiero 5.XII.1940 r.⁹ Na tym tle doszło do sporu kompetencyjnego dotyczącego Śląska, który delegat poznański uznawał za integralną część Ziem Zachodnich, mianując tam delegata okręgowego, podporządkowanego delegaturze poznańskiej. Główna Delegatura Rządu RP w Poznaniu działała do grudnia 1941 r., kiedy to na skutek aresztowań jej kompetencje przejęła delegatura warszawska¹⁰.

Przedstawiając powyższe sprostowanie staraliśmy się wyłowić jedynie podstawowe błędy merytoryczne zawarte w artykule J. Korczaka, w oparciu o stan wiedzy na koniec 1989 r. Jednocześnie nie

7. Marian Woźniak, „Tajne struktury dywersji i wywiadu Wojska Polskiego w Wielkopolsce w latach 1938-1939”, w: *Kronika Wielkopolski* nr 1/1989 s. 39-68.

8. IZ, *Sprawozdania Inspektora Tajnej Policji Państwowej i SD, o.c.*, z 1941 r., Gestapo Łódź t. 238 k. 224-237.

9. IPiMS, PRM 76/2 k. 2-4, tamże, Col. 25/12 k.2.

10. Studium Polski Podziemnej w Londynie, cyt. SPP, MSW 15a k. 119 oraz 4.1.1.1.1., depesza 1. dz.k. 489/42 z 9.12.1941 r.

wnikaliśmy w niewątpliwe walory literackie przedstawionej w artykule powieści. Chodziło głównie o przeciwdziałanie, by legendy nie zastępowały legend poprzednich i jako takie nie funkcjonowały w zastępstwie prawdy historycznej.

Dr Marian WOŹNIAK

Poznań, grudzień 1989 r.

Jerzy KORCZAK

ODPOWIADAM DR. M. WOŹNIAKOWI

Z niemałym zdziwieniem zapoznałem się z tekstem p. dr. M. Woźniaka, który w związku z moim kilkustronicowym informacyjnym artykułem o poznańskiej konspiracji w latach II wojny światowej próbuje wytaczać potężne polemiczne działa. Zdziwienie moje spowodowane jest paroma faktami. Oto one:

1. P. dr Woźniak miał wielokrotnie okazję zapoznania się nie tylko ze skromną w zamierzeniu i rozmiarach publikacją na zaszczytnych paryskich łamach *Zeszytów Historycznych*, lecz z niemal całym oryginalnym tekstem będącej właśnie w druku mojej książki pt. „Konspiratorzy”. Publikowana była ona bowiem, przed przygotowywanym właśnie wydaniem książkowym, w obszernych fragmentach w takich czasopismach, jak miesięcznik OO Dominikanów *W drodze*, wielonakładowy tygodnik *Wprost*, *Tygodnik Powszechny*, a aktualnie drukuje ją w codziennych odcinkach niezależna gazeta Wielkopolan *Dzisiaj*, ukazująca się pod nosem p. dr Woźniaka.

Nigdy i nigdzie p. dr Woźniak na temat tych „krajowych” publikacji nie zgłaszał swoich uwag.

2. Polemika, którą próbuje narzucić p. dr Woźniak, jest całkowicie sztuczna. Nie ma bowiem żadnych zasadniczych rozbieżności w widzeniu historycznych faktów. Rzecz jednak w tym, że p. dr Woźniak nie odróżnia piśmienniczych gatunków; nie bardzo wie, czym różni się praca pisarza od pracy historyka.

3. Autor polemiki od wielu już lat zajmuje się badaniem źródeł do poznańskiej konspiracji czasów wojny, z których i ja korzystałem, za co wyrażałem mu w wielu miejscach podziękowanie, ale jak dotąd nie opublikował na ten temat własnej książki. Ten tak bardzo przedłużający się debiut jest zapewne źródłem jego frustracji i niepokojów, że ktoś, choćby był z literackiej branży, może

„zawłaszczyć” mu temat. Broni więc swoich „własnościowych” praw jak może. Niech robi to dalej. Byle tylko bez chwytów takich, jak imputowanie, że poprzez ów artykuł — jak pisze — „literat Korczak zaprezentował się światowej rzeszy czytelników *Zeszytów Historycznych*”.

Literat Korczak prezentował się bowiem na łamach czasopism Pana Redaktora Jerzego Giedroycia w czasach znacznie gorszych, gdy było to nie tylko zaszczytem, lecz także powodem wielu szykan i wstrzymywania druku książek. Z tą sferą przeżyć p. dr Woźniak nie miał jednak nigdy do czynienia. Można więc darować i tę złośliwość. Zwłaszcza, że dzięki temu polemicznemu pretekstowi znalazł i on okazję, aby „zaprezentować się światowej rzeszy czytelników *Zeszytów Historycznych*”.

Jerzy KORCZAK

RECENZJE

Piotr WANDYCZ

NOWE KSIĄŻKI

Wśród wielu tomów, które otrzymałem w ostatnich miesiącach, jest kilka zasługujących niewątpliwie na dłuższe omówienie. Jak zwykle ograniczę się jednak do zasygnalizowania ich w krótszych czy dłuższych wzmiankach. Jednej tylko chciałbym poświęcić nieco więcej miejsca, zgodnie z zapowiedzią w moim ostatnim przeglądzie.

Zacznijmy od dwóch ogromnych tomów, które postaram się w przyszłości zrecenzować obszernie, a liczę, że ukażą się i inne ich omówienia. *Primo* Maria Nowak-Kiełbikowa, *Polska-Wielka Brytania w dobie zabiegów o zbiorowe bezpieczeństwo w Europie 1923-1927* (PWN, 1989). Autorka jest znanym i cenionym badaczem historii dyplomatycznej okresu międzywojennego i obecny tom stanowi ciąg dalszy jej cennej książki *Polska-Wielka Brytania w latach 1918-1923* (PWN, 1975). Jeśli pamiętamy o książce Nurka nt. Polski w polityce W. Brytanii w latach 1936-1941, to stosunki między obu krajami zostały opracowane na całej ich rozciągłości (mam na myśli II Rzeczpospolitą i jej przedłużenie w czasie wojny) i to przez prawdziwych znawców przedmiotu. Mówiąc to, nie chciałbym oczywiście sugerować, iż nie doceniam pozostałych prac z tej tematyki, jak M. Baumgarta *Wielka Brytania a odrodzona Polska*, H. Jackiewicza *Brytyjskie gwarancje* czy T. Piszczkowskiego *Anglia a Polska 1914-1939*. Wprost przeciwnie. Są wreszcie książki z tej dziedziny w języku angielskim, ale o tych nie będę już tu pisał, poza przypomnieniem o wkładzie, jaki wniosła Anna M. Cienciąła.

Drugi opasły tom to dzieło Romana Wapińskiego *Świadomość*

polityczna w Drugiej Rzeczypospolitej (Wyd. Łódzkie, 1989). Znowu mamy do czynienia z pracą wybitnego historyka, którego monografia Dmowskiego ukazała się tak niedawno temu. Temat fascynujący, a tytuły głównych rozdziałów: *Elita polityczna II Rzeczypospolitej; Twórcy i przywódcy; Granice Polski i jej miejsce w Europie; Państwo-społeczeństwo-naród; Obyczajowość i Zakończenie* dają jakieś pojęcie o podejściu autora do tej tematyki. Praca oparta zarówno na archiwach jak i bogatej literaturze przedmiotu. Odkładam uważną lekturę tej książki jak i tomu Nowak-Kiełbikowej do chwili, kiedy skończę obecną pracę, w której z konieczności oddaliłem się trochę od mojej zasadniczej dziedziny — polityki zagranicznej w Dwudziestolecu.

Skoro jesteśmy przy tej specjalności, sygnalizuję dwie tematycznie nieco zbliżone książki i to specjalistów, których prace zasługują na uwagę. Są to: *Czechosłowacka jesień 1938* (Instytut Zachodni, 1989) pióra znanego historyka poznańskiego Jerzego Kozeńskiego, oraz Robert Kvaček, *Obtížné spojení: politicko-diplomatické vztahy mezi Československem a Francií 1937-1938* (Praga, 1989).

Skoro mowa o historykach, którzy wyrobili sobie ogólnie uznaną pozycję specjalistów w danej dziedzinie, to nie mogę pominąć nowej książki Ryszarda Torzeckiego *Kwestia ukraińska w Polsce w latach 1923-1929* (Wyd. Literackie, 1989). Problematyka niezmiernie ważna i ciekawa, zwłaszcza teraz, kiedy przyszedł moment na przebadanie *sine ira et studio* często bolesnych problemów i wyciągnięcie jakichś wniosków na przyszłość.

Wreszcie interesująco wyglądający tom pt. *Narodowa demokracja wobec faszyzmu 1922-1939* (PWN, 1989) Krzysztofa Kawalca — temat też ważny i kontrowersyjny — i nowe opracowanie górnośląskiego plebiscytu (Bożena Malec-Masnyk, *Plebiscyt na Górnym Śląsku: geneza i charakter*, Opole, 1989) oraz zbiorowa praca pod redakcją Jana Jachmyka, *Rola posła i senatora w II Rzeczypospolitej* (Lublin, 1989), rzecz bardzo na czasie. Szkoda tylko, że wydane na powielaczu a nie drukiem, choć obecnie będzie to coraz częstsze zjawisko. Za to bardzo starannie i wyraźnie odbite.

A teraz chciałbym przejść do nieco szerszego omówienia książki — sygnalizowanej przeze mnie w ostatnim numerze *Zeszytów* — a mianowicie tomu Andrzeja Friszke *O kształt Niepodległej* (Bibl. Więzi, 1989). Jest to praca niezmiernie wartościowa i w chwili obecnej potrzebna. Autor, należący do tzw. średniego pokolenia, jest redaktorem historycznego działu w *Więzi*, czyli jest historykiem-publicystą, łączącym znajomość tematyki z umiejętnością pewnej popularyzacji. Określenia tego używam tutaj jako komplementu. Mamy już wiele opracowań dotyczących historii II Rzeczypospolitej i lat drugiej wojny, bardziej lub mniej naukowych, zagłębiających się w pewne wycinki oraz syntetyzujących. Zaczynając lekturę książki Friszkego, miałem więc pewne wątpliwości, czy tego

typu ujęcie całościowe nie jest jeszcze jedną powtórką rzeczy dobrze znanych. W miarę czytania wątpliwości moje rozwiewały się, a zamiast nich pojawiła się przyjemność z lektury, a przede wszystkim uznanie dla autora, który potrafił wydobyć zasadnicze tendencje, spojrzeć na wielkie postacie z maksymalnym obiektywizmem i dostarczyć nam szeregu doskonałych sformułowań. Dlatego książka ta winna być czytana przez niespecjalistów i przez młodsze pokolenie, chcące zrozumieć istotę tych konfliktów i zagadnień. Napisałem, że Friszke jest możliwie bezstronny, co nie oznacza, że unika ocen i wartościowania. Sympatie jego są po stronie obozu piłsudczykowski, a raczej najlepszych jego cech. Z kolei surowo, ale w swoim przekonaniu sprawiedliwie ocenia inne kierunki polityczne, zwłaszcza endecję w jej późniejszych wcieleniach.

Układ książki jest jasny i przejrzysty. Dziesięć rozdziałów pt. Konspiratorzy; Piłsudski; Roman Dmowski i Narodowa Demokracja; O kształt państwa narodowego; Niepodległość, demokracja, socjalizm; Pluralistyczny autorytaryzm; W stronę totalitaryzmu; Różne odcienie demokracji; Polska generała Sikorskiego; i wreszcie O porozumieniu stronnictw w Polsce Podziemnej 1939-1941. Dwa aneksy zawierają spisy dyrektorów Delegatury Rządu i Delegatów okręgowych z lat okupacji. W zasadzie rozdziały grupują się w trzy główne człony: koncepcje obozów Piłsudskiego i Dmowskiego, koncepcje parlamentaryzmu i reakcji antyparlamentarnej i wybrane zagadnienia polityki i myśli politycznej lat drugiej wojny.

W książce jest dużo dobrych i lapidarnych sformułowań. Autor słusznie przypomina powiedzenie Piłsudskiego, iż „parę pokoleń minąć musi, zanim stworzy się znowu państwowa kultura polska”. Wysuwa interesującą tezę o „centryzmie” obozu Piłsudskiego, przez co rozumie pragmatyzm tego obozu, który pozwolił na sprawowanie władzy bez wywołania wojny domowej, co byłoby nieuniknione gdyby władzę objęła albo lewica albo prawica. Określając Piłsudskiego, w odróżnieniu od Dmowskiego, jako pluralistę ideologicznego, podkreśla, że obóz jego oceniać należy za jego pragmatyczne posunięcia, a nie zasady ideowe. „Pluralistyczny autorytaryzm” jako określenie rządów pomajowych wydaje mi się trafne. Pisząc o OZN-ie autor zaznacza, iż totalitarne były jego założenia, a nie jego polityka. W tym wypadku może traktuje on OZN zbyt poważnie.

Zgadzam się z Friszkiem, iż przywódcy Ligi Narodowej uważali siebie nie za wyrazicieli cząstkowych interesów społeczeństwa, nie za stronnictwo, ale za kierownictwo narodowe. W tych warunkach, jak pisze, tylko przyjęcie ich hierarchii celów dawało patent narodowy. Wydaje mi się, że Friszke dotyka tu bardzo zasadniczego punktu ideologii nacjonalistycznych, podług których tylko ich adepci mają monopol na patriotyzm. Tylko oni są „narodowi”. Lektura tej części książki powinna być obowiązkowa dla dzisiejszej młodzieży, bo przecież tyle tych spraw jest wciąż jeszcze aktualnych.

Frapujące, choć nieco kontrowersyjne jest stwierdzenie Frisz-

kego, iż w 1905 r. Dmowski przekształca Narodową Demokrację w „prawicową partię porządku”. Można nad tym dyskutować. W tej części książki jest też trochę drobnych poślizgnięć odnośnie dat i imion: na przykład Zdanowskiemu było na imię Juliusz a nie Julian. Czy chęć ograniczenia wpływu mniejszości narodowych była dla endecji główną przyczyną przechodzenia na pozycje coraz mniej parlamentarno-demokratyczne? Chyba nie tylko, co zresztą autor przyznaje, pisząc o pewnym zafascynowaniu faszyzmem. Friszke słusznie uwypukla radykalizację i ewolucję w kierunku totalitaryzmu i słusznie przypomina, iż „klimat polityczny w Polsce w latach trzydziestych był ponury”. Warto było przypomnieć wypowiedzi skrajnej prawicy, jak „nienawidzimy kompromisu” lub „jeśli ludzie prawdy uznawać dobrowolnie nie chcą należy ich, w ich własnym interesie, do tego zmusić”. W czasach obecnych, kiedy porzucono już chyba na dobre komunistyczne próby zohydzenia Drugiej Rzeczypospolitej, musimy zwracać szczególną uwagę na to, aby nie wpaść w drugą krańcowość, a mianowicie gloryfikację okresu międzywojennego Dwudziestolecia. Jest to naturalna reakcja u jednych, a chęć zatarcia śladów i udawania, że się jest *plus catholique que le pape* u drugich. Głosy wychodzące z kół o nieposzlakowanej przeszłości, jak to ma miejsce w wypadku Friszkego, są szczególnie ważne i dydaktycznie potrzebne.

Przechodząc do okresu drugiej wojny, autor zwraca uwagę na coś, co często jest pomijane, a mianowicie, że rząd Sikorskiego był w dużej mierze rządem Frontu Morges. Stąd słusznie poświęca on więcej uwagi kierunkowi, jaki Front Morges reprezentował. Analiza podziemia i jego struktury, kontynuacji walk polityczno-partyjnych i ich znaczenia stanowi wiele ciekawą lekturę. Odnoszę wrażenie, iż Friszke przy całej swej znajomości Polski przedwrześniowej obraca się swobodniej, albo powiedziałbym z większym osobistym zaangażowaniem w tematyce okupacyjnej. Widzę tu jakiś wpływ Bartoszewskiego na autora. Dla mnie osobiście ta część wnosi jeszcze więcej nowego materiału i przemyśleń niż uprzednie rozdziały.

Jak autor ostrzega na wstępie, poszczególne rozdziały były pisane pod nieco różnym kątem. Niektóre były wyraźniej publicystyczne, inne wносиły cały aparat naukowy. Różnice te nie wpływają ujemnie na lekturę całości, a może nawet ożywiają narrację, która nie pretenduje zresztą do wyczerpania wszystkich zagadnień lat 1914-1945. *Summa summarum* jest to książka cenna, potrzebna, a w chwili obecnej wyjątkowo użyteczna. Zmusza do myślenia na najważniejsze tematy i choć nie narzuca czytelnikowi analogii z dniem dzisiejszym, analogie te wielokrotnie same się nasuwają. Friszke zrobił naprawdę dobrą robotę i należą mu się wyrazy uznania.

Piotr WANDYCZ

OKRUCHY HISTORII

Janusz RAKOWSKI

E. KWIATKOWSKI — OZN — RYDZ-ŚMIGŁY

Z moich licznych wspomnień, zapisków i notatek, których nie mogłem zabrać ze sobą ewakuując się z Warszawy we wrześniu 1939 roku i które spłonęły w czasie Powstania Warszawskiego, uratował się przypadkiem jeden zeszyt z notatkami od listopada 1938, a w nim opis poważnego konfliktu Kwiatkowskiego z Obozem Zjednoczenia Narodowego. O konflikcie tym pisałem już w rozprawie „Polityka finansowa Eugeniusza Kwiatkowskiego”, drukowanej w Niepodległości, tom XI/1978. Poniżej podaję pełny tekst mego ówczesnego opisu wspomnianego konfliktu, ponieważ może mieć pewne znaczenie dla historii.

W dniu 28 listopada 1938 orędiem Prezydenta otwarta została Sesja Nadzwyczajna Sejmu i Senatu. Dokonano wyboru marszałków W. Makowskiego i B. Miedzińskiego.

Od 29-go wicepremier przystępuje do opracowania przemówienia budżetowego na piątek 2-go grudnia. Wyłącza się ze spraw bieżących. 30-go listopada przyjmuje wizyty nowowybranych marszałków, później 4-godzinny wieczór poświęca obiadowi, wydanemu przez premiera Składkowskiego. Nazajutrz użalał się na wyrwanie mu tych paru godzin. „Pokłóciłem się z panem premierem — mówił mi — o ten obiad. Powiedziałem mu, że wolałbym, aby mi kazał przez 4 godziny czyścić i zmywać np. Plac Marszałka. Czuję się okropnie we fraku przy tym obiedzie, gdy całą moją myśl koncentruję teraz na moje przemówienie”.

2-go grudnia: obszerne przemówienie budżetowe wicepremiera.

3-go grudnia: jesteśmy wzburzeni incydem sejmowym z płk. Zygmuntem Wendą, który późnym wieczorem — przemawiając z ramienia klubu OZN — zaatakował wicepremiera. Po przemówieniu płk. Wendy (godz. 21) odbyły się wybory do Komisji Sejmowych. Wicepremier siedział z premierem Składkowskim w ławie rządowej. Po skończonym posiedzeniu wstał i dał mi znak, że wychodzimy z Sejmu. Poszliśmy piechotą na ul. Bracką w towarzystwie dyrektora Wiktora Martina. W czasie drogi omawialiśmy incydent. Wicepremier był wyraźnie wzburzony. Oświadczył nam, że zareaguje wystąpieniem z OZN. Prosiłem, aby nic nie robił na gorąco.

Następnie wróciłem do Sejmu. Dziennikarzom dałem instrukcję, aby nie tuszowali, że zaistniał konflikt między rządem i szefostwem ONZ. Mieli już tekst mowy Wendy. Tymczasem w gabinecie ministrów premier Składkowski wezwał gen. Skwarczyńskiego, szefa Obozu, płk. Wendę, marszałka Makowskiego, wiceministrów Morawskiego, Grodyńskiego i Chełmońskiego. Oświadczył im, że wiceminister jest urażony i zapytał Morawskiego, czym mógł się czuć dotknięty. Zapytany z kolei o opinię, marszałek Makowski powiedział, że gdyby to był Sejm opozycyjny, to zapewne przywódca opozycji lepiej mowy nie wygłosiłby (notuję to na podstawie relacji Makowskiego i Grodyńskiego). Składkowski prosił marszałka Makowskiego o wstrzymanie stenogramu mowy Wendy, co uczyniono, komunikując dziennikarzom, że będzie konfiskowana, jeśli ukaże się w druku bez weryfikacji. Mowę przerobiono, skreślając niektóre ustępy (pracowali nad tą przeróbką dyrektor Brzozowski i wiceminister Chełmoński). Porównując ten przerobiony tekst z pierwotnym stenogramem stwierdziłem:

W pierwszym ustępie skreślono słowa: ... że Naród polski „ *kierowany właściwie*”... „Muszę jednak stwierdzić — mówił Wenda — że nie należy się oddawać zbyt niemu optymizmowi, *bo wymowa cyfr jest rzeczą względną, zależną od formy zestawienia, w jakim się je podaje*” (słowa podkreślone skreślono)... „W Polsce... wskaźnik produkcji wynosił w 37 r. 85. Według wskaźnika, opartego na nowych obliczeniach, *bardziej optymistycznych*, skorygowany wskaźnik wynosi 111. *Mimo zastrzeżeń różnego rodzaju, trzeba jednak obiektywnie stwierdzić postęp...* Cyfr produkcji nie można uważać za wyłacznie (dodano) miarodajne”.

Wenda mówił dalej: „Wracając do wczorajszego przemówienia pana wicepremiera, pozwolę sobie stwierdzić, że było ciekawe, interesujące, podnoszące na duchu, *jednak nie zawierało tego, co chcielibyśmy usłyszeć: konkretnego i śmiałego planu gospodarczego*”. Zamiast tych słów w oficjalnym tekście wstawiono: „Pragnęlibyśmy tylko, aby wykonanie tego planu gospodarczego mogło być jeszcze bardziej śmiałe, bardziej intensywne”... „Stoją przecież do dyspozycji niewykorzystane i wielkie możliwości czysto gospodarcze i psychi-

czne Narodu Polskiego, które *będą* (zmieniono na „winny być”) na pewno wykorzystane. Powtarzam jeszcze raz, że *dalsze i wszystkie* (skreślono) wysiłki w tym kierunku uważam za narodową i państwową rację stanu”.

O godzinie 23 zatelefonowałem z Sejmu do p. wicepremiera, aby uzgodnić z nim, co należy czynić. Dowiedziałem się, że w międzyczasie rozmawiał już telefonicznie z gen. Składkowskim, który oddał słuchawkę gen. Skwarczyńskiemu. „Rozmowa ze Skwarczyńskim — powiedział mi Kwiatkowski — jeszcze bardziej oburzyła mnie (Wenda miał być na konferencji bardzo speszony). Do jutra zastanowię się. Zamierzam wysłać list do Skwarczyńskiego z wystąpieniem z OZN. Jutro rano (niedziela) nie wiem, czy będę mógł przemawiać na zjeździe Zarzewia”.

Po powrocie do domu — była już północ — zatelefonowałem do Jerzego Brzozowskiego, komunikując mu, że wicepremier nie uważa sprawy za załatwioną przez ocenzurowanie przemówienia Wendy. Uznaliśmy sytuację za poważną. Brzozowski zatelefonował zaraz do premiera Składkowskiego, powtarzając mu naszą rozmowę i dodając, że wobec wyborów samorządowych komunikat o ustąpieniu Kwiatkowskiego z OZN wywoła fatalne skutki.

O godzinie 1.30 w nocy z dnia 3 na 4 grudnia telefon Brzozowskiego powiadomił mnie, że Składkowski zaraz potem udał się do marszałka Śmigłego-Rydza, któremu zreferował całokształt incydentu. Marszałek oświadczył, że nikt z nim nie uzgadniał wystąpienia Wendy. Osoba wicepremiera jest na pierwszym planie i musi mu być dana satysfakcja. „Dwie głowy — mówił Brzozowski — to może nie, ale jedna może być poświęcona”.

Po niedospanej nocy, 4-grudnia rano zgłosiłem się do Kwiatkowskiego, zakomunikowałem mu wydarzenia nocne i omówiłem sytuację. Telefon z Prezydium Rady Ministrów powiadomił nas, że o 11-tej przybędzie Składkowski. Rozmowa Kwiatkowskiego ze Składkowskim doszła do skutku o godzinie 12-tej, po czym na 17-tą zamówiono wizytę u marszałka Śmigłego-Rydza. W międzyczasie, o godzinie 15-tej, byłem znów w mieszkaniu Kwiatkowskiego. Analizowaliśmy sytuację; starałem się wpłynąć na jego bardziej pojednawcze stanowisko, ale bez rezultatu. W rozmowie z marszałkiem Kwiatkowski nie zgodził się na proponowane wyjście w formie oświadczenia Wendy w Sejmie. Sprawę odłożono do rozmowy z Prezydentem Mościckim.

O godzinie 18.30 — po tej rozmowie — Kwiatkowski przybył na zjazd „Zarzewia”, gdzie nastroje były dość podniecone z powodu incydentu. Była to niedziela.

W dniu 6 grudnia o godzinie 12-tej odbyła się trzygodzinna rozmowa-konferencja u Prezydenta. W tym samym czasie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych układaliśmy z Brzozowskim tekst

ewent. oświadczenia, przypuszczając, że sprawy nie da się inaczej załatwić. Przygotowaliśmy dwa teksty na dwie ewentualności. Jak dowiedzieliśmy się później, na konferencji zamkowej Prezydent broń bardzo mocno Kwiatkowskiego. Marszałek Śmigły nie chciał jednak rozstawać się z Wendą („Taki dzielny człowiek — mówił — dyspozycyjny, kara za surowa”). Zapadła wreszcie decyzja, że ma być oświadczenie.

W dniu 7 grudnia w południe jestem znów u Brzozowskiego w Prezydium Rady Ministrów. O godzinie 13-tej meldujemy się u Składkowskiego na jego wezwanie. Premier wita nas następującym przemówieniem, charakterystycznym dla jego zawsze jasno i prosto sformułowanych zarządzeń:

„Macie panowie ważne i odpowiedzialne zadanie. Wczoraj najwyższe czynniki zadecydowały, że OZN ma w piątek ogłosić deklarację satysfakcjonującą Pana wicepremiera. Nie chcę pana wicepremiera w jego obecnej trudnej sytuacji absorbować i dlatego panowie macie to uzgodnić, tak, aby obie strony zadowolili; w szczególności chodzi mi oczywiście o osobę pana wicepremiera. Rozkaz obu najwyższych czynników wykonam. Proszę panów o zajęcie się tą pracą”.

Komunikat na tę ewentualność mieliśmy już gotowy. Brzmiał on jak następuje:

„W związku z przemówieniem, wygłoszonym przeze mnie dn. 3 bm. na plenarnym posiedzeniu Sejmu oraz wobec tych komentarzy, jakie związane z tym przemówieniem, stwierdzam, że w przemówieniu mym dałem wyraz jedynie osobistym poglądom.

Oficjalne stanowisko Obozu Zjednoczenia Narodowego w stosunku do programu gospodarczego Rządu sprecyzowane zostało w deklaracji Szefa Obozu gen. Stanisława Skwarczyńskiego.

W imieniu OZN oświadczam, że Obóz do poczynai gospodarczych Rządu ustosunkowuje się całkowicie pozytywnie w pełnym przekonaniu, że prowadzą one skutecznie do wspólnego nam wszystkim celu — wzmocnienia siły Państwa”.

W dniu 8 grudnia, o godz. 17 m. 30 ten tekst wręczyliśmy oficjalnie premierowi w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, który natychmiast porozumiał się telefonicznie z płk. Wendą i wicepremierem, podejmując mediację. Proponowany tekst Wendy premier odrzucił jako niezgodny ze stanem faktycznym. Wenda pod naciskiem przyjął nasz projekt ze skreśleniem słowa „jedynie” w pierwszym ustępie projektu.

W dniu 9 grudnia na plenarnym posiedzeniu Sejmu tekst został przez płk. Zygmunta Wendę odczytany i incydent, grożący poważnymi konsekwencjami dla rządu i OZN, w ten sposób zlikwidowany.

Janusz RAKOWSKI

UKRAIŃSKIE WOŁYNIANA NA EMIGRACJI

W *Zeszytach Historycznych* nr 54, 1980, str. 215-221, ukazał się pierwszy z trzech artykułów o ukraińskich „Wołynianach” na emigracji. Tytułu tego używał śp. Jakub Hoffman, twórca i redaktor *Rocznika Wołyńskiego* wydawanego w Równem w latach 1931-1939, w ogłaszanych tam w kolejnych tomach materiałach do bibliografii regionalnej Wołynia. Wracając do tego tytułu, w skromny sposób oddajemy hołd pamięci tego zasłużonego poprzednika.

W zestawieniu opublikowanym w 1980 r. wyliczono 20 wydawnictw Instytutu Dosłidiw Wołyni, ośrodka badań nad Wołyniem, działającego od r. 1952 w Winnipeg w Kanadzie i 3 druki Towarzystwa Wołyn z Toronto. Dodać do tego należy wykaz publikacji Oseredka Bibliohrafiiji Wołynia (Volhynian Bibliographic Center) w Bloomingtonie, Ind., obejmujący dalsze 20 tytułów.

Na stronie 220 *ZH* nr 54 po numerze 17-tym dopisać należy dalsze pozycje, a mianowicie:

18. BOIKO, Maksym
Zbirnyk osobisto drukovanoho... Bloomington, Ind., 1982, Wołynskij Vydavnyczij Fond, str. 147.
(Bibliografia prac Maksyma Boyki; dodatek do *My Thirty Years Bibliography*.
Pratsi Oseredka Bibliohrafiiji Wołyni, 20.
19. *Dokumentatsiia studii volynoznavstva*. Bloomington, Ind., 1983, str. 206.
Pratsi Oseredka Bibliohrafiiji Wołyni, 21.
20. RADION, Stepan
Catalog of the publications of the Volhynian Bibliographic Center. Toronto, 1982, Volyn Society, str. 59, index.
Volhynian Bibliographic Center, 22. Wyd. 2, 1983, str. 78.

W toku prac wydzielano materiały odnoszące się do ogólnie traktowanej bibliografii Ukrainy. Od r. 1981 stosowano układ chronologiczny gromadzonych obecnie materiałów. Rozpoczęto już badania z zakresu paleografii ukraińskiej, nadrabiając zaległości.

Prace bibliograficzne publikowano w nakładzie 50-100 egz. na użytek działów sławistycznych większych bibliotek w USA i Kanadzie, 15 egz. przekazywano do Ukrainian Book Store, P.O. Box 1640, Edmonton, Alta, Canada R2W 3R4.

Na Ukrainie I. Korniejczyk opracował w r. 1977 historię bibliografii ukraińskiej pt. *Istoriia ukraińskoi bibliohrafii, dożewniewyj peiod (Narysy)*, 371. Autor tego skądinąd starannego opracowania nie uwzględnił, niestety, prac wydanych na emigracji. Naszym następnym celem powinno być obiektywne opracowanie tego tematu.

Po r. 1981 ukazały się poza Ukrainą następujące opracowania o charakterze ogólnym:

1. — Boiko, Maksym.

U robitni ukraińskoi bibliohrafii = *In the workshop of Ukrainian bibliography*, by Maksym Boiko. — Bloomington, Ind.: Oseredok bibliohrafii Wołyni, 1981

2. — *Istorychni osnovy ukraińskoi bibliohrafii* = *Historical background of Ukrainian bibliography* — Bloomington, Ind.: Oseredok Bibliohrafii Wołyni, 1981.

3. — *Paleohrafichnyi zbirnyk* = *Paleographical outline*. — Bloomington, Indiana: Oseredok Bibliohrafii Wołyni, 1982.

4. — *Repertuar ukraińskoi bibliohrafii: khronologichna studia* = *A reportory of Ukrainian bibliography*, piled and edited by Maksym Boiko. — Bloomington, Indiana: Nakł. Mykoły Bruchkovského, 1982.

5. — *Ukraińska bibliohrafiia pichas viiny i myru* = *Ukrainian bibliography during war and peace: 1922-1982* — Bloomington, Indiana: Vydav M. Bruchkovskyi, 1982.

6. — *Istorychnymy shliakhamy ukraińskoi bibliohrafii* = *On the historical pathway of Ukrainian bibliography*, compiled and edited by Maksym Boiko. — Bloomington, Ind.: M. Krotiuk, 1984.

7. — *Pokazhchyk do zapysok Naukovoho tovarystva imeni Shevchenka, 1892-1982: dovidnyk do zapysok Biblioteki Universytetu Indiany* = *Index to the memoirs of the Shevchenko Scientific Society*. — Bloomington, Ind.: M. Krotiuk, 1984.

8. — *Ukraińska bibliohrafiia za kordonom* = *Ukrainian bibliography abroad, 1922-1982*, compiled and edited by Maksym Boiko. — Bloomington, Ind.: Maria Krotiuk, 1985.

Na podstawie wyliczonych wyżej opracowań można było przystąpić do syntetycznej bibliografii Ukrainy. Zainicjowała ją Biblioteka w Bloomingtonie, Ind. tomem pierwszym serii *Nacionalna Bibliografija Ukrainy*, Boiko Maksym *Narysy do istorii ukraińskoi bibliohrafii. A historical outline of Ukrainian bibliography, 1073-1916*. Comp. and ed. by Maksym Boiko. Preface by Dr. Paul Pundy. Bloomington, Ind., Ukrainśky Medychnyi Arkhiv-Biblioteka, ULTPA, 1988. 226 p., ill., 28 cm. (Ukrainian national bibliography, no. 1)

Opracowanie otwiera rozdział zawierający materiały dotyczące okresu książęcego 1073-1510, przywłaszczanego przez Rosjan. Z dziesięciu artykułów, składających się na pierwszy tom, na pierwszy

plan wybija się wykaz *Bohosłowca ot słowies*, ok. stu tytułów z dawnej Rusi. W drugim rozdziale opublikowano 33 artykuły dotyczące m.in. wydrukowanego we Lwowie *Apostoła* z danymi bibliograficznymi odnoszącymi się do lat 1574-1916. Jest wśród nich *Knížka wieszczej nužniejshich (Księga pożytecznych wiadomości)* wydana w Ostrogu w r. 1580 i stanowiąca jak gdyby indeks do Nowego Testamentu, wydanego w Ostrogu w tymże roku.

Planowane jest wydanie dalszego ciągu (1916-1980), zmieniono jednak tytuł na „materiały” do bibliografii narodowej ze względu na bogactwo i różnorodność wydawnictw z kilku kontynentów. Materiały już zgromadzone podzielono na 8 części: *Bibliografia Ukrainy, 1917-1931* [do czasu ostatecznego zniszczenia pracy bibliografów odrodzonego państwa ukraińskiego (1917-1939)], bibliografie z terenu poszczególnych krajów (Czechosłowacji, PRL, drugiej emigracji w Niemczech, 1945-1950) i diaspory w Ameryce, Kanadzie, Anglii i Australii. Tytuł owej przyszłej publikacji będzie brzmiał j.n.:

BOIKO, Maksym

Ukrainska bibliographiia materyka i diaspory (Materialy) = Ukrainian bibliography in native land and diaspora, 1917-1980. Comp. and ed. by Maksym Boiko. Preface by Dr. Paul Pundy. Bloomington, Ind. Ukrainśkyi Medychnyi Arkhiv-Biblioteka ULTPA, 1988. 225 p., ill., 28 cm. (Ukrainian national bibliography, no. 2).

Dwa ostatnio wymienione tytuły mogły się ukazać tylko dzięki pomocy Towarzystwa Lekarzy Ukraińskich i zrozumieniu celów wydawnictwa okazanego przez dra Pawła Pundija, archiwariusza Towarzystwa.

Maksym BOYKO

LISTY DO REDAKCJI

Warszawa, 2 IV 1990

Wielce Szanowny Panie!

Zbyt późne podjęcie przeze mnie decyzji o rezygnacji z pseudonimu sprawiło, że nie mogła już ona dotrzeć do Pana na czas, będę jednak wdzięczny za zamieszczenie w jednym z najbliższych *Zeszytów Historycznych* informacji, że pod pseudonimem „Jan Łukaszów” kryje się Tadeusz Andrzej Olszański.

Do przekazanego tekstu wkraśli się — z mojej winy — istotny błąd: na str. 174 i 175 zamienione zostały miejscami przypisy 35 i 36. Natomiast w toku obróbki redakcyjnej zagubiony został przypis 79 na str. 186 (treść: Szota, Szczeciński, *op. cit.* s. 170) oraz zniekształcone zostało zdanie przechodzące ze str. s. 173 na 174; odpowiedni fragment powinien brzmieć: „Armia Krajowa mogła być dla Związku Sowieckiego [sojusznikiem jedynie taktycznym i przejściowym, w istocie zaś była] wrogiem. Tekst ujęty w nawias został pominięty ze szkodą dla wyrażonej myśli. Wreszcie chciałbym zwrócić uwagę na absolutną niedopuszczalność nominativu „Rzeczypospolita” (s. 169, w. 3, błąd redakcji lub składu), niestety w kraju coraz częściej dziś spotykanego.

Pozostając z wyrazami głębokiego szacunku

Tadeusz A. OLSZAŃSKI



Szanowny Panie Redaktorze,

Niektóre informacje podane przez Jana Łukaszowa w opracowaniu pt. „Walki polsko-ukraińskie 1943-1947” (*Zeszyty Historyczne* nr 90) są nieścisłe.

Autor twierdzi, że działania antypolskie w latach 1943-44 nie ogarnęły większości woj. tarnopolskiego oraz że „nie było poważniejszych wystąpień

antypolskich w stanisławowskim (poza pow. rohatyńskim)" — str. 178-9.

Relacje zebrane przez ks. arcybiskupa Eugeniusza Baziaka, metropolitę lwowskiego, które streścił ks. W. Szeleński w książce pt. „Zapomniany lwowski bohater, ks. Stanisław Frankl”, Rzym, 1983, zawierają liczne wstrząsające opisy tych tragicznych wydarzeń w obu województwach. W tarnopolskim akcje antypolskie objęły powiaty: Buczacz, Tarnopol, Brody, Brzeżany, Zaleszczyki, Czortków, Kopyczyńce, Podhajce, Radziechów, Skalat, Trembowla, Zbaraż i Złoczów. W stanisławowskim zaś objęły powiaty: Stanisławów, Dolina, Tłumacz, Kałusz, Żydaczów i Stryj (patrz str. 117-139). Dalsze relacje zostały zebrane w tomie II Komunikatów Towarzystwa im. R. Dmowskiego, Londyn, 1978/80, str. 300-342. Szkoda, że te prace wydane na emigracji nie zostały uwzględnione przez J. Łukaszowa.

Kwestionowana jest również liczba ofiar masakry w Kisielinie na Wołyniu (str. 170). Z relacji H. Kitaszewskiego („Komunikaty”, Tom II, str. 306-7) wynika, że podczas napadu na kościół i miasteczko zamordowano około 1000 osób.

Łączę wyrazy szacunku,

E. SZEJNIC

SPIS TREŚCI

Andrzej Friszke: <i>Z dziejów Stronnictwa Narodowego na emigracji w latach 1939-1942</i>	3
Leszek Brzoza: <i>Niedoszła konferencja dyplomatów polskich w 1953 r.</i>	48
Karolina Lanckorońska: <i>O powstaniu i organizacji studiów wyższych dla żołnierzy Drugiego Korpusu</i>	67
Krystyna Jaworska: <i>Ośrodki akademickie Drugiego Korpusu na terenie Włoch</i>	74

CI, CO ODESZLI

Piotr Wandycz: <i>Wspomnienie o Henryku Wereszyckim</i> ..	90
--	----

WYWIADY

Jacek Kubiak, Iwona Kubiak-Burszta: <i>De Gaulle, Polska i dyplomacja epoki Października (rozmowa z ambasadorem St. Gajewskim)</i>	99
--	----

DOKUMENTY

Gen. Izydor Modelski: <i>Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (próba syntezy) (cz. I)</i>	111
--	-----

Z DZIEJÓW EMIGRACJI

Konstanty St. Kamiński: <i>Polacy w Szwajcarii (1832-1863)</i>	182
--	-----

POLEMIKI

Bogdan Stachiewicz: <i>O przygotowaniu wojny raz jeszcze</i> .	215
Dr Marian Woźniak: <i>W odpowiedzi na „Konspirację poznańską”</i>	220
Jerzy Korczak: <i>Odpowiadam dr. M. Woźniakowi</i>	224

RECENZJE

Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i>	226
--	-----

OKRUCHY HISTORII

Janusz Rakowski: <i>E. Kwiatkowski — OZN — Rydz-Śmigły</i>	230
Maksym Boyko: <i>Ukraińskie wołyniana na emigracji</i>	234

LISTY DO REDAKCJI

Tadeusz A. Olszański: <i>Ujawnienie pseudonimu autora i sprostowanie do artykułu „Walki polsko-ukraińskie 1943-1947” (Zeszyty Historyczne nr 90)</i>	237
E. Szejnic: <i>Komentarz do artykułu Jana Łukaszowa „Walki polsko-ukraińskie 1943-1947” (Zeszyty Historyczne Nr 90)</i>	237

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, avenue de Wagram, 75008 PARIS

Achévé d'imprimer le 30 mai 1990
sur les presses de l'Imprimerie Nouvelle, 16-24, rue Soubise, 93400 Saint-Ouen
Dépôt légal : 2^e trimestre 1990
N° d'imprimeur 2810.

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

